

THOMASHARRIS

milczenie owiec

Przekład
Andrzej Szulc

Pamięci mego ojca

*Jeśli tylko ze względu na ludzi
walczyłem z dzikimi zwierzętami
w Efezie, jaki z tego dla mnie pożytek?*

Skoro umarli nie zmartwychwstają...

św. Paweł, *Pierwszy list do Koryntian 15,31*

*Czyż muszę patrzeć na czaszkę
w pierścieniu, mając tę samą w obręczy mej twarzy?*

John Donne, *Devotions*

Rozdział I

Sekcja Behawioralna, zajmująca się w FBI morderstwami wielokrotnymi, mieści się na najniższej, do połowy ukrytej w ziemi, kondygnacji Akademii FBI w Quantico. Clarice Starling dotarła tam zaczerwieniona od szybkiego marszu ze strzelnicy przy Hogan's Alley. Miała żółta trawy we włosach i utyłaną wiatrówkę — efekt czołgania się pod obstrzałem podczas ćwiczeń praktycznych z techniki unieszkodliwiania przestępców.

W sekretariacie nie było nikogo. Przejrzała się w szklanych drzwiach i szybko poprawiła włosy. Wiedziała, że wygląda dobrze, nie musi nic zmieniać. Ręce jej czuć było prochem strzelniczym, ale nie miała czasu ich umyć. Wezwanie do szefa działu Crawforda brzmiało: natychmiast.

Odnalazła Jacka Crawforda w zagraconej sali ogólnej.

Stał samotnie przy cudzym biurku i rozmawiał przez telefon. Miała sposobność przyjrzeć mu się po raz pierwszy od roku. To, co zobaczyła, zaniepokoiło ją.

Normalnie Crawford wyglądał na zdrowego inżyniera w średnim wieku, który przeszedł gładko przez college dzięki temu, że dobrze grał w baseball — sprytny napastnik, twardy, kiedy trzeba blokować pole. Teraz wychudł, kołnierzyk koszuli był na niego o wiele za luźny, pod zaczerwienionymi oczyma pojawiły się ciemne sińce. Dla każdego, kto czyta gazety, nie było tajemnicą, że Sekcja Behawioralna znalazła się w oku cyklonu. Clarice miała nadzieję, że Crawford niczym się nie szprycuje. W tej instytucji wydawało się to mało prawdopodobne.

Crawford uciął rozmowę telefoniczną krótkim „nie”. Wyjął spod pachy jej akta personalne i otworzył je na pierwszej stronie.

— Starling Clarice M., dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry. — To, że się uśmiechnęła, wynikało wyłącznie z uprzejmości.

— Nic się złego nie stało. Mam nadzieję, że wezwanie cię nie przestraszyło.
— Skądże znowu. — Niezupełnie prawda, dodała w myślach.
— Twój instruktorzy twierdzą, że dobrze sobie radzisz, na twoim roku jesteś w grupie najlepszych.

— Mam taką nadzieję. Do tej pory nic mi o tym nie wspomnieli.

— Pytam ich od czasu do czasu.

To zdziwiło dziewczynę; dawno już spisała Crawforda na straty, uważając go za dwulicowego sukinsyna, kaprała, który interesuje się rekrutem tylko dopóki nie złapie go na haczyk.

Z federalnym agentem specjalnym Crawfordem zetknęła się po raz pierwszy, kiedy prowadził gościnne wykłady na Uniwersytecie Wirginia. Wysoki poziom jego seminarium z kryminologii był jednym z motywów jej decyzji przejścia do FBI. Kiedy dostała się do Akademii, napisała do niego kartkę, ale nie odpowiedział i podczas trzech miesięcy, które spędziła w Quantico, całkowicie ją ignorował.

Clarice Starling nie należała do ludzi, którzy narzucają się ze swoją przyjaźnią i proszą o czyjaś łaskę, ale zachowanie Crawforda zdziwiło ją i trochę zabolalo. Teraz, w jego obecności, z przykrością uświadomiła sobie, że znów czuje do niego sympatię.

Najwyraźniej coś było z nim nie w porządku. Crawford posiadał jakieś szczególne, niezależne od inteligencji, umiejętności. Clarice dostrzegła to w sposobie, w jaki dobierał kolory i gatunek tkanin swoich ubrań, w tym, że umiał zaznaczyć swą indywidualność, mimo obowiązujących w FBI kanonów. Teraz był schludny, ale bezbarwny, tak jakby wszedł w okres linienia.

— Jest robota i pomyślałem o tobie — powiedział. — Właściwie nie robota, raczej interesujące ćwiczenie praktyczne. Zabierz rzeczy Berry'ego z tego krzesła i usiądź. W swoim podaniu napisałaś, że po ukończeniu Akademii chcesz przejść bezpośrednio do Sekcji Behawio-ralnej.

— Tak.

— Masz dobre przygotowanie kryminologiczne, ale brak ci praktycznej znajomości prawa karnego. Szukamy ludzi z minimum sześcioletnim stażem.

— Mój ojciec był szeryfem. Znam życie. Crawford lekko się uśmiechnął.

— Twoimi atutami są bardzo dobre oceny z psychologii i kryminologii... Ile wakacji przepracowałaś w ośrodku dla psychicznie chorych? Dwa kolejne lata?

— Tak.

— Czy ważna jest twoja licencja doradcy prawnego?

— Jeszcze przez dwa lata. Dostałam ją, zanim rozpoczął pan

swoje seminarium na Uniwersytecie Wirginia... Zanim zdecydowałam się tu przyjść.

— Utknęłaś w kolejce do egzaminów? Kiwnęła głową.

— Ale miałam szczęście i zdążyłam się zakwalifikować na kurs kryminalistyki. Dzięki temu popracowałam trochę w laboratorium, jeszcze zanim zaczął się semestr.

— Kiedy się tu dostałaś, napisałaś do mnie list, ale nie wydaje mi się, żebym odpowiedział, to znaczy wiem, że nie odpowiedziałem. Powinienem był to zrobić.

— Ma pan tyle innych spraw na głowie.

— Słyszałaś coś o programie VI-CAP?

— Wiem, że to program badawczy, którego przedmiotem są przestępstwa popełnione z użyciem przemocy. W *Law Enforcement Bulletin* pisali, że pracuje pan nad stworzeniem banku danych, ale że nie jest jeszcze gotowy.

Crawford kiwnął głową.

— Sporządziliśmy kwestionariusz. Można go zastosować wobec wszystkich znanych w dzisiejszych czasach wielokrotnych morderców. — Wręczył jej gruby plik papierów w cienkiej okładce. — Tę część wypełnia prowadzący śledztwo, tę ofiary, jeśli ocalały. Kwestionariusz niebieski wypełnia, jeśli chce, morderca. Różowy zawiera pytania, które ma mu zadać prowadzący śledztwo, notując zarówno jego odpowiedzi, jak i reakcje. Mnóstwo papierkowej roboty.

Papierkowa robota. W głowie Clarice Starling zabrzmiał dzwonek alarmowy. Czuli, że za chwilę Crawford złoży jej ofertę pracy — polegającej prawdopodobnie na żmudnym wprowadzaniu danych do komputera. Kusiło ją, żeby dostać się do Sekcji Behawioralnej na jakiegokolwiek wolne stanowisko, ale wiedziała, co czeka kobietę, którą choć raz zaprzęgnię się do pracy sekretarki — do końca życia nie przestanie stukać na maszynie. Zbliżała się chwila wyboru, a ona chciała wybrać dobrze.

Crawford czekał na coś; najwyraźniej zadał jej jakieś pytanie. Starling musiała pogrzebać w pamięci, żeby je sobie przypomnieć.

— Jakie testy stosowałaś? Minnesota Multiphasic? Rorschacha?

— Minnesota Multiphasic tak, Rorschacha nie — odparła. — Poza tym test apercepcji tematycznej, a z dziećmi — Bender-Gestalt.

— Czy łatwo cię przestraszyć, Starling?

— Nie sędzę.

— Widzisz, staramy się przesłuchać i zbadać wszystkich trzydziestu dwóch wielokrotnych morderców, których trzymamy aktualnie pod kluczem. Pomoże to nam stworzyć bank danych, na podstawie którego będzie można sporządzać portrety psychologiczne przestępców w nie rozwiązanych sprawach. Większość skazanych poszła nam na rękę. Sędzę, że wielu chce się po prostu popisać. Na współpracę zgodziło się dwudziestu siedmiu. W tym czterech przebywających w celach śmierci, pod warunkiem, co zrozumiałe, że załatwi się im wnioski o apelację. Nie jesteśmy jednak w stanie niczego uzyskać od człowieka, na którym najbardziej nam zależy. Chcę, żebyś odwiedziła go jutro w szpitalu dla psychicznie chorych.

Clarice poczuła, że szybciej bije jej serce. Była zadowolona, ale jednocześnie trochę się obawiała.

— Kim on jest?

— To psychiatra, doktor Hannibal Lecter — powiedział Crawford.

Wśród ludzi z branży po wymienieniu tego nazwiska zapada zawsze krótkie milczenie. Starling wpatrywała się nadal spokojnie w Crawforda, trochę tylko znieruchomiła.

— Hannibal-Kanibal? — upewniła się jeszcze.

— Tak.

— No cóż, w porządku. Cieszę się, że otwiera się przede mną szansa. Zastanawiam się tylko, dlaczego właśnie ja?

— Głównie dlatego, że jesteś akurat pod ręką — odparł Crawford. — Nie spodziewam

się, żeby chciał z nami współpracować. Właściwie już odmówił, ale zrobił to przez pośrednika, dyrektora szpitala. Chcę z czystym sumieniem powiedzieć, że był tam nasz wykwalifikowany pracownik i osobiście go zapytał. To, że idziesz tam ty, jest czystym przypadkiem. W sekcji nie został po prostu nikt, komu mógłbym to zlecić.

— Jesteście zawaleni robotą. Buffalo Bill i ta afera w Newadzie...

— Zgadłś. Powtarza się stara historia: ciała dawno już wystygły.

— Powiedział pan: jutro. To znaczy sprawa jest pilna. Czy to ma związek z bieżącym dochodzeniem?

— Nie. Chciałbym, żeby tak było.

— Czy mam sporządzić diagnozę psychologiczną, jeśli stanie okoniem?

— Nie. Mam pełne biurko diagnoz psychologicznych na temat doktora Lectera. Wszystkie stwierdzają, że nie daje się zbadać, i w każdej zawarte są inne wnioski.

Crawford wytrząsnął na dłoń dwie tabletki witaminy Ci wrzucił pastylkę alka-seltzer do szklanki z wodą, żeby je popić.

— To zabawne. Lecter jest psychiatrą i sam pisuje do czasopism psychiatrycznych — notabene niezwykle artykuły — ale nigdy nie dotyczą one jego własnych, małych anomalii. Kiedyś udał, że godzi się przystąpić do pewnych testów razem z dyrektorem szpitala, Chiltonem... Polegało to na wspólnym przesiadywaniu z wstrzymującą odpływ krwi obrączką na penisie, na oglądaniu zdjęć pornograficznych... A potem Lecter pierwszy opublikował wyniki swoich badań na temat Chiltona i zrobił z niego idiotę. Odpisuje na poważne listy, które wysyłają do niego studenci psychiatrii, a które dotyczą dziedzin nie związanych z jego sprawą — i to wszystko. Jeśli odmówi, chcę otrzymać prosty raport: jak wygląda on sam, jak wygląda jego cela, co robi. Trochę lokalnego kolorytu, że tak się wyrażę. Wchodząc i wychodząc uważaj na ludzi z prasy. Nie tej poważnej, ale ze szmatławców. Uwielbiają Lectera bardziej jeszcze niż księcia Andrzeja.

— Czy któraś z brukowych gazet nie zaproponowała mu przypadkiem pięćdziesięciu tysięcy za ujawnienie jakichś przepisów kulinarnych? Wydaje mi się, że coś na ten temat słyszałam.

Crawford kiwnął głową.

— Jestem całkiem pewien, że *National Tattler* opłaca kogoś w szpitalu i że kiedy umówię cię telefonicznie na spotkanie, natychmiast będą o tym wiedzieli.

Crawford pochylił się ku niej i popatrzył z bliska w oczy. W soczewkach dwuogniskowych okularów rozmazywały mu się worki pod oczyma. Musiał płukać sobie niedawno usta listeriną.

— Teraz chcę, żebyś wysłuchała mnie uważnie.

— Tak, sir.

— Bądź bardzo ostrożna z Hannibalem Lecterem. Szef szpitala, doktor Chilton, zapozna cię z procedurą, której będziesz musiała przestrzegać. Nie naruszaj jej. Pod żadnym pozorem ani na jotę jej nie naruszaj. Jeżeli Lecter w ogóle będzie z tobą rozmawiał, to po to, żeby się czegoś o tobie dowiedzieć. To ten sam rodzaj ciekawości, która skłania węża do wpatrywania się w ptasie gniazdo. Wiemy oboje, że w czasie rozmowy trzeba się trochę odsłonić, ale nie zdradź mu żadnych szczegółów na swój temat. Nie powinien znać żadnych faktów z twego prywatnego życia. Wiesz chyba, co się

przytrafiło Willowi Grahamowi?

— Czytałam o tym w swoim czasie.

— Kiedy Will go zdemaskował, Lecter wypruł z niego flaki nożem do linoleum. To cud, że Will przeżył. Pamiętasz Czerwonego Smoka? Lecter napuścił Francisa Dolarhyde'a na Willa i jego rodzinę. To przez Lectera twarz Willa wygląda teraz, jakby namalował ją ten cholerny Picasso. W szpitalu poharatał ciężko pielęgniarkę. Rób, co do ciebie należy, i ani na moment nie zapominaj, kim on jest.

— A kim on jest? Pan wie?

— Wiem, że jest potworem. Poza tym, nikt nie może powiedzieć o nim nic pewnego. Może ty się dowiesz. Nie jesteś tu przez przypadek, Starling. Zadałaś mi kilka interesujących pytań, kiedy wykładałem na Uniwersytecie Wirginia. Dyrektor dostanie do ręki raport podpisany twoim własnym nazwiskiem, jeśli będzie klarowny, zwięzły i dobrze napisany. Ja o tym zadecyduję. Chcę go mieć na godzinę dziewiątą zero zero w niedzielę. W porządku, Starling, postępuj zgodnie z procedurą. Crawford uśmiechnął się do niej, ale oczy pozostały martwe.

Rozdział 2

Doktor Frederick Chilton, lat pięćdziesiąt osiem, dyrektor Stanowego Szpitala dla Psychicznie Chorych Przeszłców w Baltimore, ma długie szerokie biurko, na którym nie widać ani jednego ostrego albo twardego przedmiotu. Część personelu nazywa je „fosa”, część nie rozumie dlaczego właśnie tak. Kiedy do gabinetu weszła Clarice Starling, doktor Chilton nie ruszył się z miejsca.

— Mieliśmy tutaj mnóstwo detektywów, ale nie przypominam sobie, żeby był wśród nich ktoś tak przystojny — powiedział siedząc dalej za biurkiem.

Jego wyciągnięta ręka błyszczała od brylantyny, którą wklepywał przed chwilą we włosy. Uprzytomniła to sobie, zanim zdążyła pomyśleć. Pierwsza puściła jego dłoń.

— Panna Sterling, nieprawdaż?

— Starling, doktorze, przez „a”. Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi trochę czasu.

— Zatem i w FBI przerzucają się na dziewczęta, jak wszędzie, cha, cha. — Dorzucił do tego kwaśny uśmieszek, którym zwykł przedzielać zdania.

— Biuro idzie z duchem czasu, doktorze Chilton, nie da się ukryć.

— Czy zatrzyma się pani w Baltimore kilka dni? Można tu spędzić czas równie przyjemnie jak w Waszyngtonie czy Nowym Jorku, oczywiście, jeśli zna się miasto.

Spojrzała w bok, żeby oszczędzić sobie kolejnego uśmieszku, i od razu zorientowała się, że dostrzegł na jej twarzy niesmak.

— Jestem pewna, że to wielkie miasto, ale polecono mi zobaczyć się z doktorem Lecterem i zameldować się z powrotem jeszcze dzisiaj po południu.

— Czy jest pani uchwytana pod jakimś numerem w Waszyngtonie, gdybym chciał się z panią później skontaktować?

— Oczywiście. Miło, że pan o tym pomyślał. Nadzór nad tą sprawą prowadzi agent specjalny Jack Crawford i zawsze może pan się ze mną skontaktować przez niego.

— Rozumiem — powiedział Chilton. Jego upstrzone różowymi żyłkami policzki toczyły

bój z niewiarygodnie czerwono-brązowym kolorem czupryny. — Poproszę o pani legitymację. — Przyglądał się uważnie plastikowej karcie, pozwalając, by dziewczyna stała. W końcu oddał ją z powrotem i wstał z krzesła. — To nie zabierze nam dużo czasu. Proszę za mną.

— Powiedziano mi, doktorze, że zapozna mnie pan z procedurą — odezwała się.

— Mogę to zrobić w drodze. — Okrążył biurko i spojrzął na zegarek. — Za pół godziny mam lunch.

Cholera, powinna była lepiej go rozgryźć, lepiej i szybciej. Facet nie musi być wcale kompletnym kretynem. Może wie coś, co mogłoby się jej przydać. Od jednego uśmiechu korona by jej z głowy nie spadła, nawet jeśli nie jest w tym najlepsza.

— Doktorze Chilton, rozmawiam z panem teraz. Spotkanie wyznaczono w porze dogodnej dla pana, by mógł mi pan poświęcić kilka chwil. Podczas przesłuchania mogą wyniknąć jakieś problemy; może będę musiała przejrzeć razem z panem niektóre jego odpowiedzi.

— Naprawdę, bardzo w to wątpię. Aha, zanim wyjdziemy, muszę jeszcze gdzieś zatelefonować. Dołączę do pani w sekretariacie.

— Chciałabym zostawić tu płaszcz i parasolkę.

— Nie tutaj. Niech je pani da Alanowi w sekretariacie, schowa je do szafy.

Alan nosił podobny do piżamy strój przydzielany pacjentom. Wycierał właśnie popielniczki ręką koszuli.

Biorąc płaszcz z rąk Starling, obracał językiem w ustach.

— Dziękuję — powiedziała.

— Witamy panią bardzo, bardzo serdecznie. Jak często robi pani kupę? — zapytał.

— Słucham?

— Czy wychodzi z pani taka dłu-u-u-uga?

— Powieszę to sobie gdzieś sama.

— Nic nie stoi na przeszkodzie. Może się pani pochylić i patrzeć, jak ona z pani wychodzi, zobaczyć, czy zmienia kolor, kiedy styka się z powietrzem. Robi to pani? Czy nie wygląda to tak, jakby miała pani duży brązowy ogon? — Nie chciał oddać jej płaszcza.

— Doktor Chilton wzywa cię do gabinetu, natychmiast — powiedziała.

— Nie, wcale cię nie wzywam — oznajmił Chilton. — Włóż płaszcz do szafy, Alan, i nie wyjmuj go, kiedy nas nie będzie. Zrób to. Miałem sekretarkę na pełnym etacie, ale zabrały ją cięcia budżetowe. Dziewczyna, która panią wpuściła, pisze tutaj na maszynie przez trzy

godziny dziennie, a potem mam do dyspozycji tylko Alana. Gdzie się podziały te wszystkie sekretarki, panno Starling? — Łypnął na nią okiem spod okularów. — Czy ma pani broń?

— Nie, nie mam.

— Czy mógłbym obejrzeć pani torebkę i teczkę?

— Widział pan moją legitymację.

— I jest w niej napisane, że jest pani studentką. Proszę mi pokazać swoje rzeczy.

Wzdrygnęła się mimowolnie, kiedy zatrzasnęły się za nią pierwsze stalowe wrota i zasunął rygiel. Chilton nieco ją wyprzedzał. W korytarzu pomalowanym na zielony, szpitalny kolor unosił się zapach lizolu. Gdzieś daleko trzasnęły drzwi. Clarice była zła na siebie, że pozwoliła Chiltonowi grzebać łapą w torebce i teczce. Zdusiła w sobie gniew, aby móc się skoncentrować. W porządku. Czowała, że znowu w pełni panuje nad sytuacją, cała złość spłynęła po niej jak woda.

— Z Lecterem mamy wyjątkowe kłopoty — mówił przez ramię Chilton. — Samo tylko usunięcie zszywek z czasopism, które mu przysyłają, zajmuje pielęgniarzowi co najmniej dziesięć minut dziennie. Staraliśmy się ograniczyć prenumerowane przez niego pisma, ale złożył skargę i sąd nakazał nam przywrócić wszystkie tytuły. Rozmiary jego osobistej korespondencji są olbrzymie. Na szczęście, trochę się zmniejszyła od czasu, kiedy jego miejsce w mass mediach zajęli inni osobnicy. Był taki moment, że byłe studencina piszący pracę magisterską z psychologii miał do niego bardzo ważny interes. Pisma medyczne wciąż go publikują, ale głównie z powodu wrażenia, jakie wywołuje na okładce jego nazwisko.

— Sądziłam, że jego artykuł na temat uzależnienia chirurgicznego w *Journal of Clinical Psychiatry* jest całkiem interesujący — odezwała się Starling.

— Naprawdę? Sądziła pani? Próbowaliśmy studiować Lectera. Oto wyłania się, myśleliśmy, szansa, aby dokonać rzeczywiście przełomowego odkrycia. Tak rzadko spotyka się żywy egzemplarz.

— Żywy egzemplarz czego?

— Czystego socjopaty, bo tym właśnie jest, z całą pewnością. Ale nie sposób go przeniknąć. Jest zbyt skomplikowany, by można było zastosować wobec niego standardowe testy. A poza tym, jakże on nas nienawidzi. Wydaje mu się, że jestem jego Nemezis. Crawford ma łeb na karku, prawda? Wiedział, kogo wysłać do Lectera.

— Co pan przez to rozumie, doktorze Chilton?

— Młodej kobiecie łatwiej uda się go, jak by to pani ujęła, „przekabacić”. Sądzę, że Lecter nie widział kobiety od dobrych paru

lat... chyba że przypadkiem udało mu się zerknąć na którąś ze sprzątaczek. Normalnie nie trzymamy tutaj kobiet. W miejscach odosobnienia jest z nimi tylko kłopot. No dobrze, odpieprz się, Chilton.

— Ukończyłam z wyróżnieniem Uniwersytet Wirginia, doktorze. To nie jest pensja dla panienek z dobrego domu.

— W takim razie nie powinna mieć pani trudności z zapamiętaniem regulaminu. Nie sięgać przez kraty ani ich nie dotykać. Nie podawać mu niczego oprócz miękkiego papieru. Żadnych długopisów, żadnych ołówek. Od jakiegoś czasu ma swoje własne flamastry. W dokumentach, które pani mu przekaże, nie może być żadnych spinaczy ani szpilek. Wszystko ma wrócić do pani na ruchomej tacy, na której dostarcza mu się pożywienia. Pod żadnym pozorem nie wolno niczego brać od niego przez kraty. Czy pani mnie rozumie?

— Rozumiem.

Minęli kolejnych dwoje stalowych drzwi. Oświetlenie było sztuczne. Za sobą pozostawili oddziały, których pacjenci mogli się ze sobą kontaktować. Teraz znaleźli się

na dole, w miejscu gdzie nie było okien i zabronione były kontakty. Lampy na korytarzu osłonięto grubymi kratami jak w maszynowni statku. Doktor Chilton przystanął pod którąś z nich. Kiedy przebrzmiało echo ich kroków, Clarice usłyszała gdzieś za ścianą ochryply od ciągłego krzyku głos.

— Lecter nigdy nie opuszcza swojej celi bez krępującego go kaftana i knebla — wyjaśnił Chilton. — Chcę pani pokazać dlaczego. Przez pierwszy rok był wzorowym pacjentem. Złagodzone nieco środki bezpieczeństwa — było to za poprzedniego kierownictwa, rozumie pani. Po południu, ósmego lipca siedemdziesiątego szóstego roku zaczął uskarżać się na ból w piersiach i został zabrany do ambulatorium. Zdjęto kaftan, aby łatwiej było zrobić EKG. Oto co zrobił pielęgniarka, kiedy się nad nim pochyliła. — Chilton wręczył Clarice fotografię z pozaginanymi rogami. — Lekarzom udało się ocalić jej jedno oko. Lecter cały czas podłączony był do monitorów. Złamał jej szczękę, żeby dostać się do języka. Nawet kiedy go połykał, puls ani na moment nie przekroczył osiemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę.

Clarice nie wiedziała, co gorsze, fotografia czy zachłanne, prędkie, przesywające jej twarz spojrzenie Chiltona. Przypominał spragnionego kurczaka wydziobującego łyżę z jej policzków.

— Trzymam go tutaj — powiedział Chilton i nacisnął przycisk tkwiący w ścianie obok ciężkich, podwójnych drzwi z pancernego szkła. Na oddział wprowadził ich wysoki pielęgniarz.

Clarice powzięła twardą decyzję i zatrzymała się w progu.

— Doktorze, naprawdę zależy nam na wynikach tego testu. Jeżeli doktor Lecter uważa pana za swojego wroga, ma na pana punkcie obsesję, jak sam pan to ujął, więcej szans powodzenia mamy w przypadku, jeśli spotkam się z nim sama. Co pan o tym myśli?

Policzek Chiltona drgnął.

— Jeśli chodzi o mnie, nie widzę żadnych przeszkód. Szkoda tylko, że nie powiedziała pani tego w moim gabinecie. Mogłem wystać z panią pielęgniarką i nie tracić czasu.

— Powiedziałabym, gdyby zechciał pan tam ze mną rozmawiać.

— Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze zobaczyli, panno Starling. Barney, zadzwoń na kogoś, żeby ją wyprowadził, kiedy skończy z Lecterem.

Chilton wyszedł nie rzuciwszy na nią więcej okiem.

Pozostała z potężnym i nieruchawym pielęgniarką, za nim widziała bezgłośny zegar i szafkę z drucianej siatki, w niej spray z gazem, pas z uchwyty, knebel i pistolet ze środkiem uspokajającym. Przy ścianie stał w stojaku długi pręt ze specjalnym zakończeniem w kształcie litery U do „przyszpilania” więźnia do ściany.

Pielęgniarka przyglądała się jej z uwagą.

— Czy doktor Chilton powiedział pani, żeby nie dotykać krat? — Głos miał jednocześnie wysoki i ochryply.

— Tak — odrzekła.

— Świetnie. Jego cela jest na samym końcu, ostatnia z prawej. Idąc niech pani trzyma się środka korytarza i nie zwraca na nic uwagi. Może pani zabrać dla niego pocztę, będzie w lepszym humorze. — Pielęgniarka robił wrażenie rozbawionego. — Trzeba ją

tylko położyć na wózku i pchnąć do środka. Jeśli wózek jest w celi, może go pani przyciągnąć do siebie sznurkiem. On też może go pani odesłać. Na zewnątrz, tam gdzie zatrzymuje się wózek, jest pani całkowicie bezpieczna.

Dał jej dwa czasopisma z rozsypującymi się po wyjęciu zszywek stronami, trzy gazety i dwa rozpieczętowane listy.

Korytarz miał około trzydziestu metrów, cele znajdowały się po obu stronach. Niektóre z nich były murowane, z wysokim i wąskim niczym otwór strzelniczy judaszem pośrodku drzwi. Inne wyglądały jak normalne cele więzienne, ściany miały z metalowych prętów. Clarice Starling zdawała sobie sprawę, że siedzą w nich więźniowie, starała się jednak nie rozglądać na boki. Miała za sobą już więcej niż połowę korytarza, gdy ktoś zasyczał: „Czuję twoją cipkę”. Nie pokazała po sobie, że słyszy, i poszła dalej.

W ostatniej celi paliło się światło. Przeszła na lewą stronę korytarza, żeby móc wcześniej zajrzeć do środka. Wiedziała, że i tak zdradza ją stukanie obcasów.

Rozdział 3

Cela doktora Lectera znajdowała się w znacznej odległości od innych. Po jej przeciwnej stronie stała tylko szafka. Cela była wyjątkowa i z innych powodów. Jej ścianę frontową, jak w innych celach, tworzyły metalowe pręty, za nimi jednak, w odległości większej niż zasięg ludzkiego ramienia, między ścianami, sufitem a podłogą rozpięta była gruba nylonowa siatka. Za siatką Starling zobaczyła przysrubowany do podłogi stół, na nim wysoki stos papierów i książek w miękkich okładkach, a obok proste krzesło, także przymocowane do podłogi.

Doktor Hannibal Lecter we własnej osobie leżał na prycy, przeglądając włoskie wydanie magazynu *Vogue*. W prawej ręce trzymał luźne kartki, lewą odkładał je po kolei na bok. Doktor Lecter miał sześć palców u lewej dłoni.

Clarice zatrzymała się w niewielkiej odległości od prętów.

— Doktorze Lecter. — Uznała, że jej głos brzmi całkiem pewnie. Uniósł oczy znad magazynu.

Przez jedną niesamowitą sekundę zdawało jej się, że czuje, jak przeszywa ją jego badawcze spojrzenie.

— Nazywam się Clarice Starling. Czy mogłabym z panem porozmawiać? — Ton i dystans, jaki przyjęła, pełne były kurtuazji.

Doktor Lecter namyślał się z przytkniętym do zaciśniętych ust palcem. Potem powoli wstał i miękko zbliżył się do wyjścia ze swojej klatki. Zatrzymał się tuż przed nylonową siatką, w ogóle na nią nie patrząc, tak jakby sam wybrał tę odległość.

Zobaczyła teraz, że jest niski i sympatyczny. W jego wątych dłoniach i ramionach wyczuła podobną do własnej stalową siłę.

— Dzień dobry — odezwał się, jakby właśnie otworzył drzwi. Miał nienaganny akcent, w głosie słychać było metaliczny ton; może dlatego, że tak rzadko się odzywał.

Doktor Lecter miał oczy piwne. Odbijające się w nich światło zapalało w źrenicach małe, czerwone punkciki, które wydawały się czasami ulatywać do środka niczym gasnące iskry. Objął wzrokiem jej postać.

Starannie odmierzając odległość, podeszła trochę bliżej krat. Ręce pokryły się gęsią skórką, poczuła, że cisną ją rękawy.

— Doktorze, mamy poważny problem psychologiczny. Chciałam zwrócić się do pana o pomoc.

— My, to znaczy Sekcja Behawioralna z Quantico. Rozumiem, że należy pani do drużyny Jacka Crawforda.

— Tak, należę.

— Czy mógłbym zobaczyć pani pełnomocnictwa?

Nie spodziewała się tego.

— Pokazałam je w... biurze.

— Ma pani na myśli, że pokazała je doktorowi filozofii, Frederickowi Chiltonowi?

— Tak.

— Czy pokazał pani swoje?

— Nie.

— Nie ma tam zbyt dużo do czytania, zaręczam pani. Spotkała się pani z Alanem? Jest czarujący, prawda? Z którym z nich przyjemniej się pani rozmawiało?

— Ogólnie rzecz biorąc, raczej z Alanem.

— Może pani być reporterką, którą Chilton wpuścił tutaj za odpowiedniej wysokości łapówkę. Uważam, że mam prawo przyrzeć się pani pełnomocnictwom.

— W porządku. — Podniosła do góry swoją plastikową kartę identyfikacyjną.

— Nie mogę nic odczytać z tej odległości. Proszę ją tu przysłać.

— Nie mogę.

— Bo jest zrobiona z twardego materiału?

— Tak.

— Niech pani poprosi Barneya.

Zbliżył się pielęgniarz. Namyślał się przez chwilę.

— Dobrze, doktorze Lecter, zgadzam się. Ale jeśli nie zwróci pan legitymacji, kiedy o to poproszę, jeśli będziemy musieli zawracać tu wszystkim głowę i związać pana, żeby ją odzyskać, wprowadzi mnie pan w zły humor. Kiedy wpadnę w zły humor, będzie pan musiał tkwić związany jak bela, aż z powrotem poczuję do pana sympatię. Odżywianie przez tubę, pieluszki zmieniane dwa razy dziennie. Przez cały tydzień przetrzymam także pańską pocztę. Jasne?

— Oczywiście, Barney.

Karta pojechała na wózku. Doktor Lecter zbliżył ją do światła.

— Kursant? Tu jest napisane „kursant”. Jack Crawford przysyła do mnie na rozmowę kursantkę? — ścisnął kartę swymi drobnymi białymi zębami i powąchał, jak pachnie.

— Doktorze Lecter — upomniał go Barney.

— Oczywiście. — Położył kartę z powrotem na tacy i Barney wyciągnął ją na zewnątrz.

— Wciąż jestem studentką Akademii, zgadza się — wyjaśniła Starling — jednak tematem naszej rozmowy nie jest FBI, ale problemy psychologiczne. Może pan sam zdecydować, czy mam wystarczające kwalifikacje w tej dziedzinie.

— Hmm... — mruknął doktor Lecter. — Właściwie, chytrze to

sobie pani wymyśliła. Nie sądzisz, Barney, że inspektor Starling przydałoby się krzesło?

— Doktor Chilton nic nie mówił na temat krzesła.

— A co mówią ci twoje dobre maniery, Barney?

— Życzy sobie pani, żebym przyniósł krzesło? — spytał Barney. — Moglibyśmy je tu postawić, ale on nigdy... to znaczy nikt nie musi stać tutaj tak długo.

— Tak, proszę — powiedziała Starling.

Barney wyjął składane krzesło z zamykanej na klucz szafki w korytarzu, rozłożył je i zostawił ich samych.

— Teraz — odezwał się Lecter siadając bokiem przy stole i patrząc jej prosto w twarz — chciałbym się dowiedzieć, co takiego powiedział pani Miggs?

— Kto?

— Miggs, człowiek o wielu jaźniach, lokator celi w połowie korytarza. Coś do pani syknął. Co to było?

— Powiedział: „Czuję twoją cipkę”.

— Rozumiem. Ja nie czuję. Używa pani kremu „Evyan” i czasami skrapla się pani „L’Air du Temps”, ale nie dzisiaj. Dzisiaj specjalnie się pani nie uperfumowała. Co pani czuje w związku z tym, co powiedział Miggs?

— Odczuwa wrogość z przyczyn, które nie są mi znane. To niedobrze. Uważa innych ludzi za wrogów i oni także żywią wobec niego nieprzyjemne uczucia. Prawdziwe błędne koło.

— Czy żywi pani wobec niego nieprzyjemne uczucia?

— Przykro mi, że odczuwa niepokój. Poza tym jest dokuczliwy. Skąd pan wie, jakich perfum używam?

— Zalecał mnie zapach z pani torebki, kiedy wyjmowała pani legitymację. Torebka jest urocza.

— Dziękuję.

— Wzięła dziś pani swoją najlepszą torebkę, prawda?

— Tak. — Miał rację. Z zaoszczędzonych pieniędzy kupiła sobie elegancką, klasyczną torebkę. Była to najlepsza rzecz, jaką miała.

— Jest o wiele lepszej jakości niż pani buty.

— Może zarobię kiedyś na lepsze.

— Nie wątpię.

— Sam malował pan rysunki na ścianach swojej celi, doktorze?

— Sądzi pani, że wezwałem w tym celu dekoratora wnętrz?

— Ten nad zlewem przedstawia jakieś europejskie miasto?

— To Florencja. Palazzo Vecchio i katedra widziana z Belvedere.

— Rysuje pan z pamięci, wszystkie te detale?

— Pamięć, pani inspektor, jest tym, co zastępuje mi widok.

— Następny rysunek to ukrzyżowanie? Środkowy krzyż jest pusty.

— To Golgota po zdjęciu z krzyża. Miałem do dyspozycji węgiel, flamaster i papier do pakowania. Widzimy tu, co spotkało w rzeczywistości złodzieja, któremu obiecano królestwo niebieskie, już po usunięciu stamtąd paschalnego baranka.

— A co go spotkało?

— Połamano mu nogi, oczywiście, tak samo jak jego koledze, który urągał Chrystusowi. Czy zupełnie nie zna pani Ewangelii świętego Jana? Proszę przyjrzeć się w takim razie obrazom Duccia. Jego ukrzyżowania są doskonałe. Jak czuje się Will Graham? Jak wygląda?

— Nie znam Willa Grahama.

— Wie pani, kim jest. Protegowanym Jacka Crawforda. Poprzednim protegowanym, przed panią. Jak wygląda jego twarz?

— Nigdy go nie widziałam.

— Chyba nie ma mi pani za złe tego żartu, pani inspektor? To się nazywa „wyciąć komuś niezły numer”.

W ciszy, która zapadła, słyszała bicie własnego serca. Zaryzykowała.

— Może lepiej zajmiemy się innymi pana numerami. Mam ze sobą kwestionariusz...

— Nie. Nie, to było głupie i niewłaściwe. Nigdy nie można się odgryzać, kiedy chce się kogoś podejść. To, że zrozumiała pani dowcip i odcięła się, sprawia, że rozmówca na chwilę wytracony zostaje z równowagi. To z kolei ma negatywny wpływ na jego nastrój. Wszystko opiera się na nastroju. Szło pani bardzo dobrze, pani zachowanie nacechowane było uprzejmością, we właściwy sposób reagowała pani na moją uprzejmość, zdobyła sobie pani moje zaufanie, powtarzając wiernie to, co powiedział Miggs, choć z pewnością było to kłopotliwe. A potem jak pięścią między oczy wali mnie pani swoim kwestionariuszem. Tak się nie robi.

— Doktorze Lecter, jest pan doświadczonym psychiatrą, klinicystą. Sądzi pan, że jestem na tyle głupia, żeby próbować wytraćać pana z równowagi? Proszę o trochę więcej zaufania. Zwracam się do pana, żeby odpowiedział pan na pytania kwestionariusza, a pan albo to zrobi, albo nie. Czy stanie się panu coś złego, jeśli rzuci pan na to okiem?

— Czytała pani ostatnio jakieś materiały opublikowane przez Sekcję Behawioralną, inspektor Starling?

— Tak.

— Ja również. FBI postąpiło głupio odmawiając mi prenumeraty *Law Enforcement Bulletin*, ale i tak otrzymuję go z drugiej ręki. Mam również *News* od Johna Jaya, a także czasopisma psychiatryczne.

Ludzi, którzy dokonali wielokrotnych morderstw, dzieli się tam na dwie kategorie: zorganizowanych i niezorganizowanych. Co pani myśli o tym podziale?

— No cóż... myślę, że jest zasadniczy. Oczywiście, że...

— Jest symplicystyczny, tego słowa chciała pani chyba użyć. Fakt, że większość psychologii to dziecinada, a ta uprawiana w Sekcji Behawioralnej niczym nie różni się od frenologii. Zacząć trzeba od tego, że ta dyscyplina nie dysponuje odpowiednim materiałem ludzkim. Proszę iść na jakikolwiek wydział psychologii i popatrzeć, kim są studenci i wykładowcy. Spotka pani albo zwariowanych amatorów krótkofalowców, albo innych zapaleńców z wyraźnymi zaburzeniami osobowości. A i tak są to akurat ci najzdolniejsi. Zorganizowani i niezorganizowani — wymyślił to kompletny dupek.

— A jak pan by zmienił tę klasyfikację?

- W ogóle bym nic nie zmieniał.
- A propos publikacji, przeczytałam pańskie artykuły o uzależnieniu chirurgicznym i o mięśniach mimicznych prawej i lewej strony twarzy.
- Istotnie, są pierwszorzędne — stwierdził doktor Lecter.
- Takie jest też moje zdanie i zdanie Jacka Crawforda. To on mi je wskazał. Jest jeden powód, w związku z którym się o pana niepokoi...
- Stary stoik Crawford się niepokoi? Musi być bardzo zajęty, jeśli szuka pomocy u studentek.
- Jest zajęty i pragnie...
- Zajęty Buffalo Billem.
- Tak sądzę.
- Nie. Nie „tak sądzę”, pani inspektor. Wie pani świetnie, że chodzi o Buffalo Billa. Myślałem, że może Jack Crawford przysłał panią, żeby mnie o niego zapytać.
- Nie.
- Więc nie pracuje pani przy tej sprawie?
- Nie. Przyszłam do pana, ponieważ potrzebujemy...
- Co pani wie o Buffalo Billu?
- Nikt nie wie o nim zbyt dużo.
- Czy w gazetach było wszystko, co wiecie?
- Tak myślę. Doktorze, nie oglądałam żadnych zastrzeżonych materiałów na ten temat, moim zadaniem jest...
- Ilu kobiet użył Buffalo Bill?
- Policja odnalazła pięć.
- Wszystkie obdarte ze skóry?
- Tak, częściowo.
- Gazety ani razu nie wyjaśniły, dlaczego tak go nazwano. Wie pani, dlaczego mówią na niego Buffalo Bill?
- Tak.
- Proszę mi powiedzieć.
- Powiem panu, jeśli rzuci pan okiem na kwestionariusz.
- Dobrze, rzucę i na tym koniec. A więc dlaczego?
- Ktoś w wydziale zabójstw Kansas City głupio sobie zażartował i stąd się to wzięło.
- Tak...?
- Nazwali go Buffalo Billem, ponieważ zdiera skórę z torsów. Clarice pomyślała, że ma do wyboru: okazać przerażenie albo potraktować to, co powiedziała, żartobliwie. Wybrała przerażenie.
- Proszę mi przesłać kwestionariusz.
- Położyła na wózku niebieski formularz. Siedziała nieruchomo, podczas gdy Lecter szybko przerzucał kartki. Położył je z powrotem na wózek.
- Och, pani inspektor, czy naprawdę sądzi pani, że podda mnie sekcji za pomocą tego błękitnego małego instrumentu?
- Nie. Sądzę, że może pan wniknąć w samego siebie i posunąć do przodu nasze badania.

- A z jakiego powodu miałbym to zrobić?
- Z powodu ciekawości.
- Ciekawości czego?
- Dlaczego jest pan tutaj. Co się panu przydarzyło.
- Nic mi się nie przydarzyło, pani inspektor. Sam stanowią o swoim losie. Nie możecie ograniczyć moich możliwości. Zrezygnowaliście z kryteriów dobra i zła dla behawioryzmu. Założyliście wszystkim moralne pieluszki. Nic nie jest nigdy, według was, czyjaś-wiek winą. Niech pani spojrzy na mnie, pani inspektor. Czy ośmieli się pani powiedzieć, że jestem zły? Czy jestem zły?
- Sądzę, że jest pan destruktywny. To dla mnie to samo.
- A zatem zło jest tylko destrukcją? W takim razie, jeśli to takie proste, sztormy są także złem. Pożary, gradobicia. Towarzystwa ubezpieczeniowe podciągają to wszystko pod kategorię klęski żywiołowej. Taka była wola Boga.
- Niech pan pomyśli o...
- Dla zabicia czasu kolekcjonuję zdjęcia zniszczonych kościołów. Czy oglądała pani fotografię kościoła, który zawalił się ostatnio na Sycylii? Wspaniale! Fasada runęła na sześćdziesiąt pięć staruszek zgromadzonych na specjalnej mszy. Czy był to przejaw zła? Jeśli tak, kto był jego autorem? Jeżeli On jest tam na górze, to wprost uwielbia takie rzeczy. Tęcza i powódź... wszystko bierze się z tej samej przyczyny.
- Nie wytłumaczę tego panu, doktorze, ale znam kogoś, kto potrafi.
- Powstrzymał ją wyciągniętą ręką. Dłoń miał foremną. Zauważyła, że środkowy palec był idealnie zdublowany. To najrzadsza forma tej anomalii.
- Kiedy odezwał się ponownie, głos miał przyjemny i miękki.
- Chciałaby mnie pani jakoś zaklasyfikować, pani inspektor. Ma pani taką ambicję, nieprawdaż? Wie pani, kogo mi przypomina swoją elegancką torebką i tanimi pantoflami? Prostą babę ze wsi. Wyszorowane mydłem, pozbawione smaku wiejskie popychadło. Pani oczy są jak tanie szkielec: świecą się, kiedy wycygnani pani ode mnie jakąś marną odpowiedź. W tych oczach kryje się spryt, prawda? Za wszelką cenę nie chce pani być taka sama jak jej matka. Dobre odżywianie wydłużyło trochę pani kości, ale nadal tylko jedno pokolenie dzieli panią od tych, co ryli węgiel w kopalniach. Z jakich Starlingów się pani wywodzi: tych z zachodniej Wirginii czy z Ohio? Trudno się było zdecydować pomiędzy college'em a ułatwieniami, które oferowano w Kobiecej Służbie Pomocniczej, nieprawdaż? Pozwolisz, że powiem o tobie coś szczególnego, studentko Starling. W swoim małym pokoiku masz różaniec nanizany z małych, złocistych paciorków i kiedy patrzysz na niego, widzisz, jaki jest wyślizgany, jaki wyrobiony, robi ci się niedobrze. I te wszystkie beznadziejnie nudne formuły, te dziękuję, przepraszam, proszę, całe to żalosne obmacywanie, paciorek po paciorku, flaki się od tego przewracają. Nuda. Straszna nuda. Trzeźwe spojrzenie zabija wiele złudzeń, nieprawdaż? Zmienia się gust, już nie wystarczają te słodkości. A kiedy wspomnisz, o czym sobie tutaj gawędziliśmy, przyjdzie ci na myśl, że trzeba się tego wszystkiego pozbyć, jak niepotrzebnego zwierzaka.
- Jeśli paciorki do reszty się wyślizgają, co innego ci w życiu zostanie? Martwisz się o to w łóżku, jak nie możesz zasnąć? — najuprzejmiejszym z tonów spytał doktor Lecter.

Starling podniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

— Dużo pan widzi, doktorze. Nie będę zaprzeczała niczemu, co pan powiedział. Ale jest pytanie, na które odpowie mi pan, chce pan czy nie, właśnie w tej chwili: czy ma pan w sobie dość siły, żeby skierować ten przenikliwy intelekt na samego siebie? Nie jest łatwo znieść taki zabieg. Sama tego przed chwilą doświadczyłam. Co pan na to? Niech pan spojrzy w głąb i napisze o sobie całą prawdę. Gdzie pan znajdzie bardziej godny siebie, bardziej interesujący przedmiot badań? A może pan się boi samego siebie?

— Jest pani twarda, prawda, inspektor Starling?

— W rozsądnych granicach, tak.

— I nie znosi pani myśli, że może okazać się osobą pospolitą. Czy to nie to panią tak boli? No dobrze, daleka jest pani od pospolitości. Została z niej pani tylko sama obawa, że ktoś może tak pomyśleć. Jak grube są paciorki pani różańca, siedem milimetrów?

— Siedem.

— Pozwoli pani, że coś jej zaproponuję. Niech pani weźmie trochę szklanych koralików zwanych tygrysimi oczkami i naniza je pomiędzy złote paciorki. Można to zrobić na przykład tak: dwa paciorki, trzy oczka, albo jeden paciorek, jedno oczko, jak pani chce. Będzie pani bardziej do twarzy. Tygrysie oczka podkreślą kolor oczu i lśnienie pani włosów. Czy ktoś wysłał pani kiedyś kartkę na dzień świętego Walentego?

— Tak.

— Zaczął się Wielki Post. Do dnia świętego Walentego pozostał tylko tydzień. Hmm... Czy spodziewa się pani od kogoś kartki?

— Nigdy nic nie wiadomo.

— Tak, nigdy nie wiadomo... Pomyślałem o tym dniu, bo przypomina mi coś zabawnego. Teraz, kiedy przyszło mi to na myśl, dochodzę do wniosku, że w dniu świętego Walentego mogę uczynić cię bardzo szczęśliwą, Clarice Starling.

— W jaki sposób, doktorze?

— Wysyłając ci prześliczną kartkę. Będę musiał o tym pomyśleć. A teraz proszę mi wybaczyć. Do widzenia, pani inspektor.

— A kwestionariusz?

— Kiedyś chciał mnie pomieścić w jakiejś swojej rubryce rachmistrz ze spisu powszechnego. Zjadłem jego wątrobę z fasolą i dużą ilością przypraw. Wracaj do szkoły, mała Starling.

Hannibal Lecter, grzeczny do samego końca, nie odwrócił się do niej plecami. Idąc tyłem cofnął się w głąb klatki, a potem ułożył na swojej pryczy i pozostał tam bez ruchu, niczym kamienny krzyżowiec na płycie grobowca.

Starling poczuła się nagle całkiem rozbita, jak po pobraniu krwi. Dłużej, niż to było konieczne, układała papiery w teczce. Nie ufała własnym nogom. Niepowodzenie wypruło z niej wszystkie siły. Nie znosiła przegrywać. Złożyła krzesło i oparła je o drzwiczki szafki.

Musiała znowu przejść obok celi Miggsa. Barney w końcu korytarza udawał, że czyta. Mogła go zawołać, żeby tu po nią przyszedł. Niech diabli wezmą Miggsa. Nie był gorszy od robotników budowlanych albo tragarzy, na których można się natknąć każdego dnia w mieście. Ruszyła z powrotem korytarzem.

Tuż obok siebie usłyszała syk Miggsa:

— Przegryzłem sobie żyły w przegubach i mogę umrzeeeeć! Chcesz zobaczyć, jak krwawię?

Mogła zawołać Barneya, ale zaskoczona, spojrzała w głąb celi. Zobaczyła, jak Miggs pstryka palcami, i zanim zdążyła się odwrócić, na policzku i ramieniu poczuła coś ciepłego.

Uciekła stamtąd. To była sperma, nie krew. Z tyłu wołał ją Lecter, słyszała go dobrze. Metaliczny zgrzyt w jego głosie był teraz o wiele wyraźniejszy.

— Pani inspektor!

Wstał z pryczy i wołał ją. Szła dalej w kierunku Barneya. W torebce znalazła papierowe serwetki.

— Inspektor Starling! — zabrzmiało z tyłu. Odzyskała teraz w pełni panowanie nad sobą. Zbliżała się do żelaznych drzwi bloku.

— Inspektor Starling! — W głosie Lectera pojawił się nowy ton.

Zatrzymała się. Czego ja, na miłość boską, od niego chcę? Miggs syknął coś, ale nie słuchała.

Znowu stała przed celą Lectera. Miała przed sobą rzadki widok — doktor był wyraźnie poruszony. Wiedziała, że potrafi to na niej wyczuć węchem. Potrafił wyczuć wszystko.

— Wolałbym, żeby się to pani nie przydarzyło. Do wszelkich przejawów braku szacunku odnoszę się z niewymownym wstrętem.

Tak jakby popełniając morderstwa wyzbył się całkowicie pospolitego grubiaństwa. Albo raczej, pomyślała Clarice, podniecało go, że widział ją naznaczoną w ten szczególny sposób. Trudno powiedzieć. Iskierki w jego oczach odpływały w ciemność jak robaczki świętojańskie w głąb jaskini.

Cokolwiek to jest, obróć to na moją korzyść, Jezu! Podniosła teczkę.

— Proszę, niech pan to dla mnie zrobi.

Chyba było już za późno; z powrotem odzyskał spokój.

— Nie. Ale ponieważ wróciłaś, sprawię, że będziesz szczęśliwa. Dam ci coś innego. Dam ci coś, co kochasz najbardziej, Clarice Starling.

— Co to jest, doktorze?

— Awans, oczywiście. Że nastąpi, to pewne jak amen w pacierzu.

Bardzo mnie to cieszy. Ta rzecz przyszła mi na myśl, kiedy pomyślałem o dniu świętego Walentego. — Nie wiadomo, dlaczego uśmiechnął się pokazując drobne, białe zęby. Mówił tak cicho, że ledwo go słyszała. — Zajrzyj do samochodu Raspaila, żeby odebrać stamtąd swój upominek. Słyszysz mnie? Zajrzyj do samochodu Raspaila, żeby odebrać swój upominek. A teraz idź już lepiej. Nie sądzę, żeby Miggsowi udało się tak szybko powtórzyć swój numer, nawet jeśli jest rzeczywiście szalony.

Rozdział 4

Clarice Starling czuła się wyczerpana i podniecona. Gonila resztkami sił. Pewne rzeczy, o których opowiedział jej Lecter, były prawdziwe, niektóre tylko otarły się o prawdę. Przez kilka sekund miała wrażenie, jakby do jej umysłu wdarła się cudza

świadomość i rozrabiła tam niczym słoń w składzie porcelany.

Wściekało ją to, co powiedział o jej matce. Musiała się uspokoić. W końcu to tylko sprawy zawodowe.

Siedziała w swoim starym fordzie pinto, zaparkowanym naprzeciwko szpitala, i oddychała głęboko. Kiedy szyby pokryły się mgiełką, zyskała przynajmniej nikłe poczucie odosobnienia.

Raspail. Pamiętała to nazwisko. Raspail był pacjentem Lectera i jedną z jego ofiar. Na zapoznanie się z aktami Lectera miała tylko jeden wieczór. Teczka była opasła, a Raspail jednym z wielu zamordowanych. Musi jeszcze raz zajrzeć do akt.

Miała ochotę już teraz wypatroszyć samochód Raspaila, ale wiedziała, że poza nią nikomu się nie śpieszy. Sprawa zamknięta została przed wieloma laty, nikomu nie groziło niebezpieczeństwo. Miała dużo czasu. Zanim zrobi następny krok, powinna się kogoś poradzić i zebrać więcej informacji.

Crawford mógł odebrać jej sprawę i powierzyć komu innemu. Musiała wykorzystać szansę.

Próbowała dodzwonić się do niego z budki telefonicznej, ale powiedziano jej, że właśnie zebrze teraz o dodatkowe fundusze dla Departamentu Sprawiedliwości przed komisją budżetową Izby Reprezentantów.

Mogła uzyskać dokładne informacje w wydziale zabójstw policji w Baltimore, ale zabójstwo nie podlega jurysdykcji federalnej i spostrzegła, że mogą zabrać jej sprawę, nim się obejrzy.

Pojechała z powrotem do Quantico, do Sekcji Behawioralnej, z jej zasłonami w brązowy rzucik i szarymi teczkami, w których skatalogo-

wane było piekło. Siedziała tam, przesuwając klatki mikrofilmów sprawy Lectera aż do późnego wieczora, kiedy dawno wyszła ostatnia sekretarka. Stary rzutnik jarzył się w zaciemnionym pokoju niczym oświetlona od środka, wydrażona dynia. Na jej przejętej twarzy odbijały się czarnymi cętkami litery i negatywy zdjęć.

Raspail, Benjamin René, mężczyzna rasy białej, lat 46, był pierwszym flecistą orkiestry symfonicznej w Baltimore. Leczył się u psychiatry, doktora Hannibala Lectera.

22 marca 1975 roku nie przyszedł na koncert w Baltimore. 25 marca odnaleziono jego ciało. Spoczywało w pozycji siedzącej na ławce w małym wiejskim kościółku niedaleko Falls Church, w stanie Wirginia, odziane wyłącznie w biały krawat i frak. Podczas sekcji stwierdzono, że miał przebite serce i wyciętą trzustkę oraz grasicę.

Clarice Starling, która od dzieciństwa wiedziała o przyrządzaniu posiłków znacznie więcej, niż było to jej potrzebne do szczęścia, zorientowała się, że brakujące organy wchodziły w skład tak zwanej nerkówki.

Wydział zabójstw z Baltimore uważał, że organy te stanowiły część menu obiadu wydanego przez Lectera na cześć dyrektora i dyrygenta orkiestry symfonicznej z Baltimore, następnego wieczoru po zniknięciu Raspaila.

Doktor Hannibal Lecter zeznał, że nic mu nie wiadomo w tej kwestii. Dyrektor i dyrygent orkiestry zgodnie zeznali, że nie przypominają sobie żadnych podanych podczas obiadu potraw, mimo że dom Lectera słynął z doskonałej kuchni, a on sam był autorem licznych artykułów, zamieszczanych w specjalistycznych pismach kulinarnych.

W związku z całkowitą utratą łaknienia i uzależnieniem od alkoholu, dyrektor leczył się potem w Bazylei, w prowadzonym przez duchownych sanatorium dla nerwowo chorych.

Zdaniem policji z Baltimore Raspail był dziewiątą znaną ofiarą Lectera.

Raspail zmarł nie pozostawiając testamentu i przez kilka miesięcy, dopóki nie opadło zainteresowanie opinii publicznej, głośno było w prasie o procesach, które toczyli ze sobą o spadek jego krewni.

Krewnym Raspaila udało się również, wspólnie z rodzinami innych pacjentów i ofiar Lectera, wygrać proces, w którym domagali się zniszczenia całej kartoteki i taśm zgromadzonych przez zbrodniczego psychiatrę. Ich głównym argumentem było to, iż nie wiadomo, jak wiele kłopotliwych tajemnic poznał i włączył do swojej dokumentacji Lecter.

Na egzekutora majątku sąd wyznaczył Everetta Yow, adwokata Raspaila.

Żeby uzyskać dostęp do samochodu, Clarice Starling powinna zwrócić się najpierw do adwokata. On zaś, powodowany troską o dobre imię Raspaila i odpowiednio wcześniej uprzedzony, mógł zniszczyć wszelkie dowody obciążające jego zmarłego klienta.

Clarice wolała uderzyć znienacka. Do tego potrzebna jej była dobra rada i pozwolenie z góry. Była w Sekcji Behawioralnej sama i mogła zaglądać, gdzie tylko chciała. Znalazła domowy numer Crawforda w notesie przy telefonie.

Trzymając przy uchu słuchawkę nie usłyszała ani razu sygnału z tamtej strony. Nagle odezwał się jego głos, bardzo cichy i spokojny.

— Jack Crawford.

— Tu Clarice Starling. Mam nadzieję, że nie oderwałam pana od kolacji... — Odpowiedziała jej cisza, mówiła więc dalej. — Lecter powiedział mi dziś coś na temat sprawy Raspaila. Jestem właśnie w biurze i staram się iść śladem tej informacji. Powiedział, że coś jest w samochodzie Raspaila. Mogę to załatwić za pośrednictwem jego adwokata i ponieważ jutro jest sobota... nie mamy zajęć... chciałam pana zapytać, czy...

— Starling, czy przypominasz sobie, co kazałem ci zrobić z informacjami uzyskanymi od Lectera? — Głos Crawforda był piekielnie spokojny.

— Dostarczyć panu raport na godzinę dziewiątą zero zero w niedzielę.

— Zrób to, Starling. Zrób dokładnie to, o co cię prosiłem.

— Tak, sir.

W uchu zadzwieczał sygnał centrali. Poczuli, jak twarz staje jej w ogniu i pieką oczy.

— Pieprzę cię w dupę — powiedziała. — Ty stary, obleśny sukinsynie. Szkoda, że Miggs nie spuścił się na ciebie, zobaczyłbyś, jakie to przyjemne.

Wypucowana, ubrana w należącą do Akademii nocną koszulę, Clarice ślęczała właśnie nad drugą wersją swego raportu, kiedy z biblioteki wróciła jej współlokatorka, Ardelia Mapp. Widok jej szerokiej, brązowej, ponad wszelką wątpliwość zdrowej psychicznie fizjonomii był tym, czego Clarice potrzebowała tego dnia najbardziej.

Ardelia Mapp dostrzegła w jej twarzy zmęczenie.

— Coś ty dzisiaj robiła, dziewczyno? — Mapp zawsze zadawała pytania, tak jakby nie sprawiało jej większej różnicy, czy otrzyma na nie odpowiedź.

— Wdzięczyłam się do wariata, który załatwił mnie na szaro.

— Chciałabym mieć tyle czasu co ty na życie towarzyskie. Nie wiem, jak ty to godzisz z uczelnią.

Clarice uprzytomniła sobie, że się śmieje. Ardelia Mapp śmiała się również, na ile mogła się śmiać z tak mizernego dowcipu. Clarice Starling nie mogła przestać i wciąż słyszała jak z oddali swój śmiech. Przez łzy widziała dziwnie postarzałą Mapp i smutny uśmiech na jej twarzy.

Rozdział 5

Jack Crawford, lat pięćdziesiąt trzy, siedzi w fotelu w sypialni swego domu i czyta książkę przy świetle nocnej lampki. Przed sobą ma dwa podwójne łóżka, oba podniesione na wysokość, którą mają łóżka szpitalne. Jedno jest jego własne, na drugim leży jego żona, Bella. Crawford słyszy, jak Bella oddycha przez usta. Minęły dwa dni od chwili, kiedy ostatnio zdołała się poruszyć i odezwała do niego.

Oddech zatrzymuje się na chwilę. Crawford podnosi wzrok znad książki, patrzy ponad szklami okularów. Odkłada książkę na bok. Przez chwilę Bella łapie kurczowo powietrze, potem oddycha pełną piersią. Crawford wstaje, żeby położyć jej rękę na czole, zbadać puls i ciśnienie krwi. W ciągu ostatnich miesięcy nauczył się bezbłędnie mierzyć ciśnienie.

Ponieważ noce spędza przy niej, ustawił swoje łóżko tuż obok łóżka Belli. Stoi ono na tej samej wysokości, aby mógł w ciemności dosięgnąć żony ręką.

Pomijając wysokość łóżek i założone dla wygody Belli nieliczne instalacje, Crawfordowi udało się utrzymać normalny charakter sypialni, nie zamienić jej w szpitalną salę. Są tu kwiaty, ale niewiele. W zasięgu wzroku nie ma żadnych tabletek. Przed przywiezieniem jej ze szpitala Crawford opróżnił płócienną szafkę w przedpokoju i umieścił tam lekarstwa i aparaturę medyczną. (Po raz drugi wtedy przeniósł ją przez próg i ta myśl prawie kompletnie odebrała mu siły).

Z południa nadciąga ciepły powiew. Okna są otwarte, powietrze w Wirginii jest łagodne i świeże. W ciemności kumkają małe żabki.

W pokoju panuje nieskazitelna czystość, ale dywan zaczął się trochę mechacić. Crawford nie używa w pokoju hałaśliwego odkurzacza, lecz specjalnej szczotki do dywanów, która jednak nie jest tak dokładna. Podchodzi do szafy i zapala światło. Na drzwiach wiszą dwie tabliczki. Na pierwszej z nich notuje puls i ciśnienie krwi Belli. Kolumny cyfr stawianych przez niego i pełniącą dzienny dyżur

pielęgniarkę biegną przez wiele żółtych kartek, przez wiele dni i nocy. Na drugiej tabliczce pielęgniarka zapisuje rodzaj i dawkowanie leków.

Crawford jest w stanie podać jej w nocy każdy lek, który może okazać się potrzebny. Zanim przywiózł Bellę do domu, ćwiczył pod nadzorem pielęgniarki robienie zastrzyków — najpierw na cytrynie, potem na własnych udach.

Może przez trzy minuty Crawford stoi obok żony i przygląda się jej twarzy. Włosy Belli okrywa niczym turban uroczy szal z jedwabnej mory. Nalegała, żeby go zostawić, dopóki była w stanie o cokolwiek prosić. Teraz nalega na to on. Zwilża jej wargi gliceryną i szeroką opuszką kciuka usuwa wyciek z oka. Bella pozostaje nieruchoma. Nie pora

jeszcze, by ją obrócić.

Przed lustrem Crawford upewnia się, że nie jest chory, że nie musi iść do piachu razem z nią, że on sam czuje się dobrze. Łapie się na tym i jest mu wstyd.

Kiedy siada z powrotem na krzesło, nie potrafi sobie przypomnieć, którą książkę czytał. Dotyka ich po kolei, żeby odnaleźć tę, która jest ciepła.

Rozdział 6

W poniedziałek rano Clarice Starling znalazła w swojej skrzynce wiadomość od Crawforda:

C.S.:

Prowadź dalej sprawę samochodu Raspaila. W czasie wolnym od zajęć. W sekretariacie otrzymasz kartę kredytową na rozmowy międzymiastowe. Uzgadniaj ze mną uprzednio każde wyjście w teren i kontakt z notariuszem. Raport w środę 16.00. Dyrektor otrzymał raport na temat Lectera podpisany twoim nazwiskiem. Dobrze się spisałaś.

J.C.

SAIC/Sekcja 8

Clarice poczuła się całkiem nieźle. Zdawała sobie sprawę, że Crawford powierza jej tę sprawę wyłącznie po to, żeby nabrała trochę wprawy. Chciał ją jednak czegoś nauczyć. Chciał, żeby dobrze się spisała. Jakkolwiek by na to patrzeć, przekraczało to ramy zwykłej uprzejmości.

Raspail nie żył od ośmiu lat. Jaki dowód rzeczowy mógł zachować się w samochodzie przez tyle czasu?

Wiedziała z doświadczenia, że ponieważ samochody tak szybko się starzeją, w sprawach o spadek sąd apelacyjny pozwala na ich sprzedaż przed uprawomocnieniem się wyroku. Pieniądze przechowuje się na specjalnym koncie. Wydawało się mało prawdopodobne, by samochód wchodził jeszcze w skład majątku pozostawionego przez Raspaila, mimo że jego podział okazał się kwestią tak powikłaną.

Istotny był również problem jej wolnego czasu. Wliczając przerwę na lunch, Clarice Starling miała siedemdziesiąt pięć minut dziennie na korzystanie z telefonu w godzinach urzędowania. Raport miała złożyć Crawfordowi w środę po południu. Na odnalezienie samochodu miała zatem w ciągu tych trzech dni łącznie trzy godziny i czterdzieści pięć minut, przy założeniu, że poświęci na to popołudnia, a uczyć się będzie w nocy.

Miała dobre notatki z zajęć na temat procedury śledczej. Mogła także zawsze zapytać o to i owo swoich wykładowców.

W czasie poniedziałkowej przerwy na lunch pracownicy okręgowego sądu w Baltimore trzy razy kazali jej czekać przy telefonie i trzy razy o niej zapomnieli. W czasie wykładów udało się jej dodzwonić do znajomego urzędnika sądowego, który wydział dla niej akta dotyczące podziału majątku Raspaila.

Urzędnik potwierdził, że wydano zezwolenie na sprzedaż auta i korzystając z odpisu

umowy podał jego markę, typ, numer fabryczny oraz nazwisko następnego właściciela.

We wtorek straciła połowę przerwy na lunch, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o właścicielu. Pozostałą połowę zajęło jej ustalenie, że Wydział Komunikacji stanu Maryland nie może zlokalizować samochodu wyłącznie na podstawie jego marki i numeru fabrycznego. Potrzebny jest jeszcze numer rejestracyjny albo numer aktualnej polisy ubezpieczeniowej.

Po południu ulewa przegnała studentów ze strzelnicy. W parującej od mokrych ubrań i potu sali konferencyjnej, instruktor strzelecki, były sierżant piechoty morskiej, John Brigham, postanowił sprawdzić przed całą klasą siłę ręki Starling. Chodziło o to, ile razy w ciągu sześćdziesięciu sekund uda się jej pociągnąć za spust rewolweru Smith & Wesson model 19. Lewą ręką udało jej się to siedemdziesiąt cztery razy. Zdmuchnęła opadający jej na oczy kosmyk włosów i przerzuciła rewolwer do prawej. Stojący obok student liczył pociągnięcia. Stała z wyciągniętą dłonią, w lekkim rozkroku, muszkę widziała ostro, szczerbinka i pozorny cel były prawidłowo zamglone. W połowie próby, żeby odsunąć od siebie wzbierający ból, zaczęła myśleć o czymś innym. Zawieszony na ścianie cel nabrał ostrości. Celem był list dziękczynny, który wystosowało biuro ochrony handlu międzystanowego do jej instruktora, Johna Brighama.

Podczas gdy stojący obok student liczył trzaśnięcia spustu, Starling wypytywała półgłosem Brighama.

- Jak można odkryć aktualny numer rejestracyjny...
- ...sześćdziesiąt pięć sześćdziesiąt sześć sześćdziesiąt...
- ...samochodu, kiedy zna się tylko jego numer fabryczny...
- ...siedemdziesiąt siedem siedemdziesiąt osiem...
- ...i markę. Brak także numeru aktualnej polisy ubezpieczeniowej.
- ...osiemdziesiąt dziewięć dziewięćdziesiąt. Koniec.

— W porządku, kochani — oznajmił instruktor. — Chcę, żebyście wzięli to sobie do serca. Podczas długiej strzelaniny liczy się przede wszystkim siła ręki. Niektórzy z was, panowie, obawiają się, że następnym razem to oni poddani zostaną próbie. Obawy te są w pełni uzasadnione. Wyniki Starling sytuują ją grubo powyżej średniej i to zarówno jeśli chodzi o lewą, jak i prawą rękę. Dlaczego? Ponieważ dużo ćwiczy. Ćwiczy na tych małych przyjemnych przyrządach do wyciskania, do których wszyscy przecież macie łatwy dostęp. Większości z was nie zdarzyło się jednak wycisnąć w życiu niczego oprócz... — zawsze czujny, żeby nie użyć bliskiej jego sercu terminologii marines, pogmerał w pamięci szukając jakiegoś przyzwoitego substytutu — ...własnej krosty — oznajmił w końcu. — Mówiąc poważnie, Starling, i ty nie jesteś jeszcze dostatecznie dobra. Zanim dostaniesz dyplom, chcę, żebyś doszła do dziewięćdziesięciu. Lewą ręką naturalnie. Teraz dobierzcie się parami i mierzcie sobie czas. Żwawo, kochani, żwawo! Ty nie, Starling, ty podejdź tutaj. Co jeszcze masz na temat samochodu?

— Tylko numer fabryczny i markę. I byłego właściciela sprzed pięciu lat.

— W porządku, posłuchaj. Większość ludzi wpie... wpiernicza się w ślepią uliczkę, starając się iść tropem numerów rejestracyjnych — od jednego właściciela do drugiego. Na dodatek, każdy żyje w innym stanie. Można dostać kręčka. Mówię ci, nawet gliny popełniają czasem ten błąd. Numer rejestracyjny i numer polisy to wszystko, co możesz

wydobyć z komputera. Wszyscy przyzwyczailiśmy się posługiwać tymi dwoma numerami, a nie numerem fabrycznym.

Ćwiczebne rewolwery, z pomalowaną na niebiesko rękojeścią, trzaskały tak głośno, że musiał jej krzyczeć prosto do ucha.

— Jest jeden łatwy sposób. Firma, R.L. Polk & Company — ta sama, co publikuje książki adresowe, układa listy aktualnych numerów rejestracyjnych według marek i kolejności numerów fabrycznych. To jedyne źródło. To na nim opierają się sprzedawcy samochodów, zamieszczając ogłoszenia. Skąd wiedziałaś, żeby się z tym do mnie zwrócić?

— Był pan w biurze ochrony handlu międzystanowego. Pomyślałam, że musiał pan wyśledzić mnóstwo samochodów. Dzięki.

— Możesz mi się odwdzięczyć poprawiając wyniki lewej ręki, żeby nie była gorsza od prawej. Narobimy wstydu tym maminsynkom.

Kiedy znalazła się znowu w budce telefonicznej, ręce drżały jej tak, że z trudnością odcyfrowywała własne notatki. Raspail miał forda. Niedaleko Uniwersytetu Wirginia znajdował się warsztat naprawiający samochody tej marki. Jego właściciel od lat cierpliwie walczył o utrzymanie przy życiu jej starego pinto. Teraz, z podobną cierpliwością, strona po stronie przerzucał katalog R.L. Polka. Wrócił do telefonu z nazwiskiem i adresem ostatniej osoby, która zarejestrowała samochód należący niegdyś do Raspaila.

Clarice jest na fali, Clarice kontroluje sytuację. Nie bądź głupia, zadzwoń do faceta do domu, spójrzmy na numer, kierunkowy dziewięć, to Arkansas. Jack Crawford nigdy mnie tam nie puści, ale przynajmniej ustalę, kto ma ten wóz.

Dzwoniła raz i drugi. Bez odpowiedzi. Odległy podwójny sygnał brzmiał niepoważnie, jak w dzieciennym telefonie. Spróbowała jeszcze raz wieczorem. Bez rezultatu.

W środę podczas przerwy na lunch ktoś podniósł słuchawkę.

— Rozgłośnia WPOQ, „Niezapomniane przeboje”.

— Halo, chciałabym mówić...

— Nie potrzebuję blachy falistej do ocieplania domu ani nie zamierzam zamieszkać w przyczepie na Florydzie, jaki jeszcze kit chce mi wcisnąć?

W głosie swojego rozmówcy Clarice rozpoznała znajomy akcent mieszkańców górzystych okolic stanu Arkansas. Przystawienie się nie zabrało jej więcej niż sekundę, czasu było niewiele.

— Gdyby mi pomógł, byłabym serdecznie zobowiązana. Próbuję złapać pana Lomaxa Bardwella. Nazywam się Clarice Starling.

— To Clarice Jakaśtam — wrzasnął mężczyzna do swoich domowników. — Czego chce od Bardwella?

— Jestem z biura reklamacji Forda, oddział południowy. Mamy dokonać w jego modelu LTD bezpłatnej naprawy gwarancyjnej.

— To ja jestem Bardwell. Myślałem, że chce mi sprzedać jakąś tandetę na odległość. Nie ma już co naprawiać, trzeba dać nowy. Byłem z żoną w Little Rock, tam jak się wyjeżdża z Southland Mali... — I co?

— Wał korbowy przebił mi miskę. Olej zapaskudził całą drogę. Akurat zasował

tamtędy swoją ciężarową ten waśniak Orkin. Najechał na plamę i zniosło go z drogi.

— Boże, zlituj się.

— Ściął budkę automatu do robienia zdjęć. Całe szkło z niej wypadło. Wyleciał z niej facet, który siedział w środku. Zataczał się jak pijany. Nie powinien robić zdjęć przy samej szosie.

— Ja w każdym razie nie będę. Co się z nim dalej stało?

— Z kim?

— Z samochodem.

— Powiedziałem Buddy'emu Sipperowi ze złomowiska, że może go sobie zabrać za pięćdziesiąt dolców. Na pewno już go sprasował.

— Panie Bardwell, czy może mi pan powiedzieć, jaki jest numer jego telefonu?

— Czego chce od Sippera? Jeśli ktoś ma tu dostać szmal, to przede wszystkim ja.

— Rozumiem, sir. Robię po prostu to, co mi kazali. Do piątej mam odnaleźć samochód. Ma ten numer?

— Nie mogę znaleźć notesu. Zawieruszył się jakiś czas temu. Wie, jak to jest z wnukami. Powinna jej dać centrala, niech zapyta o skład złomu Sippera.

— Serdeczne dzięki, panie Bardwell.

U Sippera potwierdzili, że samochód został rozmontowany, sprasowany i wywieziony do huty. Kierownik odczytał jej tylko zachowany w dokumentach numer fabryczny.

Dupa mokra, pomyślała Clarice. Nie zapomniała jeszcze wyrażen z rodzinnych stron. Ślepa uliczka. Był prezent, nie ma prezentu.

Oparła głowę o chłodny pojemnik na monety. Drzwi budki uchyliły się, do środka zajrzała Ardelia Mapp. Jedną ręką przytrzymywała oparte o biodro książki, drugą podawała jej sok pomarańczowy.

— Serdeczne dzięki, Ardelia. Muszę jeszcze zadryndać w jedno miejsce. Jak się wyrobię, spotkamy się w kafejce, dobra?

— Taką miałam nadzieję, że wyzbędziesz się wreszcie tego twojego upiornego akcentu — odparła Ardelia. — Są przecież książki, które nauczą cię, jak mówić poprawnie. Spójrz na mnie. Odkąd tu jestem, ani razu nie odezwałam się w uroczym żargonie mojego podwórka. A ty bełkoczesz, jakbyś połknęła żabę. Ludzie pomyślą, że masz zatwardzenie. — Mapp przymknęła drzwi budki.

Clarice czuła, że musi wydobyć więcej informacji od Lectera. Gdyby umówiła się z nim w szpitalu, uzyskanie zgody od Crawforda nie powinno być takie trudne. Wykręciła numer Chiltona, ale nie udało jej się sforsować oporu jego sekretarki.

— Doktor Chilton jest teraz razem z koronerem i zastępcą prokuratora okręgowego — oznajmiła jej. — Rozmawiał już z pani zwierzchnikiem i nie ma pani nic więcej do powiedzenia. Żegnaj panią.

Rozdział 7

— Twój przyjaciel Miggs nie żyje — oznajmił Crawford. — Czy powiedziałaś mi

wszystko, Starling? — Wpatrywał się w nią podkrążonymi, zmęczonymi oczyma. Przypominał sowę, spojrzenie miał tak samo czujne i bezlitosne.

— Jak to się stało? — Na moment ją sparaliżowało, starała się dojść do siebie.

— Połknął własny język na krótko przed świtem. Chilton uważa, że namówił go do tego Lecter. Nocny pielęgniarz słyszał, jak Lecter mówi coś cicho do Miggsa. Lecter dużo o nim wiedział. Przemawiał do niego przez krótką chwilę, pielęgniarz nie słyszał dobrze, co mówił. Miggs płakał trochę, a potem przestał. Czy powiedziałaś mi wszystko, Starling?

— Tak, sir. W raporcie napisałam wszystko, co zapamiętałam, prawie dosłownie.

— Chilton zadzwonił tu, żeby złożyć na ciebie skargę... — Crawford odczekał chwilę. Wydawał się zadowolony, że o nic nie zapytała. — Powiedziałem mu, że moim zdaniem zachowałaś się właściwie. Chilton stara się o wszczęcie postępowania w sprawie naruszenia praw obywatelskich.

— Czy mu się uda?

— Oczywiście, jeśli będzie tego chciała rodzina Miggsa. Liczba spraw, które wpłynęły w tym roku do wydziału praw obywatelskich, przekroczy prawdopodobnie osiem tysięcy. Z przyjemnością wciągną Miggsa na swoją listę. — Przyjrzał się jej uważnie. — Nic ci nie jest?

— Nie wiem, co o tym myśleć.

— Nie musisz o tym specjalnie myśleć. Lecter zrobił to, żeby się rozerwać. Wie, że tak naprawdę nic nie mogą mu zrobić, więc dlaczego nie spróbować? Chilton zabierze mu na jakiś czas książki i sedes, nie będzie też dostawał swojej ulubionej galaretki. — Crawford skrzyżował ręce na brzuchu i z zainteresowaniem przyglądał się swoim kciukom. — Lecter pytał cię o mnie, prawda?

— Zapytał, czy jest pan zajęty. Powiedziałam, że tak.

— To wszystko? Nie pominęłaś w raporcie czegoś osobistego, czego nie chciałbym tam widzieć?

— Nie. Powiedział, że jest pan stoikiem, ale puściłam to mimo uszu.

— Tak, wiem. Nic więcej?

— Niczego nie pominęłam. Nie myśli pan chyba, że popełniłam jakąś niedyskrecję i dlatego tylko zgodził się ze mną rozmawiać?

— Nie.

— Nic nie wiem na temat pana spraw osobistych, a nawet gdyby, nigdy bym na ich temat nie dyskutowała. Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan powie konkretnie, o co chodzi.

— Wierzę. Przejdźmy do tego, czego się dowiedziałaś.

— Pan coś podejrzewa...

— Powiedz, czego się dowiedziałaś.

— Wzmianka Lectera na temat samochodu Raspaila okazała się ślepą uliczką. Samochód sprasowany został cztery miesiące temu, złom sprzedano do huty. Być może, gdybym poszła jeszcze raz do Lectera, powiedziała by mi coś więcej.

— Wyczerpałaś trop?

— Tak.

— Skąd wiesz, że ford, którym jeździł Raspail, był jego jedynym samochodem?

— Bo tylko jeden był zarejestrowany, poza tym Raspail był kawalerem, więc

założyłam...

— Założyłaś... — Crawford podniósł palec wskazujący. — Kiedy zlecam ci jakieś zadanie, Starling, możesz co najwyżej założyć się ze mną, że do niczego nie dojdiesz, jeśli będziesz opierać się na czystej fantazji. — Kilku wykładowców zapożyczyło od Crawforda tę grę słów, ale Clarice nie zdradziła się, że już ją słyszała.

Crawford oparł się zadowolony o krzesło.

— Raspail kolekcjonował samochody, nie wiedziałaś o tym?

— Nie. Czy wciąż wchodzi w skład zarządzanego przez notariusza majątku?

— Tego nie wiem. Uważasz, że uda ci się załatwić tę sprawę?

— Tak.

— Od czego zaczniesz?

— Od notariusza.

— Mieszka w Baltimore, zdaje się, że to Chińczyk — powiedział Crawford.

— Nazywa się Everett Yow — uzupełniła Clarice. — Jego numer jest w książce telefonicznej.

— Czy pomyślałaś przez chwilę o tym, że do przeszukania samochodu potrzebny ci będzie nakaz rewizji?

Czasami ton Crawforda przywołał dziewczynie na myśl wszytkowiedzącego Pana Gąsienicę z *Alicji w Krainie Czarów*.

Zabrakło jej odwagi, żeby się odciąć.

— Ponieważ Raspail nie żyje i nie podejrzewa się go o popełnienie żadnego przestępstwa, przeszukanie można przeprowadzić na podstawie zgody notariusza sprawującego pieczę nad majątkiem. Uzyskane

wówczas dowody rzeczowe mogą zostać wykorzystane w innym śledztwie — wyrecytowała.

— Dokładnie — stwierdził Crawford. — A teraz posłuchaj: zawiadamiam nasze biuro w Baltimore, że się u nich zjawisz. W sobotę, Starling, w czasie wolnym od zajęć. Wydobać te dowody choćby spod ziemi, jeżeli tylko istnieją.

Kiedy wychodziła, Crawfordowi udało się za nią nie spojrzeć. Kosztowało go to trochę wysiłku. Z kosza na śmieci wydobył dwoma palcami zwinięty arkusz grubego, fiołkoworóżowego papieru listowego. Rozprostował go na biurku. List był ujmujący i dotyczył jego żony:

*O, mędrce srodzy, którzy czas trwonicie
Szukając ognia, co ten świat pożera;
Czemuż to prawdy, mędrce, nie widzicie,
Że to gorączka, na którą umiera?*

Tak mi przykro z powodu Belli, Jack.

Hannibal Lecter

Rozdział 8

Everett Yow prowadził czarnego buicka z nalepką De Paul University na tylnej szybie. Pod ciężarem notariusza samochód przechylał się lekko na lewą stronę. W ślad za nim, prowadzącą z Baltimore drogą nr 301, jechała Clarice Starling. Padał deszcz, robiło się ciemno. Dzień, w którym studentka Starling wystąpiła w roli oficera śledczego, zbliżał się do końca, a nie miała następnego w zapasie. Samochody przed nią wlokły się niemilosiernie wolno. Z niecierpliwością stukwała w kierownicę w takt wycieraczek.

Yow był inteligentny, gruby i miał kłopoty z oddychaniem. Jego wiek Clarice oceniała na sześćdziesiąt lat. Jak na razie starał się jej pomóc; po powrocie z trwającej tydzień podróży służbowej do Chicago, prosto z lotniska udał się do swego biura, gdzie już czekała na niego.

— Stary packard umieszczony został w magazynie na długo przed śmiercią swego właściciela — wyjaśnił Yow. Nie był zarejestrowany i nikt nim nie jeździł. Yow oglądał go raz w magazynie, pod pokrowcem, aby potwierdzić jego istnienie podczas inwentaryzacji majątku, której dokonał krótko po śmierci swego klienta. Zgodził się

pokazać samochód pod warunkiem, że pani inspektor Starling z góry zobowiąże się „bezzwłocznie ujawnić” mu wszystko, co może zaszkodzić interesom jego zmarłego klienta. Nakaz i świadek nie byli konieczni.

Z garażu FBI wypożyczono Clarice na jeden dzień służbowego plymoutha zaopatrzonego w telefon komórkowy. Crawford załatwił jej również nową legitymację. Widniała na niej: Federalny Agent Śledczy, bez żadnych bliższych danych. Spostrzegła, że ważność dokumentu wygasa za tydzień.

Jechali w kierunku magazynów Split City, położonych w odległości około sześciu kilometrów od granic miasta. Uwięziona w wolno poruszającym się sznurze samochodów, dziewczyna skorzystała z telefonu, żeby dowiedzieć się czegoś bliższego o prowadzącej ten interes firmie. Zanim dostrzegła pomarańczowy neon MAGAZYN DO WYNAJĘCIA — SPLIT CITY, poznała już kilka faktów.

Split City miało licencję na magazynowanie i przewóz towarów wydaną przez Komisję Handlu Międzystanowego na nazwisko Bernarda Gary'ego. Przed trzema laty sądowi federalnemu o mały włos nie udało się przymknąć Gary'ego pod zarzutem przemykania ze stanu do stanu kradzionych towarów. Zawieszono mu wtedy licencję.

Yow zatrzymał się pod neonem i pokazał klucze stojącemu przy bramie przyszczałemu młodzieńcowi w mundurze. Ten zapisał ich numery rejestracyjne, otworzył bramę i niecierpliwie machnął ręką, jakby miał ważniejsze sprawy na głowie.

Miejsce było ponure, hulał po nim wiatr. Sens jego istnienia, podobnie jak niedzielnych lotów po rozwód z nowojorskiego lotniska La Guardia na lotnisko Juareza w Mexico City, sprowadzał się do obsługi tego nieustannego procesu przyciągania i odpychania, owych społecznych ruchów Browna, które mają miejsce w każdej populacji. W większości składowane tu było podzielone mienie porzadowe. Wynajęte magazyny zawałone były głównie meblami wypoczynkowymi i kuchennymi, poplamionymi materacami, zabawkami i fotografiami, które nie budziły już dobrych wspomnień. Wśród funkcjonariuszy miejscowego biura szeryfa panowało przekonanie, że można tu także odnaleźć wiele wartościowych przedmiotów, które uniknęły licytacji w sprawach o bankructwo.

Cały kompleks przypominał tereny wojskowe: trzy hektary niskich, długich baraków,

poprzedzielanych ścianami przeciwpożarowymi na pomieszczenia wielkości obszernego garażu, każde z żaluzjowymi, otwieranymi do góry drzwiami. Opłaty nie były wygórowane i niektórzy przechowywali tu rzeczy przez całe lata. Magazynów dobrze strzeżono.

Teren otoczony był dwoma ogrodzeniami z wysokiej siatki, pomiędzy nimi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę biegały psy.

Pod drzwiami boksu numer 31, w którym przechowywano rzeczy Raspaila, piętrzyła się dwudziestocentymetrowa sterta mokrych liści, papierowych kubków i innych śmieci. Po obu stronach drzwi zamocowane były potężne kłódki. Skobel z lewej strony był opieczętowany. Everett Yow pochylił się nad nim z wyraźnym wysiłkiem. Clarice trzymała parasol i latarkę w zapadających wcześniej ciemnościach.

— Nie wydaje mi się, żeby ktoś to otwierał od czasu, kiedy byłem tutaj pięć lat temu — stwierdził Yow. — Na plastiku widać odcisk mojej pieczęci notarialnej. Nie miałem wtedy pojęcia, że krewni okażą się tak nieprzejednani i że sprawa będzie się wlokła tyle lat.

Teraz Yow przytrzymał parasol i latarkę, a dziewczyna zrobiła zdjęcie kłódki i pieczęci.

— Raspail wynajmował kawalerkę w centrum. Zlikwidowałem ją, żeby zaoszczędzić na komornym. Kazałem przewieźć tutaj umeblowanie i umieściłem je razem z samochodem i innymi rzeczami, które już tu się znajdowały. Przywieźliśmy pianino, książki, nuty, łóżko, chyba nic więcej.

Yow próbował obrócić klucz w kłódce.

— Zamek mógł zamarznąć. Ten w każdym razie w ogóle się nie obraca. — Pochylony z trudem oddychał. Kiedy chciał przykucnąć, coś chrupnęło mu w kolanach.

Clarice stwierdziła z satysfakcją, że duże chromowane kłódki są typu American Standard. Wyglądały imponująco, ale wiedziała, że można z nich łatwo usunąć miedziany korpus zamka za pomocą młotka i śrubokrętu. Kiedy była dzieckiem, ojciec pokazywał jej, jak robią to włamywacze. Problem polegał na tym, skąd wziąć młotek i śrubokręt; nie miała nawet narzędzi samochodowych, które zostały w jej starym pinto.

Pogrzebała w torebce i wyciągnęła spray do rozmrażania zamków.

— Może odpocznie pan chwilę w swoim samochodzie, panie Yow. Zagrzeje się pan, a ja tymczasem spróbuję coś z tym zrobić. Proszę zabrać parasol, prawie nie pada.

Clarice podjechała służbowym plymouthem pod same drzwi i oświetliła je reflektorami. Wyciągnęła bagnet do mierzenia poziomu oleju i wpuściła parę kropli do dziurek od klucza, a potem prysnęła w nie sprayem, żeby rozcieńczyć olej. Yow uśmiechał się do niej i kiwał z samochodu. Cieszyła się, że Yow okazał się człowiekiem inteligentnym: mogła spokojnie wykonywać to, co do niej należało, a on nie czuł się wyalienowany.

Zapadł zmrok. W świetle reflektorów plymoutha czuła się jak na tarczy strzelniczej. Samochód był na chodzie, koło ucha pischcał jej pasek klinowy. Nie gasząc silnika zamknęła plymoutha na klucz. Pan Yow wydawał się co prawda nieszkodliwy, ale nie widziała powodu, żeby wystawiać się na niebezpieczeństwo rozplaszczenia o drzwi garażu.

Kłódka odskoczyła jej w rękę niczym żaba. Była ciężka i powalana olejem. Z drugą poszło łatwiej, olej miał czas spłynąć.

Drzwi nie dawały się podnieść. Clarice ciągnęła uchwyt do góry, aż zaświeciły jej w oczach gwiazdy. Yow chciał jej pomóc, ale jego przepuklina i mały nieporęczny uchwyt

drzwi uniemożliwiły to.

— Moglibyśmy przyjechać tu w przyszłym tygodniu z moim synem albo jakimiś robotnikami — zasugerował pan Yow. — Chciałbym wrócić wcześniej do domu.

Clarice nie była wcale pewna, czy kiedykolwiek znajdzie się jeszcze w tym miejscu. Zamiast wysłać ją ponownie, Crawford podniesie po prostu słuchawkę telefonu i przyśle tu kogoś z biura terenowego w Baltimore.

— Postaram się szybko z tym uporać, proszę pana. Czy ma pan podnośnik w samochodzie?

Wsunąwszy podnośnik pod drzwi, dziewczyna stanęła na jego drugim końcu. Za dźwignię posłużył jej uchwyt podnośnika. Drzwi zaskrzypiały potwornie i podniosły się o centymetr. W środku wyginały się lekko ku górze. Centymetr po centymetrze podnosiły się, aż w końcu mogła wepchnąć pod nie koło zapasowe, żeby nie opadły. Tuż przy pionowych szynach, w których drzwi były osadzone, podstawiła pod nie oba podnośniki: notariusza i swój.

Podciągając je na zmianę, raz z jednej, raz z drugiej strony, uniosła drzwi na wysokość czterdziestu centymetrów. Tam ostatecznie się zaklinowały i nawet kiedy całym ciężarem uwiesiła się na korbce, nie chciały drgnąć ani o milimetr.

Pan Yow podszedł, żeby razem z nią zerknąć do środka. Mógł się pochylić tylko na kilka sekund.

— Śmierdzi myszami — stwierdził. — Zapewniano mnie, że stosuje się tu truciki przeciw gryzoniom. Jest o tym mowa w kontrakcie. Twierdzili, że gryzoni się tutaj nie spotyka. Ale ja je wyraźnie słyszę, pani chyba także?

— Słyszę — odparła. W świetle latarki widziała ustawione w stosy kartony i szeroką oponę samochodową z dużym białym pasem z boku. Opona była nie napompowana.

Cofnęła trochę plymoutha, jego reflektory oświetliły teraz dolną część boksu. Wyjęła z samochodu gumowy dywanik.

— Chce pani tam wejść do środka, pani inspektor? — Muszę rzucić na to okiem, mecenasie. Wyjął z kieszeni chusteczkę.

— Proszę obwiązać sobie ręce ściśle przy mankietach, żeby nie wślizgnęły się pani do rękawów myszy.

— Dziękuję panu, to świetny pomysł. Gdyby drzwi przypadkiem opadły, cha cha, albo zdarzyło się coś innego, niech pan będzie tak dobry i zadzwoni pod ten numer. To nasze biuro w Baltimore. Wiedzą, że jestem tutaj z panem, i będą się niepokoić, jeśli za jakiś czas się nie odezwę. Czy wszystko jasne?

— Ależ oczywiście. Gdyby coś się stało, zadzwonię.

Dał jej kluczyki od packarda.

Clarice Starling rzuciła gumowy dywanik na wilgotną ziemię przed drzwiami i położyła się na nim na wznak. Dłonią, w której trzymała foliowe torebki na dowody rzeczowe, osłaniała obiektyw aparatu fotograficznego. Nadgarstki miała ciasno obwiązane, jeden chusteczką swoją, drugi — darowaną przez notariusza. Na twarz spadło jej kilka kropel deszczu, w nozdrza uderzył silny odór myszy zmieszany z pleśnią. Całkiem absurdalnie stanęła jej przed oczyma łacińska maksyma.

Pierwszego dnia zajęć instruktor kryminalistyki zapisał na tablicy maksymę

rzymskiego lekarza: *Primum non nocere*. Po pierwsze nie szkodzić.

Nie powiedziałaby tego w garażu pełnym pieprzonych myszy.

Potem usłyszała nagle głos swego ojca, mówiącego do niej z dłonią opartą na ramieniu brata: „Jeśli nie przestaniesz piszczeć, Clarice, możesz wracać do domu, nie będziemy się dalej bawić”.

Zapięła pod samą szyją guzik bluzki, skuliła ramiona i prześlizgnęła się pod drzwiami.

Znajdowała się pod tylną częścią packarda. Stał po lewej stronie magazynu, prawie dotykając ściany. Po prawej stronie jedne na drugich, wysoko, poustawiane były kartonowe pudła. Wypełniały całą przestrzeń koło samochodu. Clarice doczołgała się na plecach aż do miejsca, w którym udało jej się wystawić głowę. Między samochodem i pudłami znajdowała się tu wąska szczelina. Puściła snop światła na ścianę z tektury. W skrawku wolnej przestrzeni gęsto było od pajęczyn. Większość utkały krzyżaki, w pajęczynach tkwiły małe, wyschnięte, owinięte oprzędem zwłoki owadów.

Jedynym gatunkiem, który może ci zrobić krzywdę, jest czarna wdowa, a ona nie tka sieci w otwartej przestrzeni — uspokajała się Clarice. Od ukąszenia pozostałych wyskoczy ci co najwyżej bąbel.

Obok tylnego błotnika było dosyć miejsca, żeby stanąć. Wypelzła spod samochodu, twarzą tuż obok opony z szerokim białym pasem. Guma była popękana i zwietrzała, zachował się na niej napis GOODYEAR DOUBLE EAGLE. Wyprostowała się, uważając cały czas na głowę. Trzymaną przy twarzy ręką rozrywała pajęczyny. Czy tak będę się czuła w ślubnym welonie?

Z zewnątrz doszedł ją głos notariusza:

— Wszystko w porządku, panno Starling?

— W porządku. — Głos miała cieńszy niż normalnie i w tym samym momencie kilkoma wysokimi tonami odezwało się pianino. Światła plymoutha wydobywały z ciemności jej łydki.

— Znalazła pani pianino, pani inspektor?! — zawołał Yow.

— Nie, to nie ja.

— Ach!

Samochód był wielki, długi i wysoki. Limuzyna Packard, rocznik 1938, zgodnie ze sporządzonym przez Yowa inwentarzem. Przykryty był dywanem, wierzchem do środka. Omiotła go światłem latarki.

— Czy to pan przykrył samochód dywanem, panie Yow?

— Nie, kiedy go tu znalazłem, był już przykryty, a ja nigdy nie zdejmowałem dywanu! — krzyknął schylony pod drzwiami Yow. — Zakurzony dywan to dla mnie śmierć. Tak go tutaj zostawił Raspail. Upewniłem się tylko, czy samochód tu stoi. Robotnicy oparli pianino o ścianę, przykryli je, ustawili więcej pudeł obok samochodu i odjechali. Płaciłem im od godziny. W pudłach są przeważnie nuty i książki.

Dywan był gruby i ciężki. Kiedy ciągnęła go do góry, w świetle latarki zatańczył tuman kurzu. Dwa razy kichnęła. Wspinając się na palce zdołała zwinąć go do połowy. Za tylnymi szybami samochodu były zasunięte firanki. Zakurzona klamka. Musiała pochylić się nad kartonami, żeby się do niej dostać. Dotykając końca klamki, próbowała pchnąć ją w dół. Bez skutku. Zamknięte. W tylnych drzwiach nie było dziurki od klucza. Musiała

przesunąć mnóstwo pudeł, żeby dostać się do przodu. Miejsca było wściekle mało. Dostrzegła małą szparkę między firanką a skrajem szyby.

Pochyliła się nad kartonami i przystawiła oko do szpary, oświetlając wnętrze latarką. Widziała tylko własne odbicie. Musiała osłonić dłonią źródło światła. Rozproszony nieco przez zakurzoną szybę promień myszkował po siedzeniu. Leżał tam otwarty album. W słabym świetle nie widać było dobrze kolorów, dostrzegła jednak na jego stronach kartki z okazji dnia świętego Walentego. Stare, koronkowe kartki nalepione na mechatym papierze.

— Dziękuję, doktorze Lecter. — Kiedy otworzyła usta, jej oddech

uniósł kurz z szyby i pokrył ją mgiełką. Nie chciała jej wycierać, poczekała, aż sama zejdzie. Promień latarki poruszał się dalej omiatając skraj leżącego krzywo na podłodze dywanika. Pokryte grubą warstwą kurzu błysnęły niewyraźnie czarne, męskie lakierki. Nad nimi były czarne skarpetki, a jeszcze wyżej spodnie od smokingu. W ich środku najwyraźniej tkwiły czyjeś nogi.

Nikt nie był tutaj przez ostatnie pięć lat — spokojnie, mała, nie wpadaj tylko w panikę.

— Och, panie Yow. Jest pan tam?

— Tak, pani inspektor?

— Wygląda na to, mecenasie, że ktoś siedzi w środku samochodu.

— O, do licha. Może lepiej będzie, jak pani stamtąd wyjdzie, panno Starling?

— Jeszcze nie teraz. Po prostu niech pan będzie taki dobry i chwilę na mnie zaczeka.

Teraz właśnie jest moment, kiedy trzeba ruszyć głową. To, jak się teraz zachowasz, jest sto razy ważniejsze od wszystkich bzdur, które będziesz przepowiadała sobie do poduszki do końca życia. Weź się w garść i nie popełnij żadnego błędu. Nie mogę zniszczyć dowodów rzeczowych. Potrzebuję pomocy. Ale przede wszystkim nie chcę wywołać fałszywego alarmu. Jeżeli sprowadzę tutaj gliniarzy i ludzi z naszego biura w Baltimore, i okaże się, że nic tutaj nie ma, jestem ugotowana. Yow nie przyjechałby tu ze mną, gdyby wiedział, że w samochodzie jest sztywniak. Uśmiechnęła się słabo sama do siebie. Z tym „sztywniakem” wyraźnie przeszarżowała. Nikogo tu nie było od czasu ostatniej wizyty Yowa. W porządku, to oznacza, że pudła zostały tutaj poustawiane już po umieszczeniu tego (czymkolwiek to jest), co znajduje się na tylnym siedzeniu. A więc mogę spokojnie je przesunąć, bez obawy, że zatrę jakieś ślady.

— W porządku, panie Yow.

— Tak? Może powinniśmy wezwać policję? Sądzi pani, że poradzi sobie z tym sama?

— Muszę zobaczyć, co to jest. Proszę, niech pan tam po prostu poczeka.

Łatwiej by było chyba prawidłowo ułożyć kostkę Rubika, niż ustawić te pudła. Starła się je przenosić z latarką wetkniętą pod pachę. Kiedy po raz drugi jej wypadła, położyła ją na dachu samochodu. Musiała usunąć kartony stojące z tyłu, niektóre z mniejszych paczek wepchnęła pod samochód. Od drzazgi albo ukąszenia bolała ją opuszka kciuka.

Teraz mogła zajrzeć przez zakurzoną szybę do przedziału kierowcy.

Między dużym kołem kierownicy a dźwignią zmiany biegów wisiała pajęczyna. Ścianka między przednim a tylnym przedziałem była zasunięta.

Żałowała teraz, że nie naoliwiła wcześniej kluczyka do packarda. Kiedy jednak wsadziła go do zamka, obrócił się bez trudu.

W wąskim przejściu można było odsunąć drzwi zaledwie do jednej trzeciej. Uderzyły w kartonowe pudła z głuchym odgłosem. Za-chrobotwały myszy, w pianinie odezwały się kolejne struny. Z samochodu wydobył się stęchły zapach zgnilizny i chemikaliów. Przypominał jej jakieś miejsce, którego nie potrafiła nazwać.

Wsunęła się do środka, odsunęła ściankę za siedzeniem kierowcy i oświetliła latarką przedział dla pasażerów. Pierwszą rzeczą, która wyłoniła się z ciemności, była jasna elegancka koszula ze spinkami. Clarice podniosła latarkę, żeby zobaczyć twarz, ale jej nie dostrzegła. Opuściła więc szybko światło w dół, wzdłuż połyskujących spinek i błyszczącej satyny aż do pofałdowanych spodni i otwartego rozporka, z powrotem w górę, do eleganckiej muszki i kołnierzyka. Wystawała z niego biała, sztywna szyja manekina. Wyżej było coś jeszcze, coś, co prawie wcale nie odbijało światła. To była tkanina, czarny kaptur. W miejscu, w którym powinna znajdować się głowa, widniał duży kaptur, tak duży, że w środku mogła pomieścić się klatka na ptaki. Welwet, pomyślała. Okryty nim przedmiot spoczywał na kawałku dykty, który opierał się o tylną półkę i szyję manekina.

Mrużąc oczy od flesza zrobiła kilka zdjęć z przedniego siedzenia. Potem wysunęła się z samochodu i wyprostowała. Stojąc w ciemności, przemoczona, oblepiona pajęczyną, zastanawiała się, co robić dalej.

To, czego z całą pewnością nie zamierzała, to wzywać tutaj specjalnego agenta z biura w Baltimore, żeby przyjrzał się kartkom z okazji dnia świętego Walentego i manekinowi z otwartym rozporkiem.

Kiedy zdecydowała się już dostać na tylne siedzenie i zdjąć kaptur z tej rzeczy, zaczęła działać bezzwłocznie. Sięgnęła ręką z przedziału kierowcy i odblokowała tylne drzwi. Przesunęła z powrotem kilka paczek i pociągnęła za klamkę. Wszystko to zdawało się trwać bardzo długo. Odór wydobywający się z tyłu był znacznie bardziej intensywny. Sięgnęła do środka i ujmując ostrożnie za brzegi album z wklejonymi kartkami podniosła go i wsunęła do foliowej torby na dachu samochodu. Inne torby na dowody rzeczowe rzuciła na tylne siedzenie.

Pod jej ciężarem zaskrzypiały resory. Kiedy siadła obok manekina, ten uniósł się nieco do góry. Prawa dłoń w białej rękawiczce ześlizgnęła się z uda i opadła na siedzenie. Starling dotknęła rękawiczki palcem.

Dłoń w środku była twarda. Ostrożnie zsunęła rękawiczkę z nadgarstka. Był zrobiony z jakiegoś sztucznego tworzywa. W spodniach widać było zgrubienie, które na krótką chwilę przypominało jej głupie żarty ze szkoły średniej. Spod siedzenia dochodziło ciche chrobotanie.

Delikatnie, jak w pieszczocie, dotknęła ręką kaptura. Materiał poruszał się łatwo po czymś twardym i śliskim. Kiedy wymacała okrągłą wypukłość na górze, domyśliła się. Wiedziała, że ma przed sobą duży laboratoryjny słoik do przechowywania preparatów, wiedziała też, co zobaczy w nim w środku. Ze strachem, ale nie wahając się długo, ściągnęła zasłonę.

Głowa w słoju ucięta była elegancko tuż pod dolną szczęką. Spoglądała wprost na dziewczynę oczami pobielalymi od konserwującego ją alkoholu. Usta były otwarte, wystawał z nich poszarzały język. Przez wszystkie te lata alkohol częściowo wyparował.

Głowa opadła na dno słoja, a jej znajdujący się w stanie rozkładu czubek wystawał niczym czapka nad powierzchnią cieczy. Przekrzywiona lekko, jak u sowy, w stosunku do znajdującego się pod spodem manekina, głowa gapiała się bezmyślnie na Clarice. Nie przywróciło jej życia nawet ruchliwe światło latarki.

Clarice Starling analizowała swoją reakcję. Była zadowolona i podniecona. Zastanawiała się przez chwilę, czy są to uczucia właściwe. Siedząc w tym starym samochodzie obok uciętej głowy i biegających wkoło myszy, była w stanie rozumować jasno i logicznie. Napawało ją to dumą.

— No cóż, Tato — odezwała się. — Nie jesteśmy już w Kansas. — Zawsze chciała powiedzieć te właśnie słowa w chwili stresu, ale teraz, kiedy to uczyniła, poczuła się głupio i zadowolona była, że nikt ich nie słyszał. Trzeba się zabierać do roboty.

Ostrożnie oparła się o fotel i rozejrzała wokoło.

Znajdowała się w czymś małym, intymnym świecie, o tysiące lat świetlnych od zatłoczonej drogi nr 301.

W kryształowych wazonach tkwiły opadłe, wysuszone kwiaty. Wazoni stały na podstawkach. Rozłożony stół nakryty był lnianym obrusem. Stojąca na nim zakurzona karafka lśniła niewyraźnie w świetle latarki. Między karafką a stojącym obok niskim lichtarzem wisiała pajęczyna.

Próbowała wyobrazić sobie Lectera albo kogoś innego, siedzącego tutaj obok jej towarzysza, częstującego go alkoholem albo pokazującego mu obrazki w albumie. Co jeszcze powinna zrobić? Ostrożnie, żeby nie poruszyć manekina, przeszukała go, czy nie ma jakiegoś

dowodu tożsamości. Nie było żadnego. W kieszeni marynarki znalazła kawałki materiału pozostałe po przycięciu do odpowiedniej długości nogawek spodni: wizytowe ubranie było prawdopodobnie nowe, kiedy założono je na manekin.

Obmacała zgrubienie na spodniach. Było twarde, zbyt twarde jak na szczeniacki kawał. Rozszerzyła rozporek i zaświeciła do środka latarką. Tkwił tam polerowany, drewniany penis, całkiem potężnych rozmiarów. Zastanawiała się, czy ją ten widok zgorszył.

Ostrożnie obróciła słoje dokoła, szukając śladów ran z boków i z tyłu głowy. Nie znalazła niczego. Na szkle odbita była nazwa firmy produkującej sprzęt laboratoryjny.

Przyglądając się ponownie głowie stwierdziła, że dowiedziała się o sobie czegoś, co przyda jej się na całe życie. Wpatrywanie się w tę twarz, w język, który zmienił kolor w miejscach, które stykały się ze szkłem, nie było tak straszne jak pojawiający się w jej snach, połykający własny język Miggs. Poczwała, że jest w stanie popatrzeć na wszystko, jeśli tylko ten fakt czemuś służy. Była jeszcze młoda.

W ciągu dziesięciu sekund, które upłynęły od zatrzymania się wozu transmisyjnego sieci WPIK-TV, Jonetta Johnson zdążyła założyć klipsy, przypudrować swe piękne brązowe oblicze i ocenić sytuację. Korzystając z podsłuchu miejscowej policyjnej łączności radiowej, przybyła do Split City razem ze swą ekipą jeszcze przed wozami patrolowymi.

W światłach wozu zobaczyli stojącą przed drzwiami boksu Clarice Starling, z latarką w

jednej i laminowaną kartą identyfikacyjną w drugiej ręce. Głowę oblepiały jej przemoczone włosy.

Jonetta Johnson na pierwszy rzut oka rozpoznawała nowicjuszy. Zeskoczyła na ziemię i zbliżyła się do dziewczyny. Za nią szła ekipa z kamerą. Pojaśniało od telewizyjnych reflektorów.

Pan Yow schował się w swoim buicku tak głęboko, że przez szybę widać było tylko kapelusz.

— Jonetta Johnson, wiadomości sieci WPIK, czy to pani złożyła meldunek o zabójstwie?

Clarice Starling nie wyglądała na przedstawicielkę prawa i dobrze o tym wiedziała.

— Jestem agentem federalnym, to jest miejsce, w którym popełniono przestępstwo. Moim obowiązkiem jest zabezpieczenie go, dopóki władze Baltimore...

Asystent kamerzysty złapał za drzwi magazynu i próbował je podnieść.

— Niech pan to puści — poleciła Clarice. — Mówię do pana. Niech pan to zostawi. Proszę się cofnąć. Ja wcale nie żartuję. Proszę mi nie utrudniać. — Dałaby wszystko za odznakę policyjną, za mundur, cokolwiek.

— W porządku, Harry — powstrzymała kolegę reporterka. — Pani inspektor, my chcemy tylko pomóc. Szczerze mówiąc, taka ekipa kosztuje kupę forsy i chcę po prostu wiedzieć, czy mam ich tutaj trzymać do czasu, kiedy przyjadą inni. Tam w środku są zwłoki, prawda? Kamera jest wyłączona, proszę mi powiedzieć, tak między nami. Pani mi powie i wtedy zaczekamy. Będziemy grzeczni, obiecuję. No więc jak?

— Na pani miejscu bym zaczekała — odpowiedziała Starling.

— Dziękuję, nie będzie pani żałować — uśmiechnęła się Jonetta Johnson. — Proszę spojrzeć, mam tu kilka informacji na temat minimagazynów Split City, mogą się pani przydać. Może pani poświecić mi w notes? Spójrzmy, co tutaj mamy.

— Wóz transmisyjny WEYE skręca właśnie w kierunku bramy, Joney — oznajmił facet o imieniu Harry.

— Spójrzmy, gdzie my to mamy, pani inspektor. O, znalazłam. Dwa lata temu wybuchł tutaj skandal. Podobno przywożono tu i przechowywano... co to było, czy przypadkiem nie sztuczne ognie? — Jonetta Johnson zerknęła przez ramię Clarice o jeden raz za dużo.

Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła kamerzystę leżącego na plecach, z głową i ramionami wsuniętymi do środka garażu. Kucnął przy nim asystent, gotów podać mu pod drzwiami minikamerę.

— Hej! — zawołała. Uklękała na mokrej ziemi przy kamerzyście i pociągnęła go za koszulę. — Nie możesz tam wchodzić. Hej! Mówiłam ci, żebyś tego nie robił.

Obaj mężczyźni przez cały ten czas łagodnie do niej przemawiali.

— Niczego nie będziemy dotykać. Jesteśmy zawodowcami, nie musi się pani niczego obawiać. Gliniarze i tak nas tu wpuszczają. Wszystko jest w porządku, kochanie.

Kpiący ton tych słów wyprowadził ją z równowagi.

Podbiegła do podnośnika i przekręciła w dół korbę. Skrzypiąc niemiłosiernie drzwi opadły o pięć centymetrów. Przekręciła jeszcze raz. Teraz dotykały klatki piersiowej leżącego mężczyzny. Kiedy nadal nie wychodził, wyjęła korbę z uchwytu i podeszła do

niego bliżej. Zapaliły się następne telewizyjne światła. W ich blasku walnęła mocno korbą w drzwi. Na gorliwego kamerzystę posypały się kurz i rdza.

— Niech pan teraz słucha, co powiem! — wrzasnęła. — Pan mnie nie słucha, prawda? Wyłaż pan stamtąd. Już! Za sekundę zostanie pan aresztowany za utrudnianie śledztwa.

— Spokojnie — powiedział asystent. Położył jej rękę na ramieniu. Odwróciła się do niego. Z tyłu, zza oślepiającego światła, usłyszała policyjne syreny i zadawane głośno pytania.

— Ręce przy sobie i cofnij się, palancie.

Stała przydeptując kostkę kamerzysty, odwrócona w stronę jego asystenta. W rękę trzymała korbę od podnośnika. Nie podniosła jej do góry, to nie było potrzebne. I tak wystarczająco źle wypadła w telewizji.

Rozdział 9

Woń, którą przesiąknięty był oddział pod specjalnym nadzorem, wydawała się w półmroku jeszcze bardziej intensywna. Stojący na korytarzu telewizor — fonia była wyłączona — rzucał cień Clarice na pręty klatki doktora Lectera.

Nie widziała, co dzieje się za prętami, ale nie chciała prosić pielęgniarza, żeby włączył światło. Zapalały się wtedy wszystkie lampy na oddziale. Wiedziała, że policjanci z Baltimore przez kilka długich godzin przesłuchiwali Lectera, zdzierając sobie gardła od krzyku — wszystko w pełnym oświetleniu. Nie odpowiedział na żadne pytanie, zamiast tego złożył dla nich z papieru małego kurczaczka, który dziobał, kiedy podnosiło mu się kuper. Najstarszy rangą oficer, w napadzie złości, zmiął kurczaczka i wyrzucił go do stojącej w poczekalni popielniczki. Drugą dłonią zapraszał Starling do środka.

— Doktorze Lecter? — Słyszała swój własny oddech, słyszała oddech wszystkich rozlokowanych wzdłuż korytarza pacjentów, wszystkich oprócz Miggsa. Cella Miggsa była przeraźliwie pusta. Od panującego w niej milczenia wiało autentycznym chłodem.

Starling wiedziała, że Lecter przygląda się jej w ciemności. Minęły dwie minuty. Od walki z drzwiami magazynu bolały ją nogi i kark, ubranie miała mokre. Usiadła na płaszczu na podłodze, w przyzwoitej odległości od prętów klatki, podkuliła pod siebie nogi i wyciągnęła mokre, zmierzwiłone włosy spod kołnierzyka, żeby nie lepiły się do szyi.

Z tyłu, na ekranie telewizora, kaznodzieja pozdrawiał tłumy uniesionymi rękoma.

— Doktorze Lecter, oboje wiemy, co jest grane. Oni sądzą, że będzie pan ze mną rozmawiał.

Cisza. Na drugim końcu korytarza ktoś zagwizdał „Over the Sea to Skye”.

Odezwała się znów po pięciu minutach.

— Dziwna to była wyprawa, do tego magazynu. Chciałabym o tym kiedyś z panem porozmawiać.

Mimo woli podskoczyła, kiedy z celi Lectera wytoczył się wózek. Leżał na nim czysty, złożony w czworo ręcznik. Nie słyszała, kiedy się poruszył.

Spojrzała na wózek i mając wrażenie, że się zapada, wzięła ręcznik i wytarła sobie włosy.

- Dziękuję — powiedziała.
- Dlaczego nie zapyta mnie pani o Buffalo Billa? — głos Lectera zabrzmiał blisko, na jej wysokości. On także musiał siedzieć na podłodze.
- Czy wie pan coś na jego temat?
- Dowiedziałbym się, gdybym zobaczył akta sprawy.
- Nie mam do niej dostępu — odparła.
- Nie będzie pani miała dostępu i do tej dzisiejszej, kiedy przestaną pani potrzebować.
- Wiem.
- Może pani wydobyć akta na temat Buffalo Billa? Raporty i fotografie. Chciałbym je zobaczyć. Pewnie, że chciałbyś.
- Doktorze, pan zaczął tę grę. Proszę powiedzieć mi coś o osobie, którą znalazłam w packardzie.
- Znalazła pani całą osobę? Dziwne. Ja widziałem tam tylko głowę. Skąd, pani zdaniem, wzięła się reszta?
- W porządku. Czyja to głowa?
- A co wykazało śledztwo?
- Przeprowadzono na razie wstępne badania. Biały mężczyzna, wiek około dwudziestu siedmiu lat, leczył sobie zęby w Europie i w Ameryce. Kim był?
- Kochankiem Raspaila. Raspaila, tego obleśnego fleta.
- Jakie były okoliczności... w jaki sposób zmarł?
- Nie pyta pani wprost, pani inspektor?
- Nie. Zapytam o to później.
- Pozwoli pani, że zaoszczędzę jej trochę czasu. Ja tego nie zrobiłem. Zrobił to Raspail. Raspail lubił marynarzy. Ten był Skan-dynawem, nazywał się Klaus Jakiśtam. Raspail nigdy nie wymienił przy mnie jego nazwiska.
- Głos doktora Lectera dochodził teraz z niższej wysokości. Może leży na podłodze, pomyślała.
- Klaus zszedł ze szwedzkiego statku w San Diego. Raspail prowadził w tym mieście wakacyjne kursy w konserwatorium. Oszałał na punkcie tego młodzieńca. Szwed zwietrzył dobry interes i rzucił swoją łajbę. Kupili jakąś okropną przyczepę samochodową i włączyli się nadzy po lasach. Raspail powiedział mi, że młodzieniec nie był mu wierny i że zadusił go własnymi rękami.
- Powiedział to panu?
- Oczywiście, w ścisłej tajemnicy, podczas sesji terapeutycznej. Sądziłem, że to kłamstwo. Raspail zawsze koloryzował. Chciał sprawiać wrażenie groźnego romantyka. Szwed zmarł prawdopodobnie w wyniku jakiejś banalnej erotycznej zabawy. Raspail był zbyt słaby i ślamazarny, żeby zadusić go własnymi rękoma. Zauważyła pani, jak wysoko, prawie pod samą brodą, został przycięty Klaus? Prawdopodobnie dlatego, żeby nie widać było śladów sznura, na którym go powieszono.
- Rozumiem.
- Sen o szczęściu legł w gruzach. Raspail włożył głowę Klause do torby z kręglami i wrócił na Wschodnie Wybrzeże.

- A co zrobił z resztą?
- Zakopał ją gdzieś na wzgórzach.
- Pokazywał panu głowę w samochodzie?
- O tak, w miarę trwania terapii doszedł do przekonania, że może mi pokazać wszystko. Często odwiedzał Klause, żeby z nim posiedzieć i pooglądać razem kartki z okazji dnia świętego Walentego.
- A potem Raspail sam też... stracił życie. Dlaczego?
- Szczerze mówiąc, byłem nim zmęczony, niedobrze mi się robiło od jego jęków. To było dla niego najlepsze rozwiązanie, naprawdę. Terapia nie prowadziła do żadnych pozytywnych rezultatów. Sądzę, że większość psychiatrów ma jednego albo dwóch pacjentów, których chcieliby mi podrzucić. Nigdy nie mówiłem przedtem o tej sprawie, a już zaczyna mnie nudzić.
- A obiad, na który zaprosił pan kierownictwo orkiestry?
- Czy nigdy nie zdarzyło się pani, że ktoś przyszedł z wizytą, a nie było czasu zrobić zakupów? Trzeba upitrasić coś z tego, co ma się akurat w lodówce, Clarice. Czy mogę mówić do pani Clarice?
- Tak. Sądzę, że mogę się do pana zwracać...
- Doktorze Lecter. Tak będzie najstosowniej, biorąc pod uwagę twój wiek i stanowisko.
- Zgoda.
- Co czułaś, wchodząc do garażu?
- Byłam przestraszona.
- Czego się bałaś?
- Myszy i robaków.
- Czy jest coś takiego, co pomaga ci wziąć się w garść? — zapytał doktor Lecter.
- Nic z tego, co znam, nie pomaga, oprócz przeświadczenia, że muszę wykonać to, co sobie zamierzyłam.
- Czy przywołujesz wtedy jakieś wspomnienia, jakieś obrazy z przeszłości? A może pojawiają się mimowolnie?
- Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym.
- Jakież sceny z dzieciństwa?
- Będę musiała się obserwować.
- Co czułaś, kiedy dowiedziałaś się, że zmarł mój sąsiad, Miggs? Nie zapytałaś mnie o niego.
- Nie zdążyłam.
- Czy nie byłaś zadowolona, kiedy o tym usłyszałaś?
- Nie.
- Może smutna?
- Nie. Czy namówił go pan, żeby to zrobił? Doktor Lecter zaśmiał się cicho.
- Pyta mnie pani, pani inspektor, czy w przestępczy sposób nakłoniłem pana Miggsa do popełnienia samobójstwa? Nie bądź głupia, Clarice. Swoją drogą, w tym, że połknął swój nikczemny język, kryje się jakaś zabawna zbieżność. Chyba się ze mną zgodzisz?
- Nie.

— Tym razem pani skłamała, pani inspektor. Pierwsze kłamstwo, którego się pani wobec mnie dopuściła. *En peu triste*, jak powiedziała by Truman.

— Prezydent Truman?

— Nieważne. Dlaczego ci, twoim zdaniem, pomagam?

— Nie wiem.

— Jack Crawford cię lubi, prawda?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? Chyba nie mówisz prawdy. Czy chciałabyś, żeby cię lubił? Powiedz, czy nie czujesz potrzeby sprawienia mu przyjemności i czy to cię nie niepokoi? Czy starasz się odsunąć od siebie to pragnienie?

— Wszyscy chcą być lubiani, doktorze.

— Nie wszyscy. Czy nie sądzisz, że Jack Crawford pożąda cię seksualnie? Jestem pewien, że jest teraz bardzo sfrustrowany. Czy nie sądzisz, że wyobraża sobie... jakieś scenariusze, jakieś zabawy... w trakcie których się obłapiacie?

— Takie rzeczy mnie nie interesują, doktorze. Uważam, że to pytanie bardziej pasowałoby do Miggsa.

— To się więcej nie powtórzy.

— Czy zasugerował mu pan, żeby połknął własny język?

— Żeby, żeby... Ten oskarżycielski spójnik zbyt często pojawia się w twoich pytaniach. Z twoim akcentem na dodatek, na miłą śmierdzi to jakimś podstępem. Oczywiście, że Crawford cię lubi i uważa, że nadajesz się do tej roboty. Nie uniknęłaś dziwnego zbiegu okoliczności, Clarice... pomaga ci Crawford i pomagam ci ja. Mówisz, że nie wiesz, dlaczego to robi Crawford. A czy wiesz, dlaczego ja to robię?

— Nie, proszę mi powiedzieć.

— Czy myślisz, że robię to, ponieważ lubię na ciebie patrzeć i wyobrażać sobie, jak cię będę zjadał — kąsek po kąsku — i jak będziesz mi wtedy smakować?

— Dlatego?

— Nie. Chcę czegoś, co może mi zaofiarować Crawford, i chcę dać mu coś w zamian. Ale on nie przyjdzie tutaj, żeby się ze mną zobaczyć. Nie poprosi mnie o pomoc w sprawie Buffalo Billa, chociaż wie, że pociągnie to za sobą śmierć kolejnych młodych kobiet.

— Nie mogę w to uwierzyć, doktorze.

— Chcę od niego bardzo prostej rzeczy i on jest w stanie mi ją załatwić.

Lecter rozjaśnił powoli światło w swojej celi. Wnętrze wyłoniło się z ciemności. Książki i rysunki zniknęły. Zniknął również sedes. Chilton ogołocił celę ze wszystkiego, żeby ukarać go za Miggsa.

— Przebywam w tym pomieszczeniu od ośmiu lat, Clarice. Wiem, że dopóki żyję, nikt nigdy nie pozwoli mi wyjść na wolność. To, czego chcę, to widok. Chcę okna, za którym mógłbym zobaczyć drzewo... może nawet wodę.

— Czy pański adwokat złożył podanie...

— Chilton postawił na korytarzu telewizor. Przełączony jest na kanał religijny. Zaraz po twoim wyjściu pielęgniarka włączy z powrotem fonię. Mój adwokat nie może nic na to poradzić, tak źle stoją obecnie moje akcje w sądzie. Chcę znaleźć się w instytucji

zarządzanej przez władze federalne. Chcę dostać z powrotem moje książki, chcę mieć widok. Mam za to. coś wartościowego do zaofiarowania. Crawford może to załatwić. Poproś go.

— Mogę powtórzyć mu po prostu to, co pan powiedział.

— Zignoruj to. A Buffalo Bill będzie działał dalej. Poczekajcie, aż którąś oskalpuje. Ciekawe, czy to się wam spodoba. Hmm... Powiem ci jedną rzecz o Buffalo Billu, bez zaglądania do jego akt. Za

kilka lat, kiedy go złapią... jeśli kiedykolwiek im się to uda, zobaczysz, że miałem rację i mogłem pomóc. Mogłem uratować niejedno ludzkie życie. Clarice?

— Tak?

— Buffalo Bill ma piętrowy dom — powiedział doktor Lecter i wyłączył światło.

Nie odezwał się już ani słowem.

Rozdział 10

Clarice Starling oparła się o stół do gry w kości w kasynie FBI i starała się skoncentrować uwagę na wykładzie na temat „prania brudnych pieniędzy” w grach hazardowych. Minęło już trzydzieści sześć godzin od czasu, kiedy policja miejska z Baltimore przyjęła jej zeznania (za pośrednictwem palącej jak komin i stukającej dwoma palcami maszynistki: „Niech pani spróbuje, czy uda się otworzyć to okno, skoro dym tak pani przeszkadza”) i odsunęła od sprawy, ponieważ morderstwo nie podlega jurysdykcji federalnej.

W niedzielę, w wieczornych wiadomościach pokazano migawkę z Clarice i kamerzystą. Nabrała pewności, że ugrzęzła po szyję. Na dodatek żadnej wiadomości od Crawforda ani z biura terenowego w Baltimore. Tak jakby wrzuciła swój raport do studni.

Kasyno, w którym się obecnie znajdowała, nie było duże. Kiedyś urządzono je w przyczepie samochodowej, potem skonfiskowało je FBI i przekazało Akademii Policyjnej w charakterze pomocy naukowej. Wąskie pomieszczenie wypełnione było policjantami z różnych stron świata; Clarice uprzejmie odmówiła ustępującym jej miejsca dwóm Rangersom z Teksasu i jednemu detektywowi ze Scotland Yardu.

Jej grupa była teraz w hallu Akademii. Szukali włosów na autentycznym motelowym dywanie umieszczonym w „sypialni przestępstw seksualnych” i posypywali proszkiem „bank w małym miasteczku” w poszukiwaniu odcisków palców. Clarice spędziła już tyle godzin na kursie identyfikacji przestępców, że dziś wysłano ją na ten wykład. Wchodził w skład uzupełniającego kursu z kryminalistyki dla prawników.

Zastanawiała się, czy istnieje jakaś inna przyczyna, dla której izoluje się ją od reszty grupy. Być może jest to przygrywka do ostatecznego rozstania.

Oparła łokcie na namalowanej na stole linii i starała się skupić na sposobach prania brudnych pieniędzy w grach hazardowych.

Naprawdę zaś myślała o tym, jak bardzo w FBI nie lubią oglądać własnych ludzi w telewizji, za wyjątkiem, oczywiście, oficjalnych konferencji prasowych.

Doktor Hannibal Lecter był ulubieńcem środków masowego przekazu, a policja w Baltimore, ku pełnemu szczęściu reporterów, ujawniła nazwisko Clarice Starling. W

niedzielę oglądała się bez przerwy w wieczornych wiadomościach. Jedna ze stacji TV w Baltimore pokazała film pt. „Starling z FBI”. Dziewczyna waliła w nim korbą podnośnika w drzwi magazynu, spod których usiłował wydostać się nieszczęsny kamerzysta. Gdzie indziej „Federalna Agentka Starling” występowała zamierzając się korbą na asystenta.

Konkurencyjna stacja, nie będąc w posiadaniu własnego filmu, obwieściła, iż wystąpiła z oskarżeniem z powództwa cywilnego przeciwko „Starling z FBI” i w ogóle całemu Federalnemu Biuru Śledczemu, ponieważ w wyniku uderzenia w drzwi kamerzysta pobrudził się, a oczy zanieczyściły mu brud i rdza.

Jonetta Johnson z WPIK występowała w programie ogólnokrajowym ogłaszając wszem i wobec, że inspektor Starling udało się odnaleźć resztki zwłok w garażu dzięki „tajemniczym stosunkom, które wiążą ją z osobnikiem określanym przez władze mianem... potwora”. Sieć WPIK najwyraźniej miała swoją wtyczkę w szpitalu.

NARZECZONA FRANKENSTEINAH — głosił *National Tattler* ze stojaków w supermarketach.

Nie było żadnego publicznego komentarza ze strony FBI, ale nie brakowało ich wewnątrz Biura, co do tego Clarice mogła być pewna.

Przy śniadaniu jej kolega z grupy, młodzieniec, który nadużywał płynu po goleniu firmy „Canoe”, zwrócił się do niej per Melvin Penis (głupia gra słów nawiązująca do nazwiska Melvina Purvisa, szarej eminencji Hoovera w latach trzydziestych). To, co usłyszał w odpowiedzi od Ardellii Mapp, sprawiło, że śmiertelnie pobałdł i opuścił stołówkę nie tknąwszy śniadania.

Clarice Starling znajdowała się w dziwnym stanie, w którym nic nie mogło jej już zadziwić. Przez cały dzień i noc dzwoniła jej w uszach cisza podobna do tej, w której zanurza się płetwonurek. Miała zamiar się bronić, ale jak dotąd nie było ku temu okazji.

Podczas wykładu instruktor bez przerwy kręcił kołem ruletki, ani razu jednak nie puścił kulki. Patrząc na niego, Clarice nabrała przekonania, że nie robił tego nigdy w życiu. Teraz wypowiada słowa: „Clarice Starling”. Dlaczego mówi „Clarice Starling”. Przecież to ja.

— Tak — odezwała się.

Wykładowca kiwnął brodą w kierunku drzwi z tyłu. Obejrzała się z duszą na ramieniu. Ale to był tylko jej instruktor strzelecki, Brigham. Pochylał się ku niej przez tłum. Kiedy na niego spojrzała, kiwnął palcem.

Przez moment myślała, że wywalają ją z uczelni, ale nie angażowałiby przecież do tego Brighama.

— Wyruszasz na zwiad, Starling. Gdzie twój ekwipunek? — powiedział, kiedy znaleźli się w hallu.

— W moim pokoju, w skrzydle C.

Musiła szybko przebierać nogami, żeby dotrzymać mu kroku.

— Wyjeżdżasz dzisiaj z Jackiem Crawfordem. Zabierz piżamę i szczoteczkę do zębów. Może wrócisz jeszcze dzisiaj, ale na wszelki wypadek weź.

— Dokąd?

— Jacyś myśliwi polujący na kaczki w Wirginii Zachodniej znaleźli zwłoki w Etik River dzisiaj o świcie. Okoliczności typowe dla Buffalo Billa. Zajęli się tym pomocnicy

miejscowego szeryfa. To dla nas prawdziwa gratka i Jack nie zamierza czekać, aż ci faceci dostarczą nam dane normalnymi kanałami. — Brigham zatrzymał się przy drzwiach prowadzących do skrzydła C. — Potrzebuje kogoś do pomocy, kogoś, kto umie, na przykład, zdjąć odciski z topielca. Byłaś asystentką w laboratorium, potrafisz to robić, prawda?

— Tak, niech mi pan pokaże zestaw.

Brigham otworzył podręczny zestaw do zdejmowania odcisków. Starling uniosła tacki. W środku były strzykawki i ampułki, ale brakowało aparatu fotograficznego.

— Potrzebuję polaroida jeden na jeden, model CU-5, panie Brigham, z kompletem filmów i baterii.

— Z magazynu? W porządku, masz go.

Wręczył jej małą płócienną torbę. Kiedy poczuła, ile waży, domyśliła się, dlaczego wysłano po nią Brighama.

— Nie masz jeszcze broni służbowej, prawda?

— Nie.

— Mam dla ciebie pełne wyposażenie. Tu jest pas, który nosiłaś na strzelnicy. Pistolet jest mój własny. To taki sam smith jak ten, na którym ćwiczyłaś, tyle że z dokładnie wyczyszczonym mechanizmem. Dziś wieczorem, kiedy będziesz miała okazję, poćwicz na nim na sucho w pokoju. Dokładnie za dziesięć minut będę czekał w samochodzie za skrzydłem C. W „Blue Canoe” nie ma ubikacji. Póki możesz, skorzystaj z toalety, dobrze ci radzę. Z życiem, Starling, z życiem!

Chciała go o coś zapytać, ale zniknął.

To musi być Buffalo Bill, skoro jedzie tam sam Crawford. Co to, u diabła, jest „Blue Canoe”? Ale na razie, kiedy się pakujesz, myśl o pakowaniu. Spakowała się szybko i sprawnie.

— Czy to...

— W porządku — przerwał jej Brigham, kiedy wsiadła do samochodu. — Odznacza ci się trochę kolba pod kurtką, gdyby ktoś był zbyt drobiazgowy, ale poza tym wyglądasz nieźle.

Rewolwer z zadartą lufą trzymała pod kurtką, we wbitym pod żebro, płaskim jak naleśnik futerał. Magazynek wsunęła pod pas z drugiej strony.

Brigham kierował się w stronę lotniska polowego w Quantico. Nie przekraczał dozwolonej w bazie szybkości.

Odchrząknął.

— To jedno jest dobre na strzelnicy, Starling, że człowiek trzyma się z dala od polityki.

— Tak?

— Miałaś rację, że zabezpieczyłaś ten garaż w Baltimore. Martwisz się tym, co wygadują w telewizji?

— A powinnam?

— To co powiem, zostanie między nami, dobrze?

— W porządku.

Brigham odsalutował regulującemu ruch żołnierzowi piechoty morskiej.

— Zabierając cię dzisiaj ze sobą, Jack daje do zrozumienia, że ma do ciebie zaufanie

i nikt nie może udawać, że tego nie widzi — powiedział. — To na wypadek, gdyby jakiś waśniak z biura kontroli zawodowej chrzanił coś na twój temat. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Uhum.

— Crawford nie jest facetem, który daje sobie w kaszę dmuchać. Postawił sprawę jasno: musiałaś zabezpieczyć to miejsce. Pozwolił ci tam jechać bez niczego, to znaczy bez żadnych widocznych oznak władzy. Zaznaczył to bardzo wyraźnie. Gliniarze z Baltimore też się zbytnio nie śpieszyli. Poza tym Crawford chce wszystko załatwić dzisiaj, a na sprowadzenie kogoś z laboratorium Jimmy'ego Price'a musiałby czekać ponad godzinę. Tak więc padło na ciebie, Starling. Swoją drogą badanie topielca to całkiem średnia przyjemność. Oczywiście to nie kara, ale jeśli ktoś chce patrzeć na to w ten sposób, proszę bardzo. Widzisz, Crawford jest bardzo subtelnym facetem, ale nie należy do rozmownych i dlatego chcę ci powiedzieć... Jeśli z nim pracujesz, powinnaś wiedzieć, co w trawie piszczy... A może wiesz?

— Nie, naprawdę, nic nie wiem.

— Ma porządny zgryz całkiem niezależnie od Buffalo Billa. Jego żona, Bella, jest poważnie chora. Jest... w stanie krytycznym. Trzymają w domu. Gdyby nie Buffalo Bill, powinien wziąć urlop okolicznościowy.

— Nie wiedziałam o tym.

— Bo się o tym nie mówi. Tylko nie mów mu przypadkiem, że ci przykro, i tak dalej, bo to mu i tak nie pomoże... Było im ze sobą całkiem dobrze.

— Dziękuję, że mi pan powiedział.

Brigham rozpromienił się, kiedy dojechali do lotniska.

— Mam kilka ważnych wykładów pod koniec kursu strzeleckiego. Postaraj się o nich nie zapomnieć. — Wybrał drogę na skróty między hangarami.

— Postaram się.

— Posłuchaj: tego, czego uczę, prawdopodobnie nigdy w życiu nie będziesz musiała robić. Taką mam nadzieję. Ale jesteś w tym dobra, Starling. Jeśli będziesz musiała strzelać, strzelaj. Ćwicz regularnie.

— Dobrze.

— Nigdy nie wkładaj broni do torebki.

— Dobrze.

— Pociągnij kilka razy za spust wieczorem w swoim pokoju. Trzymaj broń zawsze pod ręką.

— W porządku.

Wysłuzony dwusilnikowy beechcraft stał na krótkim pasie lotniska w Quantico. Światła miał zapalone, drzwi otwarte. Podmuch jednego wirującego śmigła gwałtownie wbił się do ziemi rosnącą obok betonu trawę.

— To nie może być „Blue Canoe” — powiedziała Starling.

— A jednak.

— Jest mały i stary.

— Jest stary — dodał jej otuchy Brigham. — Bardzo dawno temu zarekwirowała go na Florydzie brygada do zwalczania narkotyków. Przymusowo wodował gdzieś na bagnach

Everglades. Ale silniki grają jak nowe. Mam nadzieję, że Gramm i Rudman nie dowiedzą się, że go używamy. Teoretycznie przysługuje nam autobus. — Wspiął się do kabiny i wrzucił bagaże Starling za tylne siedzenie. Poplątały im się trochę ręce, kiedy jednocześnie podawał jej zestaw z przyborami i usiłował ucisnąć dłoń.

A potem, zupełnie nieoczekiwanie dla samego siebie, Brigham powiedział:

— Niech cię Bóg błogosławi, Starling.

W ustach żołnierza piechoty morskiej zabrzmiało to bardzo dziwnie. Nie wiedział, skąd mu się wzięły te słowa, i zaczerwienił się.

— Dzięki... dziękuję panu, panie Brigham.

Crawford siedział obok pilota, bez marynarki, na nosie miał słoneczne okulary. Kiedy usłyszał, że pilot zatrzaskuje drzwi, odwrócił się do Clarice.

Nie widziała wyrazu jego oczu za ciemnymi szklami. Nagle uświadomiła sobie, że zupełnie go nie zna. Był blady i zeszywniały, jak korzeń wyciągnięty z ziemi przez buldożer.

— Siadaj i czytaj — to było wszystko, co powiedział.

Z tyłu, na siedzeniu, leżał gruby tom akt. Na okładce napisane było BUFFALO BILL. Clarice przycisnęła akta mocno do piersi, a „Blue Canoe” zatrzeszczał, zadygotał i zaczął toczyć się po pasie startowym.

Rozdział 11

Skraj pasa startowego zatarł się i odpłynął do tyłu. Kiedy niewielki samolot wszedł na swój kurs, na wschodzie, nad zatoką Chesapeake, zajaśniało poranne słońce.

Clarice Starling widziała pod sobą zabudowania uczelni i sąsiadującą z nimi bazę piechoty morskiej w Quantico. Po torze przeszkód pełzały i biegły małe figurki marines.

Tak wyglądało to z góry.

Kiedyś, po nocnych ćwiczeniach na strzelnicy, idąc zadumana opustoszałą i ciemną Hogan Alley, słyszała przelatujące nad głową samoloty, a potem, kiedy odpływał warkot ich silników, głosy nawołujące się tam w górze — głosy opadających w dół w kompletnych ciemnościach żołnierzy oddziałów desantowych. Zastanawiała się, jak czuje się człowiek czekający na swoją kolejkę w drzwiach samolotu, jak to jest, kiedy trzeba zanurzyć się w mrok.

Może było to podobne do tego, co czuła teraz.

Otworzyła akta.

Zrobił to pięć razy, pięć razy, o których było wiadomo. W ciągu minionych dziesięciu miesięcy Bill uprowadził co najmniej pięć kobiet, a prawdopodobnie więcej, zabił je i zdarł z nich skórę. (Oczy Clarice szybko przebiegały protokoły autopsji w poszukiwaniu wyników prób histaminowych. Chciała upewnić się, że zabijał je, zanim zabrał się do reszty).

Kiedy nie były mu już potrzebne, zatapiał zwłoki w rzekach. Wszystkie ofiary znalezione zostały nie opodal skrzyżowań autostrad międzystanowych, każda w dolnym biegu rzeki w stosunku do

skrzyżowania, każda w innym stanie USA. Wszyscy wiedzieli, że Buffalo Bill dużo podróżuje. I to było wszystko, co wiedzieli o nim przedstawiciele prawa, absolutnie

wszystko, jeśli nie liczyć faktu, że miał co najmniej jeden pistolet. Sześciokomorowy, bijący lekko w lewo — prawdopodobnie Colt albo na licencji Colta. Ślady na odzyskanych pociskach wskazywały, że używał kalibru 38 special w długich łuskach typu 357.

Rzeki zmyły wszelkie odciski palców, nie odnaleziono żadnego włosa, żadnych substancji organicznych.

Prawie na pewno był białym mężczyzną: białym, ponieważ wielokrotni mordercy zabijają na ogół w obrębie własnej grupy etnicznej, a tu wszystkie ofiary należały do rasy białej; mężczyzną, ponieważ w naszych czasach wśród wielokrotnych morderców prawie nie spotyka się kobiet.

Dwaj felietoniści wielkich gazet, jeden niezależnie od drugiego, natknęli się na fragment niezwykle krótkiego wiersza E.E. Cummingsa pt. *Buffalo Bill*: „...jak się panu podoba ten błękitnooki chłopiec, Panie Śmierć”

Ktoś, może Crawford, przylepił wycinek z cytatem na wewnętrznej stronie okładki.

Nie było żadnego przejrzystego związku między miejscem, gdzie Bill porwał młode kobiety, a miejscem, gdzie je topił.

Tam gdzie ciała odnalezione zostały na tyle szybko, by można było określić czas śmierci, policja dokonała kolejnego odkrycia: Bill trzymał je przez jakiś czas żywe. Ofiary ginęły dopiero siedem do dziesięciu dni po porwaniu. To oznaczało, że musi mieć miejsce, w którym je trzyma, i miejsce, w którym, nie niepokojony przez nikogo, nad nimi się pastwi. To oznaczało, że nie działa w amoku. Przypominał raczej pracowicie tkającego swą sieć pająka. Z własną jamą. Nie wiadomo gdzie.

To właśnie najbardziej przerażało opinię publiczną: fakt, że trzymał je przez cały tydzień albo dłużej, z góry wiedząc, że je zabije.

Dwie zostały powieszono, trzy zastrzelono. Nie było śladów gwałtu ani fizycznego znęcania się przed śmiercią. Protokoły autopsji nic nie wspominały o specyficznych zniekształceniach miejsc erogennych, choć patologowie nie kryli, że ciała są tak zdeformowane, iż prawie niemożliwe jest stwierdzenie tego z całą pewnością.

Wszystkie ciała były nagie. W dwu przypadkach, niedaleko miejsc zamieszkania ofiar, odnaleziona została przy drodze ich odzież, przecięta na plecach jak ubrania szyte dla nieboszczyków.

Clarice przebrnęła jakoś przez fotografie. Ze wszystkich zwłok najtrudniej jest poddać badaniom topielca. Jest w nim poza tym coś strasznie przygnębiającego, jak zawsze, kiedy ofiarę zabójstwa odnajduje się gdzieś na otwartej przestrzeni. Upokorzenia, na które narażone jest ciało wystawione na widok publiczny i działanie sił przyrody, wywołują mimowolne oburzenie, jeśli w tej pracy w ogóle można sobie na nie pozwolić.

Kiedy zabójstwo popełnione jest w domowym zaciszu, za zamkniętymi drzwiami, często można się natknąć na dowody nagannych praktyk samej ofiary, często widzi się osoby, które zostały przez nią pokrzywdzone: pobita żona, zmaltrretowane dzieci. Mówi się wtedy, że denat sam ściągnął na siebie nieszczęście.

W tej sprawie ofiary nie ściągnęły na siebie nieszczęścia, nie zasłużyły na nie. Wyrzucone na brzeg, obdarte ze skóry ciała leżały wśród pustych butelek po oleju i papierowych torebek po hamburgerach: sponiewierane na śmietniku naszej codzienności. Te odnalezione w zimniejszej porze roku miały z reguły zachowaną twarz.

Starling mówiła sobie, że ich zaciśnięte zęby nie świadczą wcale o doznanym bólu, że to żerujące w środku żółwie i ryby nadały im taki wyraz. Bill obdzierał ze skóry tułów, nogi na ogół zostawiał w spokoju.

Może łatwiej byłoby patrzeć na to wszystko, myślała Clarice, gdyby w kabinie nie było tak gorąco i gdyby ten przeklęty samolot nie miał przechyłu spowodowanego tym, że jedno śmigło lepiej cięło powietrze; i gdyby to cholerne słońce nie załamywało się na podrapanych szybach i nie kłuło w oczy, tak że pękała głowa.

Można go złapać. Uczepiła się tej myśli, żeby jakoś wytrzymać w kurczącej się wciąż kabinie, z pełną okropności teczką na kolanach. Potrafi unieszkodliwić go raz na zawsze. A potem będzie można wsadzić te klejące się do rąk, pokryte gładkim plastikiem akta do szuflady i przekręcić w niej klucz.

Wpatrywała się w kark Crawforda. Jeśli chciała unieszkodliwić Buffalo Billa, znajdowała się we właściwym towarzystwie. Crawford zorganizował udane łowy na trzech wielokrotnych morderców. Nie obyło się, co prawda, bez ofiar. Najlepszy dochodzeniowiec w grupie Crawforda, Will Graham, był kiedyś chodzącą legendą Akademii; teraz pił na umór na Florydzie, z twarzą, na którą strach było patrzeć, jak mówiono.

Crawford poczuł chyba jej wzrok na ciemieniu. Podniósł się z fotela i przeszedł do tyłu. Kiedy siedząc obok dziewczyny zapinał pasy, pilot dotknął sterów, żeby poprawić przechył. Crawford zdjął ciemne szkła i założył swoje dwuogniskowe okulary. Z powrotem poczuła, że są starymi znajomymi.

Spojrzał na jej twarz, potem na raport, potem z powrotem na nią. Coś przebiegło mu przez twarz i szybko się ulotniło. Mniej flegma tycz-ny facet okazałby jej może trochę współczucia.

— Gorąco mi. Tobie też? — zapytał. — Bobby, tu jest piekielnie gorąco! — krzyknął do pilota. Bobby poprawił coś i do kabiny wtargnął strumień zimnego powietrza. We włosach Clarice osiadło kilka płatków śniegu.

Jack Crawford zamienił się już w myśliwego. Jego oczy nabrały jasnego, zimnego blasku.

Otworzył akta tam, gdzie znajdowała się mapa środkowej i wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Zaznaczone na niej były miejsca, w których odnaleziono ciała: kilka kropek tak samo niemych i obcych jak gwiazdozbiór Oriona.

Crawford wyjął z kieszeni pióro i zaznaczył najnowsze miejsce: tam, dokąd lecieli.

— Elk River, około dziesięciu kilometrów poniżej drogi federalnej numer 79 — powiedział. — Mielśmy szczęście. Ciało zaczepiło się o kłusowniczą linkę na węgorku. Nie sądzą, żeby długo przebywało w wodzie. Zabrali je do Potter, siedziby władz okręgu. Chcą się szybko dowiedzieć, kim jest ofiara, po to, żebyśmy mogli rozpocząć poszukiwania świadków uprowadzenia. Prześliśmy im odciski palców telefaksem, jak tylko je zdejmiemy. — Crawford uniósł głowę, żeby przyjrzeć się Clarice przez dolną część swoich okularów. — Jimmy Price twierdził, że poradzisz sobie z topielcem.

— Właściwie nigdy nie miałam do czynienia z całym topielcem — odparła. — Zdejmo wałam tylko odciski z dłoni, które pan Price dostawał pocztą każdego dnia. Duża ich część rzeczywiście należała do topielców.

Ci, którzy nigdy nie pracowali pod kierownictwem Jimmy'ego Price'a, wyobrażają sobie, że jest on uroczym starym zrzędą. Jak większość starych zrzęd, na dłuższą metę okazuje się jednak raczej męczący. Kieruje w Waszyngtonie sekcją daktyloskopii. Clarice miała z nim zajęcia na kursie kryminalistyki.

— Ten Jimmy... — odezwał się przyjaźnie Crawford. — Jak to się u was mówi na tych, którzy pierwszy raz...

— „Prawiczek z prosektorium” albo po prostu „Igor”. Taki jest napis na gumowym fartuchu, który tam dają człowiekowi.

— Zgadza się.

— Mówią mu: rób to tak, jakby to była sekcja żaby.

— Rozumiem...

— A potem dają paczuszkę, dopiero co dostarczoną przez kuriera.

Wszyscy biegną to zobaczyć, nie dopijają nawet kawy w kantynie. Czekają, że facet puści pawia. Potrafię bardzo dobrze zdejmować odciski z topielca. W rzeczywistości...

— Dobrze, spójrz teraz tutaj. Pierwsza z jego ofiar, o których wiemy, została odnaleziona w Blackwater River w stanie Missouri, niedaleko miasteczka Long Jack, w czerwcu zeszłego roku. Nazywała się Bimmel, jej zaginięcie zgłoszono dwa miesiące wcześniej, piętnastego kwietnia. Nie możemy dużo na jej temat powiedzieć. Trzy miesiące trwało, zanim ją zidentyfikowaliśmy. Następną ofiarę porwał w Chicago, w trzecim tygodniu kwietnia. Znaleziono ją w rzece Wabash w mieście Lafayette, w stanie Indiana, już dziesięć dni po porwaniu. Dzięki temu mogliśmy powiedzieć, co się z nią działo. Później odnaleźliśmy białą kobietę w wieku lat około dwudziestu. Została wrzucona do Rolling Fork obok drogi numer 65, jakieś siedemdziesiąt dwa kilometry na południe od Louisville, stan Kentucky. Nie udało się, jak dotąd, ustalić jej tożsamości. Następną kobietą o nazwisku Varner, porwana w Evansville, stan Indiana, ciało wrzucone do rzeki Embarras poniżej drogi numer 70, we wschodniej części Illinois.

Potem przeniósł się na południe i utopił kolejną dziewczynę w rzece Conasauga, za miastem Damascus w Georgii, niedaleko drogi numer 75. Nazywała się Kittridge, mieszkała w Pittsburghu. Tutaj jest jej zdjęcie maturalne. Facet ma niebywale szczęście, nikt nie widział go dotąd w chwili, kiedy dokonuje porwania. Nie dostrzegliśmy w jego działaniach żadnej konsekwencji, za wyjątkiem faktu, że topi zwłoki w pobliżu dróg między stanowych.

— A gdybyśmy prześledzili od tyłu najbardziej uczęszczane trasy, prowadzące z miejsc, w których porzuca ciała? Czy przecinają się w jakimś punkcie?

— Nie.

— No, a gdyby... przyjąć, że pozbywa się ciała i uprowadza nową ofiarę podczas tej samej podróży? — pytała Clarice przezornie unikając zakazanego słowa „założyć”. — Najpierw porzuca ciało, na wypadek, gdyby popadł w kłopoty podczas kolejnego porwania. Złapany na próbie uprowadzenia, zawsze zdoła się jakoś wykręcić, jeśli nie ma zwłok w samochodzie. Może należałoby połączyć miejsca każdego nowego uprowadzenia z miejscami porzucenia poprzednich zwłok i poprowadzić wektory do tyłu? Próbował pan tego?

— To dobry pomysł, ale już go sprawdziliśmy. Jeśli rzeczywiście robi obie rzeczy

naraz, podczas jednej podróży, to musi bardzo kluczyć. Przeprowadziliśmy szereg symulacji komputerowych, najpierw

patrzac na zachód, potem na wschód od dróg międzystanowych, następnie układając w najróżniejszy sposób wszelkie dane, które udało nam się uzyskać na temat miejsc porzuceń i uprowadzeń. Daliśmy to wszystko do komputera i tylko dym z niego poszedł. Mieszka we wschodniej części Stanów, powiedział nam. Nie popełnia zbrodni w cyklu miesięcznym. W pobliskich miastach nie odbywały się w tym czasie żadne kongresy. Same tego rodzaju bzdety. Nie, Starling, na razie to on patrzy nam na ręce, a nie my jemu.

— Sądzi pan, że za bardzo mu na życiu zależy, żeby popełnić samobójstwo?

Crawford kiwnął głową.

— Zdecydowanie tak. Odkrył teraz nowy, bardzo dla niego ważny rodzaj doznań i pragnie je jak najczęściej powtarzać. Nie pokładałbym większych nadziei w samobójstwie.

Crawford podał pilotowi kubek wody z termosu. Poczęstował także Clarice, w swoim kubku rozpuścił tabletkę alka-seltzer.

Czuła, jak podchodzi jej do gardła żołądek. Samolot zaczął schodzić do lądowania.

— Kilka spraw, Starling. Oczekuję, że dasz sobie świetnie radę w sprawach technicznych, ale chcę także czegoś więcej. Nie mówisz za wiele, to świetnie, ja też nie należę do rozmownych. Ale nie powinnaś w związku z tym uważać, że aby się do mnie odezwać, musisz mieć koniecznie jakiś nowy fakt w zanadrzu. Nie ma głupich pytań. Widzisz pewne rzeczy, których ja nie widzę, i chcę, żebyś mi o nich mówiła. Może masz jakiś szósty zmysł. Wyłoniła się sposobność, żeby to sprawdzić.

Słuchając go, z podchodzącym do gardła żołądkiem i wyrazem twarzy świadczącym o należyтым zainteresowaniu, Clarice zastanawiała się, od jak dawna Crawford wiedział, że wykorzysta ją w tej sprawie, i jak bardzo zależało mu, by wyłoniła się taka „sposobność”. W porządku, był szefem i jako szef mógł pozwolić sobie na wszystkie te dyrdymały pod hasłem „pomówmy szczerze”.

— Będiesz o nim myślała, zobaczysz miejsca, w których przebywał, zaczniesz go wyczuwać — mówił dalej Crawford. — Nie będziesz go nawet cały czas nienawidzić tak mocno, jakby wypadało. I w końcu, jeśli będziesz miała szczęście, coś z tego, czego się dowiedziałaś, uderzy we właściwą strunę, coś zwróci twoją uwagę. Kiedy coś uderzy we właściwą strunę, nie zapomnij mi o tym powiedzieć.

Posłuchaj, już sama zbrodnia w wystarczającym stopniu może wyprowadzić z równowagi, nie trzeba do tego dodawać jeszcze śledztwa. Nie daj się wyprowadzić z równowagi zgrai policjantów.

Przymknij oczy, patrz do wewnątrz, Starling. Słuchaj samej siebie. Oddziel zbrodnię od tego, co właśnie dzieje się wokół ciebie. Nie staraj się z góry narzucać temu facetowi jakiegoś wzoru postępowania czy symetrii. Pozostań otwarta, poczekaj, aż się sam odsłoni.

Jeszcze jedna sprawa: śledztwo takie jak to jest niczym teatr objazdowy. Prowadzone jest w wielu stanach, przez wielu ludzi, a nie brak wśród nich nieudaczników. Musimy z każdym z nich znaleźć wspólny język, żeby się przypadkiem na nas nie wypięli.

Jedziemy do Potter w Wirginii Zachodniej. Nie wiem nic o ludziach, do których się wybieramy. Mogą być rozsądni, ale mogą też uważać nas za takich, co to wtykają nos w nie swoje sprawy.

Pilot zdjął na chwilę słuchawki z głowy i odezwał się przez ramię.

— Podchodzimy do lądowania, Jack. Zostajesz z tyłu?

— Tak — odparł Crawford. — Koniec szkolenia, Starling.

Rozdział 12

Dom Pogrzebowy Potter, z pomalowanymi na biało drewnianymi belkami, największy budynek przy Potter Street w Potter, w Wirginii Zachodniej, pełni w okręgu Rankin również rolę kostnicy. Koronerem jest lekarz domowy doktor Akin. Jeśli przyczyny śmierci budzą jego wątpliwości, wysyła zwłoki do Regionalnego Centrum Medycznego w Claxton, w sąsiednim okręgu, gdzie zatrudniony jest patolog z prawdziwego zdarzenia.

Z lotniska do Potter Clarice Starling jechała na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu. Żeby usłyszeć, co siedzący za kierownicą zastępca szeryfa ma do powiedzenia Jackowi Crawfordowi, musiała przytknąć głowę do siatki oddzielającej miejsce dla więźnia.

W domu pogrzebowym właśnie miało zacząć się nabożeństwo. Żałobnicy w swoich najlepszych niedzielnych ubraniach zapełnili chodnik między krzakami bukszpanu i tłoczyli się na stopniach, czekając na otwarcie drzwi. Świeżo pomalowany dom i schody odchyłały się lekko od pionu, każde w swoją stronę.

Na prywatnym parkingu z tyłu budynku, gdzie czekały karawany, pod pozbawionym, liści wiązem stało dwóch funkcjonariuszy rezerwy stanowej oraz trzech pomocników szeryfa, dwóch młodych i jeden starszy. Oddechy mężczyzn nie tworzyły obłoczków pary: ociepliło się.

Starling rzuciła na nich okiem, kiedy samochód zajeżdżał na parking, i miała wrażenie, że zna ich od dawna. Wiedziała, że wychowywali się w domach, w których zamiast szaf były przepastne

komody, a ona świetnie знаła ich zawartość. Wiedziała, że ich krewni wieszają odzież w specjalnych torbach na ścianach swoich przyczep campingowych. Wiedziała, że starszy pomocnik szeryfa wychowywał się w domu, w którym po wodę chodziło się do pompy, i że do drogi, którą przejeżdżał szkolny autobus, musiał brodzić przez wiosenne roztopy z butami zawieszonymi na szyi za sznurowadła, tak jak to robił jej ojciec. Wiedziała, że drugie śniadanie nosili do szkoły w poplamionych tłuszczem od wielokrotnego użytku papierowych torbach i że potem składali je starannie i wsuwali do tylnych kieszeni dżinsów.

Zastanawiała się, co wie o nich Crawford.

W tylnych drzwiach samochodu nie było w środku klamki, co Starling dostrzegła dopiero w chwili, gdy kierowca z Crawfordem byli już na zewnątrz i zbliżali się do budynku. Musiała pukać w szybę, aż zwrócił na nią uwagę jeden ze stojących pod drzewem pomocników szeryfa. Kierowca, czerwony jak burak, wrócił, żeby ją wypuścić.

Kiedy przechodziła, policjanci popatrzyli na nią z ukosa.

— Dzień dobry pani — powiedział jeden z nich.

Skinęła im głową i obdarzyła odpowiednim dla ich rangi skromnym uśmiechem. Na tylnym ganku dołączyła do Crawforda.

Kiedy była już dosyć daleko, jeden z młodszych policjantów, świeży żonkoś, podrapał się pod brodą i stwierdził:

— Nie wygląda nawet w połowie tak dobrze, jak przypuszcza.

— No cóż, jeśli myśli po prostu, że wygląda pieruńsko dobrze, to ja gotów jestem się z nią zgodzić — oświadczył drugi młodzieniec. — Wbiłbym się w nią gładko, jak w maskę przeciwgazową Mark Five.

— Zaraz bym miał taaakiego melona, nawet na mrozie — powiedział starszy, nie wiadomo czy do siebie samego, czy do kolegów.

Crawford rozmawiał już z pierwszym zastępcą szeryfa, niskim, schludnym facetem w okularach w drucianej oprawce i miękkich skórzanych butach, które w katalogach znaleźć można pod nazwą „Romeo”.

Stali w ciemnym korytarzu na tyłach budynku. Przy ścianie brzęczał automat z coca-colą, obok znajdowały się najprzeróżniejsze dziwaczne przedmioty: pedałowca maszyna do szycia, trójkołowy rowerek, rolka sztucznej trawy, nawinięta na stelaż płócienna markiza. Na ścianie wisiała wykonana sepia kopia wizerunku świętej Cecylii przy klawikordzie. Miała splecione wokół głowy włosy. Na klawiaturę opadały lekko róże z rozjaśnionego nieba.

— Wdzięczny jestem, że powiadomił nas pan tak szybko, szeryfie — powiedział Crawford,

Pierwszy zastępca natychmiast dał do zrozumienia, że nie ma za co dziękować.

— Zadzwoił do was ktoś z biura prokuratora okręgowego — stwierdził. — Wiem, że nie zrobił tego szeryf. Szeryf Perkins jest właśnie na wycieczce na Hawajach razem z żoną. Rozmawiałem z nim dziś przez telefon o ósmej rano, tam była wtedy trzecia w nocy. Odezwie się jeszcze później, w ciągu dnia. Na razie, i to jest najważniejsze, kazał mi ustalić, czy to nie któraś z naszych miejscowych dziewcząt. Może podrzuciono nam coś z zewnątrz. Musimy to stwierdzić, zanim się do czegokolwiek zabierzemy. Podrzucają nam czasem trupy aż z Phoenix City w Alabamie.

— W tym właśnie możemy pomóc, szeryfie. Jeśli...

— Rozmawiałem z dowódcą rezerw stanowych w Charleston. Przysłała nam kilku specjalistów z sekcji dochodzeniowej. W zupełności nam wystarczą. — Korytarz wypełnił się pomocnikami szeryfa i ludźmi z rezerwy stanowej; pierwszy zastępca miał zdecydowanie zbyt liczną świtę. — Będziemy do waszej dyspozycji, jak tylko to będzie możliwe, możecie na nas liczyć, ale na razie...

— Szeryfie, ten rodzaj przestępstwa seksualnego charakteryzuje się pewnymi aspektami, które wolałbym omówić tylko w męskim towarzystwie, rozumie pan, o co mi chodzi? — powiedział Crawford, wskazując brodą Clarice. Wepchnął małego zastępcę do sąsiadującego z korytarzem zagraconego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Starling została sama, starając się ukryć irytację przed zachowującymi się hałaśliwie mężczyznami. Zaciśnęła mocno zęby i wlepiła oczy w świętą Cecylię odwzajemniając jej eteryczny uśmiech i podsłuchując jednocześnie pod drzwiami. Słyszała podniesione

głosy, potem strzępy rozmowy telefonicznej. Przed upływem czterech minut Crawford z zastępcą pojawili się z powrotem na korytarzu. Zastępca miał zaciśnięte usta.

— Oscar, wejdz od frontu i sprowadź tu doktora Akin. Ma, zdaje się, brać udział w nabożeństwie, ale nie sądzę, żeby już zaczęli. Powiedz mu, że mamy na linii Claxton.

W małym pokoiku zjawił się koroner, doktor Akin. W trakcie krótkiej telefonicznej konferencji z patologiem z Claxton opierał nogę o krzesło postukując się w zęby wachlarzem z Armii Zbawienia. Potem zgodził się na wszystko.

W wytapetowanej w herbaciane róże sali, gdzie przygotowuje się do pochówku zwłoki, pod rzeźbionymi wysoko gzymsami, w domu z pomalowanymi w znany sposób na biało belkami, właśnie tam Clarice Starling po raz pierwszy zetknęła się z dowodem istnienia Buffalo Billa.

Jaskrawozielony, zamknięty szczelnie na suwak pokrowiec na zwłoki był w tym miejscu jedynym współczesnym przedmiotem. Spoczywał na staromodnym porcelanowym stole do balsamowania. Zieleń odbijała się w szklanych drzwiczkach szafek, w ich wnętrzu ustawione były trójgrańce i opakowania z szybko krzepnącym płynem do wypełniania zwłok.

Crawford poszedł z powrotem do samochodu po nadajnik, Clarice tymczasem rozpakowywała swój zestaw na blacie obok dużego podwójnego zlewu przy ścianie.

W pokoju było za dużo ludzi. Kilku pomocników, pierwszy zastępca, wszyscy wcisnęli się do środka i nie zamierzali wcale wyjść. To nie było w porządku. Dlaczego nie przyjdzie tu Crawford i nie wyrzuci ich za drzwi?

Doktor włączył duży zakurzony wentylator. Uniesiona podmuchem, zatrzepotała odstająca od ściany tapeta.

Stojącej przy zlewie Clarice Starling potrzebny był teraz ktoś, kto natchnąłby ją odwagą większą niż skaczący na spadochronie żołnierz piechoty morskiej. Przed oczyma stanął jej obraz, który pomógł, ale zarazem przeszył dotkliwym bólem.

Jej matka stoi przy zlewie i zmywa krew z kapelusza ojca, puszcza nań strumień zimnej wody. Mówi: „Wszystko będzie dobrze, Clarice. Powiedz siostrze i braciom, żeby umyli ręce i siedli do stołu. Musimy porozmawiać, a potem zrobimy kolację”.

Starling zdjęła z szyi chustkę i obwiązała sobie nią włosy, niczym wiejska gospodyni. Ze swego zestawu wyjęła parę chirurgicznych rękawic. Kiedy po raz pierwszy w Potter otworzyła usta, jej głos zabrzmiał z większą niż normalna siłą. Ta siła sprawiła, że Crawford zatrzymał się w progu i słuchał.

— Panowie! Panowie! Mówię do panów. Proszę poświęcić mi chwilę uwagi. Chciałabym się teraz nią zająć. — Trzymała dłonie na wysokości ich twarzy i naciągała rękawice. — Winniśmy jej jeszcze kilka rzeczy. Panowie dostarczyliście ją aż do tego miejsca i wiem, że jej bliscy podziękowaliby wam za to, gdyby mogli. Teraz proszę wyjść i pozwolić mi się nią zaopiekować.

Crawford ujrzał, jak nagle cichną i nabierają szacunku, jak poganiają się wzajemnie szepcząc: „Szybciej, Jess. Wychodzimy na dwór”. Zobaczył, jak zmienia się ich stosunek do zmarłej. Skądkolwiek do nich dotarła, kimkolwiek była, rzeka przyniosła ją właśnie tutaj, w to miejsce, i kiedy tak leżała bezbronna na stole, w tym pokoju, obecność przy niej Clarice Starling nabierała specjalnego znaczenia. Ujrzał, że Starling jest w tym

miejscu spadkobierczynią starych

mądrych wiejskich kobiet, zielarek i znachorek, które zawsze czynią to, co jest konieczne, które pilnują, żeby wszystko obracało się jak w zegarku, a kiedy dla niektórych czas dobiega kresu, myją ich i ubierają przed pochówkiem.

W pokoju razem z ofiarą zostali Crawford, Clarice i lekarz. Doktor Akin i dziewczyna przyglądali się sobie, odkrywając jakby łączące ich pokrewieństwo. Oboje byli dziwnie zmieszani i zarazem dziwnie zadowoleni.

Crawford wyjął fiolkę z wkładkami zapachowymi Vicksa i zaoferował je pozostałym. Starling przyglądała się, co należy z nimi zrobić, a kiedy doktor i Crawford założyli je na nozdrza, zrobiła to samo.

Obrócona tyłem szukała aparatu leżącego na samym spodzie torby z ekwipunkiem. Za sobą usłyszała zgrzyt otwieranego suwaka.

Zamrugwała szybko patrząc na herbaciane róże na ścianie. Nabrała powietrza i wypuściła je z płuc. A potem odwróciła się i spojrzała na ciało leżące na stole.

— Powinni założyć jej na ręce papierowe torby — powiedziała. — Zrobię to, kiedy skończymy. — Wyłączyła automat w aparacie i ustawiając ręcznie ekspozycję, dokładnie sfotografowała ciało.

Ofiara miała szerokie biodra, mierzyła, według taśmy Starling, sto siedemdziesiąt centymetrów. W miejscach pozbawionych skóry jej ciało przybrało pod wpływem wody szary kolor. Ciało przebywało w zimnej wodzie nie dłużej niż kilka dni. Skórę zdjęto poczynając od prostej linii tuż pod piersiami aż do kolan, w miejscu, które u toreadora okrywają spodnie i szarfa.

Miała małe piersi. Pomiędzy nimi, nad mostkiem, widniała szeroka na dłoń rana o postrzępionych brzegach w kształcie gwiazdy — oczywista przyczyna śmierci.

Okrągła czaszka pozbawiona była skóry, poczynając od brwi i uszu aż do samego karku.

— Doktor Lecter mówił, że on zacznie skalpować — stwierdziła Clarice.

Crawford stał ze skrzyżowanymi rękoma i przyglądał się, jak robi zdjęcia.

— Sfotografuj jej uszy — powiedział tylko.

Obchodząc stół, zacisnął gniewnie wargi. Clarice ściągnęła z dłoni rękawiczkę i dotknęła palcem łydki zmarłej. Kawałek linki na węgorze z potrójnymi hakami, o które zaczepiło się i zatrzymało ciało w bystrym prądzie rzeki, wciąż owinięty był wokół nogi.

— Co widzisz, Starling?

— Na pewno nie jest stąd. Ma przedziurawione w trzech miejscach

uszy i lakier na paznokciach. Wygląda na dziewczynę z miasta. Włosy na nogach, sądząc po długości, były usuwane depilatorem mniej więcej dwa tygodnie temu. Niech pan spojrzy, jakie są miękkie. Myślę, że smarowała je kremem. To samo pod pachami. Proszę popatrzeć, jak rozjaśniła sobie włoski nad górną wargą. Bardzo o siebie dbała, nie zdołała zatroszczyć się o siebie tylko w tym jednym krótkim momencie.

— Co powiesz na temat rany?

— Nie wiem. Określiłabym ją jako wyjściową ranę postrzałową, gdyby nie to, że w niektórych miejscach widoczne są otarcia charakterystyczne dla kołnierza wejściowego, a na górze widać odcisk lufy.

— Dobrze. To jest kontaktowa rana wejściowa nad mostkiem. Gazy powstałe w wyniku eksplozji gromadzą się pomiędzy kością a skórą i wybuchając tworzą wokół rany gwiazdę.

Po drugiej stronie ściany rozległo się sapanie organowych piszczałek. W domu pogrzebowym trwało nabożeństwo.

— Śmierć nie oszczędza nikogo — odezwał się doktor Akin kiwając głową. — Muszę być obecny przynajmniej na części nabożeństwa. Rodzina zawsze oczekuje, że będę razem z nią podczas ostatniej posługi. Przyjdzie wam tutaj pomóc Lamar, organista, jak tylko skończy grać. Trzymam pana za słowo, że przekaże pan dowody rzeczowe patologowi z Claxton, panie Crawford.

— Ma złamane dwa paznokcie u lewej ręki — powiedziała Starling po wyjściu doktora. — Wyłamane do tyłu. Pod innymi paznokciami jest coś, co wygląda na brud albo kawałki czegoś twardego. Czy możemy to pobrać?

— Weź próbki brudu, weź także kilka łusek lakieru do paznokci — powiedział Crawford. — Przekażemy im, jak będziemy mieli wyniki.

Pracownik domu pogrzebowego, Lamar, niepozorny człowieczek z czerwonym od whisky nosem, wszedł do środka, kiedy zajmowała się paznokciami.

— Musiała pani być kiedyś manikiurzystką — zauważył.

Z ulgą stwierdzili, że młoda kobieta nie ma śladów od paznokci na wewnętrznej stronie dłoni — znak, że, podobnie jak poprzednie ofiary, zginęła, zanim zaczął się nad nią pastwić.

— Chcesz zdejmować odciski, kiedy będzie leżała na brzuchu? — spytał Crawford.

— Tak będzie łatwiej.

— Wobec tego zbadajmy najpierw zęby. Potem Lamar pomoże nam przewrócić ją na brzuch.

— Tylko zdjęcia czy pełna karta stomatologiczna? — Starling

zamocowała do aparatu przystawkę do robienia zdjęć uzębienia. Z ulgą stwierdziła, że ma w torbie wszystkie potrzebne przybory.

— Tylko zdjęcia — odparł Crawford. — Precyzyjnej karty i tak nie damy rady zrobić bez rentgena. Kilka zaginionych kobiet możemy wyeliminować na podstawie samych zdjęć.

Swymi palcami organisty Lamar otworzył z wielką delikatnością usta młodej kobiety. Odwinął wargi, a Starling przystawiła jej tuż do twarzy polaroid, żeby zrobić zdjęcie przednich zębów. Ta część była łatwa, teraz jednak musiała sfotografować zęby trzonowe. Po natężeniu prześwitującego przez policzek światła należało poznać, czy właściwie skierowana jest lampa w aparacie. Nigdy tego nie robiła, przyglądała się tylko raz na zajęciach z kryminalistyki.

Obejrzała pierwszą odbitkę, poprawiła światło i spróbowała jeszcze raz. Ta odbitka była lepsza. Była bardzo dobra.

— Ona ma coś w gardle — oznajmiła.

Crawford popatrzył na zdjęcie. Tuż pod miękkim podniebieniem widniał ciemny cylindryczny kształt.

— Daj mi latarkę.

— Kiedy ciało przebywa w wodzie, często ma w ustach liście i inne rzeczy — zauważył Lamar pomagając Crawfordowi zajrzeć do gardła ofiary.

Clarice wyjęła ze swojej torby szczypczyki. Stojąc po drugiej stronie ciała spojrzała na Crawforda. Kiwnął głową. Wydobyć przedmiotu zabrało jej tylko sekundę.

— Co to jest, strąk z nasionami? — zapytał Crawford.

— Nie, proszę pana, to kokon jakiegoś owada — stwierdził Lamar. Miał rację.

Clarice włożyła to do słoika.

— Może chcecie, żeby rzucił na to okiem facet z biura okręgowego? — spytał Lamar.

Po obróceniu ciała na brzuch nietrudno było zdjąć odciski palców. Clarice przygotowała się na najgorsze — ale nie musiała stosować żadnej ze żmudnych i precyzyjnych metod polegających na wstrzykiwaniu w opuszkę substancji utwardzających albo usztywnianiu palca w specjalnym stelażu. Zdjęła odciski korzystając z urządzenia podobnego do łyżki do butów, w które wkładało się kartę daktyloskopijną. Zrobiła również serię odcisków dłoni, na wypadek, gdyby do ewentualnych porównań dysponowali jedynie szpitalnymi odciskami stóp noworodka.

Wysoko na ramionach brakowało dwóch trójkątnych kawałków skóry. Clarice zrobiła zdjęcia.

— Zmierz je — polecił Crawford. — Skaleczył także tę dziewczynę z Akron, kiedy ściągał z niej ubranie. Skaleczenie nie było duże, pasowało do nacięcia z tyłu bluzki, którą odnaleźliśmy przy drodze. To tutaj to coś nowego. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

— Z tyłu na łydce jest coś, co wygląda jak ślad po oparzeniu — powiedziała Clarice.

— U starych ludzi często można coś takiego spotkać — odezwał się Lamar.

— Co? — spytał Crawford.

— Powiedziałem, że u starych ludzi często można coś takiego spotkać.

— Słyszałem, co pan powiedział. Chcę, żeby pan to wyjaśnił. O co chodzi z tymi starymi ludźmi?

— Starzy ludzie często noszą na piersi termofor i po śmierci robi się od niego oparzenie, nawet jeżeli wcale nie jest taki gorący. Termofor parzy umarłego. Pod skórą nie ma już krążenia.

— Poprosimy patologa z Claxton, żeby to sprawdził. Niech ustali, czy oparzenie miało miejsce przed śmiercią — powiedział Crawford do dziewczyny.

— To chyba od tłumika — odezwał się Lamar.

— Od czego?

— Od tłumika w samochodzie. Faceci, którzy zakatrupili kiedyś Billy'ego Petrie, zapakowali go potem do bagażnika jego własnego samochodu. Żona biedaka jeździła tym samochodem dwa albo trzy dni, wszędzie go szukała. Kiedy go tu w końcu przywieźli, miał wypalone miejsce na udzie, zupełnie takie samo jak tutaj. Pod bagażnikiem był gorący tłumik — stwierdził Lamar. — W moim wozie nie mogę wkładać zakupów do bagażnika, rozpuszczają się lody.

— Sprytnie to pan wymyślił, Lamar, żałuję, że pan dla nas nie pracuje — stwierdził Crawford. — Czy zna pan tych facetów, którzy znaleźli ją w rzece?

— To Jabbo Franklin i jego brat Bubba.

— Czym się zajmują?

— Rozrabiają cały czas w barze „Moose'a”. Zaczepiają ludzi, którzy nie zamierzają im wcale wchodzić w drogę. Człowiek wpada na przykład do „Moose'a” na jednego głębszego, żeby przez chwilę chociaż nie oglądać zażawionych twarzy żałobników, i od razu słyszy: „Siadaj, Lamar, i graj »Filipino Baby«”. Zmuszać człowieka, żeby grał „Filipino Baby” na tym starym barowym pianinie, z klejącymi się do palców klawiszami — to właśnie uwielbia Jabbo. „No to wymyśl

jakieś cholerne słowa, jeśli nie znasz tych właściwych — mówi — i zrób tak, żeby się rymowało”. Gdzieś koło Bożego Narodzenia dostaje czek od organizacji weteranów i rusza w tango po całej Wirginii. Od piętnastu lat czekam, kiedy go do mnie przywiożą.

— Musimy mieć testy serotoninowe miejsc, gdzie zaczęły się haczyki — powiedział Crawford. — Wyślę notatkę patologowi.

— Za gęsto zahaczają — oznajmił Lamar.

— Co pan powiedział?

— Franklinowie zarzucają linkę na węgorki z hakami umocowanymi zbyt blisko siebie. To niezgodne z przepisami. Dlatego pewnie nie zawiadomiali policji, aż do dzisiejszego ranka.

— Szeryf twierdzi, że to byli myśliwi polujący na kaczki.

— Bo mu wcisnęli ten kit. To starzy kanciarze — stwierdził Lamar. — Opowiadają, że na turnieju zapasów w Honolulu położyli na macie samego Duke'a Keomukę i że występowali tam razem z Satellite Monroe. Może pan w to wierzyć, jak pan chce. Kiedy przyjdzie komuś ochota zapolować na bekasy, proszę bardzo, zabierają go ze sobą i w odpowiedniej chwili wypuszczają wrony z worka.

— Jak to, według ciebie, było, Lamar?

— Linkę zarzucili Franklinowie, to jest ich klusownicza linka z nieprzepisowymi haczykami. Potem podciągnęli ją do góry, żeby zobaczyć, czy coś się nie złapało.

— Dlaczego tak uważasz?

— Ta pani nie dojrzała jeszcze do tego, żeby popłynąć.

— Nie.

— Więc gdyby nie podciągali linki, nigdy by jej nie znaleźli. W pierwszej chwili obleciał ich strach i uciekli, dopiero potem zawiadomili policję. Sądzę, że będzie pan chciał poinformować o tym urząd łowiecki.

— Z pewnością — odparł Crawford.

— Za tylnym siedzeniem swojego ramchargera ciągle wożą telefon na korbę, a za to grozi duża grzywna albo idzie się do paki. Crawford uniósł brwi.

— Telefon na korbę — wyjaśniła Clarice — to urządzenie do ogłuszania ryb prądem elektrycznym. Wrzuca się gołe druty do wody i przekręca korbę. Ryby wypływają na powierzchnię i można je wygarniać podbierakiem.

— Dokładnie tak — potwierdził Lamar. — Czy pani pochodzi z tych stron?

— Nie tylko tutaj to robią — odparła.

Clarice czuła potrzebę powiedzenia czegoś, zanim zasuną suwak z powrotem, potrzebę uczynienia jakiegoś gestu, wyrażenia w jakiś

sposób wypełniających ją uczuć. Zamiast tego potrząsnęła tylko głową i zabrała się do

pakowania rzeczy.

Kiedy ciało i problem zniknęły z zasięgu wzroku, poczuła się inaczej. W tym krótkim momencie, kiedy nie miała się czym zająć, wróciło do niej wszystko, co przed chwilą robiła. Ściągnęła rękawiczki i odkręciła kran. Odwrócona plecami do pokoju polewała nadgarstki. Ale woda w rurach nie była wcale taka zimna. Lamar obserwował ją przez chwilę i zniknął w korytarzu. Powrócił z zimną nie otwartą puszką coli z automatu. Podał ją dziewczynie.

— Nie, dziękuję — odparła. — Nie chce mi się pić.

— Proszę tylko potrzymać puszkę, o tutaj, pod szyją — powiedział Lamar — i przy tym małym wypukłym miejscu z tyłu głowy. Chłód przyniesie pani ulgę. Ja sam zawsze to robię.

Kiedy Clarice nalepiła na suwak torby gotową notatkę dla patologa, na blacie biurka brzęczał już przenośny telefaks Crawforda.

To, że odnaleźli ciało tak szybko, stanowiło szczęśliwy traf. Crawford zdecydowany był szybko je zidentyfikować i rozpocząć przeczesywanie okolic domu ofiary w poszukiwaniu świadków uprowadzenia. Jego metoda przysparzała wszystkim wiele kłopotów, ale należała do najszybszych.

Crawford miał nadajnik typu Litton Policefax. W przeciwieństwie do telefaksów używanych na ogół przez służby federalne, Policefax współpracuje z większością systemów, którymi posługuje się policja w dużych metropoliach. Karta ze zdjętymi przez Clarice odciskami prawie już wyschła.

— Załaduj ją ty, Starling, masz zgrabniejsze palce.

Nie pobrudź jej paluchami, to było to, co naprawdę miał na myśli. Udało się, choć nie było wcale łatwo, nałożyć sklejoną, składającą się z dwu warstw kartę na specjalny bęben. Na przekaz oczekiwano jednocześnie w sześciu ośrodkach łącznościowych w różnych częściach kraju.

Crawford połączył się z telefoniczną centralą FBI i centrum telefaksowym w Waszyngtonie.

— Dorothy, czy wszyscy nas słuchają? Świetnie, panowie, proszę dostroić częstotliwość na sto dwadzieścia, żeby obraz był ostry i wyraźny. Czy wszyscy mają sto dwadzieścia? Atlanta, co z tobą? Świetnie, zaczynamy przekaz... start.

Bęben zaczął się obracać z niską, zapewniającą lepszą jakość obrazu szybkością. Odciski zmarłej kobiety docierały jednocześnie do centrów telekomunikacyjnych FBI i policji w większych miastach Wybrzeża Wschodniego. Jeśli w Chicago, Detroit albo Atlancie

komputer trafi na te odciski w swoim banku danych, poszukiwania mogą się zacząć w ciągu kilku minut.

Potem Crawford przekazał fotografie użębienia ofiary i zdjęcia jej twarzy, owiniętej przez Clarice ręcznikiem, na wypadek gdyby dostały się w ręce brukowej prasy.

Kiedy wychodzili, przybyło właśnie trzech funkcjonariuszy sekcji dochodzeniowej z Wirginii Zachodniej. Crawford ścisnął wszystkim wylewnie dłonie i wręczał wizytówki z numerem państwowego centrum informacji kryminalnej. Clarice z zainteresowaniem obserwowała, jak szybko nawiązywał z nimi oparte na męskiej solidarności, przyjazne

stosunki. Na pewno przedzwonią i przekażą wszystko, czego się dowiedzą, może być o to spokojny. Wymieniali zobowiązania i wyrazy wdzięczności. A może nie była to tylko męska solidarność, pomyślała; na nią to również działało.

Stojący na ganku Lamar pomachał dłonią Crawfordowi i Clarice, odjeżdżającym w kierunku Elk River. Coca-cola była nadal wspaniale oziębiona. Lamar zabrał ją do składziku i zrobił sobie orzeźwiający koktajl.

Rozdział 13

— Podrzucić mnie do laboratorium, Jeff — powiedział kierowcy Crawford. — Potem chciałbym, żebyś poczekał na inspektor Starling przy muzeum Smithsonian. Stamtąd zawieziesz ją do Quantico.

— Tak jest, sir.

Przejeżdżali właśnie Potomac w drodze z lotniska krajowego do centrum Waszyngtonu, naprzeciw wieczornej fali opuszczających miasto samochodów.

Młody człowiek za kierownicą miał, zdaje się, lekkiego pietra przed Crawfordem i prowadził wyjątkowo ostrożnie. Trudno mu się dziwić, pomyślała Clarice. W Akademii powszechnie znany był los agenta, który zblamował się ostatnio pod komendą Crawforda: tropił teraz kieszonkowców wzdłuż linii wczesnego ostrzegania, za kołem podbiegunowym.

Crawford nie był w dobrym humorze. Już dziewięć godzin minęło, jak przesłał odciski palców i fotografie ofiary, wciąż jednak nie odkryto jej tożsamości. Wspólnie z Clarice i ludźmi z rezerwy stanowej przeszukiwał aż do zmroku most i brzeg rzeki. Niestety, bez rezultatu.

Dziewczyna słyszała w samolocie, jak przez telefon załatwiał nocną wizytę pielęgniarki.

W porównaniu z kabiną „Blue Canoe”, w limuzynie FBI z cywilną rejestracją zdawała się panować niczym nie zmacona cisza. Łatwiej było rozmawiać.

— Kiedy oddam odciski do sekcji identyfikacyjnej, uruchomię gorącą linię i Katalog Cech Utajonych — oświadczył Crawford. — Naszkicuj mi wkładkę do katalogu. Wkładkę, nie pełny raport. Wiesz, jak to się robi?

— Tak, wiem.

— Załóżmy, że masz przed sobą komputer, powiedz, co masz nowego.

Zastanawiała się przez chwilę. Wdzięczna była, że Crawford zainteresował się nagle rusztowaniem wokół mijanego pomnika Jeffersona.

Katalog Cech Utajonych w banku danych sekcji identyfikacyjnej porównuje charakterystyczne cechy zbrodni, będącej przedmiotem śledztwa, ze znanymi inklinacjami zarejestrowanych przestępców. Kiedy odnajduje znaczące podobieństwa, prezentuje podejrzanych razem z ich odciskami palców. Następnie obsługujący komputer operator porównuje zarejestrowane odciski z odciskami odnalezionymi w miejscu przestępstwa. Nie posiadano dotychczas odcisków Buffalo Billa, ale Crawford chciał być gotowy.

System wymaga krótkich, zwięzłych sformułowań. Clarice starała się odnaleźć te

właściwe.

— Biała kobieta, lat około dwudziestu, śmiertelny postrzał, zdarta skóra z dolnej części tułowia i ud...

— Starling, komputer już wie, że on zabija młode białe kobiety i że zdejmuje skórę z ich tułowia, a propos, użyj zwrotu „zdjęta”, „zdarta” jest rzadszy, inny funkcjonariusz może go nie użyć. Poza tym nigdy nie wiadomo, czy ta piekielna maszyna rozumie synonimy. Wie już także, że on topi je w rzekach. Nie wie, co nowego odkryliśmy właśnie tutaj. Jakie są nowe fakty, Starling?

— To szósta z kolei ofiara, pierwsza oskalpowana, pierwsza z wyciętymi trójkątnie fragmentami skóry na łopatkach, pierwsza postrzelona w klatkę piersiową, pierwsza z kokonem w gardle.

— Zapomniałaś o złamanych paznokciach.

— Nie, sir, to już druga ze złamanymi paznokciami.

— Masz rację. Słuchaj, wpisując dane zaznacz, że informacja o kokonie jest zastrzeżona. Będziemy się nią posługiwać do wyeliminowania fałszywych sprawców.

— Zastanawiam się, czy nie robił tego już wcześniej... to znaczy, czy nie wkładał kokonu albo owada — powiedziała Clarice. — Łatwo jest nie zauważyć takiej rzeczy podczas autopsji, zwłaszcza jeśli się ma do czynienia z topielcem. Wie pan, lekarz widzi oczywistą przyczynę śmierci, jest gorąco i chce się z tym wszystkim szybko uporać... Czy możemy sprawdzić poprzednie zwłoki?

— Jeśli będziemy musieli. Na patologach możesz polegać, zawsze przysięgną ci, że niczego nie pominęli. Ta dziewczyna z Cincinnati, Jane Doe, wciąż leży w lodówce. Poproszę, żeby na nią spojrzeli, ale cztery pozostałe są już pochowane. Ekshumacja denerwuje ludzi. Musieliśmy to zrobić w przypadku czterech pacjentów, którzy zmarli podczas kuracji, zaaplikowanej im przez doktora Lectera, po to tylko, żeby upewnić się, jaka była rzeczywista przyczyna śmierci. Powiem ci: jest z tym zawsze masa kłopotów. Bardzo źle znoszą to krewni. Zrobię to, jeśli będę musiał, ale najpierw zobaczymy, co uda ci się zwojować w muzeum.

— Skalpowanie... to coś rzadkiego, prawda?

— Tak, to niezwykle — potwierdził Crawford.

— Ale doktor Lecter przewidział, że do tego dojdzie. Skąd wiedział?

— Wcale tego nie wiedział.

— A jednak mówił o tym.

— Nie dziwiło mnie to tak bardzo. Właściwie powinienem powiedzieć, że to było niezwykle aż do sprawy Mengela, pamiętasz? Skalpował kobiety. Małpowano go potem dwa albo trzy razy. Szmatławce, rozpisując się na temat przezwiska Buffalo Billa, podkreślały wielokrotnie, że ten morderca nie zdejmuje skalpów. Po tym wszystkim nie jest to żadna niespodzianka — prawdopodobnie idzie za podszeptem mass mediów. Lecter po prostu zgadywał. Nie powiedział, kiedy dokładnie zacznie skalpować, więc nie bał się, że się pomyli. Jeśli złapalibyśmy Billa i żadna z jego ofiar nie zostałaby oskalpowana, Lecter zawsze mógł powiedzieć, że wpadł w nasze ręce, zanim zaczął to robić.

— Doktor Lecter powiedział również, że Buffalo Bill mieszka w piętrowym domu. Nigdy

o tym nie mówiliśmy. Dlaczego, według pana, tak twierdzi?

— Tym razem to nie zgadywanka. Najprawdopodobniej ma rację i mógłby ci to wyjaśnić, ale wolał się z tobą podroczyć. To jedyny słaby punkt, jaki w nim widzę. Chce uchodzić za wielkiego spryciarza. Stara się o to od lat.

— Powiedział pan, że bym pytała, jeśli czegoś nie rozumiem. Więc dobrze, niech pan to wyjaśni.

— W porządku, dwie ofiary zostały powieszona, prawda? Wyraźne

ślady od sznura, przemieszczenia tkanki na karku, nie ma żadnych wątpliwości. A doktor Lecter z własnego doświadczenia wie, jak trudno jest powiesić ofiarę wbrew jej woli. Od niepamiętnych czasów ludzie wieszają się sami nawet na klamkach od drzwi. Wieszają się siadając, to łatwe. Ale nadzwyczaj trudno jest powiesić kogoś innego, nawet związanego. Ofiara zawsze zdoła oprzeć się o coś stopami, jeśli tylko ma pod sobą jakieś oparcie. Nie zmusisz jej do wejścia na drabinę. Nie wdrapie się na nic z zawiązanymi oczami, a już na pewno nie, jeśli czuje na szyi pętlę. Całą sprawę załatwia się na schodach. Schody to rzecz dobrze znana. Można powiedzieć ofierze, że zabiera się ją do łazienki, czy gdziekolwiek, wprowadzić na górę z kapturem zarzuconym na głowę, zarzucić pętlę i strącić z najwyższego stopnia, ze s/nurem przywiązany do balustrady na piętrze. To jedyny sposób, żeby powiesić kogoś w domu. Spopularyzował go pewien facet w Kalifornii. Gdyby Bill nie miał w domu schodów, zabijałby je w inny sposób. A teraz podaj mi nazwiska pierwszego zastępcy w Potter i najwyższego rangą oficera z policji stanowej.

Clarice odnalazła nazwiska w notatniku przyświecając sobie trzymaną w zębach minilatarką.

— Dobrze — stwierdził Crawford. — Kiedy rzucasz coś na gorącą linię, nie zapomnij wymienić z nazwiska każdego gliniarza. Słyszą to i od razu robi im się cieplej na sercu, zaczynają mieć przyjazny stosunek do tego wynalazku. Nadzieja przyszłej sławy każe im zawiadomić nas, kiedy przypadkiem coś odkryją. Skąd wzięło się, według ciebie, oparzenie na nodze?

— To zależy, czy powstało już po śmierci.

— A jeżeli tak?

— W takim razie facet ma furgonetkę albo mikrobus, w każdym razie coś długiego.

— Dlaczego?

— Bo ślad biegnie z tyłu łydki.

Znajdowali się na rogu Dziesiątej Ulicy i Pennsylvania Avenue, przed wejściem do nowej siedziby FBI, której chyba nikt z dobrej woli nie nazywa J. Edgar Hoover Building.

— Jeff, możesz mnie tu zostawić — odezwał się Crawford. — W tym miejscu, nie musisz zjeżdżać na dół. Zostań w samochodzie, otwórz tylko bagażnik. Chodź, Starling, pokaż, o co chodzi z tą oparzeliną.

Wysiadła razem z Crawfordem. Przeszedł do tyłu, żeby wyjąć z bagażnika telefaks i swoją walizeczkę.

— Przewoził ciało w czymś na tyle długim, żeby mogło leżeć

wyciągnięte na plecach — powiedziała. — Tylko w ten sposób tylna część łydki mogła leżeć na podłodze nad rurą wydechową. W bagażniku takim jak ten musiałby ją ułożyć

na boku i...

— Tak, wiem, o co chodzi — przerwał jej Crawford. Zdała sobie sprawę, że kazał jej wyjść z samochodu, żeby porozmawiać na osobności.

— Kiedy powiedziałem pierwszemu zastępcy, że nie będę mówić o pewnych sprawach w obecności kobiety, wściekłaś się, prawda?

— Pewnie.

— To był tylko wybieg. Chciałem rozmówić się z nim w cztery oczy.

— Wiem.

— To dobrze. — Crawford zatrzasnął bagażnik i odwrócił się do niej tyłem.

Clarice nie mogła przepuścić takiej okazji.

— To ważne, panie Crawford.

Obracał się do niej z powrotem, obładowany telefaksem i walizką, zaciekawiony tym, co może od niej usłyszeć.

— Ci gliniarze wiedzą, kim pan jest — powiedziała. — Patrzą na pana i uczą się odpowiednio postępować. — Wzruszyła ramionami i rozłożyła dłonie. Trudno było odmówić jej racji.

Crawford przestawił swoją wewnętrzną podziałkę na trochę cieplej.

— Słusznie to zauważyłaś. A teraz idź i zajmij się tym owadem.

Patrzyła, jak odchodzi: obładowany bagażem i skołatany po długim locie facet w średnim wieku, z ubabranymi nadrzecznym błotem mankietami spodni. Wracał do domu, gdzie czekało go to, co czekało.

W tym momencie dałaby się za niego zabić. Na tym właśnie polegał jeden z wielkich talentów Jacka Crawforda.

Rozdział 14

Muzeum Historii Naturalnej im. Smithsona było już zamknięte, ale Crawford telefonował wcześniej i przy wejściu od Constitution Avenue czekał na Clarice strażnik.

W budynku panował półmrok, powietrze było nieruchome. Tylko zwrócona ku wejściu twarz olbrzymiego posągu korsarza mórz południowych błyszcząca w świetle słabej, zawieszanej u sufitu lampy.

Przewodnikiem Clarice Starling był wysoki Murzyn w eleganckim mundurze strażnika muzeum. Kiedy uniósł w windzie głowę do góry, pomyślała, że kubek w kubek przypomina posąg korsarza. Ta bezsensowna myśl przyniosła jej chwilę ulgi, tak jakby rozmasowała bolące miejsce.

Na drugiej kondygnacji, powyżej wielkiego wypchanego słonia, rozciągał się obszar zamknięty dla publiczności. Dzielił go między siebie dział antropologiczny i entomologiczny. Antropolodzy stoją na stanowisku, że piętro jest czwarte, entomolodzy — że trzecie. Kilku naukowców z działu rolnictwa twierdzi, że w rzeczywistości piętro jest szóste i że mają na to niezbita dowody. W starym, pełnym przybudówek i antresoli

budynku każda ze stron ma argumenty na poparcie swoich racji.

Strażnik prowadził Starling przez mroczny labirynt korytarzy. Przy ścianach stały drewniane skrzynki z okazami. Ich zawartość zdradzały jedynie małe tabliczki.

— Tysiące ludzi leży w tych skrzyniach — oznajmił. — Czterdzieści tysięcy eksponatów.

Przechodząc oświetlał latarką numery pokojów i tabliczki na skrzynkach.

Rytualne czaszki przodków i używane przez Dajaków nosidła dla dzieci ustąpiły miejsca mszycom. Opuścili królestwo człowieka i zagłębił się w o wiele starszy i bardziej uporządkowany świat owadów. Teraz przy ścianach stały metalowe pudła pomalowane na jasnozielony kolor.

— Trzydzieści milionów owadów — a na samej górze pająki. Niech pani tylko nie zalicza przypadkiem pajaków do owadów — doradził jej życzliwie strażnik. — Faceci od pajaków nie zostawiliby na pani suchej nitki. To tutaj, w tym pokoju, gdzie pali się światło. Niech pani nie próbuje wracać sama. Jeśli nie będą chcieli pani odprowadzić, proszę do mnie zadzwonić z tego korytarza, tam jest posterunek strażnika. Przyjdę po panią.

Zostawił jej kartkę z numerem telefonu i poszedł.

Była w samym sercu entomologii, na okrągłej galerijce zawieszanej wysoko nad wypchanym słoniem. W pokoju paliło się światło, drzwi były otwarte.

— Twój ruch, Pilch! — męski głos, drżący z podniecenia. — No, dalej. Twój ruch.

Clarice stanęła w progu. Przy laboratoryjnym stoliku siedzieli grając w szachy dwóch mężczyzn. Obaj mieli koło trzydziestki, jeden był chudy i czarnowłosy, drugi pękaty, z kręconymi rudymi włosami. Przy szachownicy wydawali się więksi niż w rzeczywistości. Nawet jeśli zauważyli dziewczynę, nie dali tego po sobie poznać. Nawet jeśli widzieli posuwającego się powoli po szachownicy, błędzącego między

figurami i pionkami olbrzymiego żuka, to też nie zdradzali nim zainteresowania.

Nagle żuk przekroczył skraj pola.

— Twój ruch, Roden — odezwał się natychmiast chudy. Grubas przesunął lafra i natychmiast obrócił żuka o sto osiemdziesiąt stopni skłaniając go do podjęcia z powrotem trudnej wędrówki.

— Jeżeli żuk zejdzie z szachownicy z tej samej strony, czy wtedy też skończy się czas na zrobienie ruchu? — spytała Clarice.

— Oczywiście, że się kończy — odparł głośno grubas nie podnosząc wzroku. — Oczywiście, że tak. A ty, jak grasz? Zmuszasz go do przejścia całego pola? Kogo masz za przeciwnika, leniwca?

— Mam ze sobą okaz, w sprawie którego telefonował agent specjalny Crawford.

— Nie wiem, dlaczego nie usłyszeliśmy policyjnych syren — z przekąsem zauważył grubas. — Czekamy tu całą noc, żeby zidentyfikować robala dla FBI. Robale to wszystko, czym się zajmujemy. Nikt nic nie mówił na temat okazu agenta specjalnego Crawforda. Swój okaz powinien pokazać swojemu lekarzowi domowemu, na osobności. Twój ruch, Pilch!

— Z przyjemnością zapoznam się z całą waszą procedurą innym razem — powiedziała Clarice — ale sprawa jest pilna i zajmiemy się nią już teraz. Twój ruch, Pilch!

Brunet obrócił się w jej kierunku. Stała z walizką w ręku opierając się o framugę drzwi.

Umieścił żuka w pudełku, na jakimś spróchniałym kawałku drzewa i przykrył go liściem sałaty.

Kiedy wstał, był całkiem wysoki.

— Jestem Noble Pilcher — przedstawił się — a to Albert Roden. Życzy sobie pani zidentyfikować insekta? Będziemy szczęśliwi, mogąc pani pomóc.

Pilcher miał pociągłą, przyjazną twarz, ale jego czarne oczy były osadzone zbyt blisko siebie i trochę niesamowite. W jednym z nich, lekko zezującym, odbijało się światło. Nie podał jej ręki.

— Pani...?

— Clarice Starling.

— Spójrzmy, co nam pani przyniosła. Pilcher przybliżył słoik do lampy. Roden podszedł, żeby rzucić okiem.

— Gdzie go pani znalazła? Zastrzeliła go pani ze swojego dużego pistoletu? Widziała pani jego mamusię?

Clarice zastanawiała się, jak bardzo przydałby się Rodenowi krótki sierpowy wymierzony łokciem w spojenie szczęki.

— Cicho — odezwał się Pilcher. — Proszę nam powiedzieć, gdzie go pani znalazła. Czy był przymocowany do gałązki, czy do liścia — a może tkwił w ziemi?

— Rozumiem — stwierdziła. — Nikt z wami nie rozmawiał.

— Prezes poprosił, żebyśmy zostali po godzinach i zidentyfikowali robaka dla FBI — powiedział Pilcher.

— Kazał nam — wtrącił Roden — kazał nam zostać po godzinach.

— Robimy to zawsze dla urzędu celnego i ministerstwa rolnictwa — odparł Pilcher.

— Ale nie w środku nocy — zaprotestował Roden.

— Będę musiała zaznajomić was z kilkoma detalami dotyczącymi sprawy, w której toczy się śledztwo — oświadczyła Clarice. — Wolno mi to zrobić pod warunkiem, że nie wyjawicie nic nikomu do czasu zakończenia sprawy. To ważne. Od tego zależy życie paru osób i nie mówię tego tylko tak sobie. Doktorze Roden, czy obiecuje pan zachować to, co tu powiem, w tajemnicy?

— Nie jestem doktorem. Czy będę musiał coś podpisać?

— Nie, jeżeli warte jest coś pańskie słowo. Będzie pan musiał podpisać protokół odbioru tego okazu, jeśli pozostawienie go tutaj okaże się konieczne, to wszystko.

— Oczywiście, że pani pomogę. Nie jestem taki nieużyty.

— Doktorze Pilcher?

— To prawda — potwierdził Pilcher. — On nie jest taki nieużyty.

— Zachowa pan dyskrecję?

— Nie powiem nikomu.

— Pilch także nie jest doktorem — wtrącił Roden. — Mamy identyczne kwalifikacje naukowe. Ale proszę zauważyć, z jakim spokojem pozwolił się tytułować. — Przystawił sobie do podbródka palec wskazujący, jakby chciał zwrócić uwagę na to, że przybiera właśnie poważny wyraz twarzy. — Proszę nam podać wszystkie szczegóły. To co, według pani, nie odgrywa żadnej roli, dla specjalisty może się okazać bezcenną informacją.

— Owad został odnaleziony w gardle ofiary morderstwa nieco poniżej miękkiego podniebienia. Nie wiem, jak się tam znalazł. Ciało odnaleziono w Elk River w Wirginii Zachodniej. Śmierć nastąpiła przed kilkoma dniami.

— To Buffalo Bill, słyszałem o tym przez radio — powiedział Roden.

— Nic tam nie mówili o owadzie, prawda? — zapytała Clarice.

— Nie, ale wymienili nazwę rzeki: Elk River. Przyjeżdża pani właśnie stamtąd, dlatego tak późno?

— Tak — odpowiedziała.

— Musi pani być zmęczona, może zrobię kawę? — zaproponował Roden.

— Nie, dziękuję.

— Wody?

— Nie.

— Coca-coli?

— Nie, nie mam ochoty. Chcemy dowiedzieć się, gdzie ta kobieta została uwięziona i gdzie ją zabito. Mamy nadzieję, że ten owad występuje na jakimś określonym obszarze albo że jest bardzo rzadki, rozumiecie, albo że żeruje wyłącznie na jakimś jednym gatunku drzewa. Chcemy wiedzieć, skąd się wziął. Prosiłam o dyskrecję, ponieważ jeżeli zabójca umieścił go tam rozmyślnie, wie o tym tylko on i dzięki temu będziemy mogli wyeliminować fałszywych sprawców i zaoszczędzić trochę czasu. Zabił już co najmniej sześć kobiet. Nie mamy ani chwili do stracenia.

— Czy myśli pani, że trzyma gdzieś następną kobietę, właśnie w tej chwili, kiedy przyglądamy się temu robakowi? — spytał Roden. Patrzył jej w twarz rozszerzonymi oczami, usta miał uchylone, widziała jego język. Uciekła wzrokiem gdzie indziej.

— Nie wiem. — Lekki dreszcz, że może jednak. — Nie wiem — powtórzyła, odsuwając od siebie tę myśl. — Zrobi to tak prędko, jak tylko będzie mógł.

— W takim razie i my musimy zrobić to tak prędko, jak tylko możemy — stwierdził Pilcher. — Proszę się nie martwić, znamy się na swojej robocie. Nie mogła pani trafić w lepsze ręce. — Cienkimi szczypczykami wyjął ciemny przedmiot ze słoika i położył pod lampą na kartce białego papieru. Przysunął zamontowane na ruchomym ramieniu szkło powiększające.

Owad był długi i wyglądał jak mumia. Tkwił w półprzeźroczystej osłonie, dopasowanej do jego kształtów niczym sarkofag. Odnóża i czułki przylegały ściśle do ciała, wyglądały jak wyryte na płaskorzeźbie. Mała twarzączka spoglądała rozumnie.

— Po pierwsze, nie jest to gatunek, który samodzielnie wtargnąłby do wnętrza organizmu, w normalnych okolicznościach nie przebywa również w wodzie — powiedział Pilcher. — Nie wiem, ile pani wie o owadach i ile chce się dowiedzieć.

— Powiedzmy, że jestem zupełną ignorantką. Chcę, żeby powiedział mi pan wszystko.

— Dobrze, więc to jest poczwarka, stadium przejściowe owada. Poczwarka otoczona jest oprzędem, czyli kokonem, w którym spoczywa, aż do momentu przeobrażenia się w dorosłego osobnika — objaśniał Pilcher.

— Typ poczwarki? — Roden zmarszczył nos, żeby przytrzymać zsuwające się okulary.

— Zamknięta. Chcesz zdjąć kokon z niedojrzałego osobnika? Dobrze, mamy tu zatem poczwarkę dużego owada. To stadium przechodzi większość bardziej rozwiniętych gatunków. Wiele z nich spędza w ten sposób zimę.

— Książka czy szkiełko, Pilch? — pytał Roden.

— Rzucę na to w pierw okiem. — Pilcher położył okaz na szkiełku mikroskopu i pochylił się nad tubusem. W ręku trzymał dentystyczny szpikulec. — Jedziemy: brak wykształconego układu oddechowego na obszarze grzbietowym, pojedyncze przetchlinki na tułowiu i odwłoku. Na razie tyle.

— Hmm — odparł Roden przewracając kartki małego podręcznika. — Żuwaczki?

— Brak.

— Para szczęk w pancerzach przy wardze dolnej?

— Tak, ma.

— Czułki?

— Przymocowane przy pierwszej parze skrzydeł. Druga para skrzydeł całkowicie zasłonięta. Oswobodzone są tylko trzy dolne segmenty odwłoku. Odwłok stożkowaty, ostro zakończony... sądzą, że to luskoskrzydłe, *Lepidopterae*.

— To samo piszą tutaj — powiedział Roden.

— W skład tego rzędu wchodzi motyle i ćmy. Można je znaleźć prawie wszędzie — dodał Pilcher.

— Trudno będzie coś powiedzieć, jeśli ma zmoczone skrzydła. Idę poszukać więcej literatury — oznajmił Roden. — Domyślam się, że kiedy mnie nie będzie, nie odmówisz sobie przyjemności poplotkowania na mój temat.

— Masz rację jak zwykle — oświadczył Pilcher. — Z Rodena jest równy gość — oznajmił, kiedy tylko tamten wyszedł z pokoju.

— Też tak uważam.

— Naprawdę? — Pilcher wydawał się ubawiony. — Studiowaliśmy razem, pracowaliśmy, razem staraliśmy się o wszystkie możliwe stypendia. Jedno z nich udało mu się dostać dzięki temu, że zgodził się zjechać do kopalni i poczekać tam na rozpad protonu. Trochę za dużo czasu spędził wtedy w ciemnościach. Poza tym jest całkiem w porządku. O ile nie wspomina się przy nim o rozpadzie protonu.

— Dobrze, spróbuję jakoś ominąć ten temat.

Pilcher odsunął się od światła.

— To olbrzymia rodzina, *Lepidopterae*. Około trzydziestu tysięcy gatunków motyli i sto trzydzieści tysięcy ciem. Chciałbym wyjąć go z kokonu, a będę musiał to zrobić, jeśli chcemy zawęzić pole poszukiwań.

— Zgoda. Czy może pan go wyjąć w jednym kawałku?

— Tak sądzą. Proszę spojrzeć, nasz okaz, zanim zginął, próbował wyzwolić się z kokonu o własnych siłach. Zaczął to robić tutaj, w miejscu, gdzie widać nieregularne pęknięcia. To może nam zabrać trochę czasu.

Pilcher poszerzył naturalną szczelinę w kokonie i wydobyl owada na zewnątrz. Zwinięte skrzydła były wilgotne. Rozkładanie ich przypominało oddzielanie od siebie mokrych, zlepionych bibulek. Na skrzydłach i grzbiecie nie było widać żadnego rysunku.

Wrócił Roden z książkami.

— Gotów? — spytał Pilcher. — Jedziemy. Nie wykształcona górna część przednich odnóży.

— Boczne płaty przy górnej wardze?

— Brak — stwierdził Pilcher. — Czy mogłaby pani zgasić światło, pani inspektor?

Stała przy ścianie z ręką na kontakcie czekając, aż Pilcher zapali swoją minilatarkę. Wstał od stołu i rzucił snop światła na eksponat. Oczy owada zalśniły w ciemności.

— Sówka — stwierdził Roden.

— Najprawdopodobniej, ale jaki gatunek? — spytał Pilcher. — Proszę o światło. To nocnicówka z rodziny motyli nocnych. *Noctuida*. Ile ich tu mamy, Roden?

— Dwa tysiące sześćset gatunków... około dwóch tysięcy sześciuset zostało w każdym razie opisanych.

— A więc wcale nie tak dużo. Dobra, stary, teraz możesz zabłysnąć.

Rude loki Rodena zakryły mikroskop.

— Teraz musimy przejść do badania szczecinek, czyli włosków. Dzięki temu może uda się określić, do jakiego konkretnego gatunku należy nasz okaz — wyjaśnił Pilcher. — Roden jest w tym najlepszy.

Clarice zauważyła, że nagle skończyły się wzajemne uprzejmości.

Roden zaczął się gwałtownie spierać z Pilcherem o to, czy naroślą larwalne okazy są zgrupowane w kręgi. Kiedy trzeba było ustalić, jakiego rodzaju są włoski czuciowe na odwłoku, skakali sobie niemal do oczu.

— *Erebus odora* — stwierdził w końcu Roden.

— Chodźmy obejrzeć — zaproponował Pilcher.

Zabrali okaz ze sobą, zjechali windą piętro niżej, tuż nad wielkim wypchanym słoniem, i przeszli do olbrzymiej kwadratowej sali wypełnionej od podłogi do sufitu zielonymi pojemnikami. Pomieszczenie, które było kiedyś wielkim hallem, podzielono teraz na dwa poziomy, dobudowując antresolę, tak aby mogło się tu pomieścić więcej eksponatów. Byli teraz w królestwie neotropikalnym, przechodzili do działu nocnicówek. Pilcher zajrzał do notesu i zatrzymał się przy znajdującym się na wysokości piersi pojemniku.

— Trzeba uważać — zauważył odsuwając ciężką metalową zasuwę i stawiając ją na podłodze — żeby nie upuścić sobie czegoś takiego na stopę.

Przesunął palcem po znajdujących się w środku szufladach, wybrał jedną z nich i wysunął.

Na tacy Clarice zobaczyła małe jajeczka, probówkę z pływającą w spirytusie gąsienicą, kokon zdjęty z okazu bardzo podobnego do tego, który przynieśli ze sobą, oraz osobnika dorosłego: dużą brązowo--czarną ćmę o rozpiętości skrzydeł prawie piętnastu centymetrów. Miała pokryty futrem odwłok i cienkie czułki.

— *Erebus odora* — powiedział Pilcher. — Czarna wiedźma. Roden znalazł już właściwą stronę.

— Gatunek tropikalny, jesienią można go spotkać nawet w Kanadzie — przeczytał. — Larwa odżywia się liśćmi akacji. Powszechnie występuje w Indiach Zachodnich i południowych stanach USA. Na Hawajach uznawana za szkodnika.

Erebus pierdoła, pomyślała Clarice.

— Pełna kłapa — powiedziała na głos. — Te ćmy są wszędzie.

— Ale nie wszędzie przez cały czas. — Pilcher pochylał głowę i pomasaował podbródek. — Czy nie rozmnażają się czasem dwa razy do roku, Roden?

— Poczekaj chwilę... Tak, na samym czubku Florydy i w południowym Teksasie.

— Kiedy?

— W maju i sierpniu.

— Zastanawiam się nad czymś — powiedział Pilcher. — Pani okaz jest trochę lepiej rozwinięty niż ten, który tutaj mamy. Jest poza tym świeży. Kokon zaczął już pękać, niedługo wydobędzie się na zewnątrz. Byłoby to zrozumiałe na Karaibach albo Hawajach, ale nie tutaj, w zimie. W tym klimacie powinien poczekać z oswojeniem się jeszcze trzy miesiące. O ile nie dostał się przez przypadek do oranżerii albo ktoś go specjalnie nie wyhodował.

— W jaki sposób?

— W klatce, w ciepłym miejscu, dając gąsienicy do jedzenia liście akacji aż do chwili, kiedy owinie się kokonem. To wcale nie jest takie trudne.

— Czy to popularne hobby? Nie licząc profesjonalistów, czy dużo ludzi się w to bawi?

— Nie, przede wszystkim zajmują się tym entomologowie, kiedy chcą wyhodować odpowiedni okaz, poza tym może kilku kolekcjonerów. Istnieje również przemysł jedwabniczy, oni też hodują larwy, ale innego rodzaju.

— Entomologowie muszą mieć swoje periodyki, pisma specjalistyczne, firmy, które sprzedają im sprzęt — zastanawiała się głośno Clarice.

— Oczywiście, większość z tych publikacji dociera do nas.

— Pozwoli pani, że zrobię jej małą paczuszkę — oświadczył Roden. — Kilka osób prenumeruje u nas takie niskonakładowe biuletyny... trzymają je pod kluczem, żeby pokazywać sobie czasem za parę centów różne dziwactwa. Mogę je skompletować dopiero rano.

— Dopilnuję, żeby ktoś je zabrał, dziękuję panu. Pilcher zrobił kserokopie stron książki poświęconych *Erebus odora* i wręczył je dziewczynie razem z okazem.

— Odprowadzę panią na dół — powiedział. Musieli poczekać na windę.

— Większość ludzi kocha motyle i nie znosi ciem — powiedział. — Ale ćmy są bardziej... ciekawe, zajmujące.

— Są destruktywne.

— Niektóre tak, nawet bardzo wiele, ale każda z nich żyje na swój sposób. Tak jak my. — Cisza, minęli jedno piętro. — Istnieje ćma, właściwie nawet kilka gatunków, która żywi się wyłącznie łzami. Nic innego nie je ani nie pije.

— Jakimi łzami? Czyimi?

— Łzami dużych ssaków lądowych, naszej mniej więcej wielkości. Stara definicja ćmy głosi, że jest to „coś, co stopniowo i w milczeniu zjada, pochłania albo niszczy jakąś inną rzecz”. Słowo „ćma” oznacza również ciemność, mrok, destrukcję... Czy polowanie na Buffalo Billa zajmuje cały pani czas?

— Staram się, jak mogę.

Pilcher obliznął zęby. Jego język przesunął się za wargami jak kot za zasłoną.

— Czy nie zdarza się pani wyskoczyć czasem dla relaksu na hamburgera i piwo albo domowe wino?

— Ostatnio nie.
— Czy nie wybrałaby się pani teraz ze mną? To niedaleko.
— Nie, ale przyjmuję zaproszenie, kiedy to się skończy. Pan Roden może, naturalnie, pójść razem z nami.
— Nie widzę nic naturalnego w tym, żeby miał iść razem z nami — stwierdził Pilcher.
— Mam nadzieję, że wkrótce będzie pani miała to za sobą, pani inspektor — dodał przy drzwiach.

Zbiegła szybko do czekającego samochodu.

Ardelia Mapp zostawiła dla niej na łóżku pocztę i pół bardzo słodkiego batonu. Pograżona była we śnie.

Clarice zabrała na dół, do pralni, swoją walizkową maszynę do pisania, postawiła na stole do układania bielizny i założyła papier i kalkę. Ułożyła sobie w głowie informacje na temat *Erebus odora* już w drodze powrotnej do Quantico i spisanie ich nie zabrało dużo czasu.

Potem pożywiła się batonem i napisała notatkę dla Crawforda. Proponowała, aby porównano komputerowe listy subskrybentów pism entomologicznych z federalnym rejestrem skazanych, z rejestrem przestępców seksualnych w miastach położonych niedaleko miejsc uprowadzeń oraz danymi posiadanymi na ten temat przez policję miejską Dade City, San Antonio i Houston, terenów, na których najczęściej występuje *Erebus odora*.

Była również inna sprawa, którą zamierzała ponownie poruszyć: Trzeba zapytać doktora Lectera, skąd wiedział, że sprawca zacznie skalpować?

Przekazała notatkę oficerowi dyżurnemu i wskoczyła do wytęsknionego łóżka, w uszach wciąż mając zapamiętane w ciągu dnia głosy, cichsze jednak od rozlegającego się w pokoju oddechu Ardelii. W zalegających ciemnościach ujrzała małą, mądrą twarzyczkę ćmy. Jej płonące oczy wpatrywały się w Buffalo Billa.

Z kosmicznego zamętu, który pozostawia zazwyczaj zetknięcie się ze zbiorami Instytutu im. Smithsona, wyłoniła się jej ostatnia myśl, stanowiąca motto dnia: W tym dziwnym świecie, w tej pograżonej teraz w ciemności połówce globu, muszę upolować coś, co żywi się łzami.

Rozdział 15

Catherine Baker Martin i jej chłopak siedzieli w jego apartamencie w East Memphis, w stanie Tennessee, i oglądali nocny film w telewizji pociągając raz po raz z fajeczki naładowanej haszyszem. Przerwy na reklamy były coraz dłuższe i częstsze.

— Idę po chrupki, chcesz trochę prażonej kukurydzy? — zapytała.

— Ja pójdę, daj klucze.

— Posiedź sobie. I tak muszę zobaczyć, czy nie dzwoniła mama.

Wstała z kanapy. Wysoka młoda kobieta, dobrze zbudowana, ktoś mógłby powiedzieć, że ciężka. Miała ładną buzię i świeżo umyte bujne włosy. Znalazła pod stolikiem buty i wyszła na dwór.

Łutowy wieczór był bardziej mokry niż zimny. Nad rozległym parkingiem zawisła na

wysokości piersi lekka mgielka znad Missisipi. Wprost nad głową widziała księżyc w nowiu, blady i cienki niczym kościany haczyk na ryby. Spojrzenie w górę sprawiło, że zakręciło jej się w głowie. Ruszyła prosto przed siebie, sterując wytrwale w kierunku oddalonych o sto metrów drzwi własnego domu.

Naprzeciw jej mieszkania, obok kilku samochodów campingowych i łodzi na przyczepach, stała zaparkowana mała brązowa ciężarówka. Zwróciła na nią uwagę, bo przypominała jej samochód pocztowy, który przywoził jej często prezenty od matki.

Kiedy przechodziła obok niej, z mgły wyłoniła się lampa. Była to niska lampa z kloszem, stała na asfalcie z tyłu ciężarówki. Obok niej widać było potężny fotel obity tkaniną w czerwone kwiaty. We mgle zakwitły wielkie czerwone płatki róż. Przypominało to wystawę sklepu meblowego.

Catherine Baker Martin zamrugła parę razy i szła dalej. W głowie zabrzęczało jej słowo surrealizm. Winę za to, co widziała, złożyła na karb fajki z haszyszem. Wszystko to istniało jednak w rzeczywistości. Ktoś się wprowadzał albo wyprowadzał. Wprowadzał. Wyprowadzał. W Stonehinge Villas panował wieczny ruch. W oknie jej domu poruszyła się zasłona. Zobaczyła wyginającego się w łuk i ocierającego o szybę kota.

W rękę trzymała klucz. Zanim włożyła go do zamka, obejrzała się do tyłu. Z tylnej platformy ciężarówki wyskoczył mężczyzna. W świetle stojącej lampy widziała, że ma rękę w gipsie i na temblaku. Weszła do środka i zamknęła drzwi na klucz.

Catherine Baker Martin rzuciła okiem zza zasłony i zobaczyła, że mężczyzna stara się wpełznąć fotel na platformę ciężarówki. Chwycił go swoją zdrową ręką i próbował podsadzić kolanem. Fotel przewrócił się na bok. Postawił go prosto, polizał palec i startł nim płamę na obiciu.

Wyszła na dwór.

— Pomogę panu. — Uznała, że użyła właściwego tonu: zwykła uprzejmość, nic więcej.

— Zechce pani? Dziękuję. — Dziwny, napięty głos. Obcy akcent.

Stojąca lampa oświetliła od spodu jego twarz, zamazując rysy. Całą postać widziała jednak wyraźnie. Miał na sobie świeżo wyprasowane spodnie koloru khaki i irchową, nie zapiętą na piegowatej piersi koszulę. Policzki i podbródek pozbawione miał włosów, gładkie jak u kobiety. Nad kośćmi policzkowymi widziała tylko dwa błyszczące w świetle lampy punkty.

On też się jej przyglądał, była na to wyczulona. Kiedy podchodziła bliżej, mężczyźni często zaskoczeni byli jej rozmiarami. Jedni potrafili ukryć swoje zaskoczenie, inni nie.

— Dobra — powiedział.

Mężczyzna roztaczał wokół siebie jakiś nieprzyjemny zapach. Pod pachami i na ramionach jego irchowej koszuli zauważyła z niesmakiem nie wygarbowane włoski.

Wtąszczenie fotela na platformę nie sprawiło żadnych trudności.

— Przesuńmy go dalej do przodu, jeśli można.

Wdrapał się do środka i poprzesuwał leżące tam graty: mały ręczny wyciąg nazywany niekiedy trumienną windą i duże, płaskie kuwety, które można wsunąć pod samochód i spuścić do nich zużyty olej.

Dosunęli fotel aż do przednich siedzeń w szoferce.

— Masz około czternastu lat? — zapytał.

— Co?

— Możesz podać mi sznur? Leży tuż przy twoich nogach.

Kiedy pochyliła się, żeby spojrzeć na podłogę, opuścił gipsowy pancierz na jej głowę. Pomyślała, że nabił jej guza, podniosła rękę, żeby pomacać i wtedy gips opadł ponownie, miażdżąc jej palce o czaszkę. Uderzył trzeci raz, tym razem za uchem. Uderzał raz po raz, nigdy jednak zbyt mocno. Osunęła się na fotel, a stamtąd bokiem na podłogę.

Mężczyzna przyglądał się jej przez krótką chwilę, potem ściągnął z ręki gips i temblak. Szybko wrzucił lampę do środka i zamknął tylne drzwi ciężarówki.

Odwinął jej kołnierzyk i latarką oświetlił metkę z rozmiarami bluzki.

— Dobra — powiedział.

Chirurgicznymi nożyczkami rozciął jej bluzkę na plecach, ściągnął ją i wyginając ręce do tyłu założył kajdanki. Rozciągnął na podłodze dywanik i położył ją na nim na plecach.

Nie nosiła stanika. Szturchnął palcami duże piersi badając, ile ważą i czy są elastyczne.

— Dobra — powtórzył.

Na lewej piersi był różowy ślad po pocałunku. Polizał palec i roztarł ślad, podobnie jak płamę na fotelu. Kiedy pod lekkim naciskiem zaczerwienienie ustąpiło, pokiwał głową. Przewrócił dziewczynę na twarz i sprawdził skalp, odsuwając palcami do góry bujne włosy. Gipsowy pancierz nie skaleczył jej.

Dwoma palcami sprawdził puls na szyi i stwierdził, że jest regularny.

— Dooooobra. — Miał przed sobą długą drogę do swego piętrowego domu i wcale nie uśmiechało mu się „sprawiać” jej tutaj, w warunkach polowych.

Kot Catherine Baker Martin przyglądał się przez okno odjeżdżającej ciężarówki aż do momentu, kiedy jej dwa tylne światła zlały się w jedno.

Za kotem dzwonił telefon. Odpowiedziała automatyczna sekretarka w sypialni. Na aparacie zapalało się i gasło w ciemnościach czerwone światelko.

Telefonowała matka Catherine, senator stanu Tennessee w amerykańskim Kongresie.

Rozdział 16

W latach osiemdziesiątych, w złotym wieku terroryzmu, ustalono specjalną procedurę postępowania na wypadek, gdyby uprowadzenie dotyczyło członka Kongresu.

O godzinie 2.45 w nocy kierownik biura terenowego FBI w Memphis zameldował centrali w Waszyngtonie, że zaginęła jedyna córka senator Ruth Martin.

O godzinie 3.00 z podziemnych garaży biura terenowego FBI przy Buzzard's Point w Waszyngtonie wyjechały dwie furgonetki. Jedna z nich skierowała się ku budynkowi biur senatu. Technicy zamontowali tam podsłuch na liniach telefonicznych prowadzących do biura senator Ruth Martin. Założyli go także w najbliższych automatach telefonicznych. Ktoś z ministerstwa sprawiedliwości obudził najmłodszego członka senackiego komitetu d/s wywiadu i ochrony, aby otrzymać od niego niezbędne upoważnienia.

Druga furgonetka, zwana „żrenicą oka”, z lustrzanymi na zewnątrz, a przezroczystymi od środka szybami, zaparkowała przy Virginia Avenue, aby obserwować Watergate

West, gdzie mieściła się waszyngtońska rezydencja senator Ruth Martin. Dwóch pasażerów furgonetki wyszło na zewnątrz, aby zainstalować podsłuch w domowych telefonach pani senator.

Towarzystwo telefoniczne Bella oceniało, że przeciętny okres zlokalizowania rozmówcy, korzystającego z krajowej sieci central cyfrowych, wynosić będzie siedemdziesiąt sekund.

Siły szybkiego reagowania przy Buzzard's Point podwoiły swoją obsadę na wypadek, gdyby okup trzeba było dostarczyć w rejonie Waszyngtonu. Łączność radiową poddano obowiązkowemu kodowaniu, aby uchronić się przez możliwością niezależnego dostarczenia okupu przez helikopter którejś z sieci telewizyjnych. Przykłady takiego braku odpowiedzialności ze strony mass mediów nie były częste, ale już się zdarzały.

Postawiona została w stan ostrego pogotowia specjalna grupa do ratowania zakładników. W ciągu kilku sekund mogli znaleźć się na pokładzie samolotu.

Wszyscy żywili nadzieję, że Catherine Baker Martin została porwana przez zawodowca, który zażąda okupu; ta możliwość dawała jej najwięcej szans na przetrwanie.

Nikt nie wspomniał o najgorszej ze wszystkich ewentualności.

I wtedy, tuż przed świtem, w Memphis, policjant patrolujący Winchester Avenue w związku ze skargą na nocne hałasy zatrzymał starszego mężczyznę zbierającego na poboczu drogi puszki i inne odpadki. W jego wózku znalazł nie rozpiętą z przodu damską bluzkę. Była przecięta na plecach niczym odzież, w którą ubiera się do pogrzebu nieboszczyków. Na plakietce z pralni widniały inicjały Catherine Baker Martin.

Jack Crawford wyjechał rano z domu w Arlington kierując się na południe. O 6.30 telefon w jego samochodzie zabrzączał po raz drugi w ciągu dwóch minut.

— Dziewięćset dwadzieścia dwa czterdzieści.

— Uwaga czterdzieści. Zgłasza się Alfa 4.

Crawford spojrział w lusterko, zwolnił i zatrzymał samochód, żeby nic nie przeszkadzało mu w rozmowie. Kryptonim Alfa 4 oznacza dyrektora FBI.

— Jack. Wiesz już o Catherine Martin?

— Przed chwilą zadzwonił do mnie nocny oficer dyżurny.

— Więc wiesz już o bluzce. Powiedz, co myślisz?

— W Buzzard's Point ogłosili pogotowie — powiedział Crawford. — Wolałbym, żeby go na razie nie odwoływali. Kiedy odwołają, chciałbym, żeby kontynuowano kontrolę telefonów. Mimo przeciętej bluzki nie mamy wcale pewności, że to Bill. Jeśli to ktoś, kto go

małpuje, zawsze może jeszcze zażądać okupu. Kto zakłada podsłuch i zabezpiecza miejsce porwania w Tennessee, my czy oni?

— Oni. Policja stanowa. Są całkiem dobrzy. Z Białego Domu zadzwonił do mnie Phil Adler, żeby zakomunikować mi o „szczególnej trosce” prezydenta. Możemy coś tutaj wygrać, Jack.

— Ja też o tym pomyślałem. Gdzie jest pani senator?

— W drodze do Memphis. Zadzwoniła do mnie do domu przed chwilą. Możesz sobie

wyobrazić.

— Tak. — Crawford znał senatora Martina z przesłuchań budżetowych.

— Jedzie tam gotowa użyć wszystkich swoich wpływów.

— Nie dziwię się jej.

— Ja też — odparł dyrektor. — Powiedziałem jej, że rzucamy do poszukiwań wszystkie siły, zgodnie z prawdą. Ona wie... wie, jaka jest twoja osobista sytuacja, i zaproponowała, żebyś korzystał z samolotu jej firmy, typu Lear. Nie odmawiaj. Jeśli możesz, wracaj na noc do domu.

— Dobrze. Pani senator to twarda sztuka, Tommy. Jeśli będzie chciała poprowadzić to po swojemu, nic na to nie poradzimy.

— Wiem. Jeśli będziesz musiał, zwał wszystko na mnie. Ile mamy czasu w najlepszym przypadku: sześć, siedem dni?

— Nie wiem. Jeśli Bill wpadnie w panikę, kiedy dowie się, kogo złapał, może równie dobrze załatwić ją i utopić od razu.

— Gdzie teraz jesteś?

— Przeszło trzy kilometry od Quantico.

— Czy lotnisko w Quantico może przyjąć leara?

— Tak.

— Za dwadzieścia minut.

— Tak, sir.

Crawford odwiesił słuchawkę i włączył się z powrotem do ruchu na autostradzie.

Rozdział 17

Wymęczona przez złe sny, Clarice Starling stała w płaszczu kąpielowym i bamboszach, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię czekając na swoją kolej w łazience, którą razem z Mapp dzieliły ze studentkami z sąsiedniego pokoju. Nadane przez radio wiadomości z Memphis sprawiły, że straciła na chwilę oddech.

— O Boże — odezwała się. — O rany. Hej tam w środku! Przejmuję tę łazienkę. Wychodź z podciągniętymi majtkami. To nie

jest próbny alarm! — Wskoczyła pod prysznic odprowadzana zdumionym spojrzeniem koleżanki z sąsiedniego pokoju.

— Och, Gracie, kochana, możesz mi jeszcze podać mydło?

Z uchem nastawionym na dzwonek telefonu spakowała się i postawiła przy drzwiach swój połowy zestaw do badań. Upewniła się, czy w centrali wiedzą, że jest w swoim pokoju i zrezygnowała ze śniadania, żeby nie przegapić telefonu. Na dziesięć minut przed rozpoczęciem zajęć, nie otrzymawszy żadnej wiadomości, pognąła z całym bagażem do Sekcji Behawioralnej.

— Pan Crawford wyjechał do Memphis trzy kwadrans temu — słodko oznajmiła jej sekretarka. — Burroughs wyszedł, a Stafford z laboratorium wyjechał na lotnisko krajowe.

— Zeszłej nocy zostawiłam dla pana Crawforda raport. Czy jest dla mnie od niego jakaś wiadomość? Nazywam się Clarice Starling.

— Tak, wiem, jak się nazywasz. Mam tutaj trzy razy zapisany twój numer telefonu, sądzę, że na biurku jest ich jeszcze więcej. Nie, nie zostawił dla ciebie niczego, Clarice. — Kobieta rzuciła okiem na trzymane przez Starling bagaże. — Czy chciałabyś, żebym coś mu przekazała, kiedy zadzwoni?

— Czy zostawił może numer w Memphis, pod którym będzie go można złapać?

— Nie. Poda go, jak zadzwoni. Czy nie masz dzisiaj zajęć, Clarice? Wciąż jesteś chyba w Akademii?

— Tak, tak, jestem.

Spóźnionej Clarice nie ułatwiła wejścia na zajęcia Gracie Pitman, dziewczyna, którą przepędziła spod prysznic. Gracie Pitman siedziała dokładnie za jej plecami. Droga na miejsce wydawała się bardzo długa. Zanim usiadła, Gracie, widząc jej zwieszony na kwintę nos, zdążyła poczynić dwie kąśliwe uwagi.

Dwie godziny przesiedziała bez śniadania na wykładzie na temat „popelnionych w dobrej wierze odstępstw od treści nakazu przeszukania i aresztowania”. Dopiero potem mogła łyknać kupionej w automacie na korytarzu coli.

W południe sprawdziła swoją skrzynkę na listy. Nie było w niej nic. Przyszło jej wtedy do głowy, drugi czy trzeci raz w życiu, że intensywna frustracja ma smak bardzo podobny do leku, który musiała zażywać jako dziecko.

Są dni, kiedy budzimy się innym człowiekiem. To właśnie przydarzyło się Clarice, czuła to wyraźnie. To, co zobaczyła poprzedniego dnia w domu pogrzebowym w Potter, spowodowało w niej małe tektoniczne pęknięcie.

Clarice Starling studiowała psychologię i kryminologię na dobrej uczelni. Widziała niejedno. Widziała, w jak bezceremonialny sposób potrafi się obejść świat z tymi, którzy nieopatrznie staną mu na drodze. Ale tak naprawdę to nie wiedziała jeszcze nic. Dowiedziała się dopiero teraz: czasami, pod osłoną ludzkiej twarzy, nasz gatunek potrafi stworzyć mózg, któremu przyjemność sprawia to, co leżało na porcelanowym stole w Potter, w Wirginii Zachodniej, w pokoju wytapetowanym herbacianymi różami. Pierwsze zetknięcie się dziewczyny z tym umysłem było gorsze niż wszystko, co miała zobaczyć podczas oględzin zwłok. Ta wiedza weszła jej głęboko pod skórę i nie miała opuścić już nigdy. Wiedziała, że musi stwardnieć, w przeciwnym razie ta świadomość ją zniszczy.

Szkolna rutyna wcale jej nie pomagała. Przez cały dzień miała poczucie, że naprawdę ważne sprawy toczą się gdzieś za horyzontem. Wydawało jej się, że słyszy potężny pomruk wydarzeń, niczym zgiełk dobiegający z odległego stadionu. Wytraćał ją z równowagi każdy ruch: studenci przechadzający się po korytarzu, przesuwające się cienie chmur, warkot samolotu.

Po zajęciach przebiegła o wiele więcej okrążeń niż zazwyczaj, potem pływała. Pływała aż do chwili, gdy pomyślała o topielcach i wtedy nie chciała już przebywać w wodzie ani chwili dłużej.

O siódmej razem z Mapp i kilkunastu innymi studentami obejrzała w świetlicy wiadomości. Porwanie córki senatora Martin nie było, co prawda, główną wiadomością dnia, ale drugą w kolejności, po genewskich rozmowach rozbrojeniowych.

Z Memphis nadesłano materiał filmowy. Pierwsze ujęcie przedstawiało duży napis Stonehinge Villas na tle obracającego się światła policyjnego wozu. Mass media

dokonały prawdziwej inwazji parkingu w Stonehinge. W braku nowych wiadomości wywiady przeprowadzali ze sobą wzajemnie reporterzy. Przedstawiciele władz miejskich Memphis i okręgu Shelby pochylali głowy ku potężnym bateriom mikrofonów i w piekielnej feerii błyskających fleszy i szumie aparatury nagrywającej wyliczali długą listę rzeczy, których nie wiedzieli. Fotoreporterzy szukali gorączkowo najlepszego ujęcia, galopując z powrotem do telewizyjnych minikamer za każdym razem, kiedy do mieszkania Catherine Baker Martin wchodził lub wychodził któryś z oficerów śledczych.

Krótki, ironiczny śmieszek przetoczył się przez świetlicę Akademii, kiedy na moment w oknie apartamentu pojawiła się twarz Crawforda. Clarice uśmiechnęła się kąciakiem ust.

Zastanawiała się, czy wiadomości ogląda Buffalo Bill. Zastanawiała się, co pomyślał widząc tę twarz i czy w ogóle wie, kim jest Crawford.

Inni też byli zdania, że Bill może oglądać wiadomości.

W telewizorze pokazała się senator Ruth Martin. Program szedł na żywo, prowadził Peter Jennings. Stała w sypialni swej córki, na ścianie za sobą miała proporzec Southwestern University i plakaty popierające Wile'a E. Coyote'a oraz poprawkę do konstytucji o równości praw.

Była wysoką kobietą, jej twarz miała w sobie prostotę i siłę.

— Mówię teraz do osoby, która więzi moją córkę — powiedziała. Podeszła bliżej do kamery, powodując nieprzewidzianą zmianę ostrości. Mówiła w sposób, w jaki nigdy nie zwróciłaby się do terrorysty. — Od pana tylko zależy, czy wypuści pan moją córkę całą. Ma na imię Catherine. Jest bardzo łagodna i rozsądna. Proszę, niech pan wypuści moją córkę, niech pan jej nie robi nic złego. Kontroluje pan sytuację. Ma pan władzę. Wszystko zależy od pana. Wiem, że potrafi pan kochać i współczuć. Może pan ochronić ją przed wszystkim, co jej grozi. Ma pan teraz wspaniałą szansę pokazać całemu światu, że jest pan zdolny do wielkiej dobroci, że jest pan wielkoduszny, że stać pana na to, by potraktować innych lepiej, niż świat potraktował pana. Ona ma na imię Catherine.

Twarz pani senator zniknęła z ekranu. Wypełnił go teraz amatorski film, pokazujący stawiającego pierwsze kroki bobasa, który trzyma się sierści dużego owczarka szkockiego, collie.

Ruth Martin mówiła dalej zza kadru:

— Film, który pan ogląda, przedstawia Catherine, kiedy była małym dzieckiem. Niech pan uwolni Catherine. Niech pan wypuści ją całą i zdrową gdziekolwiek. Będzie pan mógł liczyć na moją pomoc i przyjaźń.

Teraz nastąpiła seria fotografii: Catherine Martin w wieku ośmiu lat za sterem żaglówki. Łódź stała na blokach, wciągnięta na brzeg, jej ojciec malował kadłub. Dwie ostatnie fotografie przedstawiały młodą kobietę, jedna obejmowała całą postać, druga tylko twarz.

I z powrotem zbliżenie na panią senator.

— W obliczu całego kraju obiecuję panu, że może pan liczyć na moją nieograniczoną pomoc, kiedy tylko będzie pan jej potrzebował. Posiadam odpowiednie środki, by panu pomóc. Jestem senatorem Stanów Zjednoczonych i członkiem komitetu sił zbrojnych. Biorę aktywny udział w pracach nad Strategiczną Inicjatywą Obronną, systemem broni kosmicznej, powszechnie znanym pod nazwą „wojen gwiazdnych”. Jeśli ma pan wrogów,

pokonam ich. Jeśli ktoś walczy z panem, jestem w stanie go powstrzymać. Może pan zadzwonić do

— mnie o każdej porze dnia i nocy. Moja córka ma na imię Catherine. Proszę, niech pan pokaże nam swoją siłę. — Jej twarz wypełniała cały ekran. — Proszę, niech pan ją uwolni i nie robi jej krzywdy.

— Rany, ale to jest sprytne — stwierdziła Clarice. Trzęsła się cała jak terier. — Jezu, ale to jest sprytne.

— Co, te gwiazdne wojny? — spytała Mapp. — Jeśli ktoś z innej planety próbuje opanować umysłem Buffalo Billa, pani senator Martin może go obronić. Czy o to tutaj chodzi?

Clarice kiwnęła głową.

— Mnóstwo schizofreników cierpi na tego rodzaju halucynacje. Wydaje im się, że ich myśli są kontrolowane przez kosmitów. Jeśli Bill ma podobnego świra, takie podejście może sprawić, że zmieni swoje zamiary. To piekielnie celny strzał i ona go wykonała. W najgorszym razie kupiła dla Catherine kilka dodatkowych dni. Będą mieli trochę więcej czasu, żeby rozpracować Billa. Albo i nie. Crawford uważa, że jego okres aktywności może ulec skróceniu. Próbują w ten sposób, mogą też próbować inaczej.

— Ja bym też wszystkiego próbowała, gdyby miał w ręku kogoś z mojej rodziny. Po co ona mówi cały czas „Catherine”, po co powtarza to imię?

— Próbuje sprawić, żeby Buffalo Bill zobaczył w Catherine żywą istotę. Uważają, że aby móc ją pokroić, on musi ją najpierw zdepersonalizować, Catherine musi stać się dla niego tylko przedmiotem. Wielokrotni mordercy mówią o tym w składanych w więzieniu zeznaniach, przynajmniej niektórzy. Mówią, że traktują swoje ofiary jak coś w rodzaju lalki.

— Czy uważasz, że za oświadczeniem pani senator stoi Crawford?

— Może Crawford, a może doktor Bloom. A oto i on — spostrzegła Clarice. W telewizji pokazywali teraz zarejestrowany kilka tygodni wcześniej wywiad z doktorem Alanem Bloomem z uniwersytetu w Chicago na temat wielokrotnych morderstw.

Doktor Bloom nie sądził, by można było porównać Buffalo Billa z Francisem Dolarhyde'em, Garrettem Hobbsem, ani którymkolwiek ze znanych mu morderców. Nie sądził, by można było go nazywać „Buffalo Billem”. Właściwie mało co powiedział w tej konkretnej sprawie, ale uważany był za eksperta, najprawdopodobniej jedyne w tej dziedzinie, i w telewizji chcieli pokazać jego twarz.

Ostatnie zdanie stanowiło pointę całego programu.

— Nie możemy go niczym przestraszyć — mówił Bloom. — Niczym, co byłoby gorsze od niebezpieczeństw, na które narażony jest każdego dnia. Jedyne, co możemy, to poprosić go, żeby do nas przyszedł. Możemy obiecać, że potraktujemy go łagodnie, przyniesiemy mu ulgę i musimy traktować naszą obietnicę absolutnie szczerze.

— Czy nie moglibyśmy wszyscy przynieść mu trochę ulgi? — odezwała się Mapp. — Niech mnie diabli, jeśli nie potrafiłabym sama sprawić mu odpowiedniej ulgi. Uwielbiam takie robienie wody z mózgu, całą tę gładką mowę-trawę. Nie powiedział im nic konkretnego, choć z drugiej strony nie wytrącił chyba też specjalnie z równowagi Billa.

— Nie mogę przestać myśleć o tej dziewczynie z Wirginii Zachodniej — powiedziała

Clarice. — Zapominam o niej, powiedzmy, na pół godziny, a potem to wszystko znowu łapie mnie za gardło. Ten lakier na jej paznokciach... Muszę się jakoś otrząsnąć.

Przy kolacji Mapp przeszkakiwała od jednej zabawnej historyjki do drugiej, starając się rozchmurzyć koleżankę. Przeprowadzona przez nią analiza porównawcza asonansów stosowanych przez Stevie Wondera i Emily Dickinson dosłownie zafascynowała przypadkowych słuchaczy.

W drodze do pokoju Clarice wyjęła ze skrzynki adresowany do niej liścik i przeczytała: *Proszę zadzwonić do Alberta Rodena*. Niżej podany był numer telefonu.

— To kolejny dowód na słuszność mojej teorii — powiedziała Ardelii, kiedy obie wskoczyły do łóżek z książkami.

— Co to za teoria?

— Spotykasz dwóch facetów, prawda? Ten niewłaściwy będzie potem wydzwaniał do ciebie co parę godzin.

— Znam ten ból.

Zadzwoił telefon.

Mapp dotknęła ołówkiem czubka nosa.

— Jeśli to Ognisty Bobby Lowrance, możesz mu powiedzieć, że jestem w bibliotece — powiedziała. — Powiedz, że zadzwonię jutro.

To był Crawford. Dzwonił z samolotu, jego głos skrzypiał nieprzyjemnie w słuchawce.

— Starling, spakuj się na dwie noce. Czekam na ciebie za godzinę.

Pomyślała, że rozmowa skończona, w słuchawce słychać było tylko monotony szum. Nagle usłyszała go ponownie. — Nie bierz zestawu do badań, tylko rzeczy osobiste.

— Gdzie się spotykamy?

— W Smithsonian. — Zanim odłożył słuchawkę, rozmawiał już z kimś innym.

— Jack Crawford — oznajmiła Clarice, rzucając na łóżko pustą torbę.

Mapp wychyliła głowę zza *Federalnego Kodeksu Postępowania Karnego*. Przymknęła jedno oko i obserwowała pakującą się koleżankę.

— Nie chcę zawracać ci teraz niczym głowy — powiedziała.

— Ale zawrócisz — odparła Clarice. Wiedziała, o co chodzi.

Mapp skończyła prawo na Uniwersytecie Maryland pracując zarobkowo w nocy. W Akademii, pod względem wyników nauczania, zajmowała drugie miejsce na kursie, książki pochłaniała jak nawiedzona.

— Jutro jesteś zapisana na egzamin z kodeksu, za dwa dni masz sprawdzian z wychowania fizycznego. Musisz się upewnić, czy wielki boss Crawford wie, że będziesz musiała powtarzać semestr, jeśli się za tobą nie wstawi. Kiedy oznajmi ci: „Dobra robota, studentko Starling”, nie odpowiadaj przypadkiem: „Cała przyjemność po mojej stronie”. Masz święte prawo powiedzieć mu prosto w oczy: „Liczę, że dopilnuje pan osobiście, żeby mnie nie cofnęli”. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Kodeks mogę zdawać w terminie poprawkowym — mruknęła Clarice otwierając zębami suwak.

— Wspaniale! I oblejesz go nie mając czasu się przygotować. Myślisz, że cię nie cofną? Robisz sobie ze mnie żarty? Dziewczyno, dadzą ci kopa w tyłek prędzej, niż się spodziewasz. Wdzięczność ma krótką pamięć, Clarice. Zmuś go, żeby powiedział: „Nie

będzie powtarzania semestru". Masz dobre oceny, zmusz go, żeby to powiedział. Nigdy już nie znajdę sobie współlokatorki, która potrafi wyprasować bluzkę na minutę przed rozpoczęciem zajęć.

Na czteropasmowej autostradzie Clarice udało się rozpędzić starego pinto do szybkości zaledwie o półtora kilometra niższej od tej, przy której zaczyna się taniec na lodzie. Zapach rozgrzanego oleju i pleśni, grzechot silnika i pisk paska klinowego — wszystko to przywoływało jej z pamięci niewyraźny obraz furgonetki ojca, czasy, kiedy jeździła wspólnie z nim, mając obok siebie wierzących się braci i siostrę.

Teraz ona siedziała za kierownicą, była noc, opony mlaskały po białych pasach. Miała czas na zastanowienie. Na karku czuła gorący oddech dręczących ją koszmarów; nie dawały jej spokoju także świeże wspomnienia.

Bała się bardzo, że Crawford wzywa ją, bo odnalazły się zwłoki Catherine Baker Martin. Buffalo Bill zorientował się, kim jest porwana przez niego dziewczyna, i wpadł w panikę. Zabił ją i utopił ciało z wetkniętym do gardła owadem.

Może Crawford przywiózł ze sobą owada do identyfikacji? Co innego mogło go sprowadzić do muzeum? Z drugiej strony każdy agent mógł przecież przywieźć tam kokon, mógł to zrobić nawet zwykły goniec z FBI. A Crawford powiedział jej, żeby spakowała się na dwa dni.

Rozumiała, że nie mógł jej tego wszystkiego wyjaśniać na nie zakodowanej linii, ale można było oszaleć od tej niepewności.

Odszukała w radiu program nadający non stop serwis informacyjny i poczekała, aż skończy się prognoza pogody. Ale wiadomości wcale nie rozwiały jej obaw. Raport z Memphis nie przyniósł niczego nowego w stosunku do dziennika z godziny siódmej. Zaginęła córka senator Ruth Martin. Znalaziono jej bluzkę z plecami przeciętymi z tyłu w stylu Buffalo Billa. Żadnych świadków. Ofiara odnaleziona w Wirginii Zachodniej nadal pozostaje nie zidentyfikowana.

Wirginia Zachodnia. Wśród rzeczy, które zapamiętała z domu pogrzebowego w Potter, było coś istotnego i wartościowego. Coś trwałego, coś, co jaśniało wyraźnie na tle mrocznych rewelacji. Coś, co należało zatrzymać. Umyślnie przywołała teraz to wspomnienie i odkryła, że jest ono dla niej czymś w rodzaju talizmanu. Stojąc przy zlewie w domu pogrzebowym w Potter poczuła, jak czerpie siłę ze wspomnienia, które zdziwiło ją zarazem i napełniło zadowoleniem: wspomnienia o matce.

Clarice nie była rozpieszczanym dzieckiem. Z półmiska, który przeznaczony był przede wszystkim dla zmarłego ojca i braci, dostawały jej się na ogół okruszki uczuć; tym bardziej zdziwił ją i wzruszył dar, który w sobie odnalazła.

Zaparkowała pinto w podziemiach kwatery głównej FBI na rogu Dziesiątej Ulicy i Pennsylvania Avenue. Na chodniku koczowały ekipy stacji telewizyjnych, reporterzy szykowali się do swojej wielkiej chwili w światłach jupiterów. Na razie wyśpiewywali na stojąco kolejne relacje, za tło służyła im potężna bryła gmachu Edgara Hoovera. Clarice ominęła bokiem zalany światłem chodnik i przeszła dwa bloki dalej, tam gdzie mieściło się Muzeum Smithsona.

W starym budynku dostrzegła kilka jasnych okien. Na półkolistym podejździe

zaparkowana była furgonetka policji z Baltimore. W stojącym tuż za nią nowym mikrobusie obserwacyjnym czekał za kierownicą kierowca Crawforda, Jeff. Kiedy zobaczył dziewczynę, powiedział coś do trzymanego w rękę radiotelefonu.

Rozdział 18

Strażnik zawiózł Clarice na drugą kondygnację powyżej wielkiego wypchanego słonia. Drzwi windy otworzyły się na rozległy, pogrążony w półmroku hall. Czekał tu Crawford, sam jeden, z rękami w kieszeniach płaszcza.

— Dobry wieczór, Starling.

— Cześć — odpowiedziała.

Crawford obrócił się przez ramię do strażnika.

— Dalej trafimy już sami, dziękuję panu.

Szli ramię w ramię korytarzem zastawionym po obu stronach okazami działu antropologii. Pod sufitem paliły się nieliczne żarówki. Teraz, kiedy nawiązała z Crawfordem bardziej przyjazne, prawie koleżeńskie stosunki, miała wrażenie, że chciałby oprzeć rękę na jej ramieniu, że zrobiłby to, gdyby w ogóle był w stanie jej dotknąć.

Czekała, aż coś powie. W końcu zatrzymała się i także wsadziła ręce do kieszeni. Stali naprzeciw siebie w milczeniu. Obok, na tacy, leżały ludzkie kości.

Crawford odchylił głowę do tyłu i odetchnął głęboko.

— Catherine Martin prawdopodobnie wciąż żyje — powiedział.

Kiwnęła głową i spuściła wzrok. Może łatwiej będzie mu mówić, kiedy nie będzie patrzyła mu w oczy. Był spokojny, ale coś trzymało go za gardło. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zmarła mu żona. A może sprawił to dzień spędzony z rozpaczającą matką Catherine.

— W Memphis jakby zapadła się pod ziemię — mówił. — Sądzę, że złapał ją na parkingu. Nikt tego nie widział. Poszła do swojego domku i potem z jakiegoś powodu z niego wyszła. Nie zamierzała długo przebywać na dworze: zostawiła drzwi uchylone i zablokowała zamek, żeby się nie zatrzasnęły. Położyła klucze na telewizorze. W mieszkaniu wszystko w porządku. Nie sądzą, żeby spędziła tam dużo czasu. Nie doszła nawet do automatycznej sekretarki w sypialni. Sygnał świetlny wciąż działał, kiedy jej niezbyt rozgarnięty chłopak wezwał wreszcie policję.

Crawford mimowolnie dotknął dłonią tacy z kośćmi i szybko ją cofnął.

— Tak więc ma ją w swoich rękach, Starling. Stacje telewizyjne zgodziły się nie prowadzić „odliczania” w wiadomościach wieczornych. Doktor Bloom uważa, że to go dodatkowo zachęci. Ale i tak będą to robić szmatławce.

Podczas jednego z poprzednich uprowadzeń przecięte z tyłu ubranie znaleziono na tyle szybko, że udało się ustalić tożsamość kolejnej ofiary, jeszcze kiedy żyła. Clarice pamiętała wielkie czarne cyfry, którymi brukowa prasa odliczała na swoich okładkach kolejne mijające dni. Zanim ciało wypłynęło, doliczyli się osiemnastu.

— Catherine Baker Martin czeka zatem w garderobie Billa, a my mamy przed sobą może tydzień. To wersja na użytek zewnętrzny. Bloom uważa, że w rzeczywistości jego

okres się skraca.

Jak na Crawforda było to długie przemówienie. Określenie miejsca, w którym Bill trzyma swoje ofiary, teatralnym mianem „garderoby”, nie było zbyt trafne. Clarice wiedziała, że jeszcze nie doszedł do sedna. Miała rację.

— Ale tym razem, Starling, tym razem może czekać nas mały przełom.

Spojrzała na niego spod oka, z nadzieją, ale i z rezerwą.

— Mamy kolejnego owada. Twój koledzy, Pilcher i... ten drugi...

— Roden.

— ...właśnie nad nim pracują.

— Gdzie go znaleźli? W Cincinnati, u tej dziewczyny w lodówce?

— Nie. Chodź, pokażę ci. Zobaczymy, co o tym sądzisz.

— Dział entomologii jest z drugiej strony, panie Crawford.

— Wiem — odpowiedział.

Skręcili ku drzwiom prowadzącym do działu antropologii.

Za matową szybą paliło się światło. Słychać było głosy. Weszła do środka.

Pod jaskrawą lampą pracowało przy stole trzech mężczyzn w laboratoryjnych fartuchach. Clarice nie widziała dobrze, co robią. Zaglądał im przez ramię i robił notatki Jerry Burroughs z Sekcji Behawioralnej. W pokoju unosił się znajomy odór.

Jeden z ubranych na biało mężczyzn odszedł na chwilę, żeby włożyć coś do zlewu i ujrzała wszystko jak na dłoni.

Na nierdzewnej, stalowej tacy leżał „Klaus”, głowa, którą odnalazła w magazynach Split City.

— To Klaus miał w gardle owada — wyjaśnił Crawford. — Poczekaj chwilę, Starling. Jerry, czy rozmawiasz z centrum łącznościowym?

Burroughs odczytywał dane z notesu do telefonu. Zakrył ręką mikrofon.

— Tak, Jack, właśnie wpisują dane na temat Klause. Crawford wziął od niego słuchawkę.

— Bobby, nie czekaj, aż odezwie się Interpol. Weź telefaks i prześlij fotografie teraz, razem z danymi medycznymi. Kraje skandynawskie, Niemcy Zachodnie, Holandia. Nie zapomnij dodać, że Klaus mógł być marynarzem floty handlowej, który zszedł ze swojego statku. Wspomnij, że ich służba zdrowia może mieć coś na temat jego złamanej kości policzkowej. Fachowo nazywa się to kość jarzmowa. Upewnij się, czy wysłałeś dwa typy karty stomatologicznej, uniwersalny i z Federation Dentaire. Z wiekiem obraz się zmienia, ale podkreśl, że to przybliżona rekonstrukcja: nie można polegać w tym względzie na szwach czaszki.

Oddał z powrotem telefon Burroughsowi.

— Gdzie twoje ubranie, Starling?

— Na dole, w portierni.

— Owada znaleziono w szpitalu Johns Hopkinsa — powiedział Crawford, kiedy czekali na windę. — Badali głowę na zlecenie policji z Baltimore. Tkwił w gardle dokładnie tak samo jak u dziewczyny z Wirginii Zachodniej.

— Dokładnie jak w Wirginii Zachodniej?

— Jak byś zgadła. Znaleziono go dzisiaj o siódmej wieczorem. Prokurator okręgowy

złapał mnie telefonicznie na pokładzie samolotu. Przysłali całą rzecz tutaj, Klausu i resztę, tak żebyśmy mogli przyjrzeć się temu na miejscu. Chcą również zasięgnąć opinii doktora Angela na temat wieku Klausu i tego, ile miał lat, kiedy złamał kość policzkową. Konsultują się ze Smithsonian tak samo jak my.

— Muszę się chwilę zastanowić. Twierdzi pan, że to może Buffalo Bill zabił Klausu? Dawno temu?

— Według ciebie za bardzo się tu wszystko zgadza?

— Tak, w tej chwili tak mi się właśnie wydaje.

— Zastanów się trochę.

— Doktor Lecter powiedział mi, gdzie odnaleźć Klausu.

— Zgadza się.

— Powiedział, że jego pacjent, Benjamin Raspail, przyznał się, iż zadusił Klausu własnymi rękami. Doktor Lecter twierdził jednak, że według niego zgon nastąpił prawdopodobnie przypadkowo, podczas „banalnej erotycznej zabawy”.

— Tak powiedział...

— Sądzi pan, że doktor Lecter zna dokładnie przyczynę śmierci Klausu i że sprawcą nie był Raspail, i że to nie była banalna erotyczna zabawa?

— Kokon w gardle miał Klaus, kokon w gardle miała dziewczyna z Wirginii Zachodniej. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Nigdy nie czytałem i nie słyszałem. Co o tym myślisz?

— Myślę, że kazał mi pan się spakować na dwa dni. Chce pan, żebym zapytała doktora Lectera, prawda?

— Jesteś jedyną osobą, z którą on rozmawia, Starling — Crawford wydawał się taki smutny, kiedy to mówił. — Spodziewam się, że jesteś gotowa?

Kiwnęła głową.

— Porozmawiamy w drodze do szpitala — powiedział.

Rozdział 19

— Doktor Lecter ma długoletnią i bogatą praktykę psychiatryczną — mówił Crawford. — Zanim ujęliśmy go za popełnione morderstwa, wielokrotnie pełnił funkcję biegłego psychiatry w sądach stanu Maryland, Wirginia i gdzie indziej na całym Wybrzeżu Wschodnim. Miał do czynienia z dziesiątkami chorych psychicznie przestępców. Kto wie, ile zataił, ot tak, dla czystej zabawy? To tylko jeden ze sposobów, w jaki mógł zdobyć te informacje. Poza tym utrzymywał stosunki towarzyskie z Raspaiem, a ten opowiadał mu różne rzeczy podczas terapii. Może to Raspail powiedział mu, kto zabił Klausu.

Crawford i Clarice siedzieli naprzeciwko siebie na obrotowych fotelach w tylnej części mikrobusu obserwacyjnego. Sunęli drogą U.S. 95 w kierunku oddalonego o sześćdziesiąt kilometrów Baltimore. Oddzielony od nich szybą Jeff miał wyraźne polecenie cisnąć gaz do dechy.

— Lecter narzuca się ze swoją pomocą, ale ja nie jestem nią zainteresowany. Pomagał nam już wcześniej. Nie uzyskaliśmy niczego konkretnego, walnie dopomógł za to poharatać nożem twarz Willa Grahama.

Ale mając kokon w gardle Klausa i kokon w gardle dziewczyny z Wirginii Zachodniej, nie mogę tego tak po prostu zostawić. Alan Bloom nigdy dotąd nie słyszał o czymś takim, ja też nie. Może ty gdzieś się na to natknęłaś, Starling? Czytałaś ostatnio dużo literatury.

— Nigdy. Umieszczano czasem inne przedmioty, ale nigdy owada.

— Zaczniemy od dwóch rzeczy. Po pierwsze, opieramy się na założeniu, że doktor Lecter naprawdę wie coś konkretnego. Po drugie, pamiętamy, że doktorowi Lecterowi zależy głównie na tym, żeby się rozerwać. Nigdy nie wolno nam o tym zapomnieć. Musi zależeć mu, żeby Buffalo Bill został złapany, zanim uśmierci Catherine Martin. Cała zabawa i wszelkie korzyści muszą wynikać właśnie z tego. Nie mamy go czym przestraszyć, bo i tak zabrano mu już sedes i książki. Nie ma nic do stracenia.

— No, a gdyby po prostu przedstawić mu sytuację i zaoferować coś w zamian... na przykład celę z widokiem. O to właśnie prosił proponując pomoc.

— Proponował pomoc, Starling. Nie proponował, że będzie donosić. Donosząc nie będzie miał wystarczającej satysfakcji, nie będzie mógł się popisać... Masz wątpliwości? Wolałabyś powiedzieć mu prawdę. Posłuchaj, Lecterowi się nie spieszy. Dla niego to jak gra

w baseball. Jeśli poprosimy go, żeby złożył donos, będzie wolał poczekać. Nie zrobi tego tak od razu.

— Nawet jeśli obieca mu się coś w nagrodę? Coś, czego nie dostanie, jeśli Catherine Martin umrze?

— Założmy, że powiemy mu tak: wiemy, że chowasz coś w zanadrzu, i chcemy, żebyś nam to zdradził. Najwięcej frajdy będzie miał grając nam na nerwach i udając, że stara się sobie to coś przypomnieć, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Będzie rozbudzał nadzieje pani senator i pozwoli umrzeć Catherine, a potem będzie torturował następną matkę i jeszcze następną, zawsze na końcu języka mając to, na co wszyscy czekają. To dla niego o wiele lepsze niż pokój z widokiem. To jest coś, dzięki czemu on żyje. To jego pożywienie.

Nie wiem, czy z wiekiem staniesz się mądrzejsza, Starling, ale musisz nauczyć się oszukiwać zło. Czasami tylko w ten sposób można osiągnąć coś dobrego.

— Doktor Lecter powinien zatem uważać, że zwracamy się do niego tylko po to, by opowiedział nam o swoich teoriach i o tym, co podpowiada mu jego intuicja — stwierdziła.

— Dokładnie tak.

— Dlaczego mi pan to wszystko opowiada? Dlaczego po prostu nie pośle mnie pan z odpowiednimi instrukcjami?

— Traktuję cię jak partnera. Będziesz robiła podobnie, kiedy któregoś dnia sama obejmiesz dowództwo. Na dłuższą metę tylko w ten sposób można dojść do jakichś wyników.

— A więc żadnej wzmianki o owadzie w gardle Klausa, żadnego powiązania między Klausem i Buffalo Billem?

— Tak. Wracasz do niego, ponieważ jesteś pod wrażeniem przenikliwości, z jaką przewidział, że Buffalo Bill zacznie skalpować swoje ofiary. Ja nie jestem nim oficjalnie zainteresowany, podobnie doktor Bloom. Ale pozwalam ci dalej się w to bawić. Możesz

zaoferować mu pewne przywileje, rzeczy, które załatwić dla niego może tylko ktoś tak wysoko postawiony jak pani Martin. Musi uwierzyć, że powinien się spieszyć, oferta wygasa bowiem wraz ze śmiercią Catherine. Jeśli Catherine umrze, jej matka całkowicie się wycofuje. I jeżeli nie uda mu się zapobiec jej śmierci, to bynajmniej nie dlatego, że chciał nam zrobić na złość, ale dlatego, że nie jest dość sprytny i wie zbyt mało, żeby spełnić to, co obiecywał.

— Czy senator Martin rzeczywiście się wycofa?

— Lepiej, żebyś pod przysięgą potrafiła powiedzieć tyle tylko, że nie znasz odpowiedzi na to pytanie.

— Rozumiem. — A więc senator o niczym nie wie. To był ryzykowny strzał. Najwyraźniej Crawford obawiał się, że pani Martin może mu pomieszać szyki, popełnić błąd i zaapelować bezpośrednio do doktora Lectera.

— Czy rzeczywiście rozumiesz?

— Tak. W jaki sposób Lecter ma nas zaprowadzić prosto do Buffalo Billa, skoro nie może zdradzić, że wie coś konkretnego? Jak ma to zrobić, opierając się pozornie tylko na swoich teoriach i intuicji?

— Nie wiem, Starling. Miał mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć. Czekał na to od dnia, kiedy odnaleziono pierwszą ofiarę Billa.

W mikrobusie zaterkotał i zamrugał jednocześnie specjalny telefon z dekoderm. Zaczęła się cała seria rozmów, które Crawford zamówił wcześniej w centrali FBI.

Przez następne dwadzieścia minut rozmawiał ze znajomymi funkcjonariuszami holenderskiej policji państwowej i Royal Marechaussee, z pamiętającym czasy studiów w Quantico Overstelojtnantem ze służby technicznej policji szwedzkiej i z przyjacielem, który pełnił funkcję asystenta Rigspolitehafa w Danii. Zadziwił Starling przechodząc gładko na francuski w rozmowie z nocnym oficerem dyżurnym belgijskiej Police Criminelle. Za każdym razem podkreślał konieczność szybkiego ustalenia tożsamości Klausa i jego współników. Europejskie organizacje policyjne i tak otrzymały już prośbę o pomoc za pośrednictwem Interpolu, ale po bezpośredniej rozmowie ze starymi kumplami można było mieć nadzieję, że depesza nie będzie tkwiła przez parę godzin w teleksie.

Clarice zdała sobie sprawę, że Crawford wybrał mikrobus, ponieważ zainstalowane tu były odpowiednie urządzenia łącznościowe, wśród nich nowy system kodujący typu Voice Privacy, pomyślała też jednocześnie, iż łatwiej byłoby mu odbyć te wszystkie rozmowy ze swojego biura. Tutaj musiał żonglować notatnikiem na małym stoliczku, przy skąpym oświetleniu, podskakując za każdym razem, kiedy opony trafiły na jakąś nierówność. Starling nie miała dużego doświadczenia w prowadzeniu akcji, wiedziała jednak, że szef sekcji nie tłucze się na ogół mikrobusem, żeby załatwić podobne sprawy. Mógł powiedzieć jej o wszystkim z pokładu samolotu. Cieszyła się, że tego nie zrobił.

Miała odczucie, że spokój i cisza panujące w mikrobusie i cały ten czas przeznaczony na odpowiednie przygotowanie czekającej ją misji okupione zostały wysoką ceną. Przysłuchując się kolejnym telefonicznym rozmowom Crawforda, utwierdzała się w tym przekonaniu.

Teraz rozmawiał z dyrektorem w jego domu.

— Nie, sir... Czy kładą na to taki nacisk? Jak długo? Nie, sir. Nie. Żadnego mikrofonu.

Tommy, takie jest moje zdanie i będę się przy tym upierał. Nie chcę, żeby miała przy sobie mikrofon. Doktor Bloom twierdzi to samo. Utknął we mgle na lotnisku O'Hare. Przyleci, jak tylko się przejaśni. Dobrze.

Następnie odbył przyciszonym głosem rozmowę z pełniącą nocny dyżur w jego domu pielęgniarką. Kiedy skończył, spoglądał może minutę przez przezroczystą od tej strony szybę mikrobusu. Zdjął okulary i oparł je o kolano przytrzymując palcem. W przesuwających się światłach jego twarz wydawała się dziwnie bez wyrazu. Potem założył z powrotem okulary i odwrócił się do Clarice.

— Mamy trzy dni na Lectera. Jeśli nie uda nam się nic od niego wydobyć, policja z Baltimore wycisnie z niego siódme poty. Będą go obrabiać tak długo, jak długo pozwoli na to sąd.

— Wyciskanie z niego potów nic ostatnio nie dało. Doktor Lecter nie jest zbyt potliwy.

— Co dał im po tym wszystkim, papierowego kurczaka?

— A tak, kurczaka. — Zgnieciony kurczak był wciąż w torebce Starling. Wyprostowała go na małym stoliczku i pokazała, jak dziobie.

— Trudno mi winić gliniarzy z Baltimore. To ich więzień. Jeśli Catherine wypłynie, będą musieli udowodnić pani senator Martin, że próbowali wszystkiego.

— A jak czuje się pani Martin?

— Cierpi, ale stara się być dzielna. To mądra i twarda kobieta, ma dużo zdrowego rozsądku. Chyba ją polubisz.

— Czy w szpitalu Hopkinsa i w wydziale zabójstw w Baltimore nie puszczą pary na temat kokonu w gardle Klausa? Czy uda nam się zachować to w tajemnicy przed prasą?

— Co najmniej przez trzy dni.

— Przez ten czas możemy coś zrobić.

— Nie możemy ufać Frederickowi Chiltonowi i w ogóle nikomu w szpitalu — stwierdził Crawford. — Jeżeli wie Chilton, wie cały świat. Chilton musi zostać poinformowany, że tam będziesz, ale powie mu się, że po prostu wyświadczasz przysługę chłopcom z wydziału zabójstw w Baltimore, że starasz się zamknąć sprawę Klausa. Nie ma to nic wspólnego z Buffalo Billem.

— I robię to w środku nocy?

— To jedyny czas, który ci dałem do dyspozycji. Muszę ci powiedzieć, że historia o kokonie, tym z Wirginii Zachodniej, znajdzie się w jutrzejszych gazetach. Puścili farbę w biurze koronera w Cincinnati, sprawa nie jest już tajemnicą. To jest szczegół, o którym Lecter może się dowiedzieć od ciebie i niczego to naprawdę nie zmieni tak długo, dopóki on nie wie, że znaleźliśmy kokon także w gardle Klausa.

— Co mamy mu do zaoferowania?

— Właśnie nad tym pracuję — odrzekł Crawford biorąc do ręki telefon.

Rozdział 20

Duża łazienka, cała w białych kafkach, nad głową świetliki, niżej błyszczące włoskie wyposażenie na tle starej, ceglanej podłogi. Załadowana kosmetykami elegancka półka, po jej bokach pną się rośliny doniczkowe. Zasnute parą lustro. Spod prysznicza dobiega

niskie, melodyjne mruczenie. Melodia wzięta jest o jedną nutę za wysoko. Pochodzi z musicalu Fatsa Wallera „Złe zachowanie” i nosi tytuł „Cash for Your Trash”. Mruczenie przechodzi czasami w słowa:

*Gazety stare na makuLA-TUREĘ
Składaj, aż zbierzesz ich ogromną FU-REĘ...
DA DADADA DA DA D AD A
DA DA...*

Za każdym razem, kiedy słyhać słowa, o drzwi łazienki skrobie mały piesek.

Pod prysznicem stoi Jame Gumb, biały mężczyzna, trzydzieści cztery lata, wzrost 185 centymetrów, waga 93 kilogramy, włosy brązowe, oczy niebieskie, znaków szczególnych brak. Swoje imię wymawia jak James, tyle że bez końcowego „s”: Jame. Jest na tym punkcie bardzo czuły.

Po pierwszym tuszu Gumb aplikuje sobie emulsję po kąpiel, rozcierają dłońmi na piersiach i pośladkach. W miejscach, których nie lubi dotykać, używa gąbki. Nogi i stopy są nieco szorstkie, ale stwierdza, że nie wyglądają najgorzej.

Naciera się mocno rękami, aż różowieje mu skóra, i cały smaruje się dobrym kremem nawilżającym. Za prysznicową kotarą ma wysokie, obejmujące całą postać lustro.

Wpycha szczotką penisa i jądra między nogi. Odsuwa kotarę na bok i staje przed lustrem. Zaciska mocno uda i wypina biodra nie zważając na ból, jaki odczuwa przy tym w genitaliach.

— Zrób coś dla mnie, kochanie. Zrób coś dla mnie już zaraz. — Używa górnego rejestru swego niskiego z natury głosu i stwierdza, że jest w tym coraz lepszy. Hormony, które brał — przez jakiś czas

premarin, a potem doustnie diethylstilbestrol — nie były w stanie zmienić mu głosu, ale przerzedziły trochę włosy na lekko pączkujących piersiach. Dzięki licznym zabiegom elektrolitycznym Gumb pozbył się brody i zmienił linię włosów na czole, ale nadal nie jest podobny do kobiety. Wygląda jak mężczyzna, który w walce równie dobrze może użyć paznokci, jak pięści i nóg.

Czy jego zachowanie wynika ze szczerzej, choć nieudolnej, chęci odmiany, czy jest tylko ponurym szyderstwem — trudno stwierdzić po krótkiej znajomości. A tylko takie zawiera.

— Co mii zrobiiiisz?

Na dźwięk jego głosu jeszcze raz odezwało się skrobienie. Gumb założył płaszcz kąpielowy i wpuścił psa do środka. Była to mała pudliczka w kolorze szampana. Wziął ją na ręce i pocałował w pulchny grzbiet.

— Ta-a-a-ak. Czy jesteś wygłodzona, Skarbuniu? Ja też. Przełożył suczkę z jednej ręki do drugiej, żeby otworzyć drzwi sypialni. Wyprężyła się, chcąc zeskoczyć na podłogę.

— Chwileczkę, najdroższa. — Wolną ręką podniósł leżący na podłodze karabin typu Mini-14 i położył go na poduszkach. — Już zaraz. Za chwileczkę zjemy kolację. —

Postawił suczkę na podłodze i założył piżamę i szlafrok. Kiedy schodził na dół, do kuchni, pobiegła za nim ochoczo.

Jame Gumb wyjął z kuchenki mikrofalowej trzy szybkie, gotowe dania. Dwa zestawy obiadowe z serii „Głodomór” miał zamiar zjeść sam, jeden z serii „Smukła sylwetka” przeznaczony był dla psa.

Suczka łapczywie połknęła entree i deser. Nie ruszyła jarzyn. Na obu tackach Jame Gumba zostały tylko kości.

Wypuścił suczkę przez tylne drzwi na dwór i otuliwszy się szczelnie szlafrokiem przed chłodem patrzył, jak kuca w wąskiej smudze światła padającej z uchylonych drzwi.

— Nie zrobiłaś jeszcze wszystkiego. No dobrze, nie będę patrzył. — Zastłonił ręką oczy, zerkając jednak chytrze spomiędzy palców. — Och, wspaniale, ty mała trzpiotko, spisałaś się na medal. Chodź z powrotem, kładziemy się do łóżka.

Pan Gumb uwielbiał kłaść się do łóżka. Robił to kilka razy w ciągu nocy. Lubił też wstawać i siedzieć w którymś ze swych licznych pokoi przy zgaszonym świetle albo trochę popracować, szczególnie gdy zajmowało go coś naprawdę twórczego.

Chciał zgasić światło w kuchni, ale wstrzymał się na chwilę. Wydał wargi i zastanawiał się nad resztkami, które pozostały z kolacji. Wziął tacki do ręki i wytarł stół.

Przełącznikiem u szczytu schodów zapalił światło w piwnicy i zabrał ze sobą tacki. Suczka skomlała w kuchni, próbując otworzyć pyskiem przymknięte przez niego drzwi.

— No dobrze, Silly Billy. — Podniósł suczkę i zniósł ją na dół. Wierciła się i starała dosięgnąć pyskiem tacek, które trzymał w drugiej ręce.

— Nie, to nie dla ciebie, ty masz już dosyć.

Postawił ją na podłodze. W krętej jak labirynt, wielopoziomowej piwnicy nie odstępowała go ani na krok.

W pomieszczeniu położonym dokładnie pod kuchnią znajdowała się od dawna wyschnięta studnia. Jej kamienna, wzmocniona nowoczesnymi obręczami i cementem cembrowina wznosiła się na wysokość pół metra od wysypanej piaskiem podłogi. Spoczywała na niej oryginalna, drewniana pokrywa, zbyt ciężka, by mogło ją podnieść dziecko. W pokrywie znajdowały się drzwiczki, przez które można było spuścić wiadro. Były otwarte. Jame Gumb zrzucił tam resztki z dwóch swoich i jednej psiej tacki.

Kości i kawałki jarzyn zniknęły w absolutnych ciemnościach, w których pograżone było wnętrze studni. Mała suczka siadła na tylnych łapach i domagała się pokarmu.

— Nie, nie. Wszystko wyrzucone — powiedział Gumb. — I tak jesteś już wystarczająco gruba. Tłusćcioch, tłusćcioch — szeptał pieszczotliwie do pudliczki, wchodząc po schodach na górę. Nie dał po sobie poznać, czy słyszy krzyk, wciąż silny i czysty, który niósł się echem po ścianach studni:

— Prooszę!

Rozdział 21

Clarice Starling przekroczyła próg Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych Przeszypców w Baltimore kilka minut po godzinie dziesiątej wieczór. Była sama. Miała nadzieję, że nie spotka doktora Fredericka Chiltona. Niestety, czekał już na nią w swoim

gabinecie.

Miał na sobie angielski w stylu sportowym płaszcz w kratę. Krata była wielkości wystaw sklepowych, podwójne otwory wentylacyjne i klapy dopełniały piorunującego efektu. Clarice miała nadzieję, że nie ubrał się tak specjalnie dla niej.

Przed biurkiem stało przyśrubowane do podłogi krzesło. Dziewczyna przystanęła za nim, jej powitanie zawisło w powietrzu. Z umieszczonych w stojaku na półce fajek zalatywał ją ostry zapach.

Doktor Chilton skończył przyglądać się swojej kolekcji lokomotyw Franklina Minta i odwrócił w jej stronę.

— Napije się pani może neski?

— Nie, dziękuję. Przykro mi, że niepokoję pana o tak późnej porze.

— Wciąż stara się pani czegoś dowiedzieć na temat tej odnalezionej głowy? — pytał dalej doktor.

— Tak. W biurze prokuratora okręgowego w Baltimore powiedziano mi, że sprawa jest z panem uzgodniona.

— O tak. Współpracuję z tutejszymi władzami bardzo ściśle, panno Starling. Swoją drogą, czy pisze pani jakiś artykuł, może pracę magisterską?

— Nie.

— Czy publikowała pani już coś w czasopiśmie naukowych?

— Nie, nigdy. Robię to po prostu na zlecenie biura prokuratora generalnego dla wydziału zabójstw tutejszej policji. Przekazaliśmy im nie rozstrzygniętą sprawę i pomagamy teraz doprowadzić do końca. — Clarice odkryła, że niesmak, jakim napelniał ją Chilton, sprawiał, iż znacznie łatwiej było go okłamywać.

— Czy jest pani odpowiednio wyposażona?

— Czy co?

— Czy ma pani mikrofon podłączony do urządzenia, które będzie nagrywać wszystko, co powie doktor Lecter?

— Nie.

Chilton wyjął mały magnetofon typu „Pearlcorder” i włożył do niego kasetę.

— W takim razie niech pani to włoży do torebki. Sporządzę z tego zapis i prześlę pani kopię. Może pani jej użyć, żeby wesprzeć swoje notatki.

— Nie, nie mogę tego zrobić, doktorze.

— Dlaczego, u licha? Władze Baltimore bez przerwy proszą mnie o analizę wszystkiego, co ma do powiedzenia Lecter na temat tej sprawy z Klausem.

Spróbuj sobie jakoś poradzić z Chiltonem, jeśli potrafisz, powiedział jej Crawford. Możemy tu wejść w ciągu minuty na mocy nakazu sądowego, ale Lecter natychmiast to wywacha. On potrafi przejrzeć Chiltona na wylot jak ultrasonograf.

— Prokurator generalny uważa, że powinniśmy najpierw spróbować porozmawiać z nim nieoficjalnie. Jeśli nagram rozmowę z doktorem Lecterem bez jego wiedzy, oznaczać to będzie koniec naszych kontaktów w tej formie, w jakiej się one rozwinęły. Jestem pewna, że pan się ze mną zgodzi.

— Jakim cudem on może się o tym dowiedzieć?

Przeczyta o tym w gazecie następnego dnia, razem ze wszystkim innym, co udało ci

się wyniuchać, ty stary durniu! Nie odpowiedziała głośno na jego pytanie.

— Jeśli do czegoś nas to wszystko doprowadzi i doktor Lecter będzie musiał zeznawać, pan będzie pierwszą osobą, która zapozna się z całym materiałem. Jestem również pewna, że zostanie pan poproszony o złożenie zeznań w charakterze biegłego. Teraz staramy się po prostu wyciągnąć od niego jakąś wskazówkę.

— Czy wie pani, dlaczego on z panią rozmawia, panno Starling?

— Nie, doktorze.

Przyjrzał się po kolei wszystkim swoim dyplomom wiszącym na ścianie za biurkiem. Stanowiły one jego najwierniejszą publiczność, z nimi mógłby startować w wyborach. Powoli odwrócił się.

— Czy naprawdę zdaje sobie pani sprawę z tego, co pani robi?

— Z pewnością. — Za dużo tych pytań. Od zbyt wielu okrażeń toru drżały jej kolana. Nie chciała walczyć z Chiltonem. Chciała zostawić sobie trochę sił na Lectera.

— Przychodzi pani do mojego szpitala, żeby przeprowadzić rozmowę z moim podopiecznym, i odmawia mi pani przekazania uzyskanych w jej trakcie informacji.

— Postępuję zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, doktorze. Mam przy sobie nocny numer prokuratury generalnej. A teraz proszę, albo niech pan pozwoli mi zrobić to, co zamierzam, albo przedyskutuje to z nimi.

— Nie jestem dozorcą więziennym. Nie przybiegam tutaj w nocy tylko po to, żeby kogoś wpuścić albo wypuścić. Miałem na dzisiejszy wieczór bilet na „Holiday on Ice”.

Uprzymiła sobie, że powiedział „bilet”. W tej krótkiej chwili ujrzała całe jego życie, a on zdał sobie z tego sprawę.

Zobaczyła jego pustą lodówkę, okruszki na tacy po szybkim gotowym daniu, które zjadał przy pustym stole; ujrzała pokryte kurzem stosy ubrań, które miesiącami leżą na podłodze, zanim ich sam nie uprzątnie; poczuła, jak bolą go szczęki od przyklepionego kwaśnego uśmiechu, którym pokrywa swoją nędzną egzystencję — i w błyskawicznym olśnieniu uświadomiła sobie, że nie będzie go teraz oszczędzać, że nie odwróci wzroku i nie przeskoczy na inny temat. Popatrzyła mu prosto w twarz, przechyliła lekko głowę, żeby mógł się jej lepiej przyjrzeć, i przewiercała, przeszywała go na wylot swoją wiedzą. Wiedziała, że Chilton nie wykrztusi z siebie ani słowa więcej.

Wysłał z nią pielęgniarkę o imieniu Alonzo.

Rozdział 22

Przechodząc z Alonzem przez kolejne bloki szpitala, Clarice zdołała odgrodzić się od huku zatraskiwanych drzwi i przeraźliwych krzyków, chociaż przez skórę czuła, jak drży od nich powietrze. Presja psychiczna, której podlegała, obudowała ją ciszą, miała wrażenie, że zapada się w coraz głębszą topiel.

Otoczona szaleńcami, pomyślała o zdanej na łaskę jednego z nich, skrupowanej i bezbronnej Catherine Martin. Ta myśl mobilizowała ją do działania. Ale potrzebna jej była nie tylko determinacja. Musiała być spokojna i uważna, musiała reagować jak najczulszy instrument. Musiała być cierpliwa w momencie, gdy potrzebny był najwyższy pośpiech. Jeśli doktor Lecter zna właściwą odpowiedź, musiała wydobyć ją z zakamarków jego

umysłu.

Odkryła, że wyobraża sobie Catherine jako małe dziecko, które widziała na filmie w telewizji, małą dziewczynkę w żagłówce.

Alonzo nacisnął brzęczyk ostatnich, masywnych drzwi.

— Naucz nas dbać i nie dbać, naucz nas milczeć.

— Słucham? — spytał Alonzo i Clarice zdała sobie sprawę, że ostatnią myśl wypowiedziała na głos.

Odszedł, zostawiając ją z potężnym pielęgniarzem, który otworzył drzwi. Zanim się odwrócił, zobaczyła, że się przeżegnał.

— Witamy z powrotem — powiedział pielęgniarz i zamknął za nią zasuwę.

— Cześć, Barney!

W rękę trzymał książkę w miękkich okładkach, zaznaczając wskazującym palcem miejsce, w którym przerwał lekturę. To była powieść *Rozważna i romantyczna* Jane Austen; umysł dziewczyny rejestrował wszystko.

— Jakie chce pani mieć oświetlenie? — spytał. Korytarz między celami był ciemny. U jego końca, przy ostatniej celi, widać było na podłodze jasną smugę.

— Doktor Lecter nie śpi.

— W nocy nigdy... nawet, jeśli ma zgaszone światło.

— Proszę nie zmieniać oświetlenia.

— Niech pani idzie środkiem i nie dotyka prętów, dobrze?

— Chciałabym wyłączyć telewizor. — Telewizor był teraz przeniesiony, stał na samym końcu korytarza. Niektórzy więźniowie mogli oglądać program przyciskając głowy do krat.

— Jeśli nie zrobi to pani różnicy, proszę zostawić wizję. Niektórzy z nich lubią sobie popatrzeć. Krzesło już tam stoi, na wypadek, gdyby było potrzebne.

Clarice ruszyła ciemnym korytarzem. Nie rozglądała się na boki. Wydawało jej się, że stąpa bardzo głośno. Poza odgłosem jej kroków słychać było tylko donośne chrapanie z jednej i cichy chichot z innej celi.

Cela nieboszczyka Miggsa miała nowego lokatora. Idąc dostrzegła długie, wyciągnięte na podłodze nogi i opartą o kraty głowę. Minęła celę i jeszcze raz spojrzała do środka. Na podłodze, wśród sterty podartej tektury, siedział mężczyzna. Miał bezmyślną twarz. W oczach odbijało się światło kineskopu, z kącika ust sączyła się aż do ramienia cienka strużka śliny.

Nie chciała spoglądać w głąb celi doktora Lectera, zanim nie upewniła się, że ją zauważył. Czując mrowienie w plecach, minęła celę, podeszła do telewizora i wyłączyła fonię.

Doktor Lecter miał na sobie białą szpitalną piżamę. W pomalowanym na biało pomieszczeniu jedynymi kolorami były jego włosy, oczy i czerwone usta. Tkwiły w twarzy tak długo pozbawionej słońca, że zlała się z otaczającą bielą; jej rysy zdawały się wyrastać z kołnierzyka koszuli. Siedział przy stole za nylonową, oddzielającą go od krat siatką i rysował na papierze pakowym. Za model służyła mu własna ręka. Podczas gdy go obserwowała, obrócił dłoń i zginając mocno palce zaczął szkicować wnętrze przedramienia. Małym palcem poprawiał i cieniował nakreślony węglem kontur.

Podeszła trochę bliżej krat i wtedy podniósł wzrok. Clarice miała wrażenie, że w jego oczach i we włosach nad czołem zbiegły się wszystkie, rozproszone po zakamarkach celi cienie.

— Dobry wieczór, doktorze Lecter.

Wysunął czubek języka, tego samego dokładnie koloru co usta, i dotknął nim górnej wargi.

— Clarice.

Usłyszała w jego głosie lekki metaliczny zgrzyt i zastanawiała się, ile czasu minęło od chwili, gdy się ostatnio odezwał.

— Późno masz dzisiaj zajęcia w tej twojej szkole — powiedział.

— To szkoła wieczorowa — odparła żałując, że jej głos nie brzmi trochę mocniej. — Byłam wczoraj w Wirginii Zachodniej...

— Czy gdzieś się skaleczyłaś?

— Nie...

— Masz założony świeży plaster opatrunkowy, Clarice. Dopiero teraz sobie przypomniała.

— Zadrapałam się dzisiaj o skraj basenu, pływając. — Plaster był niewidoczny, na tydce, pod spodniami. Musiał odkryć go powonieniem. — Byłam wczoraj w Wirginii Zachodniej. Odnaleziono tam ciało ostatniej ofiary Buffalo Billa.

— Niezupełnie ostatniej, Clarice.

— Dobrze, przedostatniej.

— Tak.

— Była oskalpowana. Dokładnie tak, jak to pan przewidział.

— Czy nie będzie ci przeszkadzało, jeśli będę rysował w trakcie rozmowy?

— Nie, bardzo proszę.

— Oglądałaś resztki?

— Tak.

— Widziałaś jego wcześniejsze prace?

— Nie. Tylko zdjęcia.

— Co odczuwałaś?

— Bałam się. Potem skoncentrowałam się na tym, co miałam do zrobienia.

— A jeszcze potem?

— Byłam wstrząśnięta.

— Czy jesteś w stanie dobrze funkcjonować? — Doktor Lecter potarł węgiel o skraj papieru, żeby zaostrzyć jego czubek.

— Bardzo dobrze. Funkcjonuję bardzo dobrze.

— Dla Jacka Crawforda? Czy może nadal komenderuje wszystkim z domu przez telefon?

— Był tam.

— Wybacz mi na moment, Clarice. Czy możesz opuścić głowę na piersi, tak jakbyś spała? Jeszcze sekundkę. Dziękuję. Teraz to uchwyciłem. Usiądź, jeśli masz ochotę. Czy to, co powiedziałem, powtórzyłaś Jackowi Crawfordowi, zanim ją odnaleziono?

— Tak. Nie przejął się tym zbytnio.

- A potem, kiedy przyjrzał się zwłokom w Wirginii Zachodniej?
- Rozmawiał ze swoim głównym konsultantem z uniwersytetu w...
- Alanem Bloomem.
- Właśnie. Doktor Bloom stwierdził, że Buffalo Bill dopasowuje się do portretu, jaki stworzyły mu mass media. Szmatławce przebąkiwały już coś wcześniej o możliwości skalpowania. Doktor Bloom stwierdził, że każdy mógł to przewidzieć.
- Czy doktor Bloom to przewidział?
- Mówi, że tak.
- Przewidział to, ale nikomu o tym nie mówił. Rozumiem. A co ty o tym sądzisz, Clarice?
- Dokładnie nie wiem.
- Studiowałaś trochę psychologii, trochę kryminalistyki. Potrafisz chyba łowić ryby w mętnej wodzie, prawda? Udało ci się coś złapać, Clarice?
- Niewiele, jak na razie.
- Co podpowiadają ci twoje dwie dyscypliny naukowe na temat Buffalo Billa?
- Z książki wynika, że jest sadystą.
- Życie jest bogatsze i bardziej podstępne od książek, Clarice. Gniew udaje pożądanie, toczeń ma objawy pokrzywki. — Doktor Lecter skończył rysować swoją lewą rękę prawą, przełożył węgiel i zabrał się, z identyczną precyzją, do szkicowania prawej ręki lewą. — Masz na myśli książkę doktora Blooma?
- Tak.
- Szukałaś tam czegoś na mój temat, prawda?
- Tak.
- Jak mnie opisuje?
- Jako czystego socjopatę.
- Czy uważasz, że doktor Bloom ma zawsze rację?
- Wciąż czekam na przejawy płytkości uczuć. Doktor Lecter odsłonił w uśmiechu białe zęby.
- Mamy ekspertów na każdą okazję, Clarice. Doktor Chilton uważa, że Sammie, ten za tobą, jest hebefrenicznym schizoidem i że jest bezpowrotnie stracony. Umieścił Sammiego w dawnej celi Miggsa, bo myśli, że też powie nam lada dzień do widzenia. Wiesz może, jak zachowują się na ogół hebefrenicy? Nie martw się, on cię i tak nie słyszy.
- Należą do najcięższych przypadków — powiedziała. — Zwykle charakteryzują się całkowitym wyobcowaniem i dezintegracją osobowości.
- Doktor Lecter wyjął coś spomiędzy arkuszy papieru pakowego i położył na ruchomym wózku. Clarice przyciągnęła wózek do siebie.
- Nie dalej jak wczoraj Sammie przysłał mi to razem z moją kolacją.
- Był to kawałek tektury, na którym zapisane coś było ołówkiem. Czytała:

CHCE PUDŹ DO JEZUSA
 CHCE PUDŹ Z CHRYSTUSEM
 MOGĘ PUDŹ Z JEZUSEM

JEŚLI BĘDĘ CZYNIDŹ PRAWDZIWE DOBRO SAMMIE

Clarice obejrzała się do tyłu przez ramię. Sammie siedział opierając się o ścianę swojej celi, głowę przytknął do krat, twarz miał bez wyrazu.

— Czy możesz przeczytać to na głos? On cię nie usłyszy.

— „Chcę pójść do Jezusa, chcę pójść z Chrystusem, mogę pójść z Jezusem, jeśli będę czynić prawdziwe dobro”.

— Nie, nie tak. Nadaj temu bardziej zdecydowany ton, niech ci to zagra w gardle. Rytm trochę się załamuje, ale nie zmienia się siła wyrazu. — Lecter zaczął lekko klaskać. — Intensywnie, rozumiesz? Z ikłą. „Chce pudź do Jezusa, chce pudź z Chrystusem”.

— Rozumiem — odparła Starling i położyła kawałek tektury z powrotem na wózku.

— Nie, ty nic z tego nie rozumiesz. — Doktor Lecter poderwał się na nogi, jego ciało przybrało nagle groteskowe kształty, przygięte ku ziemi jak u gnoma. Skakał po celi, klaszcząc w dłonie, jego głos brzmiał niczym gong. — Chce pudź do Jezusa...

Głos Sammiego rozległ się za nią gwałtowny jak ryk leoparda, głośniejszy niż krzyk wyjca. Sammie stał i przyciskał z całych sił twarz do krat, gniewny i napięty, z rozedrganymi w gardle strunami:

CHCE PUDŹ DO JEZUSA
CHCE PUDŹ Z CHRYSUSEM
MOGĘ PUDŹ Z JEZUSEM JEŚLI BĘDĘ CZYNIDŹ
PRAWDZIWE DOBRO

Cisza. Clarice uprzytomniła sobie, że stoi i że jej składane krzesło przewróciło się do tyłu. Na podłodze leżały rozsypane papiery.

— Proszę. — Doktor Lecter wyprostował się. Gestem odprowadzającego partnerkę tancerza zapraszał, żeby usiadła. Miętko spoczął na swoim miejscu i oparł podbródek na dłoni. — Ty nic z tego nie rozumiesz — powtórzył. — Sammie jest wyjątkowo religijny. Jest po prostu rozczarowany tym, że Jezus tak bardzo się spóźnia. Sammie, czy mogę powiedzieć Clarice, dlaczego tutaj jesteś?

Sammie zakrył dłonią usta i zastygł w bezruchu.

— Słucham? — nalegał doktor Lecter.

— Taaa — mruknął Sammie spomiędzy palców.

— Sammie położył głowę swojej matki na tacy podczas zbierania datków w kościele baptystów w Trune. Śpiewali właśnie „Oddaj Panu, co masz najlepszego”, a to była najwspanialsza rzecz, jaką posiadał. — Lecter spojrzał jej przez ramię. — Dziękuję, Sammie. To było znakomite. Pooglądaj sobie teraz telewizję.

Wysoki mężczyzna osunął się na podłogę, głowę przytulił, jak przedtem, do krat, a w jego źrenicach odbijały się obrazki z telewizora. Na twarzy błyszcząły mu trzy srebrne nitki: śliny i łez.

— No. Zobaczymy, czy zdołasz poradzić coś na jego kłopoty i być może wtedy ja poradzę coś na twoje. Coś za coś. On nie słucha. Starling walczyła ze

zniecierpliwieniem.

— Słowa „pójść do Jezusa” zmieniają się na „pójść z Chrystusem” — powiedziała. — Ta kolejność nie jest przypadkowa. Najpierw idzie się do kogoś, potem przybywa, a na koniec idzie razem, wspólnie.

— Tak. To jest progresja linearna. Szczególnie cieszy mnie, że on zdaje sobie sprawę, że Jezus i Chrystus to jedna i ta sama osoba. Idea jedyne Boga będącego zarazem Trójcą jest trudna do przyjęcia, szczególnie dla Sammiego, który nie w pełni pojmuje, z ilu osób sam się składa.

— Sammie widzi związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy swoim zachowaniem a celami, do których zmierza. To przejaw racjonalnego myślenia — mówiła dalej Starling. — O tym samym świadczy układ rytmiczny. Nie ma wcale przytępionych uczuć, on płacze. Uważa pan, że to katatonik?

— Tak. Czujesz jego pot? Ten specyficzny koźli odór to kwas trójmetyloheksynowy. Zapamiętaj go, to zapach schizofrenii.

— Sądzi pan, że kwalifikuje się do leczenia?

— Szczególnie teraz, gdy wychodzi z fazy otępienia. Spójrz, jak mu błyszczą policzki!

— Doktorze, dlaczego twierdzi pan, że Buffalo Bill nie jest sadystą?

— Ponieważ gazety doniosły, że ciała noszą ślady więzów tylko na nadgarstkach, nie na kostkach nóg. Czy dostrzegłaś coś na kostkach u tej osoby z Wirginii Zachodniej?

— Nie.

— Sadystycznego ściągania skóry, Clarice, dokonuje się zawsze z ofiary zawieszanej do góry nogami, tak aby w głowie i piersiach utrzymywane było odpowiednie ciśnienie krwi i aby podmiot zabiegu cieszył się maksymalnie długo pełną świadomością. Nie wiedziałaś o tym?

— Nie.

— Kiedy będziesz znowu w Waszyngtonie, idź do National Gallery i rzuć okiem na „Apolla i Marsjasza” Tycjana, zanim wyślą go z powrotem do Czechosłowacji. Tycjan jest niezrównany, jeśli chodzi o szczegóły. Zwróć uwagę na uczynnego, taszczącego kubek wody Pana.

— Doktorze Lecter, sytuacja jest wyjątkowa i wyłoniły się w związku z tym pewne nowe możliwości.

— Dla kogo?

— Dla pana, jeśli tym razem uda nam się uratować ofiarę Buffalo Billa. Czy widział pan w telewizji senator Ruth Martin?

— Tak, oglądałem wiadomości.

— Co sądzi pan o jej oświadczeniu?

— Mylące, ale nieszkodliwe. Ktoś jej źle doradził.

— Jest bardzo ustosunkowana. I zdecydowana na wszystko.

— W takim razie słucham.

— Uważam, że ma pan wyjątkową intuicję. Pani senator dała do zrozumienia, że jeśli pomoże nam pan uwolnić całą i zdrową Catherine Baker Martin, ona pomoże panu w przeniesieniu do instytucji pozostającej pod jurysdykcją federalną. Jeśli znajdzie się tam cela z widokiem, zamieszka pan w niej. Istnieje również możliwość zasięgnięcia pana

opinii o nowych pacjentach, innymi słowy — jakieś zajęcie. Nie będzie złagodzenia środków bezpieczeństwa.

— Nie wierzę w to, Clarice.

— Powinien pan.

— Och, nie chodzi o to, że nie wierzę tobie. Ale istnieje więcej rzeczy, na których się nie znasz, nie tylko to, jak porządnie ściąga się skórę. Czy nie sądzisz, że jak na ofertę od senatora Stanów Zjednoczonych, jesteś dość dziwnym posłańcem?

— To pan mnie wybrał, doktorze. Jestem jedyną osobą, z którą pan rozmawia. Czy teraz woli pan kogoś innego? A może nie czuje się pan na siłach pomóc?

— To, co mówisz, jest w równym stopniu obraźliwe, jak nieprawdziwe, Clarice. Nie wierzę, żeby Jack Crawford zezwolił w stosunku do mnie na jakiegokolwiek złagodzenie rygorów... Być może zdradzę ci jedną rzecz, którą będziesz mogła powtórzyć pani senator, ale będzie to ściśle handlowa wymiana. Coś za coś, z ręki do ręki. Być może powiem coś w zamian za pewną informację, informację na twój temat. Tak czy nie?

— Niech pan zada pytanie.

— Tak czy nie? Tam czeka Catherine, pamiętaj. Słuchając noża zgrzytającego o osetkę. Jak myślisz, o co by cię teraz poprosiła?

— Niech pan zada pytanie.

— Twoje najgorsze wspomnienie z dzieciństwa? Starling nabrała głęboko powietrza.

— Szybciej. Nie jestem zainteresowany tym, co najgorszego uda ci się wymyślić.

— Śmierć ojca — odpowiedziała Starling.

— Opowiedz o tym.

— Był szeryfem w miasteczku. Którejś nocy zaskoczył dwóch włamywaczy, narkomanów, wychodzących tylnym wyjściem ze sklepu.

Kiedy wysiadał ze swojego pick-upa, zablokowała mu się strzelba i zastrzelili go.

— W jaki sposób się zablokowała?

— Nie dociągnął do końca zamka. To była stara wiatrowka Remington 870, i nabój zaklinował się w komorze. Kiedy to się stanie strzelba nie wypali, trzeba wyjąć nabój i włożyć go z powrotem. Sądzę, że kiedy wysiadał, musiał zaczepić zamkiem o drzwi samochodu.

— Czy zginął na miejscu?

— Miał silny organizm. Umarł dopiero po miesiącu.

— Czy widziałas go w szpitalu?

— Doktorze Lecter... tak.

— Opowiedz, co utkwilo ci w pamięci z tej wizyty. Przymknęła oczy.

— Przyszła sąsiadka, stara panna, i recytowała mu zakończenie „Thanatopsis”. Sądzę, że to była jedyna rzecz, którą pamiętała. To wszystko. Teraz pana kolej.

— Tak jest. Byłaś bardzo szczerą, Clarice. Zawsze to poznaję. Sądzę, że znajomość z tobą w życiu prywatnym to byłoby coś naprawdę interesującego.

— Coś za coś.

— A tak nawiasem mówiąc, czy dziewczyna z Wirginii Zachodniej była, twoim zdaniem, atrakcyjna fizycznie?

— Była zadbana.

- Nie o to chodzi.
- Była ciężka.
- Duża?
- Tak.
- Strzelił jej w piersi?
- Tak.
- Miała płaskie piersi, prawda?
- Jak na nią, tak.
- Ale szerokie biodra. Pojemne.
- Tak.
- Co jeszcze?
- W gardle miała owada, ktoś go tam specjalnie włożył, Nie poinformowaliśmy o tym.
- Czy to był motyl?

Przez chwilę zabrakło jej oddechu. Miała nadzieję, że tego nie usłyszał.

— To była ćma — powiedziała. — Proszę mi powiedzieć, jak pan do tego doszedł.

— Clarice, teraz mam zamiar powiedzieć ci, do czego potrzebna

jest Buffalo Billowi Catherine Baker Martin, a potem powiemy sobie dobranoc. W obecnej sytuacji to moje ostatnie słowo. Możesz powtórzyć pani senator, czego on chce od Catherine, a ona może przyjść tutaj z bardziej interesującą ofertą... albo może czekać, żeby przekonać się, czy miałem rację, aż trup Catherine wypłynie na powierzchnię.

— Do czego mu jest potrzebna Catherine, doktorze?

— Chce mieć kamizelkę z cyckami na wierzchu — odparł Lecter.

Rozdział 23

Catherine Baker Martin leżała pięć metrów poniżej poziomu piwnicy. W ciemności słyszała swój oddech i bicie serca. Czasami strach siadał jej na piersiach i czuła się jak złapany w sidła lis, do którego zbliża się traper. Czasami była w stanie myśleć: zdawała sobie sprawę, że jest porwana, ale nie wiedziała przez kogo. Wiedziała, że to nie sen; w absolutnej ciemności słycać było cichutki szmer, kiedy otwierały się i zamykały jej powieki.

Była teraz w lepszym stanie niż wtedy, kiedy po raz pierwszy odzyskała świadomość. W zasadzie przeszły jej potworne zawroty głowy i wiedziała, że ma dość powietrza, by oddychać. Orientowała się, gdzie jest góra, a gdzie dół, zdawała sobie sprawę z pozycji swego ciała.

Ramię, biodro i kolano bolały ją w miejscu, gdzie stykały się z cementową podłogą. Ten bok był na dole. Na górze był szorstki materac, pod który wpełzła, kiedy ostatnim razem zapaliło się nad nią ostre, oślepiające światło. Nie waliło jej już tak mocno w skroniach i jedyny, realny ból odczuwała w palcach lewej ręki. Wiedziała, że ma złamany serdeczny palec.

Miała na sobie pikowany kombinezon, czuła się w nim nieswojo. Był czysty i przesiąknięty zapachem środka do zmiękczenia tkanin. Podłoga była także czysta, jeśli

nie liczyć kości kurczaka i kawałków jarzyn, które wrzucił jej porywacz. Poza tym był jeszcze materac i plastikowe wiadro z przywiązanym do uchwyty cienkim sznurkiem. W dotyku nie różnił się od zwykłego sznurka do bielizny i biegł do góry w mrok wyżej, niż mogła sięgnąć.

Catherine Martin mogła się poruszać, ale właściwie nie miała gdzie. Podłoga, na której leżała, była owalna, miała dwa na trzy metry i w środku mały otwór odpływowy. Stanowiła dno głębokiego, zamkniętego dołu. Gładkie, cementowe ściany wznosiły się nachylając lekko do środka.

Zdawało się jej, że coś słyszy. Czy to dźwięki z góry, czy tylko jej serce? Z góry. Coś działo się nad jej głową. Loch, w którym była uwięziona, znajdował się dokładnie pod kuchnią. Ktoś stapał po kuchennej podłodze, potem usłyszała szum lejącej się wody. Drapanie psich pazurków po linoleum. Potem nic, aż do chwili, kiedy w otworze na górze pojawił się krąg żółtego, słabego światła. Ktoś włączył lampę w piwnicy. Zaraz potem zapaliło się ostre światło w studni. Tym razem siadła wyprostowana, zdecydowana rozejrzeć się dokoła, starając się patrzeć przez palce, w miarę jak przyzwyczajały się do światła oczy. Wokół niej tańczył jej własny cień. Kołysząc się zjeżdżała w dół lampa. Wzdrygnęła się, kiedy wiadro poruszyło się, uniosło i kręcąc wolno wokół własnej osi pojechało do góry. Starła się przełknąć strach, nabrała przy tym zbyt dużo powietrza. Mimo to udało się jej wydobyć z siebie głos.

— Moja rodzina zapłaci — odezwała się. — Gotówką. Moja matka zapłaci od razu, nie będzie żadnych pytań. To jest jej prywatny... Och! — spadał na nią trzepoczący cień, to tylko ręcznik. — To jest jej prywatny numer. 202...

— Umyj się.

Ten sam niesamowity głos, który słyszała, kiedy przemawiał do psa. Na dół, na cienkim sznurku, zjeżdżało kolejne wiadro. Poczula zapach ciepłej, mydlanej wody.

— Rozbierz się i wymyj cała albo poleję cię zimną wodą. — I obok, do psa, przytłumionym głosem: — Tak, poleję ją zimną wodą, kochanie, nie będę długo czekał, zobaczysz!

Catherine usłyszała odgłos oddalających się kroków i psich pazurków wyżej, nad piwnicą. Nie widziała wszystkiego podwójnie, jak za pierwszym razem, kiedy zapaliło się światło. Mogła się rozejrzeć. Jak wysoko był otwór na górze, czy przewód, na którym wisiała lampa, był mocny? Czy zdoła zahaczyć o niego swoim kombinezonem, zaczepić o coś ręcznikiem? Rób coś, do diabła. Ściany były takie gładkie. Gładka, biegnąca do góry rura.

Dostrzegła jedno, jedyne pęknięcie w cemencie, trzydzieści centymetrów powyżej miejsca, którego mogła dosięgnąć. Zrolowała materac tak ciasno, jak się dało, i związała go w poprzek ręcznikiem. Chwiejąc się stanęła na nim, sięgnęła do pęknięcia i zaczepiła o nie paznokciami. Złapała równowagę i mrużąc oczy spojrzała w górę. To był reflektor ze specjalną osłoną, zawieszony u samego szczytu studni, prawie trzy metry ponad jej wyciągniętą ręką, równie dobrze mógłby to być księżyc. Tymczasem on wracał, zwinięty materac chwiały się, Catherine drapała ryse paznokciami, żeby nie upaść. Kiedy zeskoczyła, musnęła jej twarz spadając jakaś łuska.

Coś zjeżdżało w dół obok lampy. To był gumowy wąż. Pojedyncza struga lodowatej

wody, ostrzeżenie.

— Wymyj się. Cała.

W wiadrze była myjka, poza tym w wodzie unosiła się plastikowa butelka drogiego, zagranicznego kremu nawilżającego.

Zrobiła, co kazał z gęsią skórką na ramionach i udach, z podrażnionymi i stężalymi od zimna sutkami. Przysunęła się do ściany, jak mogła najbliżej, i umyła kucając obok wiadra z wodą.

— Teraz wytrzyj się i nakremuj całe ciało. Rozetrzyj dobrze krem. Krem nagrzał się od ciepłej wody. Posmarowana nim skóra lepiła się do kombinezonu.

— Teraz pozbieraj śmieci i wytrzyj podłogę.

Zrobiła to także, podniosła leżące na podłodze kości kurczaka i strączki fasolki. Wrzuciła wszystko do wiadra i starta myjką niewielkie, tłuste plamy na cemencie. Było tam coś jeszcze, tuż przy ścianie. Łuska, która sfrunęła w dół, z pęknięcia, tam wyżej. To był paznokieć, pokryty błyszczącym lakierem i zdarty z żywego ciała.

Wiadro pojechało w górę.

— Moja matka zapłaci — powtórzyła Catherine Martin. — Nie będzie zadawać żadnych pytań. Zapłaci dosyć, żeby był pan bogaty do końca życia. Jeśli to jakaś sprawa polityczna, Iran albo Palestyna, albo Ruch Wyzwolenia Czarnych, da pieniądze i na to. Wszystko, co musi pan zrobić, to...

Światło zgasło. Nagle absolutna ciemność.

— Uuuuch! — wzdrygnęła się. Obok zjechało na sznurku jej stare wiadro na nieczystości. Siadła na materacu, myśli biegały jej po głowie jak szalone. Nabrała teraz przekonania, że porywacz działa samotnie i że jest białym Amerykaninem. Próbowwała sprawić na nim wrażenie, że nie ma najmniejszego pojęcia, kim jest, jaki ma kolor skóry i czy działa w pojedynkę; że wszelką pamięć o tym, co działo się na parkingu, zaćmiły uderzenia w głowę. Miała nadzieję, że on uwierzy, iż może ją spokojnie wypuścić na wolność. Jej umysł pracował gorączkowo, szukał rozwiązania zagadki, aż w końcu znalazł:

Paznokieć, czyjś paznokieć, ktoś tutaj był. Kobieta, dziewczyna? Gdzie jest teraz? Co on jej zrobił?

Gdyby nie szok i dezorientacja, odkrycie całej prawdy nie trwałoby tak długo. Właściwie tę myśl nasunął jej dopiero krem nawilżający. Skóra. Wiedziała zatem, kim on jest. Ta wiedza spadła na nią, jak spada na ludzi każda straszna rzecz na tej ziemi: przesywając ich na wylot. Zaczęła krzyczeć. Krzyczała zwijając się pod materacem, krzyczała wspinając się i drapiąc po ścianie, krzyczała, aż zakrzuszyła się czymś ciepłym i słonym, co wypełniło jej usta, krzyczała z przyłożonymi do twarzy lepiącymi się i zasychającymi dłońmi, krzyczała tak długo, aż opadła sztywno wyprężona na podłogę, z palcami wplątanymi we włosy.

Rozdział 24

Ćwierćdolarówka zagrzechotała we wnętrzu automatu zainstalowanego w obdrapanej dyżurce. Clarice wykręcała numer mikrobusu.

— Crawford.

— Dzwonię z publicznego automatu obok oddziału pod specjalnym nadzorem — powiedziała szybko. — Doktor Lecter zapytał mnie, czy owad znaleziony w Wirginii Zachodniej był motylem. Nie podał szczegółów. Powiedział, że Buffalo Bill potrzebuje Catherine Martin, ponieważ, cytuję: „chce mieć kamizelkę z cyckami na wierzchu”. Doktor Lecter pragnie wejść w układy. Czeka, aż pani senator złoży mu „bardziej interesującą” ofertę.

— Czy nie chciał z tobą dłużej mówić?

— Nie.

— Jak prędko, według ciebie, zdecyduje się na następną rozmowę?

— Myślę, że liczy na spotkanie w ciągu kilku następnych dni, ale ja wolalabym uderzyć już teraz, w tej chwili. Do tego potrzebna jest jednak pilnie oferta pani senator.

— Pilnie to właściwe słowo. Rozpoznana została dziewczyna z Wirginii Zachodniej. Mniej więcej pół godziny temu sekcja identyfikacyjna dostała z Detroit jej kartę z odciskami palców. Kimberly Jane Emberg, lat dwadzieścia dwa, zaginęła w Detroit siódmego lutego. Przeczyszczamy okolice jej miejsca zamieszkania w poszukiwaniu świadków uprowadzenia. Lekarz sądowy z Charlottesville mówi, że została zamordowana nie później niż jedenastego lutego, a prawdopodobnie dzień wcześniej, dziesiątego.

— Trzymał ją żywą tylko przez trzy dni — zauważyła Clarice.

— Jego okres się skraca. Nie sądzę, żeby stanowiło to dla kogoś niespodziankę. — Głos Crawforda był beznamiętny. — Trzyma Catherine Martin około dwudziestu sześciu godzin. Moim zdaniem, jeśli Lecter ma zamiar coś powiedzieć, powinien to zrobić podczas waszej następnej rozmowy. Jestem w biurze terenowym w Baltimore, przełączyli cię z mikrobusu. Wynajęłam dla ciebie pokój w hotelu, dwie przecznice od szpitala, jeśli będziesz chciała się później zdrzemnąć.

— On jest nieufny, panie Crawford. Nie wierzy, że zgodzi się pan przyznać mu jakieś ulgi. To, co powiedział o Buffalo Billu, uzyskałam w zamian za pewną informację dotyczącą mego życia prywatnego. Nie sądzę, żeby istniał jakiś związek między jego pytaniami a sprawą... Czy chce pan poznać treść pytań?

— Nie.

— To dlatego nie chciał pan, żebym miała przy sobie mikrofon, prawda? Uważał pan, że to ułatwi naszą rozmowę, że łatwiej będzie mi podlizywać się Lecterowi i opowiadać mu różne bzdury, mając świadomość, że nikt tego nie słyszy.

— Mam dla ciebie inną alternatywę: co powiesz, jeśli po prostu ufam twemu osądowi, Starling? Co powiesz, jeśli uważam, że jesteś moją najlepszą kartą atutową i nie chcę, żeby zaglądały ci przez ramię tabuny tych, co zawsze wiedzą lepiej? Czy zaopatrzyłbym cię wtedy w mikrofon?

— Nie, sir. — Znany jest pan z tego, że umie pan prowadzić swoich agentów, Mr Crawfish. — Co mamy do zaoferowania doktorowi Lecterowi?

— Kilka rzeczy, właśnie je przesyłam. Powinny do ciebie dotrzeć za pięć minut, chyba że chcesz najpierw odpocząć.

— Wolalabym mieć to już za sobą — odparła. — Proszę powiedzieć posłańcowi, żeby

zapytał o Alonza. Niech Alonzo spotka się ze mną na korytarzu przy wejściu do sekcji ósmej.

— Za pięć minut — powtórzył Crawford.

Inspektor Starling chodziła w kółko po obdrapanej dyżurce, ślizgając się po linoleum. Tu, głęboko w podziemiach szpitala, była jedynym jasnym promykiem.

Rzadko dane nam jest przygotowywać się do działania na słonecznych łąkach czy wysypanych żwirem alejkach; zazwyczaj robimy to w pośpiechu, w miejscach pozbawionych okien, na szpitalnych korytarzach, w pokojach takich jak ten, z wyłożoną popękany skajem kanapą, zasłaniającymi goły beton kotarami w kolorze kawy i śliskimi popielniczkami Cinzano. W takich miejscach, mając do dyspozycji ledwie kilka chwil, planujemy nasze uczynki i wkładamy w nie własne serce, a potem przejęci lękiem powtarzamy je przed obliczem Przeznaczenia. Clarice dość już przeżyła, by o tym wiedzieć; nie dała się stłamsić otaczającej rzeczywistości.

Chodziła w kółko i wymachiwała rękami w powietrzu.

— Nie daj się, dziewczyno — odezwała się na głos. Powiedziała to do Catherine Martin i do siebie. — Jesteśmy w lepszym miejscu niż ta nora. Zasługujemy na lepsze miejsce niż ta pieprzona nora — powtórzyła głośno. — Jesteśmy w lepszym miejscu, gdziekolwiek cię on trzyma. Pomóż mi. Pomóż. Pomóż.

Pomyślała przez chwilę o swoich zmarłych rodzicach. Zastanawiała się, czy wstydziłby się za nią teraz. Pytanie przyszło jej do głowy bez żadnego związku ze sprawą, niczego nie uzależniała od odpowiedzi na nie. Często w podobnych okolicznościach wszyscy je sobie zadajemy. Odpowiedź brzmiała: nie, nie wstydziłby się.

Umyła twarz i wyszła na korytarz.

Czekał tam na nią pielęgniarka Alonzo z zapieczętowaną przesyłką od Crawforda. W środku była mapa i instrukcje. Przeczytała je szybko przy świetle lampy na korytarzu, nacisnęła przycisk obok drzwi i czekała na Barneya, żeby ją wpuścił.

Rozdział 25

Doktor Lecter siedział przy stole i przeglądał korespondencję. Clarice odkryła, że łatwiej jej zbliżyć się do klatki, kiedy na nią nie patrzy.

— Doktorze.

Podniósł palec nakazując jej milczenie. Kiedy skończył czytać list, zamyślił się. Kciuk swojej sześciopalczastej dłoni oparł o podbródek, palec wskazujący o nos.

— Co byś z tym zrobiła? — spytał kładąc dokument na tacę. Nadawcą był urząd patentowy USA.

— To na temat mojego zegarka z krucyfiksem — objaśnił doktor Lecter. — Nie przyznali mi na niego patentu, ale radzą, żebym zastrzegł sobie prawa autorskie na rysunek twarzy. Spójrz na to. — Położył nie większy od obiadowej serwetki rysunek na wózku, Clarice przeciągnęła go na swoją stronę. — Może zauważyłaś, że w większości krucyfiksów ręce wskazują, powiedzmy, za kwadrans trzecią, najwcześniej za dziesięć drugą, nogi są tymczasem na szóstej. Na tym cyferblacie mamy, jak widzisz, Jezusa na

krzyżu. Jego ramiona obracając się wskazują czas, podobnie jak ramiona na popularnych zegarkach z postaciami Disneya. Stopy niezmiennie pokazują szóstą, na górze, w aureoli, obraca się mała wskazówka sekundnika. Co o tym sądzisz?

Szczegóły anatomiczne uchwycone były bardzo dobrze. Twarz miała jej rysy.

— Redukując to do wielkości zegarka, straci się mnóstwo detali — zauważyła.

— To prawda, niestety, ale pomyśl o zegarach ściennych. Czy nie sądzisz, że jeśli tego nie opatentuję, mogą mi ukraść pomysł?

— Będzie pan kupował do tego gotowe mechanizmy kwarcowe, prawda, a one są już chronione przez patent. Nie jestem pewna, ale myślę, że patenty odnoszą się wyłącznie do nowych urządzeń mechanicznych. W stosunku do nowych wzorów stosuje się przepisy prawa autorskiego.

— Ale nie jesteś prawnikiem, prawda? Nie potrzebują ich już więcej w FBI.

— Mam dla pana propozycję — powiedziała otwierając walizeczkę.

Nadchodził Barney. Zamknęła walizeczkę z powrotem. Zazdrościła Barneyowi olbrzymiego spokoju. Omiótł ich uważnym spojrzeniem, w jego oczach kryła się spora inteligencja.

— Przepraszam — powiedział. — Jeśli ma pani dużo papierów, może pani rozłożyć je na ławce, szkolnej ławce. Mamy taką tutaj, w szafce przeznaczonej dla psychiatrów. Chce pani?

Zupełnie jak w szkole. Tak czy nie?

— Czy możemy teraz porozmawiać, doktorze? Doktor Lecter podniósł otwartą dłoń.

— Tak, Barney. Dziękuję.

Usiadła. Barney był w bezpiecznej odległości.

— Doktorze, pani senator ma dla pana interesującą ofertę.

— Ja o tym zdecyduję. Tak szybko udało ci się z nią skontaktować?

— Tak. Nie trzyma niczego w zanadrzu. To, co powiem, to wszystko, co jest w stanie zaproponować, nie ma mowy o targowaniu się o coś więcej. Oferta jest całościowa, wszystko albo nic. — Uniosła wzrok znad walizki.

Doktor Lecter, morderca dziewięciu osób, podparł nos palcami i obserwował ją. W oczach miał mroczną głębię.

— Jeśli pomoże nam pan odnaleźć Buffalo Billa na tyle szybko, aby udało się uratować Catherine Martin, zostanie pan przeniesiony do federalnego szpitala dla weteranów w Oneida Park, w stanie Nowy Jork, do celi z widokiem na las. Zachowane zostaną maksymalne środki bezpieczeństwa. Poprosi się pana o pomoc w ocenie pisemnych testów psychologicznych, którym poddawani będą inni więźniowie, choć niekoniecznie z tego samego ośrodka. Będzie pan sporządzał opinie w ciemno, nie znając tożsamości badanych. Będzie pan mógł korzystać z książek. — Podniosła wzrok.

Cisza może być zwodnicza.

— Najważniejsza rzecz, szczególnie godna uwagi: raz w roku będzie pan mógł na tydzień opuścić szpital i pojechać tutaj. — Położyła mapę na wózku. Doktor Lecter nie przyciągnął go do siebie.

— Plum Island — kontynuowała. — Każdego popołudnia, przez cały ten tydzień, będzie pan mógł spacerować po plaży albo pływać w oceanie. Nikt nie zbliży się do pana

bliżej niż na siedemdziesiąt metrów, ale będzie pana pilnować specjalna grupa antyterrorystyczna. To wszystko.

— A jeżeli odmówię?

— Może będzie pan mógł zawiesić sobie tutaj zasłony w kolorze kawy. Nie jesteśmy w stanie panu niczym zagrozić, doktorze. Dzięki temu, co proponuję, może pan wyjść na światło dzienne.

Nie patrzyła na niego. Nie chciała teraz mierzyć się z nim wzrokiem. To nie była konfrontacja.

— Czy Catherine Martin przyjdzie ze mną porozmawiać... wyłącznie na temat jej porywacza... jeśli zdecyduję się opublikować coś o tej sprawie? Czy na wywiad z nią będę miał prawo wyłączności?

— Tak. Może pan to uważać za uzgodnione.

— Skąd wiesz? Uzgodnione przez kogo?

— Sama ją przyprowadzę.

— Jeśli będzie chciała przyjść.

— Powinno się chyba ją najpierw o to zapytać, nie sądzi pan? Przyciągnął do siebie wózek.

— Plum Island.

— Tam gdzie kończy się Long Island, za północnym cyplem.

— Plum Island. „Federalny ośrodek weterynaryjny Plum Island (choroby racic i pyska)", tak tu jest napisane. Brzmi zachęcająco.

— Ośrodek zajmuje tylko część wyspy. Jest tam miła plaża i przyzwoite kwatery. Na wiosnę zakładają tam gniazda rybołowy.

— Rybołowy — westchnął doktor Lecter. Podniósł lekko głowę i dotknął czerwonym językiem czubka czerwonej wargi. — Jeśli już o tym mówimy, Clarice, muszę mieć jakiś zadatek. *Quid pro quo*. Ja ci coś powiem i ty mi coś powiesz.

— Zgoda — powiedziała Starling.

Musiła czekać całą minutę, zanim się odezwał:

— Gąsienica przeobraża się w poczwarkę otoczoną kokonem. A potem, wychodząc ze swej sekretnej przebieralni, objawia się jako przepiękny imago. Czy wiesz, co to jest imago, Clarice?

— Dorosły, skrzydlaty owad.

— Ale co jeszcze? Potrząsnęła głową.

— To termin wzięty z martwej psychoanalitycznej religii. Imago oznacza wyobrażenie ojca, utrwalone w podświadomości we wczesnym dzieciństwie i związane z afektem infantylnym. Słowem tym określano woskowe popiersia, które starożytni Rzymianie nieśli podczas pogrzebów swoich przodków... Nawet osobnik tak flegmatyczny jak Crawford powinien dostrzec, jak ważna jest tu sprawa kokonu.

— Ten trop nam nic nie dał, oprócz tego, że porównaliśmy listy subskrybentów czasopism entomologicznych z rejestrem znanych przestępców seksualnych.

— Po pierwsze, nie mówmy Buffalo Bill. To mylące przezwisko i nie ma nic wspólnego z osobą, której poszukujecie. Dla wygody nazwijmy go Billy. Powiem ci dokładnie, co myślę. Gotowa?

— Gotowa.

— Kokon jest ważny ze względu na odbywającą się w jego wnętrzu przemianę. Poczwaraka przeobraża się w motyla albo ćmę. Billy uważa, że pragnie się zmienić. On robi sobie dziewczęcy strój, robi go z prawdziwych dziewcząt. Dlatego ofiary są duże; musi mieć rzeczy, które by na niego pasowały. Liczba ofiar sugeruje, że traktuje swą przemianę jako kolejne zrzucanie skóry. Robi to w swoim piętrowym domu... Odkryłaś już, dlaczego piętrowym?

— Wiesz je na schodach, przynajmniej niektóre.

— Prawidłowo.

— Doktorze, z tego, co wiem, transseksualizm nie jest związany z przemocą, transseksualiści są na ogół osobnikami pasywnymi.

— To prawda, Clarice. Czasami obserwuje się u nich tendencję do zbytnej wiary w możliwości chirurgii. Mam na myśli chirurgię plastyczną. Transseksualistów trudno zadowolić, ale na tym sprawa się kończy. Billy nie jest autentycznym transseksualistą. Teraz masz go na wyciągnięcie ręki, Clarice, czy widzisz już, w jaki sposób możesz go złapać?

— Nie.

— Dobrze. W takim razie opowiedz mi, jeśli wolno, o tym, co działo się z tobą po śmierci ojca.

Starling przyglądała się porysowanemu blatowi szkolnej ławki.

— Nie sądzę, żeby odpowiedź kryła się w twoich papierach, Clarice.

— Przez ponad dwa lata matka wychowywała nas wszystkich razem.

— Gdzie pracowała?

— W dzień jako pokojówka w motelu, w nocy jako kucharka w restauracji.

— A potem?

— Potem przeniosłam się do kuzynki matki i jej męża w Montanie.

— Tylko ty?

— Byłam najstarsza.

— Władze miejskie nic wam nie pomogły?

— Dostaliśmy czek na pięćset dolarów.

— Dziwne, że nie dostaliście żadnego odszkodowania. Powiedziałaś, Clarice, że ojciec zahaczył zamkiem strzelby o drzwi swojego pick-upa.

— Tak.

— Nie jeździł normalnym wozem patrolowym?

— Nie.

— To zdarzyło się w nocy?

— Tak.

— Nie miał pistoletu?

— Nie.

— Pracował w nocy, jeździł pick-upem, uzbrojony tylko w strzelbę... Powiedz mi, Clarice, czy nie nosił przypadkiem przy pasie specjalnego zegara? To taki dowcipny pomysł, jeździ się po całym mieście i odbija na zegarze czas w różnych miejscach. Dzięki temu ojcowie miasta mają pewność, że nie śpisz. Powiedz mi, czy nosił taki zegar,

Clarice?

— Tak.

— A więc był nocnym strażnikiem, nie był wcale żadnym szeryfem. Od razu wiem, kiedy kłamiesz, Clarice.

— W rubryce zatrudnienie miał napisane: nocny szeryf.

— Co się z tym stało?

— Co się stało z czym?

— Z zegarem. Co się z nim stało, kiedy zastrzelono twojego ojca?

— Nie pamiętam.

— Powiesz mi, jak sobie przypomnisz?

— Tak. Chwileczkę... do szpitala przyszedł burmistrz i poprosił matkę, żeby zwróciła zegar i odznakę. — Nie zdawała sobie sprawy, że to pamięta. Burmistrz ubrany jak do swego ogródka, w marynarskich butach z wyprzedzący. Stary sukinsyn. — *Quid pro quo*, doktorze Lecter.

— Czy przez moment nie wydawało ci się, żeś to sama wymyśliła? Nie, gdybyś to zrobiła, nie ukłóby cię to tak dotkliwie. Rozmawialiśmy o transseksualistach. Powiedziałaś, że statystycznie rzecz biorąc transseksualiści nie przejawiają skłonności do przemocy i odbiegających od normy zachowań agresywnych. To prawda. Pamiętasz, co powiedziałem o gniewie, który przybiera maskę żądzy, o toczniu, który ma objawy pokrzywki? Billy nie jest transseksualistą, Clarice, ale uważa, że nim jest, stara się nim być. Sądzę, że stara się być wieloma ludźmi naraz.

— Mówił pan, że dzięki temu możemy go złapać, że jest na wyciągnięcie ręki.

— Istnieją trzy główne ośrodki chirurgii płci: szpital Johnsa Hopkinsa, Uniwersytet Minnesota i ośrodek medyczny Columbus. Nie zdziwiłbym się, gdyby złożył podanie o operację w którymś z tych miejsc i otrzymał odpowiedź odmowną.

— Na jakiej podstawie mieliby go odrzucić, w jaki sposób mógłby się zdradzić?

— Jesteś bardzo szybka, Clarice. Pierwszą przeszkodą mogłaby okazać się kryminalna przeszłość. To dyskwalifikuje kandydata, chyba że przestępstwo jest stosunkowo nieszkodliwe i związane z problemami

płci. Przebieranie się mężczyzny za kobietę w miejscach publicznych, coś w tym rodzaju. Jeśli natomiast udało mu się zataić jakieś poważne przestępstwo, wtedy i tak odpadnie przy badaniach osobowości.

— Jak?

— Chcesz wiedzieć, jak można go wyselekcjonować, prawda?

— Tak.

— Dlaczego nie spytasz doktora Blooma?

— Wolę spytać pana.

— Co z tego będziesz miała, Clarice, dyplom i awans? Co może za to dostać taka mała, uparta policjantka?

— Klucz do frontowych drzwi, na przykład. W jaki sposób mógłby się zdradzić podczas badań?

— Jak ci się podobała Montana, Clarice?

— Podobała się.

- Jak ci się podobał mąż kuzynki twojej matki?
- Różniliśmy się od siebie.
- Jacy oni byli?
- Przepracowani.
- Czy były tam jakieś inne dzieci?
- Nie.
- Gdzie mieszkałaś?
- Na ranczu.
- Hodowali owce?
- Owce i konie.
- Jak długo tam byłaś?
- Siedem miesięcy.
- Ile miałaś lat?
- Dziesięć.
- Dokąd się stamtąd przeniosłaś?
- Do luterańskiego domu dziecka w Bozeman.
- Powiedz mi prawdę.
- Przecież mówię.
- Skaczesz wokół prawdy. Jeśli jesteś zmęczona, możemy przenieść naszą rozmowę na koniec tygodnia. Osobiście jestem już trochę znudzony. Czy może wolisz porozmawiać teraz?
- Teraz, doktorze.
- W porządku. Mamy więc dziecko wysłane na ranczo, daleko od matki, gdzieś w Montanie. Na farmie hoduje się owce i konie. Dziecko tęskni za matką, podnieca je obecność zwierząt... — Doktor Lecter zachęcał ją otwartymi dłońmi.
- To było wspaniałe. Miałam swój własny pokój i indiańską matę na podłodze. Pozwalali mi jeździć na kłaczach... prowadzili ją za uzdę, nie widziała zbyt dobrze. Coś było nie w porządku ze wszystkimi końmi. Były kulawe albo chore. Niektóre z nich wychowywały się z dziećmi, wie pan, i często rżały na mnie, kiedy wychodziłam rano do szkolnego autobusu.
- Ale potem?
- Znalazłam coś dziwnego w stodole. Mieli tam w środku mały składzik. Z początku myślałam, że to jakiś stary hełm. Kiedy ściągnęłam go z półki, zobaczyłam napis „Humanitarny Zabójca Koni W.W.Greenera”. Było to coś w rodzaju metalowej czapki w kształcie dzwonu. Na górze było miejsce, w które wkładało się nabój. Wyglądało to na kaliber 32.
- Czy na tym ranczu trzymano konie przeznaczone na ubój, Clarice?
- Tak.
- Czy zabijali je wszystkie na miejscu?
- Te, które szły na klej i na nawozy sztuczne. Jeśli się je zabije, można załadować na ciężarówkę nawet sześć sztuk. Te przeznaczone na mięso dla psów transportowano dalej żywe.
- Co stało się z tą kłaczą, na której jeździłaś po podwórku?

- Uciekłyśmy razem.
- Dokąd udało ci się na niej dojechać?
- Tam, dokąd dojechałam. Nie powiem nic więcej, zanim nie dowiem się czegoś bliższego na temat testów osobowości.
- Czy wiesz, jakim testom poddaje się mężczyzn ubiegających się o chirurgiczną zmianę płci?
- Nie.
- Składniej by nam poszło, gdybyś przyniosła formularze któregoś z ośrodków medycznych, ale w skrócie rzecz biorąc: mamy tu na ogół test Wechslera na inteligencję, testy rysunkowe DDO (dom—drzewo— osoba) i autotematyczny, dalej test Roschacha, naturalnie Minnesota Multiphasic, następnie test apercepcji tematycznej i kilka innych, na przykład test Jenkinsa, zmodyfikowany na uniwersytecie w Nowym Jorku. Potrzebujesz czegoś, co dałoby się szybko przejrzeć, prawda? Prawda, Clarice?
- To by było najlepsze, coś szybkiego.
- Pomyślmy... Załóżmy, że szukamy mężczyzny, którego wyniki testów różnią się zasadniczo od wyników autentycznych transseksualistów. W porządku. W teście DDO zwróć uwagę na tych, u których pierwsza narysowana postać nie jest postacią kobiety. Transseksualiści mężczyźni prawie zawsze rysują w pierwszej kolejności figurę kobiety, mnóstwo uwagi przykładają przy tym do wszystkich trzeciorzędnych ozdóbek. Postać mężczyzny jest w ich wykonaniu bardzo stereotypowa... z wyjątkiem sytuacji, kiedy rysują kogoś przypominającego Mister America.
- Szukaj rysunków domów, w których brak atrybutów szczęśliwej przyszłości — nie ma na zewnątrz wózka z dzieckiem, nie ma firanek w oknach, kwiatów w ogródku.
- Prawdziwi transseksualiści rysują dwa rodzaje drzew. Obsypane gałązkami płaczące wierzby i drzewa, w których powtarza się temat kastracji. Ucięte skrajem kartki drzewa są na ogół pełne życia: obsypane kwieciami i owocami. Różnica jest uderzająca. W niczym nie przypominają przeraźliwych, martwych, poddanych torturom drzew, które widać na rysunkach osób z zaburzeniami psychicznymi. To dobry przykład: drzewo Billy'ego będzie przeraźliwe. Czy nie podążam naprzód zbyt szybko?
- Nie, doktorze.
- Na rysunku, na którym ma przedstawić samego siebie, trans-seksualista prawie nigdy nie rysuje się nago. Nie daj się zmylić paranoicznym idealizacjom na kartach apercepcji tematycznej... występują często u transseksualistów, którzy się wielokrotnie przebierali... mają złe doświadczenia z władzami. Czy mam podsumować?
- Tak, chciałabym prosić o podsumowanie.
- Powinnaś postarać się we wszystkich trzech ośrodkach o listę odrzuconych kandydatów. Sprawdź najpierw tych, którzy zostali zdyskwalifikowani z powodu kryminalnej przeszłości. W tej grupie szukaj przede wszystkim włamywaczy. Wśród mężczyzn starających się zataić, że byli karani, szukaj tych, którzy w dzieciństwie mieli poważne kłopoty, połączone z użyciem przemocy. Możliwy pobyt w domu poprawczym. Potem przejdź do testów. Szukaj białego mężczyzny w wieku prawdopodobnie poniżej trzydziestu pięciu lat, raczej wysokiego. On nie jest transseksualistą, Clarice. On tylko myśli, że nim jest. Jest zdumiony i wściekły, ponieważ nikt nie chce mu pomóc. To

wszystko, sędzę, co chciałbym powiedzieć, zanim nie zapoznam się z aktami sprawy. Zostawisz je tutaj?

— Tak.

— Razem z fotografiami.

— Są dołączone.

— A teraz lepiej biegnij z tym, co masz, Clarice. Zobaczymy, jak sobie poradzisz.

— Chcę wiedzieć, jak...

— Nie. Nie bądź zachłanna, albo spotkamy się dopiero w przyszłym tygodniu. Przyjdź do mnie, kiedy uda ci się posunąć sprawę trochę naprzód. Albo kiedy ci się nie uda. I jeszcze coś, Clarice.

— Tak?

— Następnym razem odpowiesz mi na dwa pytania. Po pierwsze, co stało się z koniem. Po drugie... interesuje mnie, jak udaje ci się opanować gniew?

Przyszedł po nią Alonzo. Przycisnęła notatki do piersi i szła ze spuszczoną głową, starając się nie uronić ani słowa z tego, czego się dowiedziała. Spragniona świeżego powietrza, wychodząc ze szpitala nie rzuciła nawet okiem w stronę gabinetu Chiltona.

U doktora Chiltona paliło się światło. Widać je było przez szparę pod drzwiami.

Rozdział 26

Głęboko poniżej wschodzącego rdzawo nad Baltimore słońca, na oddziale pod intensywnym nadzorem rośnie niepokój. Na dole, tam gdzie nigdy nie zapada ciemność, budzi się nieznośna świadomość nowego dnia, świadomość ostryg uwięzionych w beczce, ostryg, które na próżno czekają na przyływ, na falę, która je uwolni. Krzyżące przez sen, na podobieństwo Boga stworzone istoty, wzdrygają się, zanim krzykną raz jeszcze. Ćwiczą głos nocni łowcy przygód.

Doktor Hannibal Lecter stoi sztywno wyprostowany na końcu korytarza, twarzą do ściany oddalonej od niego o trzydzieści centymetrów. Niczym wysoki ścienny zegar przymocowany jest ściśle grubą płócienną taśmą do ręcznego wózka do przeprowadzek. Pod taśmą ma kaftan bezpieczeństwa, na nogach pasy. Kask bramkarza hokejowego chroni przed jego zębami; spełnia swą rolę równie dobrze, jak knebel, a nie powoduje ślinienia.

Z tyłu, za doktorem Lecterem, myje ścierką jego klatkę niski, przygarbiony pielęgniarz. Dozór nad dokonywanym trzy razy w tygodniu sprzątaniami sprawuje Barney, sprawdzając jednocześnie, czy w celi nie ma żadnej kontrabandy. Sprzątacze śpieszą się, w celi doktora Lectera chodzą im po grzbiecie ciarki. Po ich wyjściu sprawdza celę Barney. Sprawdza wszystko i nie zaniedbuje niczego.

Wszelkie czynności wokół doktora Lectera wykonywane są wyłącznie pod nadzorem Barneya, ponieważ on nigdy nie zapomina, z kim ma do czynienia. Jego dwaj pomocnicy oglądają w telewizji powtórki z ligi hokejowej.

Doktor Lecter świetnie się bawi, ma rozległe wewnętrzne rezerwy, mogą dostarczać mu rozrywki przez całe lata. Niczym wyobraźnia Milтона, dla której nie istniały prawa fizyki, myśl doktora Lectera nie jest już krępowana strachem ani poczuciem

przyzwoitości. W jego głowie panuje pełna wolność.

Jego wewnętrzny świat ma intensywne kolory i zapachy, dźwięki są za to nieco przytłumione. Właściwie musi się trochę skoncentrować, żeby usłyszeć głos nieboszczyka Benjamina Raspaila. Doktor Lecter

duma nad tym, w jaki sposób wydać Clarice Starling Jame'a Gumba. Pomocne może się w tym okazać przywołanie Raspaila. Oto gruby flecista w ostatnim dniu swojego życia. Leży na kozetce doktora Lectera i opowiada mu o Jame Gumbie:

— *W tym domu noclegowym w San Francisco Jame miał najbardziej paskudny pokój, jaki można sobie wyobrazić. Zielonkawe ściany po-pstrzone psychodelicznymi, jaskrawymi plamami jeszcze z epoki hippies, wszystko straszliwie zdemolowane.*

Jame — wiesz, tak właśnie ma napisane w świadectwie urodzenia, takie imię tam dostał i trzeba wymawiać je „Jame”jak „name”, inaczej jest wściekły, mimo że to była przecież zwykła szpitalna pomyłka. W tamtych czasach też zatrudniali tam analfabetów, nie potrafili nawet porządnie wypełnić formularza. Dzisiaj jest jeszcze gorzej, dzisiaj pobyt w szpitalu może człowieka kosztować życie. Nieważne. W każdym razie Jame siedział tam, w tym okropnym pokoju, na łóżku, głowę schował w dłoniach, właśnie wylali go z antykwariatu i znowu zrobił tę brzydką rzecz.

Powiedziałem mu, że po prostu nie mogę pogodzić się z jego zachowaniem i że w moim życiu pojawił się Klaus. Jame nie jest autentycznym pedziem, wiesz, on to podłapał tylko na jakiś czas w więzieniu. Właściwie to jest nikiem, serio, jest czymś w rodzaju absolutnej dziury, którą koniecznie chce czymś wypełnić i dlatego właśnie jest taki wściekły. Kiedy wchodzi gdzieś, ma się wrażenie, że w pokoju zrobiło się nagle jeszcze bardziej pusto. Zabił swoich dziadków, kiedy miał dwanaście lat. Nie sądzisz chyba, że można pozytywnie odczuć obecność osoby tak nieobliczalnej?

No i siedział tam. Był bez pracy i znowu zrobił tę brzydką rzecz jakiemuś nieszczęśnikowi. Wyszedłem. On poszedł na pocztę i odebrał przesyłkę adresowaną do swojego byłego chlebodawcy, miał nadzieję, że znajdzie tam coś, co da się sprzedać. To była paczka z Malezji czy skądś tam. Nie mógł się doczekać, żeby ją otworzyć. W środku była walizka, a w niej motyle. Cała walizka motyli, luzem.

Jego szef posyłał pieniądze naczelnikom poczty na tych wyspach i dostawał od nich całe pudła martwych motyli. Topił je potem w żywicy syntetycznej i robił z nich najbardziej obrzydliwe ozdóbki, jakie można sobie wyobrazić — miał jeszcze czelność nazywać je przedmiotami artystycznymi. Motyle nie przedstawiały dla Jame'a żadnej wartości, rozgarniał je, szukając pod spodem biżuterii — jego szef dostawał czasami bransolety z wyspy Bali — aż pobrudził sobie motylim pyłkiem palce. Nic nie znalazł. Usiadł na łóżku, z twarzą w dłoniach, policzki i palce miał kolorowe jak motyl. Był na samym dnie, tak zresztą jak my wszyscy. Płakał. Usłyszał

cichy szmer, to był motyl w walizce. Wyzwał się z kokonu, wrzuconego tam razem z motylami. W końcu wydostał się na wierzch. W promieniach słońca unosił się motyli pył i zwyczajny kurz... Wiesz, jak to się wszystko cholernie wyraźnie widzi, kiedy człowiek jest naćpany i słucha czyjejś opowieści. Patrzył, jak motyl rozprostowuje skrzydła. To była duża sztuka, powiedział. Cała zielona. Otworzył okno i motyl odfrunął. I wtedy poczuł się

taki lekki — jak wyznał — i wiedział już, co ma robić.

Jame odnalazł tę małą plażę, na którą łaziliśmy ja i Klaus, i kiedy wróciłem z próby, on już tam był. Nie widziałem nigdzie Klause. Nie było go. Zapytałem, gdzie jest Klaus, a Jame odparł, że pływa. Wiedziałem, że to kłamstwo, Klaus nigdy nie pływał, na Pacyfiku były za duże fale. I kiedy otworzyłem lodówkę, no to wiesz, co tam znalazłem. Zza pomarańczowego soku wyglądała na mnie głowa Klause. Jame zrobił sobie fartuszek, no wiesz, z Klause, założył go i zapytał: jak ci się teraz podobam. Wiem, że musi cię przerażać fakt, że mogłem utrzymywać jeszcze potem jakieś stosunki z Jame'em. Kiedy spotkałeś się z nim, wydawał się jeszcze bardziej niezrównoważony. Myślę, że zdumiewało go po prostu to, że się go nie bałeś.

I potem ostatnie w życiu słowa, jakie wypowiedział Raspail:

— Zastanawiam się, dlaczego rodzice nie zaBill mnie, zanim nauczyłem się ich oszukiwać.

Przebite na wylot serce Raspaila próbowało bić dalej. Wystająca na zewnątrz cienka rękojeść sztyletu wykonała pełny obrót.

— Wygląda jak słomka w lejku mrówkojada, prawda? — stwierdził doktor Lecter, ale Raspail nie zdążył już na to odpowiedzieć.

Doktor Lecter pamiętał każde słowo i wiele innych rzeczy. Przyjemne myśli, w sam raz, żeby się czymś zająć podczas sprzątania celi.

Clarice jest całkiem bystra, myślał doktor. Może dotrzeć do Jame'a Gumba na podstawie tego, co jej powiedział, ale zbyt długo to będzie trwało. Żeby złapać go wystarczająco szybko, musi dowiedzieć się kilku dodatkowych szczegółów. Doktor Lecter miał pewność, że kiedy zapozna się z aktami sprawy, odpowiednie wskazówki same przyjdą mu do głowy: być może będą się wiązały z kursem zawodowym, który Gumb ukończył w poprawczaku po zamordowaniu swoich dziadków. Wyda jej Jame'a Gumba jutro, zrobi to tak wyraźnie, że nawet Jackowi Crawfordowi nie uda się schrzanić sprawy. Jutro będzie po wszystkim.

Doktor Lecter usłyszał za sobą kroki i ktoś wyłączył telewizor. Poczul, jak wózek przechylił się do tyłu. Teraz rozpocznie się długi, żmudny proces uwalniania go wewnątrz celi z krępujących więzów. Zawsze odbywało się to w ten sam sposób. Najpierw Barney razem z pomocnikami delikatnie kładli go na prycy twarzą w dół. Potem Barney przywiązywał mu rącznikami kostki do prętów prycy, usuwał pasy z nóg i ubezpieczony przez dwóch uzbrojonych w pistolet gazowy i długie pałki asystentów rozpinął sprzączki kaftana bezpieczeństwa. Następnie wycofywał się z celi. Zapinał z powrotem siatkę i zamykał drzwi. Dopiero wtedy doktor Lecter samodzielnie wyzwalał się z więzów. Cały ten ekwipunek oddawał personelowi w zamian za śniadanie. Wprowadzono taką procedurę, odkąd doktor okaleczył siostrę, i do tej pory przebiegała gładko i bezboleśnie. Dzisiaj została zakłócona.

Rozdział 27

Lekki wstrząs w chwili, gdy wózek, do którego przytroczony był doktor Lecter, przetoczył się przez próg. W celi był doktor Chilton. Siedział na pryczy i przeglądał prywatną korespondencję doktora Lectera. Nie miał już na szyi krawata, zdjął także płaszcz. Doktor Lecter spostrzegł, że na piersi wisi mu jakiś medal.

— Postaw go koło toalety, Barney — powiedział doktor Chilton nie podnosząc wzroku.
— Poczekaj razem z kolegami przy swoim stanowisku.

Skończył czytać najświeższą korespondencję doktora Lectera z głównym archiwum psychiatrycznym. Potem rzucił listy na pryczę i wyszedł z celi. Zza hokejowej maski śledziły go oczy, głowa Lectera pozostała nieruchoma.

Chilton podszedł do szkolnej ławki stojącej na korytarzu, nachylił się sztywno i wyjął spod blatu mały magnetofon.

Potrząsnął nim tuż przed wyzierającymi z otworów w masce oczami doktora Lectera i ponownie usiadł na pryczy.

— Sądziłem, że może chciała się czegoś dowiedzieć w sprawie Miggsa, dlatego to zamontowałem — mówił Chilton. — Od lat nie słyszałem twojego głosu, ostatni raz to było zdaje się wtedy, kiedy dałeś mi te wszystkie mylące odpowiedzi podczas testu, a potem ośmieszyles w artykułach w *Journalu*. Trudno uwierzyć, że opinia pacjenta może mieć jakieś znaczenie dla profesjonalistów, prawda? Ale wciąż tutaj jestem. I ty także.

Doktor Lecter nic nie odpowiedział.

— Lata milczenia, potem nagle Jack Crawford przysyła swoją dziewczynę, a ty robisz się miękki jak galareta. Co takiego cię w niej ujęło, Hannibal? Czy może te jej mocne, jędrne łydki? Błysk włosów? Jest znakomita, nieprawdaż? Znakomita i odległa. Zimowy zachód

słońca, tak właśnie o niej myślę. Wiem, że minęło już nieco czasu, odkąd po raz ostatni oglądałeś zimowy zachód słońca, ale możesz mi wierzyć na słowo.

Został ci z nią tylko jeden dzień. Potem śledztwo obejmie wydział zabójstw w Baltimore. Przyśrubowują właśnie do podłogi specjalne krzesło w pomieszczeniu, w którym będą poddawać cię terapii elektrowstrząsowej. Krzesło zaopatrzone będzie w sedes, dla twojej i ich wygody oczywiście, kiedy już puszczą prąd przez druty. Ja o tym nic nie będę wiedział.

Czy to już do ciebie dotarło? Oni wiedzą, Hannibal. Zdają sobie doskonale sprawę z tego, że ty wiesz, kim jest Buffalo Bill. Uważają, że prawdopodobnie był jednym z twoich pacjentów. Coś mnie tknęło, kiedy usłyszałem, jak panna Starling spytała cię o Buffalo Billa. Zadzwoiłem do znajomego w wydziale zabójstw w Baltimore. W gardle Klausa znaleziono owada, Hannibal. Wiedzą, że zabił go Buffalo Bill. Crawford pozwala ci udawać mądralę. Nie sądzą, żebyś zdawał sobie sprawę, jak bardzo Crawford cię nienawidzi za pokieraszowanie jego protegowanego. Teraz ma cię w ręku. Uważasz się może dalej za wielkiego spryciarza?

Doktor Lecter patrzył, jak Chilton przygląda się paskom mocującym jego maskę. Najwyraźniej chciał mu ją zdjąć, żeby móc widzieć jego twarz. Lecter zastanawiał się, czy Chilton rozepnie pasek w bezpieczny dla siebie sposób, od tyłu. Jeśli zrobi to od przodu, będzie musiał sięgnąć wokół jego głowy. Błękitne żyły na wewnętrznej stronie

rań znajdują się wtedy tuż obok twarzy doktora Lectera. No, dalej, doktorze. Zbliź się. Nie, rozmyślił się.

— Wciąż uważasz, że pojedziesz do jakiegoś miejsca, w którym będziesz miał okno? Że będziesz spacerował po plaży i przyglądał się ptaszkom? Wątpię. Zadzwoń do senator Ruth Martin. Nie wie nic o żadnej umowie z tobą. Musiałem jej przypomnieć, kim w ogóle jesteś. Nigdy również nie słyszała o Clarice Starling. Ta mała wystrychnęła cię na dudka. Po kobietach zawsze można się spodziewać drobnych świństw, ale to, co zrobiła z tobą, naprawdę nie mieści się w głowie, nie uważasz?

Kiedy już wyciągną z ciebie wszystko, Crawford wniesie przeciwko tobie oskarżenie o umyślne zatajenie przestępstwa. Będziesz oczywiście strugał wariata, ale sędziemu wcale się to nie spodoba. Siedzisz za sześć morderstw. Sąd nie będzie się dłużej nad tobą roztkliwiał.

Nie będzie żadnego okna, Hannibal. Resztę swojego życia spędzisz w jakiejś stanowej dziurze siedząc na podłodze i wypatrując, czy nie przejeżdża przypadkiem obok wózek z pieluchami. Wypadną ci zęby, stracisz siły i nikt już nie będzie się więcej bał takiego zdechlaka.

Przeniosą cię na oddział ogólny. Młodszym od ciebie wystarczy pchnąć cię palcem. Będą cię wykorzystywać seksualnie, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota. Do czytania będziesz miał tylko to, co sam sobie napiszesz palcem na ścianie. Myślisz, że sąd będzie się nad tobą roztkliwiał? Widziałeś tych, co się zestarzelili w mamrze. Płaczą, kiedy im nie smakuje morelowy kompot.

Jack Crawford i ta jego cizia. Po śmierci jego żony nie będą się już kryć po kątach. On zacznie się ubierać jak młodzieżowiec i weźmie się za jakiś sport, który będą mogli wspólnie uprawiać. Są ze sobą od czasu, kiedy zachorowała Bella Crawford, wszyscy o tym wiedzą. Pójdą w górę i nie będą myśleć o tobie częściej niż raz do roku. Crawford prawdopodobnie zechce do ciebie przyjść już po zakończeniu sprawy, żeby osobiście oznajmić, jaką przyszykował dla ciebie nagrodę. Będzie to coś w rodzaju łupu. Jestem pewien, że mowę na tę okazję ma już gotową.

On nie zna cię tak dobrze jak ja, Hannibal. Uważał, że jeśli poprosi cię o informacje, będziesz przeciągał sprawę po to tylko, żeby zadreć matkę.

I całkiem słusznie, pomyślał doktor Lecter. Niegłupio to sobie Jack wymyślił — ta prostoduszna szkocko-irlandzka gęba może człowieka łatwo wprowadzić w błąd. Ale jeśli się wie, jak na nią spojrzeć, cała jest poznaczona bliznami. No, na upartego znalazłoby się tam jeszcze miejsce na kilka nowych.

— Wiem, czego się boisz, Hannibal. Nie bólu ani samotności. Jediną rzeczą, której nie możesz znieść, jest upokorzenie. Przyrzekłem, że będę się o ciebie troszczył, Hannibal, i dotrzymam słowa. Z mojej strony nie może być wobec ciebie mowy o żadnych osobistych uprzedzeniach. Właśnie teraz zamierzam się o ciebie zatroszczyć.

Nie było nigdy żadnej umowy z panią senator, ale teraz będzie. Albo może być. Od paru godzin nie odchodzę od telefonu, występując w twojej sprawie i w imię ocalenia tej dziewczyny. Powiem ci, jaki jest pierwszy warunek: będziesz prowadził rozmowy wyłącznie za moim pośrednictwem. Profesjonalny raport na ten temat i mój wywiad z tobą, wywiad, który doprowadził do sukcesu w sprawie, opublikuję tylko ja. Ty nie dasz

do prasy niczego. Będę miał wyłączny dostęp do informacji przekazanych przez Catherine Martin, jeśli uda się ją ocalić. Ten warunek nie podlega negocjacom. Musisz odpowiedzieć mi teraz. Tak czy nie?

Doktor Lecter uśmiechnął się.

— Lepiej mi teraz odpowiedz albo będziesz zeznawał przed wydziałem zabójstw w Baltimore. Oto nasza propozycja: jeśli podasz tożsamość Buffalo Billa i uda się na czas dotrzeć do dziewczyny, senator Martin załatwi ci przeniesienie do więzienia stanowego Brushy

Mountains w Tennessee, poza zasięgiem jurysdykcji stanu Maryland. Pani senator potwierdzi to telefonicznie. Będziesz pod jej opieką, daleko od Jacka Crawforda. Umieszczą cię w specjalnie strzeżonej celi z widokiem na las. Dostaniesz książki. Co do ewentualnego opuszczania murów więzienia, szczegóły są do omówienia. Pani senator jest generalnie skłonna do ustępstw. Wymień jego nazwisko i będziesz mógł jechać już zaraz. Na lotnisku przejmie nad tobą nadzór policja z Tennessee, zgodził się na to gubernator.

Nareszcie doktor Chilton powiedział coś sensownego, choć sam nawet o tym nie wie. Doktor Lecter zacisnął pod maską czerwone wargi. Nadzór policji. Policja nie jest taka sprytna jak Barney. Policja jest przyzwyczajona do postępowania z normalnymi przestępcami. Używa na ogół kajdanek i żelaznych kajdan na nogi. I jedno, i drugie dadzą się otworzyć kluczem. Takim jak mój.

— Na imię ma Billy — powiedział doktor Lecter. — Resztę powiem osobiście pani senator. W Tennessee.

Rozdział 28

Jack Crawford podziękował doktorowi Danielsonowi za kawę, ale skorzystał z kubka, żeby nalać sobie wody z kranu. Rozpuścił w niej tabletkę alka-seltzer. Wszystko było tu z nierdzewnej stali: pojemnik na filiżanki, obudowa zlewu, kosz na śmieci i oprawka okularów doktora Danielsona. Jasny metal przywodził na myśl narzędzia chirurgiczne, a jego blask powodował, że coraz mocniej strzykało Crawforda w krzyżu.

W małej dyżurce znajdowali się tylko on i doktor.

— Nie otrzyma pan nic bez nakazu sądu — powtórzył doktor Danielson. Tym razem był szorstki, chciał zatrzeć korzystne wrażenie, jakie wywołał proponując kawę.

Danielson był szefem kliniki chirurgii płci w szpitalu Johnsa Hopkinsa. Zgodził się przyjąć Crawforda wczesnym rankiem, na długo przed porannym obchodem.

— Będzie pan musiał pokazać mi oddzielny nakaz sądu w sprawie każdego poszczególnego przypadku, a i tak będziemy walczyć o każdy z nich z osobna. Spodziewam się, że identyczną odpowiedź dano panu w Columbus i Minnesota?

— Departament Sprawiedliwości pyta ich o to właśnie w tej chwili. Musimy to zrobić szybko, doktorze. Jeśli dziewczyna nie jest jeszcze martwa, Bill zabije ją lada dzień, dzisiaj albo jutro. A potem uprowadzi następną — powiedział Crawford.

— Samo wymienianie Buffalo Billa, panie Crawford, podczas rozmowy o problemach, z jakimi mamy do czynienia w naszej klinice, jest przejawem ignorancji, jest

niesprawiedliwe i niebezpieczne. Kiedy to słyszę, włosy stają mi dęba na głowie. Lata całe trwało — i wcale nie jesteśmy blisko zakończenia tego procesu — przekonywanie opinii publicznej, że transseksualiści nie są wcale wariatami, że nie są zбочeńcami, nie są nienormalni, cokolwiek to słowo oznacza...

— Zgadzam się z panem...

— Chwileczkę. Liczba zachowań agresywnych jest wśród trans-seksualistów o wiele niższa niż w całej populacji. To są uczciwi ludzie, oni stoją przed prawdziwym problemem, problemem, którego nie da się w inny sposób rozwiązać. Należy im się pomoc i my im tej pomocy udzielamy. Nigdy nie naruszyliśmy tajemnicy pacjenta i nigdy tego nie zrobimy. Od tego w ogóle zacznijmy naszą rozmowę, panie Crawford.

W życiu prywatnym Crawford od kilku miesięcy prawie codziennie podlizywał się doktorom i pielęgniarkom żony, starając się uzyskać dla niej tą drogą jakieś drobne korzyści. Na widok lekarzy robiło mu się niedobrze. Ale teraz to nie było życie prywatne. To było Baltimore i sprawa służbowa. Powinien być miły.

— W takim razie nie wyraziłem się jasno, doktorze. To moja wina. Jest wcześniej, a ja nie należę do rannych ptaszków. Cała idea polega na tym, że ten człowiek nie jest pańskim pacjentem. To jest ktoś, komu odmówiliście, ponieważ wykryliście, że nie jest transseksualistą. Nie postępujemy w tej sprawie po omacku. Pokażę panu pewne szczególne punkty, w których różni się on od typowego transseksualisty w waszych testach na osobowość. Tu jest krótka lista rzeczy, które pański personel może odszukać w dokumentacji odrzuconych kandydatów.

Czytając doktor Danielson pocierał palcem bok nosa. Zwrócił kartkę Crawfordowi.

— To oryginalne, panie Crawford. Właściwie określiłbym to jako skrajnie dziwaczne, a nie jest to słowo, którego często używam. Kto zaopatrzył pana w ten katalog... domysłów?

Wątpię, czy chciałby pan to naprawdę wiedzieć, doktorze Danielson, pomyślał.

— Personel Sekcji Behawioralnej — odparł Crawford. — Konsultowany był doktor Alan Bloom z uniwersytetu chicagowskiego.

— Zaaprobował to Alan Bloom?

— Tak, i nie opieramy się tylko na testach. Jest jeszcze inny fakt, który pomoże wykryć Buffalo Billa w pańskich aktach. Starał się on prawdopodobnie zataić swą kryminalną przeszłość albo zafałszować inne dane na temat swego życiorysu. Proszę pokazać mi tych, których pan odrzucił, doktorze.

Danielson cały czas potrzasał głową.

— Materiały z rozmów i testów są ściśle poufne.

— W jaki sposób fałszerstwo i próba wprowadzenia w błąd mogą być poufne, doktorze? Jakim cudem prawdziwe nazwisko i prawdziwa przeszłość kryminalisty mogą być objęte tajemnicą lekarską, skoro pacjent nigdy ich panu nie zdradził, a musiał pan je odkryć sam. Wiem, jak ostrożnie traktujecie te sprawy. Stykacie się z takimi przypadkami, jestem tego pewien. Ludzie z uzależnieniem chirurgicznym zgłaszają się do każdej kliniki, w której przeprowadza się zabiegi z użyciem skalpela. Nie ma to żadnego związku z pańską instytucją ani przyjętymi przez pana pacjentami. Sądzi pan, że wariaci nie składają podań o przyjęcie do FBI? Ciągłe nas nachodzą. W zeszłym

tygodniu zgłosił się do naszego biura w St Louis ostrzyżony na punka facet. W torbie do gry w golfa miał pancernicę bazookę, dwa pociski i futrzane czako z niedźwiedziej skóry.

— I co? Przyjęliście go do służby?

— Proszę mi pomóc, doktorze. Nie mamy czasu. Być może właśnie teraz, kiedy tu stoimy, Catherine Martin upodabnia się pod nożem Buffalo Billa do czegoś takiego. — Crawford położył na stole fotografię.

— Niech pan tego nigdy nie robi — powiedział doktor Danielson. — To jest dziecinny szantaż. Byłem chirurgiem wojskowym, panie Crawford. Może pan schować to zdjęcie z powrotem.

— Nie ulega wątpliwości, że chirurg może bez zmruczenia oka znieść widok torturowanego ciała — stwierdził Crawford, zgniatając w dłoni kubek i naciskając pedał pojemnika na śmieci. — Ale nie sądzę, by lekarz mógł znieść myśl o tym, że oto niweczy się czyjeś życie. — Wrzucił kubek do środka, pokrywa pojemnika opadła z hukiem. — Oto moja propozycja: nie proszę pana o informacje na temat pańskich pacjentów, interesują mnie wyłącznie niektóre podania odrzuconych kandydatów, te wybrane na podstawie przekazanych przed chwilą wskazówek. Pan i pańscy koledzy psychiatrzy możecie przejrzeć akta o wiele szybciej ode mnie. Jeśli dzięki uzyskanym tutaj informacjom uda nam się ująć Buffalo Billa, nikt nie dowie się o naszej współpracy. Wymyślę inny sposób, który doprowadził policję do niego, i taka będzie oficjalna wersja.

— Czy ośrodek Johnsa Hopkinsa będzie występować w roli chronionego przez FBI świadka? Czy zapewnicie nam nową tożsamość? Powiedzmy, że odtąd będziemy się nazywać Bob Jones College? Mam poważne wątpliwości, czy FBI i w ogóle jakakolwiek rządowa agencja potrafi na dłuższą metę zachować coś w tajemnicy.

— Zdziwi się pan.

— Wątpię. Próba wyślizgnięcia się za pomocą nieudolnego, biurokratycznego kłamstwa może przynieść jeszcze więcej szkód niż proste przyznanie, jak się rzecz miała, bez owijania w bawełnę. Proszę, niech pan nawet nie myśli, żeby roztaczać nad nami tego rodzaju protekcję, dziękuję panu bardzo.

— Dziękuję panu, doktorze, za pańskie dowcipne uwagi. Bardzo mi pomogły i zaraz to panu udowodnię. Nie lubi pan owijania w bawełnę. Proszę bardzo, niech pan słucha. Ten człowiek uprawia młode kobiety i obdziera je ze skóry. Potem nakłada tę skórę na siebie i paraduje w niej przed lustrem. Nie chcemy, żeby to dalej robił. Jeśli nie pomoże mi pan tak szybko, jak pan potrafi, to wie pan, co zamierzam zrobić? Dzisiaj rano Departament Sprawiedliwości zwróci się o oficjalny nakaz sądowy, ogłaszając publicznie, że odmówił pan współpracy. Będziemy zwracać się o nakaz dwa razy dziennie, tak żeby wiadomość o tym pojawiała się zarówno w porannych, jak i wieczornych wiadomościach. W każdym dotyczącym tej sprawy, przekazanym mass mediom komunikacie będzie mowa o tym, jak chodzimy wokół doktora Danielsona z ośrodka Johnsa Hopkinsa usiłując skłonić go, żeby jednak zgodził się z nami współpracować. Za każdym razem, kiedy Buffalo Bill znajdzie się w centrum zainteresowania — kiedy odnajdziemy ciało Catherine Martin, a potem następne i jeszcze następne — będziemy ogłaszać szczegółowy komunikat o tym, jak układają nam się stosunki z doktorem Danielsonem z

ośrodka Johnsa Hopkinsa, razem z wszystkimi jego dowcipnymi uwagami na temat Bob Jones College. Jeszcze jedno, doktorze. Wie pan, że właśnie tutaj, w Baltimore, znajduje się siedziba senackiej komisji do spraw zdrowia i opieki społecznej. Kiedy o tym myślę, szczególnie ciekawi mnie wchodzące w jej skład biuro polityki kadrowej i kwalifikacyjnej. Sądzę, że biegną tam również pańskie myśli, nieprawdaż? Co będzie, jeśli pani senator Martin w jakiś czas po pogrzebie swojej córki zada swoim znakomitym, zasiadającym w tym biurze kolegom następujące pytanie: „czy operacje zmiany płci, których pan tutaj dokonuje, nie powinny być traktowane jak normalna chirurgia kosmetyczna?” A oni pokiwiają głowami i powiedzą: „Właściwie, dlaczego nie, pani senator wydaje się mieć rację. Tak. Uważamy, że to jest normalna chirurgia kosmetyczna”. I wtedy nie dostanie pan na swoją działalność ani grosza więcej z funduszków federalnych, ani grosza więcej niż pierwsza lepsza klinika, w której poprawia się ludziom nosy.

— Pan mnie obraża.

— Nie, po prostu mówię prawdę.

— Nie uda się panu mnie przerazić ani zastraszyć...

— Dobrze. Nie pragnę ani jednego, ani drugiego, doktorze. Chcę tylko, żeby pan wiedział, że mówię poważnie. Niech mi pan pomoże. Proszę.

— Powiedział pan, że współpracuje z Alanem Bloomem.

— Tak. Z uniwersytetu chicagowskiego...

— Znam doktora Blooma i wolałbym raczej z nim przedyskutować tę sprawę, na gruncie profesjonalnym. Niech mu pan przekaże, że skontaktuję się z nim jeszcze dziś rano. Przed południem powiem panu, jaka jest moja decyzja. Nie jest mi obojętny los młodych kobiet, panie Crawford. I los innych ludzi. Ale stawka jest olbrzymia i nie wydaje mi się, żeby pan to w wystarczającym stopniu rozumiał... Czy miał pan ostatnio badane ciśnienie krwi, panie Crawford?

— Mierzę je sobie sam.

— Czy sam pan przepisuje sobie również recepty?

— To sprzeczne z prawem, doktorze Danielson.

— Ale ma pan swego lekarza?

— Tak.

— Niech pan mu poda wyniki swoich pomiarów, panie Crawford. Byłaby to dla nas wszystkich niepowetowana strata, gdyby pożegnał się pan z tym światem. Skontaktuję się z panem jeszcze dzisiaj rano.

— Kiedy dokładnie, doktorze? Czy możemy się umówić na telefon za godzinę?

— Dobrze, za godzinę.

Kiedy wysiadał z windy na parterze, w kieszeni zaterkotał brzęczyk. Z mikrobusu machał do niego Jeff. Ruszył biegiem. Znaleźli jej ciało pomyślał łapiąc za słuchawkę. Dzwonił dyrektor. Wiadomości nie były takie złe, jak się spodziewał, ale nie były też dobre: do sprawy wmieszał się Chilton i teraz mieli na karku senator Ruth Martin. Prokurator generalny stanu Maryland podpisał na polecenie gubernatora zgodę na ekstradycję do Tennessee doktora Hannibala Lectera. Żeby wstrzymać przeniesienie albo je na jakiś czas opóźnić, filia sądu federalnego w Maryland musiałaby się nieźle nagimnastykować. Dyrektor chciał, żeby Crawford wyraził swoją opinię, chciał usłyszeć

ją zaraz.

— Muszę pomyśleć — powiedział Crawford. Położył słuchawkę na kolanie i wyjrzał przez okno mikrobusu. W pierwszych promieniach lutowego słońca zobaczył niewiele kolorów. Wszystko było szare. Wyblakłe.

Jeff chciał coś powiedzieć, ale Crawford uciszył go ruchem dłoni. Monstrualna osobowość Lectera. Ambicja Chiltona. Pani senator i jej lęk o własne dziecko. Życie Catherine Martin. Spróbuj to rozstrzygnąć.

— Niech jedzie — powiedział do telefonu.

Rozdział 29

Doktor Chilton i trzech policjantów w świeżo uprasowanych mundurach sił pomocniczych stanu Tennessee stali obok siebie na pasie startowym, starając się przekrzyczeć szum radia dobiegający z otwartej kabiny samolotu i warkot silnika stojącego obok ambulansu. Wiał silny wiatr, na horyzoncie wstawało słońce.

Dowodzący grupą kapitan podał doktorowi Chiltonowi pióro. Wiatr unosił papiery, policjant musiał przyciskać je do okładki notesu.

— Czy nie możemy zrobić tego podczas lotu? — pytał Chilton.

— Musimy podpisać dokumenty w momencie fizycznego przekazania więźnia, sir. Takie mam instrukcje.

Drugi pilot zakończył montowanie pochylni na schodkach do samolotu.

— W porządku! — zawołał.

Policjanci podeszli razem z Chiltonem do tylnych drzwi ambulansu. Kiedy doktor je otwierał, zastygli w napięciu, jakby spodziewali się, że coś może zza nich wyskoczyć.

Doktor Hannibal Lecter stał przytroczony płócienną taśmą do wózka, na twarzy miał kask hokejowego bramkarza. Oddawał właśnie mocz do nocnika, który trzymał w ręku Barney.

Jeden z policjantów parsknął śmiechem. Dwaj pozostali odwrócili wzrok.

— Przepraszam — powiedział Barney do doktora Lectera i zamknął drzwi z powrotem.

— Nic nie szkodzi, Barney — odparł doktor Lecter. — Już skończyłem, dziękuję.

Barney uporządkował ubranie Lectera i popchnął jego wózek do tyłu.

— Barney?

— Tak, doktorze?

— Byłeś wobec mnie przyzwoity przez tak długi czas. Dziękuję.

— Nie ma za co.

— Kiedy Sammie dojdzie do siebie, pożegnaj go ode mnie.

— Oczywiście.

— Do widzenia, Barney.

Wysoki pielęgniarz pchnął drzwi od środka.

— Możecie chwycić wózek na dole, panowie?! — zawołał do policjantów. — Złapcie go z obu stron. Postawimy go na ziemi. Delikatnie.

Barney wtoczył doktora Lectera po pochylni do środka samolotu.

Z prawej strony usunięte były trzy fotele. Drugi pilot przymocował wózek do zaczepów w podłodze.

— Czy on będzie leciał cały czas na leżąco? — spytał jeden z policjantów. — Czy ma na sobie gumowe majtki?

— Będziesz musiał po prostu zacisnąć pęcherz aż do Memphis, brachu — powiedział drugi.

— Doktorze Chilton, czy mogę z panem porozmawiać? — odezwał się Barney.

Stali tuż przy samolocie, obok nich unosiły się gnane wiatrem tumany kurzu i śmieci.

— Ci faceci nie zdają sobie z niczego sprawy — oświadczył Barney.

— Po przylocie będę miał dodatkową pomoc... doświadczonych pielęgniarzy ze szpitala psychiatrycznego. Odpowiedzialność za niego spocznie teraz na nich.

— Sądzi pan, że będą go odpowiednio traktować? Wie pan, jaki on jest. Jedyne, czego się boi, to nuda. Tylko tym można go przestraszyć. Biciem nic się u niego nie wskóra.

— Nigdy na to nie pozwolę, Barney.

— Będzie pan obecny podczas przesłuchań?

— Tak. — A ciebie tam nie będzie, dodał w myśli Chilton.

— Mógłbym polecieć tam i dopilnować jego zakwaterowania. Zdamę wrócić na dyżur, będę miał jeszcze kilka godzin w zapasie — zaproponował Barney.

— Ty się już nim nie zajmujesz, Barney. Ja tam będę. Pokażę im, jak się z nim obchodzić, krok po kroku.

— Powinni na niego lepiej uważać — stwierdził Barney. — Bo on będzie miał ich na oku, to pewne.

Rozdział 30

Clarice Starling siedziała w motelu na skraju łóżka i wpatrywała się w czarny telefon. Przed minutą skończyła rozmawiać z Crawfordem. Miała potargane włosy, wierząc się podczas krótkiego snu przekrzywiła na sobie służbową, należącą do FBI nocną koszulę. Czuła się tak, jakby ktoś kopnął ją prosto w żołądek.

Minęły dopiero trzy godziny od chwili, kiedy rozstała się z doktorem Lecterem. Dwie od momentu, kiedy razem z Crawfordem skończyli pracę nad arkuszami cech charakterystycznych, które miały posłużyć za podstawę selekcji w ośrodkach medycznych. W ciągu tego krótkiego czasu, gdy spała, Chiltonowi udało się wszystko popsuć.

Jechał po nią Crawford. Musiała być gotowa, musiała pomyśleć o tym, żeby się trochę ogarnąć.

Niech to szlag. Niech to szlag. Niech to szlag. Zamordowałeś ją, doktorze Chilton. Zabiłeś ją, ty obleśny zasańcu. Lecter wiedział coś więcej i wyciągnęłabym to z niego. Teraz wszystko przepadło. Wszystko na nic. Kiedy wypłynie trup Catherine Martin, dopilnuję, żebyś musiał się mu przyjrzeć, przysięgam, że tego dopilnuję. Odebrałeś mi tę szansę. Naprawdę muszę teraz zrobić coś sensownego. W tej chwili, już. Co mogę zrobić w tej chwili, w tej minucie? Doprowadzić się do porządku...

W łazience znalazła mały koszyczek z opakowanymi w papier mydełkami, tubkami szamponu i płynu do kąpieli. Był także niewielki zestaw do szycia. Drobiazgi, na które można liczyć w każdym dobrym motelu.

Wchodząc pod prysznic, ujrzała w krótkim mgnieniu samą siebie w wieku ośmiu lat. Niosła matce opakowane w papier mydełka i tubki, na rękę narzucone miała ręczniki. Matka sprzątała w motelu. Kiedy Clarice miała osiem lat, w okolicy grasowała wrona. Cała chmara wron upodobała sobie to ponure miasteczko, unosila się nad nim w tumanach kurzu, ale ta jedna była szczególna, ta interesowała się wózkami motelowych sprzątaczek. Porywała wszystko, co się świeci. Czekala na odpowiedni moment, spadała na wózek i buszowała wśród wiader, szczotek i pojemników z detergentami. Czasami, podczas alarmowego startu, zanieczyszczała wypraną bieliznę. Któraś z pokojówek rzuciła w nią kiedyś bielidłem, ale nic to nie pomogło, sprawiło tylko, że teraz jej pióra upstrzone były białymi jak śnieg plamami. Czarno-biała wrona stale obserwowała Clarice. Wyczekiwała na moment, kiedy dziewczynka będzie musiała odejść od wózka, żeby zanieść coś szorującej sedesy matce. To właśnie wtedy, stojąc w drzwiach łazienki, matka powiedziała, że Clarice będzie musiała wyjechać, że zamieszka w Mon-tanie. Odłożyła na bok przyniesione przez córkę ręczniki, siadła na skraju łóżka i przytuliła ją do siebie. Starling wciąż śniła o wronie, ujrzała ją i teraz, nie mając nawet czasu pomyśleć dlaczego. Podniosła rękę, żeby ją przepłoszyć, a potem, jakby zawstydzona, przesunęła dłonią po czole i odgarnęła do tyłu mokre włosy.

Ubrała się szybko. Spodnie, bluzka, lekki sweter, wciśnięty ciasno pod żebro, płaski jak naleśnik futerał, w środku rewolwer z uniesioną lufą, po drugiej stronie nasadzony na pas magazynek. Musiała poświęcić kilka chwil swojej kurtce. Na wysokości magazynka rozpruł się szew w podszewce. Zdecydowana była zająć się czymś, zająć czymkolwiek, dopóki nie ochłonie. Wyjęła przybory do szycia i zszyła pęknięcie. Niektórzy agenci przyszywali sobie w tym miejscu luźno zwisającą podkładkę, będzie musiała zrobić to samo... Do drzwi pukał Crawford.

Rozdział 31

Crawford wiedział z własnego doświadczenia, że gniew nie dodaje kobietom urody. Mają potargane włosy, wypieki na twarzy, zapominają się tu i ówdzie pozapinać. Potęgują się wszystkie ich ujemne cechy. Kiedy otworzył drzwi motelowego pokoju, inspektor Starling wyglądała znakomicie. Mimo to była wściekła jak wszyscy diabli.

Uprzytomnił sobie, że może się teraz dowiedzieć o niej czegoś zupełnie nowego.

Kiedy stanął w przejściu, w nozdrza uderzył go zapach mydła i wilgotne, nasycone parą powietrze. Łóżko było posłane, poduszka przykryta kocem.

— Co powiesz, Starling?

— Powiem: niech to szlag. A co p a n powie? Kiwnął głową.

— Na rogu jest otwarty drugstore. Napijemy się kawy.

Jak na luty, poranek był dość ciepły. Zawieszono nisko na wschodzie słońce oświetlało czerwono frontową ścianę szpitala. Szli wzdłuż niej, za nimi wolno toczył się prowadzony przez Jeffa mikrobus, w środku trzeszczało radio. Na chwilę Jeff podał

Crawfordowi słuchawkę telefonu.

— Czy mogę wysunąć wobec Chiltona zarzut utrudniania śledztwa?

Clarice lekko go wyprzedzała. Crawford dostrzegł, jak po zadaniu tego pytania zacisnęły jej się szczęki.

— Nie, to nic nie da.

— A co będzie, jeżeli Catherine przez niego zginie? Naprawdę chcę mu to rzucić w twarz... Niech pan mi pozwoli pozostać przy tej sprawie, proszę pana. Niech pan nie wysyła mnie z powrotem na uczelnię.

— Dwie rzeczy. Jeśli zatrzymam cię przy sobie, to nie dlatego, żebyś rzuciła coś w twarz Chiltonowi, z tym można poczekać. Po drugie, jeśli zatrzymam cię na dłużej, będziesz musiała powtarzać semestr. Będzie cię to kosztować kilka miesięcy. W Akademii nie stosuje się wobec nikogo taryfy ulgowej. Mogę ci zagwarantować, że dostaniesz się z powrotem, ale to wszystko. Będzie dla ciebie miejsce, to mogę ci obiecać.

Idąc odchyliła głowę do tyłu, potem opuściła ją na piersi.

— Może nie jest to zbyt grzeczne pytanie wobec własnego szefa, ale czy ma pan związane ręce? Czy pani senator Martin jest w stanie panu zaszkodzić?

— Za dwa lata muszę odejść na emeryturę, Starling. Muszę to zrobić, nawet jeśli uda mi się odnaleźć Jimmy'ego Hoffę i zabójcę od Tylenolu. To sprawa przesądzona.

Crawford, zawsze ostrożny w przejawianiu własnych uczuć, zdawał sobie sprawę, jak bardzo zależy mu na tym, żeby sprawiać wrażenie doświadczonego człowieka. Wiedział, że takie pragnienie u faceta w średnim wieku może często prowadzić do tego, iż udaje mądrzejszego, niż jest. Wiedział, że dla kogoś młodego, kto go słucha i darzy zaufaniem, efekty uzyskanej w ten sposób nauki mogą się okazać opłakane. Więc mówił ostrożnie i tylko o rzeczach, które dobrze znał.

Spostrzeżenia, jakie przekazywał dziewczynie idąc boczną uliczką Baltimore, poczynił podczas długich mroźnych poranków w Korei, biorąc udział w wojnie, która toczyła się na długo przed jej urodzeniem. Opuścił tylko nazwę kraju, nie potrzebował budować sobie w ten sposób autorytetu.

— To jest dla ciebie najtrudniejszy moment, Starling. Wykorzystaj go, naucz się czegoś. To najtrudniejszy test... nie możesz pozwolić, żeby wściekłość i frustracja zablokowały w tobie zdolność jasnego myślenia. Od tego zależy, czy kiedykolwiek będziesz mogła kierować akcją. Najbardziej wyprowadzają z równowagi głupota i zmarnowane starania. Chilton jest cholernym głupcem i to, co zrobił, może kosztować Catherine Martin życie. Ale może do tego nie dojdzie. My jesteśmy jej szansą. Jaką temperaturę ma ciekły azot, Starling?

— Co? Ciekły azot? Minus dwieście stopni, coś koło tego. W nieco wyższej temperaturze zaczyna się proces wrzenia.

— Czy coś już w nim kiedyś zamrażałaś?

— Jasne.

— Chcę, żebyś zamroziła coś w tej chwili. Całą tę historię z Chiltonem. Pamiętaj wszystko, co powiedział ci Lecter, i włóż swoje uczucia do ciekłego azotu. Chcę, żebyś ani na chwilę nie odwracała oczu od nagrody, która nas czeka. Tylko to się liczy. Ciężko

zapracowałaś na to, żeby uzyskać pewną informację, zapłaciłaś za nią, dostałaś do ręki, teraz czas, żebyśmy ją wykorzystali. Jest tak samo dobra albo tak samo bezwartościowa jak parę godzin temu, zanim wmieszał się w to Chilton. Najprawdopodobniej nie dowiemy się już

niczego więcej od Lectera. Pamiętaj, co powiedział ci na temat Buffalo Billa, i nie uroń z tego ani słówka. Resztę zamroź. Twoje zmarnowane starania, twój gniew, sprawa z Chiltonem. Zamroź to. Kiedy będziemy mieli chwilę czasu, Chilton dostanie takiego kopa, że się nakryje nogami. Na razie zamroź to i odsuń na bok. Żebyś mogła widzieć nagrodę: życie Catherine Martin. I rozpiętą na drzwiach stodoły skórę Buffalo Billa. Nie odwracaj oczu od nagrody. Jeśli potrafisz to zrobić, będę cię potrzebował.

— Do pracy w archiwach medycznych? Stali przed wejściem do drugstore'u.

— Nie, o ile kliniki nie będą marudzić i nie trzeba będzie sędownie zająć ich dokumentacji. Potrzebuję cię w Memphis. Musimy mieć nadzieję, że Lecter powie senator Martin coś użytecznego. Ale na wszelki wypadek chcę, żebyś była blisko. Jeśli zabawa z nią go zmęczy, być może będzie chciał porozmawiać z tobą. Tymczasem chcę, żebyś spróbowała dowiedzieć się czegoś o Catherine, o tym, w jaki sposób Bill mógł ją namierzyć. Nie jesteś wiele starsza od Catherine, jej przyjaciele mogą ci powiedzieć rzeczy, których nie zdradziliby komuś o wyglądzie gliny.

Nadal próbujemy wszelkich innych sposobów. Interpol stara się ustalić tożsamość Klausa. Wiedząc, kim był, możemy przyjrzeć się jego znajomym w Europie, a także w Kalifornii, gdzie romansował z Benjaminem Raspaiem. Ja jadę do Uniwersytetu Minnesota... nastąpiliśmy im tam, zdaje się, na odcisk. Dziś w nocy będę z powrotem w Waszyngtonie. Przyniosę teraz kawy. Gwizdnij na Jeffa. Za czterdzieści minut masz być w samolocie.

Czerwone słońce objęło trzy czwarte wysokości słupów telefonicznych. Chodniki tonęły wciąż w fioletowej poświacie. Machając do Jeffa, Clarice sięgała ręką światła.

Czuła się lepiej, lżej. Crawford był naprawdę świetny. Wiedziała, że podchwytliwe pytanie na temat azotu było ukłonem w stronę jej wiedzy kryminalistycznej, miało ją mile polechtać i uruchomić wrodzony nawyk zdyscyplinowanego myślenia. Zastanawiała się, czy mężczyźni rzeczywiście uważają ten rodzaj manipulacji za subtelny. Dziwne, jak takie rzeczy działają na człowieka, nawet kiedy zdaje sobie sprawę, co jest grane. I jakże często zdolności przywódcze idą w parze z pewną bezwzględnością.

Po drugiej stronie ulicy, na schodach Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych Przestępców, pojawiła się schodząca w dół postać. Był to Barney, w swojej puchowej kurtce wyglądał jeszcze potężniej niż zwykle. W rękę niósł pojemnik na lunch.

— Pięć minut — wymówiła bezgłośnie do siedzącego za kierownicą

Jeffa. Złapała pielęgniarza za rękę, kiedy przekręcał klucz w drzwiach swego starego studebakera.

— Barney.

Obrócił ku niej twarz, była bez wyrazu. Może tylko oczy otwarte miał trochę szerzej niż zazwyczaj. Stał mocno na ziemi.

— Czy doktor Chilton powiedział ci, że nie będziesz w to zamieszany?

— Co innego mógł powiedzieć?

— Wierzysz mu?

Skrzywił się kącikiem ust. Nie powiedział ani tak, ani nie.

— Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Teraz, w tej chwili, bez zadawania zbędnych pytań. Bardzo cię o to proszę — od tego w ogóle zacznijmy. Co zostało w celi Lectera?

— Kilka książek... *Joy of Cooking*, pisma medyczne. Zabrali papiery z sądu.

— A to, co wisiało na ścianach, rysunki?

— Wciąż tam są.

— Chcę to wszystko mieć i bardzo się spieszę. Zastanawiał się przez sekundę.

— Proszę poczekać — powiedział i pobiegł klusem w górę schodów, dziwnie lekko jak na tak rosnącego mężczyznę.

Wrócił ze zrolowanymi rysunkami i plastikową torbą na zakupy, w której były książki i inne papiery. Crawford czekał już na nią w mikrobusie.

— Pewnie myśli pani, że wiedziałem o podsłuchu w tej ławce, którą pani przyniosłem? — zapytał Barney wręczając jej rzeczy.

— Będę to musiała sobie przemyśleć. Masz tu długopis, napisz swój telefon na torbie. Czy sądzisz, Barney, że oni potrafią postępować z doktorem Lecterem?

— Mam pewne wątpliwości i nie kryłem ich przed doktorem Chiltonem. Niech pani pamięta, że o tym mówiłem, gdyby jemu przypadkiem wyleciało to z głowy. Pani jest w porządku, pani inspektor. Kiedy już pani złapie Buffalo Billa...

— To co?

— Niech pani nie przywozi go do mnie tylko dlatego, że mam akurat wolną celę, dobrze? — uśmiechnął się. Miał drobne, dziecinne zęby.

Clarice odwzajemniła uśmiech, choć wcale nie było jej do śmiechu. Biegając do mikrobusu obejrzała się i machnęła ręką na pożegnanie.

Crawford patrzył na to z zadowoleniem.

Rozdział 32

Transportujący doktora Hannibala Lectera samolot dotknął oponami pasa startowego w Memphis, zostawiając za sobą dwa błękitne obłoczki dymu. Wypełniając instrukcje z wieży pokolował szybko w stronę hangarów wojsk ochrony powietrznej, daleko od dworca pasażerskiego. Wewnątrz pierwszego hangaru oczekiwały już limuzyna i karetka pogotowia ratunkowego.

Senator Ruth Martin patrzyła przez przydymione szyby limuzyny na policjantów z pomocniczej służby stanowej, którzy wytaczali doktora Lectera z samolotu. Miała ochotę podbiec do zamaskowanej, skrępowanej postaci i wydrzeć z niej tę wiadomość. Była na to jednak za rozsądna.

Zabrzączał telefon. Słuchawkę podniósł siedzący obok, na rozkładanym siedzeniu, asystent pani senator, Brian Gossage.

— To FBI, Jack Crawford — powiedział.

Ruth wyciągnęła rękę po słuchawkę nie odwracając oczu od doktora Lectera.

— Dlaczego nie powiedział mi pan nic o doktorze Lecterze, panie Crawford?

— Bałem się, że zrobi pani to, co właśnie pani robi, pani senator.

— Nie walczę z panem, panie Crawford. Jeśli stanie mi pan na drodze, pożałuje pan tego.

— Gdzie jest teraz doktor Lecter?

— Właśnie na niego patrzę.

— Czy panią słyszy?

— Nie.

— Proszę mnie posłuchać, pani senator. Chce pani osobiście zagwarantować pewne rzeczy Lecterowi, w porządku, świetnie. Proszę tylko o jedno. Zanim rozmówi się pani z Lecterem, proszę pozwolić, by zapoznał panią ze sprawą doktor Alan Bloom. On może pani pomóc, naprawdę, niech mi pani wierzy.

— Mam profesjonalnych doradców.

— Lepszych od Chiltona, mam nadzieję.

Doktor Chilton zastukał przez okno do limuzyny. Senator wysłała Briana Gossage'a, żeby się nim zajął.

— Szkoda czasu na te uszczypliwości, panie Crawford. Wysłał pan do Lectera kompletną nowicjuszkę z fałszywą ofertą. Potrafię wymyślić coś lepszego. Doktor Chilton uważa, że Lecter jest w stanie odpowiedzieć na szczerą propozycję i taką właśnie mam zamiar mu przedstawić. Bez żmudnej oficjalnej procedury, bez uwag *ad personam*, bez pytań o wiarygodność. Jeśli uda nam się uratować Catherine,

wszystko będzie miało zapach róż, pana nie wyłączając. Jeśli ona... umrze, nie będę się przed nikim tłumaczyć.

— W takim razie niech pani posłuży się nami. Nie wyczuła gniewu w jego głosie, było tam tylko dobrze jej znane profesjonalne wyrachowanie.

— Słucham — zachęciła go, by mówił dalej.

— Jeśli coś pani uzyska, proszę pozwolić nam działać. Niech pani dopilnuje, żeby dotarły do nas wszystkie informacje. Upewni się, że miejscowa policja nam je przekazała. Niech pani nie pozwoli im myśleć, że sprawią pani przyjemność odwracając się od nas plecami.

— Jedzie tu do nas Paul Krendler z Departamentu Sprawiedliwości. On tego dopilnuje.

— Jak się nazywa najwyższy rangą oficer prowadzący teraz tę sprawę?

— Major Bachman z biura śledczego stanu Tennessee.

— Dobrze. Jeśli nie jest już za późno, niech pani spróbuje zablokować mass media. Lepiej postraszyć trochę Chiltona w tej sprawie: on lubi reklamę. Nie chcemy, żeby Buffalo Bill wiedział cokolwiek. Kiedy go zlokalizujemy, chcę użyć specjalnego oddziału do ratowania zakładników. Chcemy uderzyć szybko i uniknąć obłączenia. Ma pani zamiar osobiście zadawać pytania Lecterowi?

— Tak.

— Czy porozmawia pani najpierw z Clarice Starling? Jest w drodze do Memphis.

— Po co? Doktor Chilton zapoznał mnie z całym materiałem. Dostaliśmy już straciliśmy czasu na głupstwa.

Chilton znowu zastukał w okno, wymawiając bezgłośnie przez szybę jakieś słowa. Brian Gossage położył dłoń na jego przegubie i potrząsnął głową.

— Chcę mieć dostęp do Lectera, kiedy skończy z nim pani rozmawiać — powiedział Crawford.

— Pani Crawford, on obiecał mi wymienić prawdziwe nazwisko Buffalo Billa w zamian za pewne przywileje, to znaczy złagodzenie rygorów. Jeśli tego nie zrobi, może go pan sobie zabrać raz na zawsze.

— Wiem, że to jest delikatna kwestia, pani senator, ale muszę to powiedzieć: pod żadnym pozorem proszę go o nic nie błagać.

— Dobrze, pani Crawford. Naprawdę nie mogę teraz rozmawiać. — Odwiesiła słuchawkę. — Myślę, że nie zaszkodzi jej bardziej niż tym sześcioro, których sprawy pan prowadził — powiedziała cicho i skinęła na Gossage'a i Chiltona, żeby weszli do samochodu.

Doktor Chilton prosił, by rozmowa pani senator z doktorem Lecterem odbyła się w Memphis w pomieszczeniach o charakterze biurowym. Żeby zaoszczędzić czasu, przystosowano pośpiesznie do tego celu mieszczącą się w hangarze salę odpraw wojsk ochrony powietrznej.

W czasie gdy Chilton instalował tam Lectera, senator Martin czekała na zewnątrz. Nie mogła wysiedzieć w samochodzie. Chodziła w kółko pod wielkim dachem hangaru, spoglądała do góry na wysokie dźwigary, a potem znowu w dół na wymalowane na betonie pasy. Podeszła na chwilę do starego phantoma F-4 i oparła głowę o jego zimny kadłub, w miejscu gdzie biegł zrobiony z szablonu napis NIE OPIERAĆ DRABINKI. Ten samolot musi być starszy od Catherine. Słodki Jezu, szybciej.

— Pani senator Martin! — wołał ją major Bachman. Od drzwi machał ręką Chilton.

W pokoju stało biurko dla Chiltona oraz krzesła dla pani Martin, jej asystenta i majora Bachmana. Kamerzysta gotów był do rejestrowania całego spotkania na taśmie wideo. Chilton oświadczył, że tak brzmi jeden z warunków Lectera.

Senator weszła do środka. Wyglądała całkiem nieźle. Od jej granatowego kostiumu powiało władzą. Gossage też poczuł się nieco ważniejszy.

W środku sali, na masywnym, dębowym, przyśrubowanym do podłogi fotelu siedział samotnie doktor Hannibal Lecter. Owinięty był kocem, który zasłaniał kaftan bezpieczeństwa, pasy na nogach i kajdany przykuwające go do fotela. Wciąż jednak miał na twarzy hokejową maskę, uniemożliwiającą mu kąsanie.

Dlaczego? — zastanawiała się senator. Kiedy mówiło się o pomieszczeniach biurowych, chodziło przecież o to, by zapewnić doktorowi Lecterowi trochę bardziej ludzkie warunki. Spojrzała przelotnie na Chiltona i obróciła się do Gossage'a po dokumenty.

Chilton podszedł do doktora Lectera. Patrząc w oko kamery z namaszczeniem odpiął tasiemki i zdjął mu maskę z twarzy.

— Pani senator Martin, doktor Hannibal Lecter.

Widząc, jak popisuje się doktor Chilton, poczuła strach, jakiego nie zaznała od momentu porwania swej córki. Całe zaufanie, jakie do tej pory pokładała w Chiltonie, ustąpiło miejsca chłodnej obawie, że jest on kompletnym durniem.

Będzie musiała jakoś sobie z tym poradzić.

Kosmyk włosów opadł pomiędzy piwne oczy doktora Lectera. Cerę miał równie bladą,

jak maska. Senator Martin i Hannibal Lecter przyjrzeni się sobie wzajemnie, ona wyjątkowo bezpośrednio, on nieodgadniony za pomocą znanych nauce metod.

Doktor Chilton wrócił za swoje biurko, rozejrzał się po sali i zaczął:

— Pani senator, doktor Lecter oznajmił mi, że w zamian za złagodzenie warunków, w jakich odbywa karę pozbawienia wolności, pragnie złożyć w toczącej się sprawie pewne dotyczące znanych mu faktów oświadczenie.

Pani Martin podniosła do góry dokument.

— Doktorze Lecter, oto złożona pod przysięgą deklaracja, którą mam zamiar zaraz podpisać. Obiecuję w niej pomóc panu. Chce pan, żebym ją odczytała?

Nie sądziła, że jej odpowie, i pochyliła się nad biurkiem, żeby złożyć podpis.

— Nie będę marnował czasu pani i Catherine — odezwał się niespodziewanie — targując się o drobne przywileje. Dostyc zmarnowali go już różni karierowicze. Pomogę pani teraz i wierzę, że pani pomoże mi, kiedy będzie już po wszystkim.

— Może pan na mnie polegać. Brian? Gossage wziął do ręki notatnik.

— Nazwisko Buffalo Billa brzmi William Rubin. Przedstawia się jako Billy Rubin. Został do mnie skierowany w kwietniu lub maju siedemdziesiątego piątego roku przez mego pacjenta Benjaminą Raspaila. Powiedział, że pochodzi z Filadelfii. Nie mogę przypomnieć sobie jego adresu, ale wiem, że mieszkał razem z Raspaiem w Baltimore.

— Gdzie jest pańskie archiwum? — wtrącił major Bachman.

— Moje archiwum zostało zniszczone na mocy wyroku sądu krótko po...

— Jak on wygląda? — pytał major.

— Czy pan sądzi, majorze...? Dla pani senator, jedyną rzeczą...

— Podaj mi wiek i rysopis, wszystko, co jesteś w stanie sobie przypomnieć — naciskał dalej major.

Doktor Lecter po prostu odpłynął. Myślał o czymś innym — o studiach anatomicznych, które prowadził Gericault do swojej „Tratwy Meduzy” — i nawet jeśli słyszał następne pytania, nie dał po sobie nic poznać.

Kiedy pani Martin z powrotem udało się skupić jego uwagę, byli w pokoju sami. W rękę trzymała notes Gossage'a.

Doktor Lecter utkwiał w niej wzrok.

— Ta flaga śmierdzi cygarami — powiedział. — Czy osobiście niańczyła pani Catherine?

— Słucham? Czy co?

— Czy karmiła ją pani piersią?

— Tak.

— Łapczywie ssła?

Kiedy pociemniały jej źrenice, doktor Lecter posmakował trochę jej bólu. Uznał go za wyborny. Na dzisiaj starczy.

— William Rubin — podjął przerwany wątek — ma jakieś sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i trzydzieści pięć lat. Silnie zbudowany — ważył jakieś osiemdziesiąt sześć kilogramów, kiedy go poznałem, i spodziewam się, że od tego czasu przybrał na wadze. Ma brązowe włosy i jasnoniebieskie oczy. Proszę im to na razie przekazać i będziemy kontynuować.

- Dobrze — odparła senator Martin. Podała notatki przez drzwi.
- Widziałem go tylko raz. Umówił się na następną wizytę, ale nie przyszedł.
- Dlaczego uważa pan, że to Buffalo Bill?
- Już wtedy mordował ludzi i wyczyniał z nimi podobne anatomiczne historie. Mówił, że chce, żeby ktoś pomógł mu to w sobie zwalczyć, ale w rzeczywistości zależało mu tylko na tym, żeby trochę o tym pogadać. Otworzyć przed kimś duszę. Ponieść karę.
- A pan... czy on był pewien, że go pan nie wyda?
- Sądził, że chyba tego nie zrobię, poza tym lubił ryzykować. Cieszyłem się zaufaniem jego przyjaciela Raspaila.
- Raspail wiedział, że on to robi?
- Raspail uwielbiał wszelką perwersję, cały był pokryty bliznami. Billy Rubin przyznał, że był notowany przez policję, ale nie podał szczegółów. Pytałem go, jakie przebył choroby. Typowe, z jednym wyjątkiem: powiedział, że cierpiał na zakażenie wąglikiem afrykańskim. To wszystko, co pamiętam, pani senator, przypuszczam, że bardzo się pani śpieszy. Jeśli coś mi się jeszcze przypomni, dam pani znać.
- Czy to Billy Rubin zabił osobę, której głowę odnaleziono w samochodzie?
- Tak uważam.
- Czy wie pan, kto to był?
- Nie. Raspail mówił o nim Klaus.
- Czy prawdziwe są inne rzeczy, które powiedział pan FBI?
- Co najmniej tak samo prawdziwe jak to, co miało mi do powiedzenia FBI.
- Przygotowałam dla pana tutaj, w Memphis, tymczasowe pomieszczenia. Porozmawiamy o pana sytuacji i zostanie pan odesłany do Brushy Mountains, kiedy ta sprawa... zostanie zakończona.
- Dziękuję. Przyszło mi na myśl, że przydałby mi się telefon...
- Będzie go pan miał.
- I muzyka. „Wariacje Goldbergowskie”, w wykonaniu Glenna Goulda? Czy to nie nazbyt wiele?
- Nie, skądże.
- Proszę nie powierzać żadnej informacji wyłącznie FBI, pani senator. Jack Crawford nigdy nie gra w otwarte karty z innymi służbami policyjnymi. Takie ma po prostu zboczenie zawodowe. Zdecydowany jest zawsze osobiście dokonać aresztowania. „Założyć obrozę”, tak to tam nazywają.
- Dziękuję panu, doktorze Lecter.
- Masz uroczy kostium — powiedział, kiedy zniknęła za drzwiami.

Rozdział 33

Piwnice Jame'a Gumba tworzą labirynt, w jakim zdarza nam się błądzić tylko we śnie. Dawno temu, przed wielu laty, kiedy był jeszcze nieśmiały, Gumb zażywał przyjemności w miejscach najgłębiej ukrytych, z dala od schodów. W najodleglejszych zakątkach znajdują się schowki przeznaczone dla innych istnień, tych Gumb nie otwiera od lat. Niektóre z nich są, by tak rzec, wciąż zajęte, chociaż odgłosy, jakie dochodziły zza ich

drzwi, dawno osiągnęły najwyższy ton i umilkły.

Poziom podłóg jest zmienny, może różnić się o mniej więcej trzydzieści centymetrów. Są tu progi, które trzeba przestąpić, belki, przed którymi należy uchylić głowę. Niemożliwe jest toczenie tu przed sobą ładunku, ciężko jest wlec coś z tyłu. Popychać zaś przed sobą coś, co potyka się, płacze, błaga i uderza oszołomioną głową o przeszkody — jest trudne, a nawet niebezpieczne.

Kiedy Gumb zmądrzał i nabrał wiary w siebie, uznał, że nie powinien już dłużej zaspokajać swych potrzeb w ukrytych zakątkach podziemi. Obecnie używa do tego celu ciągu pomieszczeń bezpośrednio przylegających do schodów, dużych izb z bieżącą wodą i elektrycznością.

W piwnicy jest teraz kompletnie ciemno.

Poniżej wysypanej piaskiem podłogi, w lochu, gdzie znajduje się Catherine Martin, panuje cisza.

Pan Gumb jest tutaj, w piwnicy, ale w innym pomieszczeniu.

Choć pokój pod schodami pogrążony jest w całkowitym mroku, pełno w nim cichych szmerów. Słysząc kapanie wody, szum w rurach. Sądząc po niewyraźnym echu, pomieszczenie jest rozległe. Powietrze jest tu chłodne i wilgotne. Pachnie roślinnością. O policzków ocierają się skrzydła, w powietrzu słysząc trzepot. Słysząc także głęboki, nosowy, znamionujący przyjemność odgłos, odgłos człowieka.

W pokoju nie ma fal świetlnych, w zakresie których widziałoby ludzkie oko, ale Gumb jest tutaj i widzi bardzo dobrze, chociaż tylko

w różnych odcieniach zieleni. Ma na oczach znakomite noktowizyjne okulary (z nadwyżek wyposażenia armii izraelskiej, cena około czterystu dolarów); snop światła operującej w podczerwieni latarki kieruje na stojącą przed nim drucianą klatkę. Siedzi na samym skraju krzesła, napięty, i obserwuje wspinającego się po łodydze owada. Młody imago wy dostał się właśnie z pękniętego kokonu tkwiącego w wilgotnej ziemi na dnie klatki. Wspina się ostrożnie po łodydze wilczej jagody i szuka miejsca, w którym będzie mógł rozprześć swoje wilgotne jeszcze skrzydła. Wybiera biegnącą poziomo gałązkę.

Gumb musi przekrzywić głowę, żeby lepiej widzieć. Powoli, stopniowo skrzydła wypełniają się krwią i powietrzem. Wciąż złączone są ze sobą nad grzbietem.

Mijają dwie godziny. Pan Gumb prawie się nie porusza. Włącza i wyłącza latarkę, dziwiąc się zmianom, jakim podlega owad. Dla zabicia czasu oświetla inne części pokoju: światło pada na duże akwaria wypełnione roztworami garbnikowymi. Niczym wynurzające się z morza, pozbawione głów klasyczne rzeźby, stoją w nich rozpięte na specjalnych formach jego ostatnie nabytki. Światło obejmuje duży pokryty ocynowaną blachą stół roboczy z regulowanym kątem nachylenia, zaopatrzony w boczne osłony i otwory odpływowe. Wyżej uchwyt dźwigu. Pod ścianą długie wanny. Wszystko w zielonych odcieniach przefiltrowanej podczerwieni. Słysząc trzepotanie, obraz przecinany jest fluoryzującymi smugami. Pozostawiają je latające swobodnie w powietrzu ćmy.

Gumb kieruje promień latarki z powrotem na klatkę, akurat na czas. Duże skrzydła owada unoszą się nad grzbietem, na przemian ukazując i zasłaniając rysunek. Teraz opuszcza je, żeby zakryć odwłok i słynny deseń jest w całości widoczny. Z grzbietu ćmy

spogląda ludzka czaszka, wspaniale odtworzona na pokrytych włoskami łuskach. Pod ocienionym sklepieniem czaszki widać czarne oczodoły i wyraźne kości policzkowe. Pod nimi ciemna plama, niczym wetknięty pomiędzy szczęki knebel. Czaszka opiera się na zarysie czegoś, co przypomina kość biodrową.

Czaszka wsparta o biodro, wszystko wyrysowane na grzbiecie ćmy przez zadziwiający wybryk natury.

Gumb czuje się dobrze i lekko. Pochyla się do przodu i delikatnie dmucha na ćmę. Owad podnosi ostrą ssawkę, skrzeczy ze złości.

Gumb przechodzi cicho niosąc latarkę do pomieszczenia, w którym wykopana jest studnia. Otwiera usta, żeby nie słychać było jego oddechu. Nie chce, by popsuky mu humor dochodzące z otworu odgłosy. Osadzone w baryłkowatych oprawkach soczewki jego gogli wyglądają jak szypułkowate oczy kraba. Wie, że gogle w żadnym razie

nie dodają mu uroku, ale spędził w nich wspaniałe chwile w ciemnościach, kiedy oddawał się swym piwnicznym zabawom.

Pochyla się i rzuca promień niewidocznego światła w głąb szybu.

„Materiał” leży na boku, zwinięty jak krewetka. Wygląda na to, że śpi. Obok stoi wiadro na odchody. Nie urwała po raz drugi sznurka, starając się głupio podciągnąć na nim pionowej ścianie. We śnie trzyma kurczowo przy twarzy rożek materaca i ssie kciuk.

Przyglądając się Catherine, omiatając jej postać światłem latarki, Gumb zastanawia się nad stojącymi przed nim bardzo poważnymi problemami.

Ludzka skóra jest skrajnie trudnym materiałem do obróbki, zwłaszcza jeśli ktoś stawia jej tak wysokie wymagania jak on. Trzeba z góry podjąć podstawowe, dotyczące materiału decyzje, a najważniejsza z nich dotyczy miejsca umieszczenia suwaka.

Gumb przesuwając promień w dół, wzdłuż pleców Catherine. Normalnie umieściłby zamek z tyłu, ale w jaki sposób zdołałby się wtedy zapisać? Nie jest to rodzaj przysługi, o którą mógłby kogoś poprosić, niezależnie od tego, jak podniecająca byłaby to perspektywa. Znał miejsca i kręgi, w których jego wysiłki spotkałyby się z entuzjastycznym przyjęciem: są jachty, na których mógłby z pewnością zrobić furorę. Ale z tym trzeba będzie na razie poczekać. Musi mieć rzeczy, które będzie mógł sam na siebie włożyć. Z drugiej strony umieszczenie zapięcia z przodu byłoby świętokradztwem — to w ogóle nie wchodzi w grę.

W świetle podczerwieni Gumb nie może nic powiedzieć o kolorze skóry Catherine, widzi jednak wyraźnie, że materiał traci na wadze. Wygląda na to, że kiedy ją wziął, właśnie się odchudzała.

Doświadczenie nauczyło go, że dobrze jest odczekać od czterech do siedmiu dni, zanim zdejmie skórę. Nagła utrata wagi czyni ją luźniejszą i łatwiejszą w zdejmowaniu. Głodówka sprawia także, że materiał jest osłabiony i łatwiej sobie z nim poradzić. Jest bardziej uległy. Niektóre z egzemplarzy popadają w odrętwienie i rezygnację. Z drugiej strony dostarczenie kilku niewielkich posiłków konieczne jest, aby nie doprowadzić do hysterii i prób samobójczych, w wyniku których mogłaby ucierpieć skóra.

Tak, zdecydowanie traci na wadze. Ten materiał miał szczególne znaczenie, podstawowe znaczenie dla całej jego działalności i nie był w stanie długo czekać, zresztą wcale nie musiał. Może to zrobić jutro po południu albo jutro wieczorem. W ostateczności

pojutrze. Niedługo.

Rozdział 34

Clarice Starling rozpoznała znak Stonehinge Villas, znany z telewizyjnych migawek. Osiedle bloków i domków jednorodzinnych w East Memphis otaczał z trzech stron rozległy parking.

Clarice zaparkowała wynajętego chevroleta-celebrity na środku parkingu. Mieszkali tu dobrze płatni robotnicy wykwalifikowani i niższe szczeble warstwy kierowniczej — świadczyły o tym marki stojących wokół samochodów. Samochody campingowe i motorówki na wózkach zaparkowane były w wydzielonej części parkingu.

Stonehinge Villas — ta nazwa działała Clarice na nerwy za każdym razem, kiedy na nią spojrzała. W mieszkaniach pewnie pełno tu było białej wikliny i brzoskwiniowych dywaników. Wsunęte pod szkło stolika fotografie. Na półce *Dinner for Two Cookbook* i *Fondue on the Menu*. Clarice, mieszkanka akademika, miała do tych rzeczy stosunek wybitnie krytyczny.

Chciała poznać bliżej Catherine Baker Martin. Jak na senatorską córkę, było to dość dziwne miejsce zamieszkania. Przejrzała już krótki materiał biograficzny, zgromadzony przez FBI. Ukazywał on Catherine Martin jako inteligentną dziewczynę, która nie spełniła do tej pory pokładanych w niej nadziei. Wylano ją z Farmington, dwa nieudane lata spędziła na uniwersytecie w Middlebury. Teraz studiowała na Southwestern, była właśnie w trakcie praktyki nauczycielskiej.

Clarice mogła z łatwością wyobrazić ją sobie jako zapatrzoną w siebie, trochę tępą uczennicę szkoły z internatem, jedną z tych, które nigdy nie słuchają, co się do nich mówi. Wiedziała również, że musi być ostrożna, miała przecież swoje uprzedzenia i resentymenty. Prawie całe życie spędziła w internatach, utrzymując się ze stypendiów, stopnie miała zawsze o wiele lepsze od strojów. Widziała wielu uczniów z bogatych, nękanymi kłopotami rodzin, którzy nie wiedzieli, czym zapełnić czas w internacie. W gruncie rzeczy dbała o nich tyle, co o zeszłoroczny śnieg, w tym czasie jednak dotarła do niej prawda, że obojętność może być sposobem na uniknięcie bólu i że często traktuje się ją błędnie jako przejaw powierzchowności uczuć.

Lepiej było wyobrażać sobie Catherine jako małe, siedzące obok ojca w żąglówce dziecko, tak jak zobaczyła ją podczas nadawanego w telewizji apelu pani Martin. Zastanawiała się, czy mała Catherine starała się kiedyś sprawić przyjemność swemu ojcu. Zastanawiała się, co działo się z Catherine, kiedy przyszli i powiedzieli, że umarł jej tata, umarł na atak serca w wieku czterdziestu dwu lat. Clarice pewna była, że Catherine go brakowało. Wspólny ból po stracie ojca sprawił, że poczuła wreszcie więź łączącą ją z tą młodą kobietą.

Stwierdziła, że musi polubić Catherine Martin, wtedy łatwiej jej będzie się skoncentrować.

Domyśliła się, który domek należy do Catherine: stały przed nim dwa wozy patrolowe drogówki z Tennessee. Na parkingu w pobliżu pełno było rozsypanego białego proszku. Biuro śledcze Tennessee musiało ściągać plamy po oleju pumeksem albo innym

obojętnym chemicznie preparatem. Crawford twierdził, że tutejsze biuro jest na całkiem niezłym poziomie.

Skreśliła w kierunku samochodów campingowych i łodzi w wydzielonej części parkingu, naprzeciwko domku. Tu właśnie Buffalo Bill dostał Catherine w swoje ręce. Na tyle blisko drzwi wejściowych, aby wychodząc zostawiła je otwarte. Coś skłoniło ją do wyjścia. Musiała to być jakaś niewinnie wyglądająca pułapka.

Clarice wiedziała, że policja z Memphis dokładnie wypytywała wszystkich sąsiadów i że nikt nic nie widział. Być może więc uprowadzenie miało miejsce gdzieś między wysokimi samochodami campingowymi. Musiał ją stamtąd obserwować, siedząc w jakimś pojeździe. Wiedział, że Catherine tu mieszka. Musiała wpaść mu w oko gdzie indziej, a potem zaczął się tutaj i czekał na odpowiedni moment. Dziewczyn tych rozmiarów co Catherine nie spotyka się często. Bill nie zaczyna się w przypadkowo wybranych miejscach czekając, aż będzie obok przechodzić odpowiednio duża kobieta. Mógłby tak siedzieć całymi dniami i nie doczekać się nikogo.

Wszystkie ofiary były duże. Wszystkie. Niektóre na dodatek grube. „Żeby mieć coś, co by na niego pasowało”. Przeszedł ją dreszcz, kiedy przypomniła sobie słowa doktora Lectera. Doktor Lecter, nowy obywatel Memphis.

Clarice wzięła głęboki oddech, wydeła policzki i powoli wypuściła z płuc powietrze. Zobaczmy, czego uda nam się dowiedzieć o Catherine.

Drzwi mieszkania otworzył jej policjant z rezerwy stanowej Tennessee. Miał na głowie kowbojski kapelusz. Kiedy Starling pokazała mu legitymację, ruchem ręki zaprosił ją do środka.

— Sierzancie, chciałabym rzucić okiem na ten lokal. — Lokal to było odpowiednie słowo wobec człowieka, który nie zdejmował w mieszkaniu nakrycia głowy.

Skinał przyzwalająco.

— Jeśli zadzwoni telefon, proszę nie odbierać. Ja podniosę słuchawkę.

Przez otwarte drzwi Clarice dostrzegła stojący na kuchennym blacie, podłączony do telefonu magnetofon. Obok stały dwa nowe aparaty. Jeden z nich, pozbawiony tarczy, połączony był bezpośrednio ze specjalną, lokalizującą rozmówcę centralą w oddziale południowym towarzystwa telefonicznego Bella.

— Czy mogę w czymś pomóc? — spytał młody sierżant.

— Policja już tu skończyła?

— Mieszkanie oddano w użytkowanie rodzinie. Ja jestem tutaj wyłącznie po to, by odbierać telefon. Może pani dotykać rzeczy, jeśli to chciała pani wiedzieć.

— Dobrze, w takim razie trochę się tutaj rozejrzę.

— W porządku. — Młody policjant rozłożył gazetę, którą wepchnął przed chwilą pod kanapę, i rozsiadł się wygodniej.

Dziewczyna chciała się skoncentrować. Wolałaby zostać w mieszkaniu sama, ale wiedziała, że i tak ma szczęście. Mogło się tu kręcić mnóstwo gliniarzy.

Zaczęła od kuchni. Gotowanie nie było najwyraźniej mocną stroną gospodyni. Catherine przyszła tu po prażoną kukurydzę, tak powiedział policji jej chłopak. Clarice otworzyła zamrażarkę. Stały w niej dwa pudełka z kukurydzą do podgrzania w kuchence mikrofalowej. Przez okno w kuchni nie było widać parkingu.

— Skąd pani jest?

Clarice nie usłyszała pytania.

— Skąd pani jest?

Siedzący na kanapie sierżant spoglądał zza gazety.

— Z Waszyngtonu — odpowiedziała.

Otworzyła drzwiczki pod zlewem: no tak, zadrapania na rurze odpływowej, wykręcali syfon i badali jego zawartość. Plus dla biura śledczego Tennessee. Noże nie były zbyt ostre. Wewnątrz zmywarki stały nie wyjęte czyste talerze. Zawartość lodówki ograniczała się do wiejskich serków i delikatesowych sałatek owocowych. Catherine Martin robiła zakupy w sklepach z gotową żywnością, najprawdopodobniej w jednym miejscu, w supermarkecie obok. Może ktoś kręcił się w pobliżu. To trzeba sprawdzić.

— Jest pani z biura prokuratora generalnego?

— Nie, z FBI.

— Wybiera się tu sam prokurator generalny. Słyszałem, jak mówili. Długo jest pani w FBI?

Spojrzała na młodego policjanta.

— Sierżancie, coś panu powiem. Kiedy już tu skończę, będę prawdopodobnie chciała spytać pana o kilka rzeczy. Być może będzie mi pan wtedy mógł w coś pomóc.

— Na pewno. Jeśli tylko będę mógł...

— Świetnie. Potem porozmawiamy. Teraz muszę skupić się na tym, co robię.

— Oczywiście, nie ma sprawy.

Sypialnia była jasna, dominowały łagodne, słoneczne kolory, w guście Clarice Starling. Wyposażenie miało wysoki standard. Z pewnością nie mogła nań sobie pozwolić przeciętna młoda dziewczyna. Był tu parawan z laki, dwie ozdobne ceramiki na półkach i solidny sekretarzyk z włoskiego orzecha. Dwa łóżka. Clarice uniosła nieco narzuty. Rolki lewego łóżka były zablokowane, prawego nie. Catherine musi zsuwać je razem, kiedy potrzebuje. Może ma kochanka, o którym nie wie jej chłopak. Albo bywa tu z chłopakiem. Automatyczna sekretarka nie jest podłączona do przenośnego sygnalizatora. Może Catherine musi tu być, kiedy dzwoni mama.

Automatyczna sekretarka była identyczna jak jej, podstawowy model Phone-Mate. Otworzyła pojemnik na kasety. Obie były wyjęte. Na włożonej na ich miejsce kartce widniał napis: TAŚMY WŁASNOŚĆ BIURA ŚLEDZEGO TENN. POZ. 6.

W zasadzie w pokoju panował porządek, ale po jego wyglądzie można było poznać, że został przeszukany, że złożyli w nim wizytę mężczyźni o dużych dłoniach, faceci, którzy zawsze starają się odłożyć rzeczy dokładnie na swoje miejsce i zawsze myślą się o ten jeden milimetr. Domyśliłaby się, że tu myszkowali, nawet gdyby nie pozostawili na każdej gładkiej powierzchni proszku do zdejmowania odcisków palców.

Nie wierzyła, żeby do uprowadzenia doszło w sypialni. Prawdopodobnie Crawford miał rację, wszystko dokonano się na parkingu. Ale Clarice chciała ofiarę lepiej poznać, a to było miejsce, w którym Catherine mieszkała. Mieszka, poprawiła się natychmiast. Ona tutaj mieszka.

W szafce przy łóżku była książka telefoniczna, pudełko z przyborami kosmetycznymi, z tyłu za pudełkiem aparat fotograficzny Polaroid typ SX-70 z kablem do robienia zdjęć

na odległość. Obok krótki składany statyw. Hmm. Clarice przyglądała się z zainteresowaniem aparatowi. Zmrużyła chytrze oczy i na razie go nie dotykała.

Najbardziej interesowała ją szafa. Catherine Baker Martin miała dużo ubrań, niektóre z nich bardzo dobrych firm, wszystkie nosiły znak pralni C-B-M. Clarice rozpoznała po metkach wiele z nich, także „Garfinkel & Britches” z Waszyngtonu. Prezenty od mamusi. Catherine miała porządne ubrania o klasycznym kroju, szyte na dwa rozmiary, jeden 66, drugi 76 kilogramów, jak oceniła w przybliżeniu Clarice. Było kilka obszernych par spodni i pulowerów, kupionych w sklepie dla nietypowych. Na stojakach stały dwadzieścia trzy pary butów, z tego siedem firmy „Fergamos”, rozmiar 10C. Poza tym było trochę tenisówek. Na górnej półce leżała rakieta tenisowa i mały plecak.

Były to rzeczy należące do uprzywilejowanego dziecka, do studentki i praktykantki, która może sobie pozwolić, by żyć lepiej niż inni.

W sekretarzyku masa listów. Pełen zakrętasów, ukośny charakter pisma starych szkolnych kumpli ze Wschodniego Wybrzeża. Znaczkę, nalepki pocztowe. W najniższej szufladzie ozdobny papier do pakowania prezentów, cały stos w różnych kolorach i deseniach. Clarice przebiegła palcami po jego brzegu. Myślała właśnie o tym, żeby przeprowadzić wywiad wśród sprzedawców w supermarkecie, kiedy jej palce natrafiły na arkusz grubszy i sztywniejszy od innych. Wróciła do niego. Była wyćwiczona w wykrywaniu wszelkich anomalii. Wyciągnęła do połowy arkusz i przyjrzała mu się dokładniej. Był niebieski, z materiału przypominającego cienką fakturę, wydrukowany na nim deseń był niezbyt udanym wizerunkiem psa Pluto z filmów animowanych. Małe figurki przedstawiały Pluta, wszystkie miały przepisowy żółty kolor, ale źle uchwycone były proporcje.

— Catherine, Catherine — pokiwała głową inspektor Starling. Wyciągnęła z torebki szczypczyki i posługując się nimi wsunęła kolorowy arkusz do plastikowej koperty. Na razie położyła ją na łóżku.

Stojąca na komodzie szkatułka na biżuterię z tłoczonej skóry nie różniła się wiele od tych, które można znaleźć w każdej dziewczęcej sypialni. Dwie przednie szufladki i przegródki na górze nie zawierały nic wartościowego. Clarice zastanawiała się, czy najbardziej wartościowe rzeczy nie były przechowywane przypadkiem w pojemniku na warzywa w lodówce, a jeżeli tak, to kto je stamtąd zabrał.

Wsunęła palec pod górny pojemnik i odblokowała małą, ukrytą z tyłu szufladkę. Była pusta. Zastanawiała się, przed kim mają kryć swoje tajemnice te małe szufladki, bo na pewno nie przed złodziejami. Kiedy wpychała szufladkę z powrotem, dotknęła palcami przymocowanej pod spodem koperty.

Założyła bawełniane rękawiczki i przekręciła szkatułkę o sto osiemdziesiąt stopni. Wyjęła pustą szufladkę i obróciła ją do góry nogami. Pod spodem przymocowana była taśmą samoprzylepną brązowa koperta. Nie była zalepiona. Uniosła ją do nosa i powąchała. Nie czuć było środka do zdejmowania odcisków. Wyjęła szczypczykami zawartość. Stanowiło ją pięć polaroidowych zdjęć schowanych do firmowej koperty. Wymowała je po kolei. Przedstawiały mężczyznę i kobietę podczas stosunku. Nie było widać twarzy. Dwa zdjęcia zrobione zostały przez kobietę, dwa przez mężczyznę, jedno najwyraźniej ze statywu postawionego na nocnej szafce.

Trudno było ocenić na fotografii rozmiary, ale te spektakularne 70 kilogramów żywej wagi musiało należeć do Catherine Martin. Mężczyzna miał na penisie coś, co wyglądało na wycięty z kości słoniowej krążek. Ostrość nie była dość dobra, żeby można było dostrzec szczegóły. Mężczyzna miał bliznę po wyciętym wyrostku robaczkowym. Starling włożyła fotografie do osobnych torebek i wsadziła wszystko do własnej brązowej koperty. Umieściła z powrotem szufladkę w szkatułce.

— W torebce mam broń — odezwał się głos z tyłu. — Mam nadzieję, że nic stąd nie zginęło.

Clarice spojrzała w lustro. W drzwiach sypialni stała senator Ruth Martin. Sprawiała wrażenie wyczerpanej.

Starling obróciła się do niej.

— Dzień dobry, pani senator. Czy nie zechciałaby pani spocząć? Prawie skończyłam.

Nawet wyczerpana, senator Martin miała diablo dużo do powiedzenia. Pod pozorami zewnętrznej ogłady dziewczyna dostrzegła osobę, której żywiołem jest walka.

— Kim pani jest, jeśli łaska? Sądziłam, że policja już się stąd wyniosła.

— Jestem Clarice Starling, z FBI. Czy rozmawiała pani z doktorem Lecterem, pani senator?

— Podał mi nazwisko — zapaliła papierosa, mierząc policjantkę od stóp do głów. — Zobaczymy, ile jest warte. A co znalazła pani w szkatułce, panno Starling? Ile to jest warte?

— Znalazłam pewne dane, które możemy sprawdzić w ciągu kilku minut. — Była to najlepsza odpowiedź, na jaką zaskoczona dziewczyna mogła się zdobyć.

— W szkatułce na biżuterię mojej córki? Chcę to zobaczyć. Clarice usłyszała głosy w sąsiednim pokoju i miała nadzieję, że ktoś im przeszkodzi.

— Czy jest z panią pan Copley, agent specjalny z biura w Memphis...

— Nie, nie ma go tutaj i to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Bez obrazy, panno Starling, ale chcę zobaczyć, co zabrała pani ze szkatułki mojej córki. — Obróciła głowę i zawołała przez ramię: — Paul! Paul, czy mógłbyś tu zajrzeć? Panno Starling, może zna pani pana Krendlera z Departamentu Sprawiedliwości? Paul, to jest ta dziewczyna, którą Jack Crawford wysłał do Lectera.

Krendler miał wygoloną łysą czaszkę i dobrze się trzymał jak na swoje czterdzieści lat.

— Panie Krendler, znam pana ze słyszenia. Dzień dobry — odezwała się Clarice. Dyrektor generalny działu kryminalnego w biurze do spraw łączności z Kongresem, facet znany z tego, że szuka dziury w całym, poza tym jest, zdaje się, jednym z zastępców prokuratora generalnego. Jezu, ratuj.

— Panna Starling znalazła coś w szkatułce na biżuterię mojej córki i włożyła to do tej brązowej koperty. Uważam, że powinniśmy zobaczyć, co w niej jest, nie sądzisz?

— Panno Starling — powiedział Krendler.

— Czy mogłabym z panem porozmawiać na osobności, panie Krendler?

— Oczywiście, może pani. Później. — Wyciągnął rękę.

Dziewczyna obląła się rumieńcem. Wiedziała, że pani Martin nie odpowiada za siebie. Krendlerowi jednak nigdy nie wybaczy posądzenia, jakie malowało się na jego twarzy. Nigdy.

— Proszę — powiedziała podając mu kopertę.

Krendler rzucił okiem na pierwsze zdjęcie i zamknął kopertę. Ruth Martin wyjęła mu ją z rąk.

Przykro było na nią patrzeć, kiedy oglądała te fotografie. Podeszła potem do okna i stała z twarzą podniesioną ku zachmurzonemu niebu, z zamkniętymi powiekami. W świetle dnia wyglądała o wiele starszej, ręce jej się trzęsły, kiedy usiłowała zapalić papierosa.

— Pani senator, ja... — zaczął Krendler.

— Policja przeszukała ten pokój — odezwała się. — Pewna jestem, że znaleźli te zdjęcia i mieli dość przyzwoitości, żeby włożyć je tam, skąd wzięli, nie mówiąc nic nikomu.

— Nie, nie znaleźli ich — odrzekła Clarice. Ta kobieta cierpiała, ale trudno. — Pani senator, musimy dowiedzieć się, kim jest ten mężczyzna, chyba pani to rozumie. Jeśli to jej chłopak, w porządku. Mogę to ustalić w ciągu pięciu minut. Nikt inny nie powinien oglądać tych zdjęć, a Catherine nie musi o niczym wiedzieć.

— O to właśnie mi chodzi. — Senator Martin włożyła kopertę do torebki. Krendler nie zamierzał jej w tym przeszkodzić.

— Pani senator, czy to pani zabrała biżuterię z pojemnika na warzywa w kuchni? — spytała Clarice.

Asystent pani Martin, Brian Gossage, wsadził głowę przez drzwi.

— Przepraszam, ale właśnie podłączyli terminal komputerowy. Możemy popatrzeć, jak szukają Williama Rubina w kartotece FBI.

— Niech pani idzie — odezwał się Krendler. — Przyjdę do pani za chwilę.

Ruth Martin wyszła z pokoju nie odpowiadając na zadane przez Clarice pytanie.

Kiedy Krendler zamykał drzwi sypialni, dziewczyna miała sposobność bliżej mu się przyjrzeć. Miał skrojony do figury garnitur, pod spodem żadnej broni. Od chodzenia po puszystych dywanach straciła połysk dolna część jego grubych obcasów.

Stał przez chwilę z ręką na klamce i opuszczoną głową.

— To było dobre przeszukanie — powiedział obracając się ku niej. Zdecydowana była nie dać się zbyć byle czym. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Robią z was dobrych szperaczy, tam, w Quantico — mówił dalej Krendler.

— Nie robią z nas złodziei.

— Wiem o tym — powiedział.

— Trudno się było tego domyślić.

— Dajmy temu spokój.

— Czy pójdziemy śladem zdjęć i pojemnika na warzywa, panie Krendler?

— Tak.

— Co to za nazwisko „William Rubin”?

— Lecter powiedział, że tak się nazywa Buffalo Bill. Mamy stąd łączność z sekcją identyfikacyjną FBI i krajowym biurem informacji kryminalnej. Niech pani spojrzy na to. — Dał jej zapis rozmowy Ruth Martin z Lecterem, niewyraźną kopię z drukarki.

— Co pani o tym sądzi? — spytał, kiedy skończyła czytać.

— Nie ma tu nic, za co mógłby potem odpowiadać — stwierdziła. — Powiedział, że to

biały mężczyzna o nazwisku Billy Rubin, który chorował kiedyś na węglik afrykański. Nie sposób zarzucić mu kłamstwa, niezależnie od tego, co się wydarzy. W najgorszym wypadku powie, że się pomylił. Mam nadzieję, że powiedział prawdę. Ale całkiem możliwe jest, że on robi sobie z niej kpiny. Jest do tego absolutnie zdolny. Czy kiedykolwiek się pan z nim... zetknął, panie Krendler?

Krendler potrząsnął głową i wypuścił głośno nosem powietrze.

— Doktor Lecter zamordował dziewięć osób, o których nam wiadomo. Nie wyjdzie na wolność, choćby nawet udało mu się kogoś wskrzesić z martwych. Jedyne, co mu pozostało, to zabawa. Dlatego właśnie graliśmy z nim w...

— Wiem, w co z nim graliście. Słuchałem taśmy Chiltona. Nie twierdzą, że to było coś złego... twierdzą, że ta gra jest skończona. Sekcja Behawioralna może pójść tropem tego, co udało się pani uzyskać, całej tej opowieści o transseksualistach, jeśli to w ogóle coś warte. A pani od jutra zajmie się z powrotem nauką.

O, do licha.

— Znalazłam coś jeszcze.

Nie zauważony przez nikogo arkusz kolorowego papieru leżał dalej na łóżku. Podążyła do niego.

— Co to jest?

— Wygląda jak zwykły, ozdobny papier. — Chciała, żeby pytał dalej.

Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

— Jestem całkowicie pewna, że to sprasowany kwas. LSD. Z połowy lat siedemdziesiątych albo jeszcze starszy. Dzisiaj to ciekawostka. Warto sprawdzić, skąd to dostała. Powinniśmy przeprowadzić test, żeby mieć stuprocentową pewność.

— Może to pani zabrać do Waszyngtonu i oddać do laboratorium. Samochód odjeżdża stąd za parę minut.

— Jeśli to pilne, możemy zrobić to zaraz, za pomocą zestawu polowego. Jeśli policja ma standardowy zestaw do wykrywania narkotyków, trzeba użyć testu J. W ciągu dwóch sekund możemy...

— Proszę wracać do Waszyngtonu i na uczelnię — powiedział otwierając drzwi.

— Pan Crawford polecił mi...

— Obowiązują teraz moje polecenia. Nie podlega już pani Jackowi Crawfordowi. Od tej chwili podlega pani regulaminowi Akademii, jak każda inna studentka, i powinna jak najszybciej znaleźć się w szkole, jasne? Odlot dziesięć po drugiej. Proszę się postarać nie spóźnić na samolot.

— Panie Krendler, doktor Lecter rozmawiał ze mną, kiedy odmówił złożenia zeznań policji w Baltimore. Może będzie chciał zrobić to ponownie. Pan Crawford uważa...

Krendler zamknął z powrotem drzwi, głośniejszym, niż to było konieczne.

— Panno Starling, nie muszę pani wyjaśniać powodów moich decyzji, ale niech pani lepiej posłucha. Rola Sekcji Behawioralnej jest czysto doradcza, zawsze taka była. I znów będzie taka. Jack Crawford powinien przebywać na urlopie okolicznościowym. Dziwię się, że w ogóle radzi sobie z tym wszystkim, tak jak sobie radzi. Miał głupi pomysł, żeby utrzymać tę sprawę w tajemnicy przed senatorem Martinem i dostanie za to po głowie. Wziąwszy pod uwagę jego zapis służby i to, że niedługo i tak odchodzi, nawet

ona nie będzie mu w stanie bardzo zaszkodzić. Więc nie martwiłbym się tak bardzo o jego emeryturę na pani miejscu.

Clarice nie do końca się w tym połapała.

— Czy ma pan kogoś innego, kto ująłby trzech wielokrotnych morderców? Czy ma pan kogoś, kto ująłby chociaż jednego? Nie powinien pan prowadzić tej sprawy pod jej dyktando, panie Krendler.

— Musisz być inteligentnym dzieckiem, inaczej Crawford nie zawracałby sobie toba głowy, więc powiem ci jedno: zrób coś ze swoją niewyparzoną buzią albo do końca życia będziesz siedzieć na hali maszyn. Czy ty tego nie rozumiesz? Za pierwszym razem zostałaś wysłana do Lectera wyłącznie po to, żeby uzyskać dla swojego dyrektora informacje, które mógłby wykorzystać w Kapitolu. Nieszkodliwy materiał na temat przestępczości, poufne dane na temat doktora Lectera. Ma pełno takich rzeczy w zanadrzu, wyjmuje je z kieszeni jak cukierki, kiedy na porządku dnia staje sprawa zatwierdzenia budżetu. Kongresmani jedzą mu z ręki, to jest ich chleb powszedni. Nie jest pani na bieżąco, panno Starling, i nie zajmuje się pani dłużej tą sprawą. Wiem, że ma pani tymczasową legitymację FBI. Proszę mi ją oddać.

— Bez legitymacji nie wpuszczą mnie do samolotu z pistoletem. Broń jest własnością Akademii.

— Jezus Maria, pistolet. Niech pani zwróci legitymację natychmiast po powrocie.

Ruth Martin, Gossage, technik i kilku policjantów otoczyli terminal komputerowy podłączony do telefonicznego modemu. Komputer krajowego biura informacji kryminalnej podawał na bieżąco, co dzieje się z informacjami przekazanymi przez doktora Lectera. Nadeszły właśnie wiadomości z krajowego ośrodka kontroli medycznej w Atlancie. Zarazić się wąglikiem afrykańskim można wskutek wdychania pyłu, który powstaje przy obróbce kości słoniowej, najczęściej przy wytwarzaniu ozdobnych rękojeści. W Stanach Zjednoczonych jest to choroba zawodowa szlifierzy noży.

Przy słowach „szlifierze noży” senator Martin przymknęła oczy. Powieki miała gorące i suche. Zmięła w dłoni papierową serwetkę.

Młody sierżant, który wpuścił Clarice do mieszkania, niósł dla pani senator filiżankę kawy. Wciąż miał na głowie kapelusz.

Clarice Starling nie byłaby sobą, gdyby wyniosła się po angielsku. Wychodząc zatrzymała się przed Ruth Martin.

— Życzę powodzenia, pani senator. Mam nadzieję, że Catherine nic się nie stanie.

Senator nie patrząc na nią kiwnęła głową, Krendler ponaglał dziewczynę do wyjścia.

— Nie wiedziałem, że nie wolno było jej tutaj wchodzić — odezwał się młody sierżant, kiedy za Clarice zamknęły się drzwi. Krendler wyszedł wraz z nią.

— Żywię do Jacka Crawforda jak największy szacunek — oznajmił. — Proszę powiedzieć mu, jak przykro nam z powodu... kłopotów, jakie ma z Bellą, i całej reszty. A teraz niech pani wraca do Akademii i zajmie się czymś innym, dobrze?

— Do widzenia, panie Krendler.

Została sama na parkingu z niejasnym poczuciem, że nie rozumie nic ze spraw, które toczą się na tym świecie.

Patrzyła na przechadzającego się pod samochodami i motorówkami

gołębia. Dziobnął skorupę włoskiego orzecha i rzucił ją z powrotem na asfalt. Mokra wiatr nastroszył mu pióra.

Clarice chciałyby porozmawiać teraz z Crawfordem. Najbardziej wyprowadzają z równowagi głupota i zmarnowane starania, powiedział. Wykorzystaj ten moment, naucz się czegoś. To najtrudniejszy test — nie możesz pozwolić, żeby wściekłość i frustracja zablokowały w tobie zdolność jasnego myślenia. Od tego zależy, czy kiedykolwiek będziesz mogła kierować akcją.

Było jej absolutnie obojętne, czy kiedykolwiek będzie mogła kierować akcją. Doszła do wniosku, że ma gdzieś to, czy będzie kiedykolwiek nosić tytuł Agenta Specjalnego. Agent Specjalny Starling. Nigdy, jeśli ma się to odbywać takim kosztem.

Pomyślała o biednej, grubej, żalostnej, martwej dziewczynie, którą widziała na stole w domu pogrzebowym w Potter, w Wirginii Zachodniej. Malowała paznokcie na czerwono, na ten sam kolor, na który ci zasańcy o byczych karkach pacykują swoje cholerne motorówki.

Jak miała na imię? Kimberly.

Niech mnie szlag, jeśli tym dupkom uda się doprowadzić mnie do płaczu.

Jezu, ile się namnożyło tych Kimberly, tylko w jej klasie było ich cztery. Trzech chłopaków miało na imię Sean. Kimberly, ze swym imieniem z telewizyjnych seriali, próbowała o siebie zadbać, nawet przekłuła sobie uszy, chciała być ładna, chciała się podobać. A Buffalo Bill spojrzał na jej żalostny, płaski biust, przystawił do niego lufę pistoletu i na piersiach wykwiła jej rozgwiezda.

Kimberly, jej smutna, gruba siostra smarująca sobie kremem nogi. Nic dziwnego: sądząc po jej twarzy, ramionach i nogach, skóra była tym, co miała najlepszego. Kimberly, czy nie jesteś zła, gdziekolwiek jesteś? Nie szukała cię żadna senator. Żaden odrzutowiec nie woził z miejsca na miejsce szaleńców, żeby cię ratować. Szaleńcy, to nie było słowo, którego by się ktoś po Clarice spodziewał. Mnóstwa rzeczy się po niej nikt nie spodziewał. Szaleńcy.

Spojrzała na zegarek. Do odlotu samolotu miała jeszcze półtorej godziny i była pewna drobna rzecz, którą mogła w tym czasie zrobić. Pragnęła spojrzeć w twarz doktorowi Lecterowi w chwili, gdy ten wymówi nazwisko „Billy Rubin”. Jeśli zdoła wytrzymać wystarczająco długo spojrzenie piwnych oczu, jeśli spojrzy głęboko tam, gdzie gubią się w ciemności iskry, może dostrzec coś naprawdę ważnego. Sądziła, że może dostrzec tam ślad kpiny.

Dzięki Bogu, wciąż mam przy sobie legitymację.

Wyjeżdżając z piskiem opon z parkingu, zostawiła za sobą czterometrowe smugi gumy.

Rozdział 35

Clarice Starling nie zdejmując nogi z gazu pędziła przez zatłoczone ulice Memphis. Na policzkach zaschły jej dwie łzy gniewu. Czuliła się teraz dziwnie wolna, pozostawiona samej sobie. Nienaturalna jasność, z jaką teraz wszystko widziała, mówiła jej, że czeka ją walka. Musiała być ostrożna.

Minęła stary budynek sądu już wcześniej, w drodze z lotniska, teraz odnalazła go bez trudu.

Władze Tennessee nie chciały kusić losu. Zdecydowane były trzymać Hannibala Lectera w absolutnie bezpiecznym miejscu, a za takie w żadnym wypadku nie można było uznać miejskiego więzienia.

Właściwym rozwiązaniem okazał się dawny budynek sądu i więzienia, okazały neogotycki gmach zbudowany z granitu w czasach, gdy łatwo było jeszcze o siłę roboczą. Obecnie, pieczołowicie odrestaurowany, mieścił władze tego zamożnego i zapatrzonego w swoją historię miasta.

Tego dnia przypominał średniowieczną, obleżoną przez policję twierdzę.

Parking zastawiony był prawdziwą policyjną mieszanką: były tu patrole z drogówki, samochody z okręgowego biura szeryfa z Shelby, z biura śledczego Tennessee i z departamentu zakładów karnych. Posterunkowi sprawdzili dziewczynę prowadzącą wynajęty samochód, zanim jeszcze udało jej się znaleźć miejsce na parkingu.

Dodatkowe problemy wiązały się z koniecznością zapewnienia doktorowi Lecterowi bezpieczeństwa przed tłumem. Od momentu kiedy w porannych wiadomościach podano miejsce jego pobytu, odbierane były telefony z pogrózkami; przyjaciele i krewni wielu jego ofiar marzyli o tym, by dostać go w swoje ręce.

Clarice miała nadzieję, że nie ma w pobliżu miejscowego agenta FBI, Copleya. Nie chciała narobić mu kłopotów.

Na trawniku, przed prowadzącymi do głównego wejścia schodami, dostrzegła otoczony wianuszkami reporterów tył głowy Chiltona. W tłumie były dwie telewizyjne minikamery. Clarice żałowała, że nie ma jakiegoś nakrycia głowy. Zbliżając się do wejścia odwróciła twarz w drugą stronę.

Przed wejściem do głównego hallu skontrolował ją stojący przy drzwiach funkcjonariusz policji stanowej. Hali wyglądał teraz jak jedna wielka wartownia. Przy jedynej funkcjonującej w budynku windzie stał miejski policjant, drugi trzymał straż przy schodach. Ludzie z rezerwy stanowej, zmiennicy tych, którzy aktualnie pełnili wartę na zewnątrz budynku, zaszyli się w miejscu, gdzie nie mogli ich dostrzec gapie i siedząc na kanapach czytali gazety.

Za biurkiem naprzeciwko windy siedział sierżant. Na jego karcie identyfikacyjnej widniało nazwisko TATE, C.L.

— Żadnej prasy — odezwał się na widok Starling.

— Żadnej — zgodziła się.

— Przyjechała pani razem z prokuratorem generalnym? — spytał, kiedy pokazała mu legitymację.

— Zastępcą prokuratora generalnego, Krendlerem — odpowiedziała. — Właśnie od niego idę. Kiwnął głową.

— Mieliśmy tu wszystkich gliniarzy z zachodniego Tennessee. Każdy chciał rzucić okiem na doktora Lectera. Nie widuje się kogoś takiego zbyt często, chwała Bogu. Zanim pojedzie pani na górę, będzie pani musiała porozmawiać z doktorem Chiltonem.

— Widziałam się z nim przed chwilą na zewnątrz — odpowiedziała. — Dzisiaj rano zajmowaliśmy się tą sprawą w Baltimore. Czy to tu mam się wpisać, sierżancie Tate?

Przez krótką chwilę sierżant badał językiem swój trzonowy ząb.

— Dokładnie tutaj — powiedział. — Taki jest regulamin służby więziennej, proszę pani. Odwiedzający oddają broń, niezależnie, czy są gliniarzami, czy nie.

Clarice kiwnęła głową. Wyjęła naboje z rewolweru, sierżant z przyjemnością patrzył, jak sprawnie obchodzi się z bronią. Podała mu rewolwer rękojeścią do przodu. Zamknął go na klucz w szufladzie.

— Zabierz ją na górę, Vernon. — Wykręcił trzycyfrowy numer i podał jej nazwisko przez telefon.

Zainstalowana w latach dwudziestych winda zawiozła ich zgrzytając na najwyższe piętro. Drzwi otwierały się na podest schodów, dalej zaczynał się krótki korytarz.

— Prosto przed siebie, proszę pani — powiedział funkcjonariusz.

Na matowej szybie drzwi widniał napis: TOWARZYSTWO HISTORYCZNE OKRĘGU SHELBY.

Prawie całe najwyższe piętro wieży ratusza zajmowała jedna pomalowana na biało ośmiokątna sala wyłożona dębową klepką. Dębowe były również boazerie. Czuć było woskiem i pastą do podłóg. Rozległy pokój z nielicznymi sprzętami sprawiał wrażenie wnętrza świątyni. Wyglądał teraz lepiej niżeli w czasach, gdy służył jako biuro miejscowemu szeryfowi.

Służbę pełnili tutaj dwaj funkcjonariusze w mundurach zarządu zakładów karnych stanu Tennessee. Kiedy Clarice weszła, mniejszy z nich powstał zza biurka. Większy siedział na składanym krześle przy

drzwiach celi, w odległym rogu pokoju. Do jego obowiązków należało pilnowanie, żeby więzień nie popełnił samobójstwa.

— Ma pani pozwolenie na rozmowę z więźniem? — zapytał facet przy biurku. Na jego karcie identyfikacyjnej widniało nazwisko PEMBRY, T.W., wyposażenie biurka stanowił telefon, dwie długie pałki i pistolet gazowy. W kącie stał długi przyrząd do przyszpilania więźnia do ściany.

— Tak, mam — odpowiedziała — przesłuchiwałam go już wcześniej.

— Zna pani zasady. Nie wolno przekraczać bariery. Pod żadnym pozorem.

Jedynym kolorowym przedmiotem w całym pomieszczeniu była policyjna bariera do blokowania ruchu, pomalowana w jaskrawe pomarańczowe i żółte pasy. Przymocowane były do niej okrągłe żółte światła pulsacyjne, teraz wyłączone. Bariera ustawiona była na wyfroterowanej podłodze półtora metra przed celą. Obok, na wieszaku, wisiały rzeczy doktora: maska bramkarza hokejowego i coś, czego Clarice nigdy dotąd nie widziała, specjalna kamizelka, którą w stanie Kansas zakłada się skazanym na szubienicę. Zrobiona z grubej skóry, zaopatrzona w podwójne pasy krępujące ręce przy talii oraz sprzączki na plecach, mogła zostać śmiało uznana za najbardziej niezawodny kaftan bezpieczeństwa na świecie. Maskę i zawieszoną na sztywnej obroży czarna kamizelka tworzyły na tle białej ściany niesamowitą kompozycję.

Kiedy zbliżyła się do celi, spostrzegła doktora Lectera, który czytał coś przy małym stoliku przyśrubowanym do podłogi. Plecami obrócony był do drzwi. Miał kilka książek i kopię bieżącej dokumentacji sprawy Buffalo Billa, którą dała mu w Baltimore. Do nogi stolika przymocowany był łańcuchem mały magnetofon. Dziwnie się czuła, widząc

Lectera poza szpitalem.

Clarice oglądała już podobne do tej cele niegdyś, w dzieciństwie. Składane były z prefabrykatów wytwarzanych przez pewną firmę w St Louis na przełomie stuleci i nikt od tego czasu nie zbudował nic lepszego: moduły z hartowanej stali, dzięki którym można było zamienić w celę każde pomieszczenie. Ułożony na prętach arkusz blachy stanowił podłogę, ściany i sufit sporządzone były z kutyh na zimno prętów przylegających do ścian sali. Nie było żadnego okna. Cella była całkowicie biała i jasno oświetlona. Przy toalecie stał cienki papierowy parawan.

Białe pręty niczym żebra podtrzymujące ściany. Lśniące, ciemne włosy doktora Lectera.

Otrząsnęła się.

.— Dzień dobry, Clarice — powiedział nie odwracając się. Skończył stronę, zaznaczył miejsce i przekręcił się na krześle, żeby spojrzeć jej w twarz. Zatopił podbródek w spoczywającym na oparciu krzesła przedramieniu. — Dumas twierdzi, że smak i kolor bulionu znakomicie się poprawiają, kiedy dodać do niego na jesieni kawałek wroniego mięsa. Jesienią wrony odżywiają się jagodami jałowca i robią się tłuste. Jak smakowałby ci w zupie kawałek wrony, Clarice?

— Pomyślałam, że może pan chce odzyskać swoje rysunki z celi, zanim zapewnią panu odpowiedni widok.

— Jakie to uprzejme z twojej strony. Doktor Chilton wprost nie może się nacieszyć, że ty i Jack Crawford zostaliście odsunięci od sprawy. Czy przysłali cię, abyś po raz ostatni spróbowała coś ode mnie wyłudzić?

Funkcjonariusz obserwujący więźnia oddalił się, żeby porozmawiać ze swym siedzącym za biurkiem kolegą.

— Nikt mnie nie wysłał, przyszłam sama.

— Ludzie powiedzą, że jesteśmy w sobie zakochani. Czy chcesz zapytać o Billy'ego Rubina, Clarice?

— Doktorze Lecter, nie podważając absolutnie tego, co pan powiedział senator Martin, czy nadal radzi mi pan iść śladem, który...

— Nie podważając... a to dobre. Nic ci nie zamierzam radzić. Próbowalaś wystrychnąć mnie na dudka, Clarice. Czy sądzisz, że robię sobie żarty z wszystkich tych ludzi?

— Sądzę, że powiedział mi pan prawdę.

— Co za szkoda, że starałaś się mnie oszukać, nieprawdaż? — Doktor Lecter zasłonił twarz ramieniem, widać było tylko jego oczy. — Co za szkoda, że Catherine Martin nie ujrzy już nigdy promieni słońca. Słońce jest ognistym posłaniem, w którym umarł jej Bóg, Clarice.

— Co za szkoda, że musi pan teraz grać komedię i ronić krokodyle łzy — powiedziała Starling. — Co za szkoda, że nie udało nam się skończyć naszej rozmowy. Pańska idea imago, jego struktury, miała w sobie pewien rodzaj... elegancji, którą trudno zapomnieć. Teraz wszystko legło w gruzach, stoi tylko połówka łuku.

— Połowka łuku nie może stać, zaraz się zawali. Skoro o łukach mowa, czy wciąż jeszcze pozwalają ci strugać waźniaka, Clarice? Nie zabrali ci twojej policyjnej odznaki?

— Nie.

- A co tam masz pod kurtką, taki sam zegar jak tatusia?
- Nie, to magazynek.
- Więc chodzisz uzbrojona?
- Tak.
- W takim razie powinnaś poszerzyć kurtkę. Potrafisz szyć?
- Tak.
- Sama sobie zrobiłaś ten kostium?
- Nie. Doktorze Lecter, pan zawsze musi wszystko wiedzieć. Nie mógł pan odbyć sesji z tym „Billym Rubinem”, mając o nim tak niewiele informacji.
- Sądzisz, że nie mogłem?
- Jeśli rzeczywiście z nim się pan spotkał, wie pan o nim wszystko. Ale dzisiaj twierdzi pan, że zapamiętał pan tylko jeden szczegół. Chorował na węglik afrykański. Powinien pan zobaczyć, jak podskoczyli do góry, kiedy ośrodek w Atlancie oznajmił, że to choroba szlifierzy noży. Gładko to przelknęli, dokładnie tak, jak pan przewidywał. Powinien pan za to dostać apartament w Hiltonie. Jeśli go pan spotkał, doktorze, zna go pan bardzo dobrze. Sądzę, że najprawdopodobniej nie widział go pan na oczy, opowiadał panu o nim tylko Raspail. Towaru z drugiej ręki nie udałoby się tak dobrze sprzedać senator Martin, prawda?
- Clarice szybko obejrzała się przez ramię. Jeden ze strażników pokazywał coś drugiemu w *Guns & Ammo*, ilustrowanym magazynie strzeleckim.
- Miał mi pan jeszcze coś do powiedzenia w Baltimore, doktorze. Wierzę, że to było coś ważnego. Niech pan powie całą resztę.
- Przeczytałem akta sprawy, Clarice, ty chyba także? Jest tam wszystko, czego potrzebujesz, żeby go namierzyć, jeśli tylko będziesz uważnie czytać. Nawet Inspektor Emeritus Crawford powinien wyciągnąć właściwe wnioski. Swoją drogą, czytałaś może ogłupiającą mowę, którą wygłosił w zeszłym roku w Krajowej Akademii Policyjnej? Cytował bez opamiętania Marka Aureliusza, bredził o honorze, poczuciu obowiązku i harcie ducha... zobaczymy, jaki z niego stoik, kiedy Bella uderzy w kalendarz. Myślę, że swoją filozofię zaczerpnął chyba z *Bartlett's Familiar*. Gdyby naprawdę rozumiał Marka Aureliusza, potrafiłby rozwiązać tę sprawę.
- Proszę mi powiedzieć jak?
- Kiedy zauważam u ciebie przypadkowe przebłyśki inteligencji, zapominam, Clarice, że twoje pokolenie zatraciło zdolność czytania. Cesarz zaleca prostotę. Podstawowe zasady. O każdą poszczególną rzecz zapytaj: czym jest sama w sobie, jaka jest jej istota? Jaka jest jej pierwsza przyczyna?
- To mi nic nie mówi.
- Co on robi, ten człowiek, którego chcesz złapać?
- Zabija...
- Och — przerwał jej ostro i odwrócił na chwilę oczy, zrażony jej uporem. — To sprawa drugorzędna. Co jest w tym, co on robi, najważniejsze, jaką potrzebę zaspokaja przez zabijanie?
- Gniew, resentymenty społeczne, frustracja seksua...
- Nie.

- Więc co, w takim razie?
- On pożąda. Konkretnie rzecz biorąc, pożąda dokładnie tego, czym ty jesteś. Pożądanie leży w jego naturze. W jaki sposób zaczynamy pożądać, Clarice? Czy tego, co budzi nasze pożądanie, szukamy gdzieś daleko od siebie? Postaraj się dobrze przemyśleć odpowiedź.
- Nie. Po prostu...
- Nie. Dokładnie tak. Pożądanie zaczyna się od tego, co widzimy wokół siebie na co dzień. Czy nie czujesz oczu, które obmacują cię każdego dnia podczas przypadkowych spotkań, Clarice? Nie wyobrażam sobie, żebyś nie była ich świadoma. A ty sama, nie wodzisz oczyma po różnych przedmiotach?
- W porządku, niech pan powie zatem...
- Teraz twoja kolej, Clarice, żeby mi coś powiedzieć. Nie możesz już zaferować żadnych cudownych wakacji na piaszczystej plaży w ośrodku leczenia pysków i racic. Od tego momentu obowiązuje nas ścisła wymiana: coś za coś. Muszę być z tobą ostrożny w interesach. Opowiadaj, Clarice.
- O czym mam opowiadać?
- O dwóch rzeczach, które jesteś mi winna od poprzedniego razu. Po pierwsze, co stało się z tobą i z koniem, po drugie, jak radzisz sobie ze swym gniewem?
- Kiedy będzie trochę więcej czasu, doktorze, opowiem panu...
- Czas nie biegnie dla nas tym samym rytmem, Clarice. To jedyna chwila, jaka ci jeszcze została.
- Później, niech pan posłucha...
- To ty mnie posłuchaj. Dwa lata po śmierci twojego ojca matka wysłała cię do swojej kuzynki i jej męża, na farmę w Montanie. Miałaś wtedy dziesięć lat. Odkryłaś, że na farmie odkarmia się przeznaczone na ubój konie. Uciekłaś z klaczą, która nie odznaczała się zbyt dobrym wzrokiem. Co dalej?
- Było lato i mogłyśmy spać na dworze. Dostałyśmy się boczną drogą aż do Bozeman.
- Czy klacz jakoś się nazywała?
- Na pewno, ale oni... nie sposób dowiedzieć się imienia konia, którego odkarmia się na takiej farmie. Nazwałam ją Hannah, wydawało mi się to dla niej odpowiednie imię.
- Jechałaś na niej, czy prowadziłaś?
- Trochę tak, trochę tak. Musiałam podprowadzić ją do płotu, żeby go przeskoczyła.
- Częściowo na piechotę, częściowo na koniu dotarłaś do Bozeman.
- Na peryferiach miasta była tam wypożyczalnia koni razem ze szkółką jeździecką. Próbowałam ich przekonać, żeby ją u siebie zatrzymali. Opłata wynosiła dwadzieścia dolarów tygodniowo, jeśli koń przebywał na wybiegu. W boksie, wewnątrz stajni, więcej. Od razu zorientowali się, że nie widzi. Dobrze, powiedziałam, będę ją oprowadzała. Można posadzić na niej małe dzieci, a ja będę ją z nimi oprowadzała, w czasie gdy rodzice będą brali regularne lekcje jazdy. Mogę tu zostać i wyrzucać nawóz z boksów. Mężczyzna, z którym rozmawiałam, godził się na wszystko. W tym czasie jego żona zadzwoniła do szeryfa.
- Szeryf był policjantem, tak jak twój ojciec.

— Nie spowodowało to jednak, żebym się go nie bała, przynajmniej z początku. Miał wielką, czerwoną twarz. W końcu, kiedy „rozwikłał całą sprawę”, wyłożył dwadzieścia dolarów na tygodniowy pobyt Hannah na wybiegu. Powiedział, że nie ma sensu umieszczać jej w boksie, kiedy jest tak ciepło. Wszystko zostało załatwione oficjalnie. Było niezłe zamieszanie. Kuzynka mojej matki zgodziła się, żebym od niej odeszła. Wylądowałam w domu luterańskim w Bozeman.

— Czy to był sierociniec?

— Tak.

— A Hannah?

— Poszła tam razem ze mną. W sierocińcu mieli stodołę. Jakiś farmer, luteranin, przywiózł trochę siana. Oraliśmy z nią ogród. Szkoda, że pan nie widział, jak się poruszała. Wywracała fasolowe tyczki, deptała po wszystkich roślinach, które były zbyt małe, żeby mogła je wyczuć nogami. Poza tym zaprzęgaliśmy ją do wózka z dziećmi.

— W końcu jednak zdechła.

— No tak.

— Opowiedz mi o tym.

— To było w zeszłym roku, napisali mi o tym do uczelni. Ich zdaniem dożyła dwudziestu dwóch lat. Ostatniego dnia jak zwykle ciągnęła wózek pełen dzieciaków. Umarła we śnie.

Doktor Lecter wydawał się rozczarowany.

— Jakie wzruszające — oznajmił. — Czy twój opiekun w Montanie spółkował z tobą, Clarice?

— Nie.

— A próbował?

— Nie.

— Co skłoniło cię do ucieczki razem z kłaczą?

— Mieli zamiar ją zabić.

— Czy wiedziałaś, kiedy to ma się stać?

— Dokładnie nie. Bałam się tego cały czas. Szybko przybierała na wadze.

— W takim razie, co konkretnie cię skłoniło do ucieczki? Dlaczego zrobiłaś to akurat tego dnia?

— Nie wiem.

— Sądzę, że wiesz.

— Cały czas się tego bałam.

— Co było bezpośrednim powodem? O której godzinie wstałaś?

— Wcześniej rano. Było jeszcze ciemno.

— A więc coś cię obudziło. Co? Coś ci się śniło? Co to było?

— Obudziłam się i usłyszałam krzyk owiec. Obudziłam się w ciemności i gdzieś obok przeraźliwie beczwały owce.

— To był czas wiosennego zarzynania owiec?

— Tak.

— Co zrobiłaś?

— Nie mogłam nic dla nich zrobić. Byłam tylko...

— Co zrobiłaś z koniem?

— Ubrałam się nie zapalając światła i wyszłam na dwór. Wszystkie konie w zagrodzie były przestraszone i dreptały w miejscu. Dmuchiłam jej w nos i poznała, że to ja. W końcu włożyła mi pysk w dłoń. W stodole i w szopie obok wybiegu dla owiec paliły się światła. Gołe żarówki rzucały wielkie cienie. Podjechał samochód chłodnia i stał nie gasząc silnika. Wyprowadziłam ją z zagrody.

— Osiodłałaś ją?

— Nie. Nie zabrałam siodła. Miałam tylko uzdę ze sznurka.

— Kiedy odjeżdżałaś w ciemność, czy słyszałaś za sobą, tam gdzie paliło się światło, krzyk owiec?

— Nie trwało to długo. Było ich tylko dwanaście.

— Nadal budzisz się czasami w środku nocy, prawda? Budzisz się w kamiennej ciemności i w uszach masz krzyk owiec?

— Czasami.

— Sądzisz, że jeśli uda ci się własnoręcznie złapać Buffalo Billa i uratować Catherine, to owce umilkną. Sądzisz, że je także uda się uratować i nie będzie budzić cię po nocy ich krzyk? Tak? Clarice?

— Tak. Nie wiem. Może.

— Dziękuję ci, Clarice — doktor Lecter wydawał się dziwnie odprężony.

— Niech mi pan poda jego nazwisko — poprosiła.

— Doktor Chilton — powiedział Lecter. — Sądzę, że państwo się znacie.

Przez chwilę Clarice nie zdawała sobie sprawy, że stoi za nią Chilton. Potem ujął ją za łokieć.

Odsunęła się. Obok Chiltona stali funkcjonariusz Pembry i jego rosy kolega.

— Do windy — powiedział Chilton. Na twarzy miał czerwone wypieki.

— Czy wiedziałaś, że doktor Chilton nie posiada wykształcenia medycznego? — spytał doktor Lecter. — Postaraj się o tym pamiętać w przyszłości.

— Idziemy — powiedział Chilton.

— Nie pan tu rządzi, doktorze Chilton — odparła. Funkcjonariusz Pembry wysunął się do przodu.

— On nie, proszę pani, ale ja tak. Zadzwoił do mojego i do pani szefa. Przykro mi, ale mam rozkaz panią stąd wyprowadzić. Proszę iść za mną, natychmiast.

— Do widzenia, Clarice. Dasz mi znać, jeśli kiedykolwiek umilkną twoje owce?

— Tak.

Pembry brał ją pod ramię. Musiała iść albo się z nim szarpać.

— Tak — powiedziała. — Dam panu znać.

— Obiecujesz?

— Tak.

— Dlaczego, w takim razie, nie dokończysz łuku? Zabierz ze sobą akta sprawy, Clarice, nie będę ich więcej potrzebował. — Wystawił teczkę przez kraty, palcem wskazującym obejmował jej grzbiet. Sięgnęła przez barierkę i odebrała ją. Przez krótki moment jej palec wskazujący dotknął palca doktora Lectera. Coś załamało się w jego oczach.

- Dziękuję, Clarice.
- Dziękuję, doktorze.

I taki właśnie pozostał jej w pamięci. Złapany w momencie, kiedy niczego nie udawał. Stał w swojej białej celi, wygięty niczym tancerz, ze splecionymi z przodu rękami i lekko przechyloną głową.

Tuż przed lotniskiem najechała zbyt szybko na asfaltowy, ograniczający prędkość garb na jezdni i nabiła sobie guza o dach samochodu. Musiała biec, żeby zdążyć na samolot, którym kazał jej odlecieć Krendler.

Rozdział 36

Funkcjonariusze Pembry i Boyle byli doświadczonymi strażnikami. Przyjechali z więzienia stanowego w Brushy Mountains specjalnie po to, żeby pilnować doktora Lectera. Byli małowolni i uważni. Nie sądzili, by doktor Chilton musiał im wyjaśniać, na czym polega ich praca.

Przybyli do Memphis przed doktorem Lecterem i dokładnie, centymetr po centymetrze, zbadali celę. Kiedy doktor został dostarczony do starego budynku sądu, zbadali również i jego. Już przedtem, kiedy był unieruchomiony w kamizelce, pielęgniarz przeszukał dokładnie wszystkie otwory w jego ciele. Przejrzano starannie ubranie, każdy szew sprawdzony został przy użyciu wykrywacza metalu.

Boyle i Pembry doszli z nim do porozumienia, przemawiając doń cicho i łagodnie podczas całej operacji.

— Doktorze Lecter, może nam być ze sobą całkiem dobrze. Będziemy się do pana odnosić tak samo przyzwoicie, jak pan do nas. Jeśli będzie się pan zachowywał jak dżentelmen, dostanie pan w nagrodę loda na patyku. Ale nie myśl, kochany, że będziemy wokół ciebie chodzić na paluszkach. Spróbuj ugryźć, to będziesz miał gębę jak stuletnia babunia. Wygląda na to, że przyjeżdżając tutaj, coś zyskałeś. Nie chcesz chyba tego stracić?

Doktor mrużył do nich przyjaźnie oczy. Nawet gdyby skłonny był im odpowiedzieć, uniemożliwiał mu to wetknięty między trzonowe zęby drewniany kołek. Do ust zaglądał mu właśnie pielęgniarz, świecąc latarką i odciągając palcem skórę na policzku. Na dłoniach miał rękawiczki.

Przy policzku zabrzęczał wykrywacz metalu.

— Co to? — zapytał pielęgniarz.

— Plomby — odparł Pembry. — Odciągnij mu trochę wargę. Psuły nam się trochę trzonowe zęby, prawda, doktoru?

— Wygląda na to, że całkiem zmiękła mu rura — wyznał Boyle Pembry'emu, kiedy już umieścili bezpiecznie doktora w jego celi. — Nie powinno z nim być wiele kłopotu, jeśli nie będzie podskakiwał.

Cela, mimo że bezpieczna i solidna, nie była wyposażona w ruchomy wózek na jedzenie. W porze lunchu, w nieprzyjemnej atmosferze, jaka zapanowała po wizycie Clarice, doktor Chilton sprawiał wszystkim masę kłopotów zmuszając Boyle'a i

Pembry'ego do założenia doktorowi Lecterowi kaftana bezpieczeństwa i pasów na nogi. W czasie całej żmudnej, prowadzonej z zewnątrz operacji, Lecter stał oparty grzecznie plecami o kraty, a Chilton celował w niego z pistoletu gazowego. Dopiero potem Boyle i Pembry mogli otworzyć drzwi celi i wnieść do środka tacę z jedzeniem.

Chilton nie zwracał się do Boyle'a i Pembry'ego po nazwisku, mimo że każdy z nich miał przypiętą na piersi wyraźną kartę identyfikacyjną. Mówiąc do nich używał prostackiego zwrotu „ty tam”.

Strażnicy nie pozostali mu dłużni. Kiedy usłyszeli, że Chilton nie jest prawdziwym doktorem medycyny, Boyle stwierdził w rozmowie z Pembrym, że mają dziś do czynienia z „jakimś cholernym belfrem z podstawówki”.

Pembry próbował wyjaśnić Chiltonowi, że wizyta inspektor Starling miała miejsce wskutek niedopatrzania strażnika na dole i oni nie ponoszą tu żadnej winy, ale dyrektorowi szpitala wcale nie poprawiło to humoru.

Chiltona nie było przy kolacji i, przy współpracy oszołomionego Lectera, Boyle i Pembry zastosowali własną metodę dostarczenia do środka tacy z jedzeniem. Metoda okazała się znakomita.

— Doktorze Lecter, nie będzie pan dziś potrzebował do kolacji swojego garniturku — oznajmił Pembry. — Proszę, żeby pan usiadł na podłodze i posunął się do tyłu, aż będzie pan mógł wystawić ręce przez kraty. Ramiona wykręcone do tyłu. Tak właśnie. Niech pan się jeszcze trochę posunie i wyprostuje ręce. Łokcie do siebie. — Pembry założył doktorowi kajdanki po zewnętrznej stronie kraty, tuż pod poprzecznym prętem. Pręt podłużny znajdował się między jego ramionami. — To trochę boli, prawda? Wiem o tym, ale nie potrwa to dłużej jak minutę i oszczędzi nam obu masę kłopotów.

Doktor nie mógł wstać ani nawet kucnąć. Z nogami wyciągniętymi płasko przed sobą nie mógł kopać.

Dopiero po dokładnym unieruchomieniu więźnia, Pembry wrócił do biurka, żeby zabrać klucze do drzwi celi. Przymocował do pasa pałkę, wsadził do kieszeni pistolet gazowy i podszedł do celi. Otworzył drzwi, Boyle wniósł do środka tacę. Po zamknięciu drzwi Pembry odniósł klucze na biurko i dopiero wtedy uwolnił z kajdanek doktora. Ani razu nie znajdował się z kluczami blisko krat w czasie, kiedy doktor mógł się swobodnie poruszać w celi.

— Całkiem gładko nam to poszło, prawda? — zapytał Pembry.

— Bardzo mi to odpowiadało, dziękuję panu — odparł Lecter. — Wie pan, chodzi mi tylko o to, żeby jakoś przez to przebrnąć.

— Wszystkim nam o to chodzi, kochaneczku.

Lecter pojadał powoli z tacy, pisząc coś, rysując i bazgrząc flamastrem w swoim notatniku. Przekręcił kasetę w przymocowanym łańcuchem do stołu magnetofonie i nacisnął przycisk. Glenn Gould grał na fortepianie „Wariacje Goldbergowskie” Bacha. Wspaniała muzyka, całkowicie poza czasem i przestrzenią, wypełniła zalaną światłem klatkę i pomieszczenie, w którym siedzieli strażnicy.

Dla siedzącego nieruchomo przy stole Lectera czas zwolnił swój bieg, jak zawsze, gdy coś zaczynało się dziać. W jego uszach spokojnie, nie zmieniając tempa, płynęły takty muzyki. Srebrzyste akordy Bacha przyćmiewały błysk otaczającej go stali. Doktor wstał,

na jego twarzy malowało się roztargnienie, z nóg ześlizgnęła mu się papierowa serwetka. Unosiła się długo w powietrzu, otarła o nogę stołu, zajaśniała odbitym światłem, zakolysała, zmieniła kierunek i opadła odwrotną stroną na stalową podłogę. Nie podniósł jej, lecz szybko przeszedł celę i schował się za papierowym parawanem. Usiadł na klozetowej desce, jedynym miejscu, gdzie mógł mieć choć odrobinę prywatności. Słuchając muzyki pochylił się do przodu, oparł policzek o dłoń i na wpół przymknął swoje dziwne piwne oczy. „Wariacje Goldbergowskie” interesowały go ze względu na swoją strukturę. Oto znów ten sam motyw sarabandy powtórzony ton niżej, powtórzony raz jeszcze. Kiwał do taktu głową obmacując językiem skraj zębów. Przejechał tak wokół całej górnej i całej dolnej szczęki. Była to dla jego języka interesująca i długa podróż, niczym wycieczka do podnóży Alp.

Zabrał się teraz do dziąseł, wsuwając język wysoko w szczelinę pod policzkiem i kręcąc nim powoli, jakby chciał wydłubać resztki jedzenia. Dziąsła nie były tak ciepłe jak język. Wysoko, w szczelinie panował chłód. Natrafiwszy na małą metalową rurkę, język znieruchomiał.

Przez dźwięki muzyki dotarło do niego szczęknięcie ruszającej do góry windy. Wiele taktów później drzwi windy otworzyły się na górze.

— Mam zabrać tacę — odezwał się nieznany głos. Lecter słyszał, jak nadchodzi mniejszy z jego strażników, Pembry. Mógł go dostrzec przez szparę między listewkami parawanu. Pembry stanął przy kratkach.

— Doktorze. Niech pan usiądzie na podłodze plecami do krat, tak jak pan to zrobił przedtem.

— Czy nie zrobiłoby panu różnicy, sierżancie Pembry, gdyby pozwolił mi pan skończyć? Obawiam się, że podróż wytrąciła trochę moje kiszki z równowagi. — Wypowiedzenie tego wszystkiego zajęło bardzo dużo czasu.

— W porządku. — Pembry odwrócił się w drugą stronę. — Zadzwonimy na dół, kiedy będziemy gotowi.

— Czy mogę na niego spojrzeć?

— Zadzwonimy po ciebie.

Szczęknięcie windy, a potem tylko takty muzyki.

Doktor Lecter wyjął rurkę z ust i wytarł ją do sucha kawałkiem papieru toaletowego. Ręce miał pewne, dłonie całkowicie suche.

W ciągu długich lat spędzonych w odosobnieniu, obdarzony nieskończoną ciekawością doktor poznał niejedną więzienną tajemnicę. Od dnia, kiedy okaleczył pielęgniarkę w szpitalu w Baltimore, tylko dwukrotnie naruszone zostały zastosowane wobec niego ścisłe rygory bezpieczeństwa. Oba przypadki miały miejsce, kiedy dyżuru nie pełnił Barney. Za pierwszym razem odwiedzający go psychiatra pożyczył mu długopis i zapomniał go odebrać. Zanim jeszcze facet wyszedł z bloku

pod specjalnym nadzorem, doktor Lecter złamał plastikową obudowę długopisu, wrzucił ją do klozetu i spuścił wodę. Metalowy wkład wsadził w zawinięty szew na skraju materaca.

Jedyną ostrą krawędzią w jego szpitalnej celi było nacięcie na główce śruby mocującej koję do ściany. To wystarczyło. Po dwóch miesiącach pracy doktor Lecter wyżłobił w

otwartej końcówce wkładu dwa równoległe, długie na siedem milimetrów nacięcia. Następnie przepiłował wkład na dwie części: zostawił sobie trzycentymetrową końcówkę, resztę wyrzucił do toalety. Barney nie zauważył na jego palcach powstałych od nocnego szlifowania zgrubień.

Sześć miesięcy później jeden z pielęgniarzy pozostawił gruby spinacz na dokumentach przysłanych Lecterowi przez jego adwokata. Trzycentymetrowy kawałek drutu ze spinacza znalazł się wewnątrz rurki, reszta wylądowała w toalecie. Mała tubka, krótka i gładka, dawała się łatwo ukryć w szwach ubrania, pomiędzy policzkiem a dziąsłem i w odbycie.

Teraz, ukryty za papierowym parawanem, doktor Lecter oparł o kciuk metalową rurkę i lekko w nią popukał. Powoli wysunął się z niej drut. Miał posłużyć jako narzędzie w najtrudniejszej jak dotąd części operacji. Doktor Lecter wetknął go do połowy długości rurki i z olbrzymią precyzją użył w charakterze dźwigni, by wygiąć kawałek metalu między dwoma podłużnymi nacięciami. Czasami nacięcia łamią się przy tej czynności. Ostrożnie nacisnął silnymi palcami metal. Wyginał się. Już. Mikroskopijny zaczep znajdował się pod właściwym kątem w stosunku do rurki. Miał teraz klucz do kajdanek.

Lecter założył ręce do tyłu i piętnaście razy przełożył klucz z jednej dłoni do drugiej. Wsadził go z powrotem do ust, umył ręce i skrupulatnie wytarł do sucha. Następnie umieścił klucz językiem między palcami prawej dłoni. Wiedział, że kiedy Pembry znajdzie się za nim z tyłu, będzie się przyglądał raczej tej lewej, nietypowej.

— Jestem już gotów, jeśli pan pozwoli, sierżancie Pembry — powiedział. Siadł na podłodze i założył ręce do tyłu wystawiając dłonie i nadgarstki przez kraty. — Dziękuję, że zechciał pan poczekać. — Cała ta mowa wydawała się bardzo długa, jej tempo dostosował do rytmu muzyki.

Za sobą słyszał teraz Pembry'ego. Pembry dotknął jego nadgarstka, żeby sprawdzić, czy nie jest namydlony. Dotknął drugiego. Założył ciasno kajdanki. Zawrócił do biurka, żeby wziąć klucze do celi. Przez dźwięki fortepianu doszedł uszu doktora brzęk kluczy wyjmowanych przez Pembry'ego z szuflady. Teraz szedł z powrotem, rytm jego kroków klócił się z taktem muzyki, idąc przecinał powietrze wypełnione krystalicznie czystymi nutami. Tym razem szedł z nim Boyle. Lecter słyszał, jak splaszczą się echo w miejscach, które mijali.

Pembry ponownie sprawdził kajdanki. Doktor czuł na plecach jego oddech. Teraz Pembry przekręcił klucz w zamku i otworzył szeroko drzwi. Do środka wszedł Boyle. Doktor Lecter przekręcił głowę, cela przesuwała się przed jego oczyma w tempie, które wydawało mu się niezbyt szybkie, szczegóły odznaczały się cudowną ostrością: Boyle zbierał na tacę porzucane resztki kolacji, szcękaniem talerzy dawał do zrozumienia, że wcale mu się nie podoba cały ten bałagan. Magnetofon z kręcącą się w środku kasetą, papierowa serwetka leżąca na podłodze obok przyśrubowanej nogi stołu. Kącikiem oka doktor mógł dostrzec przez kraty kolano stojącego na zewnątrz, trzymającego drzwi Pembry'ego i dolny fragment wiszącej mu u pasa pałki.

Doktor Lecter wymacał w kajdankach zamek przy lewej ręce, wsadził tam klucz i przekręcił. Poczul odskakującą od nadgarstka obręcz. Przełożył klucz do lewej ręki, znalazł zamek, wsunął klucz i przekręcił.

Boyle schylił się, żeby podnieść serwetkę z podłogi. Szybko, niczym zatrzasnąca się pułapka na myszy, obręcz kajdanek zamknęła się na jego nadgarstku. Kiedy obracał rozszerzające się oczy na Lectera, druga obręcz zatrzasnęła się na przyśrubowanej do podłogi nodze stołu. Doktor rzucił się ku drzwiom, Pembry próbował stanąć w nich, Lecter popchnął drzwi w jego stronę ramieniem, Pembry sięgnął do pasa po pistolet gazowy, drzwi przygniotły mu rękę do tułowia. Lecter złapał za koniec pałki i podciągnął się do góry. Używając pałki jako dźwigni przekręcił pas na Pembrym, uderzył go łokciem w gardło i wbił zęby w jego twarz. Pembry próbował rozewrzeć palcami uścisk, zęby rozdierały mu nos i górną wargę. Lecter potrząsnął głową jak zaciskający szczęki pies i wyjął z zapięcia pałkę Pembry'ego. W celi wydzierał się na całe gardło siedzący na podłodze Boyle. Rozpaczliwie grzebał w kieszeni szukając klucza do kajdanek, znalazł go, wypuścił z palców, znalazł ponownie. Lecter uderzył Pembry'ego końcem pałki w żołądek i gardło, Pembry osunął się na kolana. Boyle wsadził klucz do zamka, darł się jak opętany, Lecter szedł już do niego. Uciszył Boyle'a strzałem z pistoletu gazowego. Charczącego zdzielił dwa razy pałką po wyciągniętych rękach. Boyle próbował wleźć pod stół, ale oślepiiony gazem pomylił kierunki i łatwo było go zatłuc na śmierć pięcioma właściwie skierowanymi uderzeniami.

Pembry'emu udało się usiąść. Płakał. Doktor Lecter popatrzył na niego i rozchylił w uśmiechu czerwone wargi.

— Jestem już gotów, jeśli pan pozwoli, sierżancie Pembry — powiedział.

Zatoczywszy ze świstem krótki łuk, pałka uderzyła Pembry'ego prosto w krostę z tyłu głowy. Zadygotał i znieruchomiał, zupełnie jak ogłuszona młotkiem ryba.

Pod wpływem wysiłku fizycznego puls doktora Lectera podniósł się nieco powyżej setki, ale szybko wrócił do normy. Doktor wyłączył magnetofon i nasłuchiwał.

Podszedł do schodów i znowu nasłuchiwał. Wywrócił kieszenie Pembry'ego, wziął klucz od biurka i pootwierał wszystkie szuflady. W najniższej była regulaminowa broń Boyle'a i Pembry'ego, dwa pistolety kalibru 38 Special. Co ucieszyło go jeszcze bardziej, w kieszeni Boyle'a znalazł scyzoryk.

Rozdział 37

W hallu było pełno policjantów. Zegar wskazywał wpół do szóstej wieczorem, wymieniała się właśnie, po dwugodzinnej warcie, obsada posterunków na zewnątrz budynku. Ziębnięci mężczyźni grzali sobie ręce przy kilku elektrycznych piecykach. Niektórzy z nich poroBill zakłady w rozgrywanych właśnie stanowych mistrzostwach w koszykówce i ciekawi byli, jaki jest aktualny wynik meczu.

Sierżant Tate nie zezwolił na to, by w hallu grało głośno radio, ale jeden z funkcjonariuszy miał walkmana i słuchał transmisji przez słuchawki. Co jakiś czas podawał aktualny wynik, nie tak często jednak, by zadowolić graczy.

Ogółem przebywało w hallu piętnastu uzbrojonych policjantów plus dwóch strażników ze służby więziennej, którzy za półtorej godziny mieli zmienić Pembry'ego i Boyle'a. Sam sierżant Tate oczekiwał, że zejdzie ze służby o godzinie jedenastej. Nocna zmiana miała trwać do siódmej rano.

Wszystkie posterunki donosiły o całkowitym spokoju. Nie spełniła się żadna z gróźb, które wysuwali wobec doktora Lectera anonimowi rozmówcy.

O 6.45 Tate usłyszał, jak ruszyła winda. Patrzył na obracającą się nad jej drzwiami brązową wskazówkę. Zatrzymała się na piątce.

Tate rozejrzał się po hallu.

— Czy Sweeney pojechał, żeby zabrać tacę?

— Nie, jestem tutaj, sierżancie. Czy mógłby pan zadzwonić i zapytać, czy są gotowi? Chciałbym już zejść ze służby. Sierżant Tate wykręcił trzy cyfry i słuchał.

— Telefon jest zajęty — powiedział. — Pojedź na górę i zobacz. — Pochylił się z powrotem nad sprawozdaniem, które kończył pisać dla nocnej zmiany.

Funkcjonariusz Sweeney nacisnął przycisk windy. Nie zjeżdżała.

— Zażyczył sobie na kolację baranie sznycle — powiedział do siebie Sweeney. — Ciekawe, na co będzie miał ochotę rano, może na jakiegoś pieprzonego zwierzaka z zoo? A kto będzie musiał go dla niego upolować? Sweeney, oczywiście.

Brązowa wskazówka nadal tkwiła na piątce.

Sweeney odczekał kolejną minutę.

— Co za cholera? — powiedział.

Gdzieś nad nimi zagrzmiała trzydziestka ósemka, huk odbił się echem w kamiennej klatce schodowej. Dwa szybkie wystrzały jeden po drugim, a potem trzeci.

Przy trzecim sierżant Tate wstał zza biurka, w rękę trzymał mikrofon.

— Tu posterunek główny w hallu, w wieży słychać było strzały. Posterunki zewnętrzne, prowadzić pilną obserwację budynku. Idziemy na górę.

W hallu tłoczyli się i kłeli policjanci.

Tate ujrzał, jak rusza brązowa wskazówka windy. Mijała właśnie czwórkę.

— Stać! — ryknął przekrzykując hałas. — Podwoić posterunki na zewnątrz, pierwsza drużyna idzie ze mną. Berry i Howard, pilnujcie tej cholerniej windy, jeśli zjedzie na dół. — Wskazówka zatrzymała się na trójce.

— Pierwsza drużyna, ruszamy. Sprawdzamy każde drzwi. Bobby, weź strzelby i kamizelki kuloodporne i przynieś nam na górę.

Biegając po schodach, Tate gorączkowo myślał. Ostrożność walczyła w nim z przemożnym pragnieniem udzielenia pomocy strażnikom tam, na górze. Boże, nie pozwól mu się wydostać. Żaden z nich nie ma na sobie kamizelki. Przekłęte sknery z zarządu więzień, to przez nich...

Biura na drugim, trzecim i czwartym piętrze miały być puste i zamknięte na klucz. Można było przez nie przedostać się z wieży do głównego budynku. Z piątego piętra jest to niemożliwe.

Tate ukończył cieszący się dobrą sławą kurs antyterrorystyczny w szkole policyjnej Tennessee i dobrze wiedział, co ma robić. Szedł pierwszy tuż za sobą mając młodszych. Szybko i pewnie, ubezpieczając się wzajemnie z podestów, opanowywali kolejne piętra.

— Jeśli któryś z was oprze się o drzwi, zanim je sprawdzi, wyrwę mu nogi z dupy.

Drzwi na drugim piętrze były zamknięte na klucz, za szybą panowała ciemność.

Na trzecim mały mroczny korytarzyk. Z otwartej kabiny windy padał na podłogę

prostokąt światła. Tate przesunął się wzdłuż ściany naprzeciwko otwartej windy, wewnątrz nie było żadnego lustra, by mu pomogło. Opierając mocniej palec na spuście zajrzał do kabiny. Była pusta.

— Boyle! Pembry! Kurwa! — krzyknął w górę schodów. Zostawił na trzecim piętrze jednego policjanta i szedł dalej.

Czwarte rozbrzmiewało płynącą z góry fortepianową muzyką. Drzwi do pomieszczeń biurowych pchnięte lekko uchyliły się. W środku, w snopie światła mocnej latarki, widać było kolejne, otwarte szeroko drzwi. Prowadziły do pogrążonego w ciemnościach rozległego budynku.

— Boyle! Pembry! — Zostawił dwóch policjantów na podeście czwartego piętra. — Ubezpieczajcie drzwi. Zaraz dostaniecie kamizelki. Trzymajcie się z dala od tego korytarza.

Tate wspinał się po kamiennych schodach. Muzyka była coraz głośniejsza. Z podestu piątego, ostatniego piętra biegł mroczny, krótki korytarz. Za matową szybą drzwi paliło się jasne światło. Na szybie widniał napis: TOWARZYSTWO HISTORYCZNE OKRĘGU SHELBY.

Kucając pod szybą Tate przeskoczył na drugą stronę drzwi, przy klamce. Kiwnął głową do stojącego naprzeciwko Jacobsa, przekręcił klamkę i pchnął silnie, drzwi obróciły się w zawiasach do samego końca i uderzyły w ścianę, aż pękła w nich szyba, Tate wpadł błyskawicznie do środka i usunął się z przejścia, cały czas trzymając gotowy do strzału rewolwer.

Tate widział w swoim życiu niejedno. Widział wypadki drogowe, których dosłownie nie da się opisać, widział ofiary bójek i morderstw. Oglądał na własne oczy sześciu martwych policjantów. To, co widział jednak teraz u swoich stóp, wydawało mu się najgorszą rzeczą, jaką w życiu oglądał i jaka może się przytrafić policjantowi. Mięso nad kołnierzem munduru w niczym nie przypominało twarzy. Przednia i górna część głowy tonęły we krwi, gdzieś wystawały z niej kawałki rozdartych mięśni, obok nozdrzy tkwiło pojedyncze oko, oczodoły były zalane krwią.

Jacobs minął Tate'a. Ślizgając się po zakrwawionej podłodze, wszedł do celi i pochylił nad Boyle'em, wciąż przykutym kajdankami do stołowej nogi. Boyle, częściowo wypatroszony, z pokiereszowaną twarzą, sprawiał wrażenie, jakby eksplodował krwią w celi. Ściany i goła koja pokryte były plamami i bryzgami czerwieni.

Jacobs przyłożył mu palce do szyi.

— Nie żyje! — zawołał przekrzykując muzykę. — Sierżancie? Tate doszedł już do siebie. Zawstydzony krótką chwilą słabości, mówił teraz przez radio.

— Tu dowódca, mam dwóch poszkodowanych funkcjonariuszy. Powtarzam, dwóch poszkodowanych funkcjonariuszy. Więzień zniknął. Lecter zniknął. Posterunki na zewnątrz, prowadzić obserwacje okien,

brakuje pościeli, więzień mógł jej użyć do zrobienia liny. Sprawdźcie, czy w drodze są karetki.

— Pembry jest martwy, sierżancie? — Jacobs wyłączył muzykę.

Tate ukląkł i kiedy sięgał palcami do szyi, ze strasznych, leżących na podłodze zwłok dobył się jęk. W miejscu, gdzie powinny znajdować się usta, pojawił się krwawy bąbel.

— Pembry żyje.

Tate nie miał ochoty dotykać ustami tej krwawej miazgi, ale wiedział, że będzie to musiał zrobić, żeby pomóc Pembry'emu oddychać, wiedział, że nie może zlecić tego innemu członkowi patrolu. Lepiej dla Pembry'ego, żeby umarł, ale na razie trzeba mu pomóc oddychać. Biło jednak serce, odnalazł puls, był także oddech. Pembry rzeźił i charczał, ale oddychał. Ruina oddychała o własnych siłach.

Coś zatrzeszczało w krótkofalówce Tate'a. Dowództwo przejął porucznik wyznaczony do pilnowania parkingu. Chciał wiedzieć, co się dzieje na górze. Tate musiał z nim porozmawiać.

— Podejź tutaj, Murray! — zawołał młodego policjanta. — Usiądź tu przy Pembrym i trzymaj go tak, żeby poczuł, że ktoś przy nim jest. Mów do niego.

— Jak on się nazywa, sierżancie? — Murray był zielony.

— To Pembry, mów coś do niego, do diabła. — Wyjął mikrofon. — Dwóch poszkodowanych funkcjonariuszy, Boyle nie żyje, Pembry ciężko ranny. Lecter zniknął, jest uzbrojony. Zabrał ich broń. Pasy i futerały zostały na biurku.

Głos porucznika docierał do niego zniekształcony przez grube ściany.

— Czy ekipa z ambulansu będzie bezpieczna na klatce schodowej?

— Tak, sir. Dajcie znać, zanim ruszą na górę. Wystawiłem posterunki na każdym piętrze.

— Przyjąłem, sierżancie. Strażnikowi na zewnątrz wydawało się, że widział, jak coś ruszało się za oknami na czwartym piętrze głównego gmachu. Zabezpieczyliśmy wszystkie wyjścia, nie wydostanie się na zewnątrz. Nie zdejmujcie posterunków na piętrach. Wykurzą go stamtąd jednostki specjalne. Potwierdźcie.

— Zrozumiałem, do akcji wchodzi jednostki specjalne.

— Jak jest uzbrojony?

— Dwa pistolety i nóż, poruczniku... Jacobs, zobacz, czy została jakaś amunicja w pasach.

— Ładownice Pembry'ego są pełne — odparł policjant. — Boyle'a tak samo. Głupi dupek nie zabrał dodatkowych naboje.

— Co to za broń?

— Trzydziestki ósemki, naboje typu plus Ps, z pustym czubkiem, o zwiększonej sile rażenia.

Tate znów mówił do krótkofalówki.

— Wygląda na to, poruczniku, że ma dwie sześciostrzałowe trzydziestki ósemki. Słyszeliśmy trzy wystrzały, nie opróżnił ładownic, a więc zostało mu tylko dziewięć naboje. Uprzedźcie jednostkę specjalną, że naboje są typu plus Ps, z pustym czubkiem. Facet szczególnie upodobał sobie twarz.

Naboje plus Ps należą do typu rozpryskowego, ale nie są w stanie przeniknąć kamizelki kuloodpornej z wyposażenia jednostek specjalnych. Strzał w twarz na ogół kończy się tragicznie, w kończynę powoduje trwałe kalectwo.

— Tate, idą do ciebie z noszami.

Karetki przybyły prawie natychmiast, choć przysłuchującemu się żalonym jękiem sierżantowi wydawało się, że minęły wieki. Młody Murray starał się ukoić jęczące,

dygoczące ciało, starał się powiedzieć coś krzepiącego, nie patrząc jednocześnie w dół.

— Wszystko z tobą w porządku, Pembry, świetnie wyglądasz — powtarzał bez przerwy głosem, od którego robiło się niedobrze.

— Sanitariusz! — sierżant Tate wrzasnął, tak jak to czynił na wojnie, kiedy tylko ujrzał noszowych na podeście schodów.

Wziął Murraya za ramię i odsunął go, żeby zrobić przejście. Sanitariusze pracowali szybko i fachowo. Unieruchomili pasami zaciśnięte, zakrwawione pięści, założyli przewód respiracyjny i owinęli głowę nieprzylepnym chirurgicznym bandażem. Jeden z nich rozerwał opakowanie z dożylną plazmą, ale drugi, po zbadaniu pulsu i ciśnienia krwi, potrząsnął głową.

— Zabieramy go na dół.

Przez radio nadchodziły rozkazy.

— Tate, chcę, żebyś sprawdził pomieszczenia biurowe w wieży i zablokował drzwi do głównego budynku. Trzymaj posterunki na klatce schodowej, na każdym piętrze. Wysłałem strzelby i kamizelki. Weźmiemy go żywcem, jeśli się podda, ale nie będziemy specjalnie ryzykować, żeby zachować go przy życiu. Zrozumiałeś mnie?

— Tak jest, poruczniku.

— W głównym budynku mają przebywać wyłącznie jednostki specjalne. Powtórz.

Tate powtórzył rozkaz.

Tate był dobrym sierżantem i można to było poznać teraz, kiedy po wbiciu się razem z Jacobsem w ciężkie kuloodporne kamizelki, eskortował na dół nosze niesione przez sanitariuszy. Za nimi szła druga ekipa z Boyle'em. Na widok tego, co leżało na noszach, policjanci na piętrach nie mogli opanować gniewu. Dla każdego z nich Tate miał mądre słowo:

— Nie dajcie sobie tylko odstrzelić dupy ze złości.

Kiedy na zewnątrz zawyły syreny, Tate, ubezpieczony przez starego weterana Jacobsa, dokładnie sprawdził pomieszczenia biurowe i zablokował wejścia do głównego budynku.

Korytarzem czwartego piętra ciągnął chłodny powiew. Za drzwiami, w pustej, ciemnej przestrzeni głównego gmachu, dzwoniły telefony. Niczym robaczki świętojańskie, zapalały się i gasły przyciski na aparatach, wszędzie rozbrzmiewały dzwonki.

Wiadomość o tym, że doktor Lecter „zabarykadował” się w budynku, przedostała się na zewnątrz i reporterzy radiowi i telewizyjni, korzystając ze swoich automatycznych modemów, wydzwaniiali teraz pod wszystkie numery w gmachu, starając się uzyskać z potworem wywiad na żywo. Żeby tego uniknąć, jednostki specjalne wyłączają na ogół wszystkie linie z wyjątkiem jednej, której używa negocjator. Tutaj jednak budynek był zbyt duży, za wiele w nim było różnych instytucji.

Tate zamknął na klucz drzwi, za którymi błyskały światelka. Pod kuloodporną kamizelką był cały mokry, swędziały go plecy. Odpiął od pasa mikrofon swojej krótkofalówki.

— Posterunek kontrolny, tu Tate, wieża jest w porządku, odbiór.

— Przyjąłem, Tate. Kapitan chce, żebyś zgłosił się na posterunek kontrolny.

— Dziesięć cztery. Jesteście w hallu głównym wieży?

— Tak, sierżancie.

— Jadę na dół windą. Sprowadzam ją na parter.

Jacobs i Tate stali w jadącej na dół windzie. Na ramię kapnęła sierżantowi kropla krwi. Następna spadła na but.

Spojrzał na sufit kabiny i trącił Jacobsa, dając mu znak, żeby milczał.

Krew kapłała ze szczeliny wokół awaryjnego wjazdu w suficie kabiny. Podróż na dół wydawała się bardzo długa. Tate i Jacobs wyszli z windy tyłem, pistolety wycelowane mieli w sufit. Tate sięgnął za siebie i zamknął drzwi kabiny.

— Szszsz... — uciszył wszystkich w hallu. — Berry, Howard — powiedział cicho. — On jest na dachu windy. Pilnujcie wjazdu.

Tate wyszedł na dwór. Na parkingu stała czarna furgonetka jednostki specjalnej. Oni zawsze mają najróżniejsze klucze do wind.

Pojawili się w ciągu kilku sekund. Dwóch ludzi z jednostki specjalnej w czarnych kamizelkach i hełmach wspięło się po schodach na trzecie piętro. Przy sierżancie, w hallu, zostało dwóch innych. Lufy karabinów skierowali w sufit windy.

Jak wielkie wojownicze mrówki, pomyślał Tate.

— W porządku, Johnny — powiedział dowódca jednostki specjalnej do wbudowanego w hełm mikrofonu.

Na trzecim piętrze, wysoko nad kabiną windy, funkcjonariusz Johnny Peterson przekręcił specjalny klucz w zamku i drzwi rozsunęły się na boki. W szybie było ciemno. Leżąc na plecach na podeście, wyjął z kieszeni kamizelki granat obezwładniający i położył go obok siebie, na podłodze.

— Okay, zaraz się rozejrzę. — Wyjął lusterko na długiej ręczce i wsunął je do szybu. Jego kolega zaświecił w dół silnym reflektorem.

— Widzę go. Jest na dachu kabiny. Widzę leżącą obok niego broń. Nie rusza się.

Pytanie w słuchawkach Petersona:

— Czy widzisz jego ręce?

— Widzę jedną rękę, drugą ma pod sobą. Jest owinięty prześcieradłami.

— Mów do niego.

— Połóż ręce na głowie i nie ruszaj się! — krzyknął Peterson w dół szybu. — On leży nieruchomo, poruczniku... W porządku.

— Jeśli nie położysz rąk na głowie, rzucę w dół granat obezwładniający. Daję ci trzy sekundy! — wołał Peterson. Wyjął z kieszeni kamizelki metalową blokadę drzwi, którą nosi przy sobie każdy funkcjonariusz jednostki specjalnej. — Okay, chłopcy, uważajcie tam na dole, rzucam granat. — Wrzucił blokadę do środka szybu, zobaczył, jak odbiła się od leżącej postaci. — On się nie rusza, poruczniku.

— Okay, Johnny, zamierzamy otworzyć wjazd bosakiem od środka, nie wchodząc do kabiny. Możesz trzymać go na muszce?

Peterson przekręcił się na brzuch. Jego załadowany i odbezpieczony colt kaliber 10 mm mierzył prosto w dół w leżącą postać.

— Mam go na muszce — powiedział.

Wpatrując się w głąb szybu windy, Peterson zobaczył pojawiający się w dole rąbek światła. Stojący w hallu funkcjonariusze jednostki specjalnej otwierali specjalnym

bosakiem klapę włazu. Nieruchoma postać opierała się częściowo na unoszącej się klapie, widział, jak drgnęła jej ręka.

Peterson odciągnął trochę kciukiem kurek colta.

— Poruszyło mu się ramię, poruczniku, ale myślę, że to pod wpływem ruchu kłapy.

— Przyjąłem. Podnosić.

Kłapa odchyliła się do tyłu i z hukiem opadła na ścianę szybu. Peterson z trudem przyzwyczajał oczy do światła.

— Nie poruszył się. Nie trzyma ręki na broni. W uchu zabrzmiał mu spokojny głos.

— Okay, Johnny, cofnij się. Wchodzimy do kabiny, obserwuj w lusterku wszelkie poruszenia. Uważaj, możemy strzelać w górę. Potwierdź.

— Zrozumiałem.

W głębi hallu Tate obserwował, jak wchodzi do środka windy. Jeden z nich mierzył prosto w sufit z załadowanej ciężkimi pociskami rozpryskowymi strzelby. Drugi wspiął się po drabinie. Uzbrojony był w duży automatyczny pistolet z przymocowaną pod spodem latarką. Najpierw wystawił do góry oświetlone latarką lusterko. Potem w klapie zniknęły jego głowa i ramiona. W chwilę później podał na dół rewolwer kalibru 38.

— Nie żyje! — krzyknął.

Tate zastanawiał się, czy śmierć doktora Lectera oznacza, że umrze także Catherine Martin. Czy jest jeszcze jakiś sposób, by dotrzeć do informacji, które kryły się w jego zwyrodniałym, zgasłym teraz mózgu. Ludzie z jednostki specjalnej spuszczały go teraz głową w dół przez otwór włazu. Liczne ramiona podtrzymały ciało, dziwnie wyglądało to złożenie do grobu w oświetlonym pudełku windy. Hali zapełniał się ludźmi, policjanci tłoczyli się, żeby lepiej widzieć.

Do przodu przepchał się funkcjonariusz służby więziennej. Popatrzył na obnażone wytatuowane ramiona.

— To Pembry — powiedział.

Rozdział 38

Siedzący z tyłu jadącego na sygnale ambulansu młody sanitariusz przypiął się pasami do fotela i odwrócił do krótkofalówki, żeby przekazać komunikat na izbę przyjęć. Mówił głośno starając się przekrzyczeć wyjąca syrenę.

— Jest w stanie śpiączki, ale daje prawidłowe oznaki życia. Ma dobre ciśnienie. Sto trzydzieści na dziewięćdziesiąt. Tak, dziewięćdziesiąt. Puls osiemdziesiąt pięć. Głęboko i w wielu miejscach pocięta twarz, wylupione jedno oko. Założyłem opatrunek na twarz, a także przewód respiracyjny. Możliwy postrzał w głowę, trudno coś w tej chwili powiedzieć.

Z tyłu, na noszach, rozluźniły się pod krępującym je pasem zaciśnięte i pokrwawione pięści. Prawa ręka wysunęła się na zewnątrz i odnalazła klamrę na piersiach.

— Boję się bardziej uciskać głowę: zanim położyliśmy go na noszach, miał konwulsje. Dobrze, umieścimy go w pozycji Fowlera.

Z tyłu, za młodym człowiekiem, ręka zdarła z twarzy chirurgiczny bandaż i otarła z krwi oczy.

Sanitariusz usłyszał z tyłu zbliżający się świst przewodu respiracyjnego, obrócił się i ujrzał krwawą twarz tuż przed swymi oczyma. Nie

zobaczył już spadającego pistoletu, który trafił go z całej siły tuż nad uchem.

Ambulans zwolnił i stanął na środku sześciopasmowej autostrady. Z tyłu trąBill zdeorientowani kierowcy, nie wiedząc, jak zachować się wobec blokującego drogę, uprzywilejowanego pojazdu. Dwa krótkie strzały, niczym z zatkanej rury wydechowej, i ambulans ruszył dalej. Lawirując między innymi pojazdami zjeżdżał na prawy pas.

Zbliżał się zjazd na lotnisko. Jadący prawym pasem ambulans zaczął wyprawiać dziwne harce. Włączał i wyłączał różne światła, uruchomił na krótką chwilę wycieraczkę, potem ściszył syrenę, znowu ją włączył, ściszył zupełnie i wyłączył obrotowe światło na dachu. A potem spokojnie zjechał w stronę międzynarodowego dworca lotniczego w Memphis, pięknego budynku, rzęsiście oświetlonego na tle zimowego wieczoru. Łagodny zakręt zaprowadził go do automatycznej bramy podziemnego parkingu. Przez szybę wysunęła się zakrwawiona ręka. Wyjęła bilet z automatu i w chwilę później ambulans zniknął w tunelu.

Rozdział 39

W zwykłych okolicznościach dom Crawforda budziłby zrozumiłą ciekawość Clarice, teraz jednak, po usłyszanym w radiu wiadomości o ucieczce doktora Lectera, wszystko inne stało się nieważne.

Jechała popatrując na mapę, wargi jej zdrętwiały, w głowie mrowiło. Patrzyła na eleganckie rancho w stylu lat pięćdziesiątych wcale go nie widząc, i tylko przez moment przeszło jej przez głowę, czy to nie tam, z lewej strony, za oświetlonymi, zasłoniętymi szczelnie oknami leży Bella. Dzwonek wydał się jej zbyt głośny.

Crawford otworzył po drugim dzwonku. Miał na sobie obszerną wełnianą kamizelkę, rozmawiał przez bezprzewodowy telefon.

— Copley jest w Memphis — powiedział. Dał znak, żeby szła za nim. Przeprowadził ją przez cały dom, mamrocząc cały czas do telefonu.

W kuchni pielęgniarka wyjęła z lodówki małą butelkę i oglądała ją pod światło. Crawford spojrzął na kobietę i uniósł pytająco brwi, ale potrząsnęła głową, nie potrzebowała jego pomocy.

Zabrał Clarice do przerobionego kiedyś z podwójnego garażu studia, położonego trzy stopnie niżej. Było tutaj sporo miejsca, stała sofa i fotele. Na zarzuconym papierami biurku świecił się zielony ekran komputerowego terminalu, obok stało antyczne astrolabium.

Stąpając po grubej wykładzinie, czuła, że położono ją na gołym betonie. Crawford zaprosił gestem, żeby usiadła. Położył rękę na monitorze.

— Starling, to jest głupie pytanie, ale czy przekazałaś coś doktorowi Lecterowi w Memphis?

— Nie.

— Żadnego przedmiotu?

— Nic.
— Zabrałaś z jego celi rysunki i inne rzeczy.
— Nigdy mu ich nie oddałam. Mam je nadal w swojej torbie. To on oddał mi akta sprawy. To jedyna rzecz, która przeszła tam z ręki do ręki.

Crawford przycisnął ramieniem słuchawkę.

— Copley, to skończone brednie. Chcę, żebyś przycisnął tego gnojka, natychmiast. Wal prosto do szefa, prosto do biura śledczego Tennessee. Sprawdź, czy materiały z gorącej linii doszły razem z innymi. Dyżur pełni Burroughs. Tak. — Wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

— Chcesz może kawy? Coca-coli?

— Co to za historia z przekazywaniem rzeczy doktorowi Lecterowi?

— Chilton twierdzi, że musiałaś dać Lecterowi coś, czego potem użył, żeby otworzyć kajdanki. Nie zrobiłaś tego celowo, mówi, lecz przez czystą ignorancję. — Czasami oczy zwały się Crawfordowi w dwie małe, złośliwe szparki, jak u żółwia. Obserwował, jak to przyjęła.

— Czy Chilton próbował się do ciebie dobierać, Starling? Czy o to mu chodzi?

— Być może. Poproszę z cukrem i bez mleka.

Kiedy był w kuchni, wzięła głęboki oddech i rozejrzała się po pokoju. Jeśli mieszka się w akademiku albo koszarach, przyjemnie pobyć czasem w cudzym domu. Mimo że ziemia paliła się jej pod stopami, myśl o tym, że można mieszkać tak jak Crawfordowie, trochę jej pomogła.

Wracał Crawford. Ostrożnie schodził po schodach, niosąc filiżanki, na nosie miał swoje dwuogniskowe okulary. W miękkich mokasynach był półtora centymetra niższy. Kiedy wstała, żeby wziąć od niego kawę, oczy mieli prawie na równym poziomie. Pachniał mydłem, włosy miał puszyste i szpakowate.

— Copley powiedział, że dotychczas nie znaleźli ambulansu. Na całym południu wielka moBillzacja. Potrząsnęła głową.

— Nie znam żadnych szczegółów. W radiu usłyszałam tylko krótki komunikat: doktor Lecter zabił dwóch policjantów i zbiegł.

— Dwóch strażników więziennych. — Crawford cofnął tekst na ekranie komputera. — Nazywali się Boyle i Pembry. Miałas z nimi może do czynienia?

Przytaknęła.

— Wyprowadzili mnie stamtąd... Zachowywali się przyzwoicie. — Pembry wychylający się zza pleców Chiltona, trochę skrępowany, stanowczy, ale grzeczny. Proszę iść za mną, natychmiast, powiedział. Na dłoniach i czole miał ciemne wątrobowe plamy. Teraz nie żyje, trupio blade pod swoimi plamami.

Nagle poczuła, że musi odstawić kawę na bok. Odetchnęła głęboko i przez chwilę wpatrywała się w sufit.

— Jak on to zrobił?

— Odjechał ambulansem, tyle wiem od Copleya. Zbadamy to. Doszłaś do czegoś w sprawie tego narkotyku?

Całe popołudnie i wczesny wieczór Clarice spędziła chodząc na polecenie Krendlera od jednej sekcji badawczej do drugiej ze sprasowanym arkuszem, zadrukowanym

rządkiem psów Pluto.

— Do niczego. Przeczesują po raz któryś z rzędu rejestr Agencji do Zwalczenia Narkotyków, ale ta rzecz liczy sobie ponad dziesięć lat. Prędkiej znajdą coś w sekcji dokumentów na podstawie nadruku.

— Ale to był jednak sprasowany narkotyk?

— Tak. Jak on to zrobił, proszę pana?

— Chcesz wiedzieć? Kiwnęła głową.

— No to ci powiem. Załadowali Lectera do ambulansu przez pomyłkę. Myśleli, że to ciężko ranny Pembry.

— Czy założył na siebie mundur Pembry'ego? Byli mniej więcej tego samego wzrostu.

— Założył na siebie mundur Pembry'ego i część jego twarzy. A także około pół kilograma twarzy Boyle'a. Zawinął ciało Pembry'ego w nieprzemakalny pokrowiec materaca oraz prześcieradła ze swojej koi, żeby nie przeciekała krew, i położył je na dachu windy. Założył mundur, ucharakteryzował się i strzelił trzy razy w sufit, żeby wywołać alarm. Nie wiem, co zrobił z rewolwerem, może schował do kieszeni. Przyjeżdża ambulans, wszędzie kręcą się gliny z odbezpieczoną bronią. Sanitariusze wkraczają i robią to, czego się ich uczy w takiej sytuacji: zakładają przewód respiracyjny, owijają bandażem najgorsze miejsca, żeby powstrzymać krwawienie, i czym prędzej go zabierają. Robią to, co do nich należy. Ambulans nigdy nie dojechał do szpitala. Gliniarze wciąż go szukają. Nie mam dobrych przeczuć, jeśli idzie o tych medyków. Copley mówi, że sprawdzają właśnie taśmy u dyspozytora w pogotowiu. Karetki były wzywane kilkakrotnie. Przypuszczają, że zadzwonił po nie sam Lecter, żeby za długo tam nie leżeć. Doktor Lec ter lubi się trochę zabawić.

Clarice nigdy dotąd nie słyszała takiej goryczy w głosie Crawforda. Przestraszyło ją to, bo gorycz, według niej, zawsze idzie w parze ze słabością.

— Ucieczka doktora Lectera wcale nie oznacza, że kłamał — powiedziała. — Oczywiście, kogoś okłamał: albo nas, albo senator Martin. Ale może nie okłamał wszystkich. Pani Martin powiedział, że to Billy Rubin i że nic więcej nie wie. Mnie — że to ktoś, kto błędnie uważa się za transseksualistę. Ostatnią rzeczą, jaką od niego usłyszałam, było: „Dlaczego nie dokończysz łuku?” Miał na myśli pójście śladem teorii zmiany płci, według której...

— Wiem, widziałem twoje omówienie. Do niczego nie dojdziemy, zanim kliniki nie podadzą nam nazwisk. Alan Bloom jeździ osobiście do każdego ordynatora. Mówią mu, że szukają. Muszę im wierzyć.

— Czy ma pan kłopoty, panie Crawford?

— Wysyłają mnie na urlop zdrowotny — odparł. — Sprawą ma się zająć nowy zespół złożony z ludzi z FBI, Agencji do Zwalczenia Narkotyków i „dodatkowego personelu” z biura prokuratora generalnego, to znaczy konkretnie Krendlera.

— Kto jest szefem?

— Oficjalnie zastępca dyrektora FBI, John Golby. Powiedzmy, że ściśle się z nim konsultuję. John to przyzwoity gość. A co z tobą, może to ty jesteś w opałach?

— Krendler polecił mi, żebym zwróciła legitymację FBI i broń i zameldowała się z powrotem na uczelni.

— Powiedział tak, zanim złożyłaś wizytę Lecterowi, Starling. Dzisiaj po południu przesłał pilne pismo do naszego biura kontroli zawodowej. „Nie powodowany żadnymi osobistymi uprzedzeniami” żąda w nim, aby Akademia niezwłocznie zawiesiła cię w prawach studenta do czasu ponownej oceny twojej przydatności do służby. Typowy strzał z za węgła. Godzinę temu widział to pismo na odprawie w Quantico kierownik sekcji strzeleckiej, John Brigham. Powiedział im szczerze, co miał na końcu języka, i przekazał mi pałeczkę.

— Czy to poważna sprawa?

— Masz prawo do przesłuchania. Poręczone za ciebie i na tym się skończy. Ale jeśli nie będzie cię dłużej w uczelni, na pewno nie zaliczysz semestru, niezależnie od tego, jaki będzie wynik przesłuchania. Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy nie zaliczyli semestru?

— Pewnie. Wysyła się ich z powrotem do biur terenowych, gdzie zostali zwerbowani. Wprowadzają cudze raporty do komputera i przyrządzają kawę, aż zwolni się miejsce na następnym kursie.

— Obiecuję ci, że będzie na ciebie czekało miejsce na następnym kursie, ale nie mogę spowodować, że zaliczą ci semestr, jeśli będziesz dalej opuszczała zajęcia.

— Więc albo wracam do uczelni i przestaję pracować nad tą sprawą, albo...

— Tak.

— Co chce pan, żebyś zrobiła?

— Twoim zadaniem był Lecter. Zrobiłaś, co do ciebie należało. Nie proszę cię, żebyś zawałiła semestr. Będzie cię to kosztować może pół roku, a może więcej.

— Co będzie z Catherine Martin?

— Ma ją już prawie czterdzieści osiem godzin... o północy miną dwie doby. Jeśli go nie złapiemy, prawdopodobnie załatwi ją jutro albo pojutrze, o ile wszystko pójdzie tak jak ostatnio.

— Lecter to nie wszystko, czym dysponujemy.

— Zlokalizowano jak dotąd sześciu Williamów Rubinów, jeden lepszy od drugiego. Żaden nie wydaje się pasować. Nie ma żadnego Williama Rubina wśród prenumeratorów czasopism entomologicznych. Cech szlifierzy noży odnotował w ciągu ostatnich dziesięciu lat pięć przypadków zakażenia wąglikiem afrykańskim. Sprawdzamy je. Co jeszcze? Nie zidentyfikowano dotąd Klause. Interpol donosi, że w Marsylii wystawiony został list gończy na nazwisko norweskiego marynarza Klause Bjetlanda, jakkolwiek się to wymawia. W Norwegii poszukują jego karty stomatologicznej. Mają nam ją przesłać. Jeśli otrzymamy jakieś materiały z klinik, a będziesz miała chwilę czasu, możesz nam pomóc. Starling?

— Tak, panie Crawford?

— Wracaj na uczelnię.

— Jeśli nie chce pan, żebyś nadal go ściagała, to nie powinien być pan zabierać mnie ze sobą do tego domu pogrzebowego.

— Tak — powiedział Crawford. — Sądzę, że nie powinienem. Ale wtedy nie odkrylibyśmy owada. Nie oddawaj rewolweru. W Quantico jesteś dość bezpieczna, ale wybierając się poza bazę, nie zapomnij wziąć ze sobą broni. Do czasu, oczywiście, kiedy dostaniemy w nasze ręce doktora Lectera, żywego lub martwego.

— A co będzie z panem? On pana nienawidzi. Dużo myśli na pana temat.

— Mnóstwo ludzi o mnie myśli, Starling, w wielu więzieniach. Kiedyś, w przyszłości, mógłby wrócić do tej sprawy, ale teraz za bardzo jest zajęty. Wolność jest rzeczą słodką i on wcale nie zamierza

jej narażać dla zemsty. A to miejsce jest bezpieczniejsze, niż na to wygląda.

W kieszeni Crawforda zabrzączał telefon. Na aparacie stojącym na biurku zapaliło się światełko. Słuchał przez kilka chwil, powiedział „dobrze” i odłożył słuchawkę.

— Odnaleziono ambulans na podziemnym parkingu lotniska w Memphis. — Potrząsnął głową. — Niedobrze. Sanitariusze byli z tyłu. Obydwaj martwi. — Crawford zdjął okulary i szukał po kieszeniach chusteczki, żeby je wytrzeć.

— Był telefon z Muzeum Smithsona. Odebrał Burroughs, pytali o ciebie. Ten facet, Pilcher. Kończą prace nad owadem. Chcę, żebyś napisała na temat kokonu pełny raport i dołączyła go do swego zapisu służby. Ty go odnalazłaś, ty szłaś jego śladem, i chcę, żeby ślad o tym pozostał w twoich aktach. Dasz radę teraz to zrobić?

Clarice nigdy w życiu nie była tak zmęczona.

— Jasne — odpowiedziała.

— Zostaw swój samochód w garażu. Kiedy skończysz, Jeff odwiezie cię do Quantico.

Stojąc na stopniach obróciła twarz ku oświetlonym, zasłoniętym oknom, za którymi pełniła dyżur pielęgniarka, a potem spojrzała na Crawforda.

— Myślę o was obojgu, panie Crawford.

— Dziękuję ci, Starling — powiedział.

Rozdział 40

— Doktor Pilcher powiedział, że będzie na panią czekał w owadzim zoo. Zaprowadzę tam panią — powiedział strażnik.

Żeby dostać się do owadziego zoo, wchodząc do muzeum od strony Constitution Avenue, trzeba wysiąść z windy jedno piętro nad wielkim wypchanym słoniem i przejść przez całą rozległą kondygnację, poświęconą badaniom nad człowiekiem.

Najpierw minęła coraz wyższe i szersze rzędy czaszek, obrazujące gwałtowny wzrost populacji od czasów Chrystusa.

Postaci dziewczyny i strażnika przesuwają się poprzez mroczny krajobraz zaludniony eksponatami ilustrującymi pochodzenie i drzewo genealogiczne człowieka. Były tu okazy związane z czynnościami rytualnymi: tatuaże, skrępowane nogi nieboszczyków, modyfikacje uzębienia, przykłady peruwiańskiej chirurgii i sztuka mumifikacji.

— Czy widziała pani kiedyś Wilhelma von Ellenbogena? — spytał strażnik oświetlając latarką gablotę.

— Nie, chyba nie — odparła nie zwalniając kroku.

— Powinna pani tu przyjść, kiedy jest pełne oświetlenie, i dobrze mu się przyjrzeć. Pochowali go w Filadelfii w osiemnastym wieku. Kiedy dotarły do niego wody gruntowe, cały zamienił się w mydło.

Owadzie zoo mieści się w dużej sali pogrążonej teraz w ciemności i wypełnionej piskami i trzepotem skrzydeł. Stoją tu klatki i gabloty z żywymi owadami. Szczególnie

lubią to zoo dzieci, defilują tędy przez cały boży dzień. W nocy pozbawione publiczności owady zajmują się swoimi sprawami. Kilka klatek oświetlonych było czerwonymi żarówkami, wyżej palił się intensywną czerwienią napis wskazujący wyjście awaryjne.

— Doktorze Pilcher?! — zawołał z progu strażnik.

— Jestem tutaj — odezwał się Pilcher, podnosząc do góry minilatarkę.

— Czy odprowadzi pan z powrotem tę panią?

— Tak, dziękuję.

Clarice sięgnęła do torebki po swoją własną latarkę i odkryła, że przełącznik jest włączony, a baterie wyczerpane. Złość przypomniała jej o własnym zmęczeniu i o tym, że musi się wziąć w garść.

— Dzień dobry, pani inspektor Starling.

— Dzień dobry, doktorze Pilcher.

— Co by pani powiedziała na „profesorze Pilcher”?

— A jest pan profesorem?

— Nie, tak samo jak nie jestem doktorem. Jestem za to naprawdę zadowolony, że panią widzę. Ma pani ochotę obejrzeć kilka owadów?

— Pewnie. A gdzie doktor Roden?

— Przez ostatnie dwie noce zajmował się intensywnie owłosieniem i w końcu padł na twarz. Czy widziała pani tego drugiego owada, zanim się do niego dobraliśmy?

— Nie.

— Był cały w kawałkach, naprawdę.

— Ale odkryliście, co to jest, zrekonstruowaliście go?

— Tak. Skończyliśmy całkiem niedawno. — Zatrzymał się przed drucianą klatką. — Najpierw pokażę pani ćmę podobną do tej, którą przyniosła pani w poniedziałek. Nie jest dokładnie tego samego gatunku co tamta, ale z tej samej rodziny, rodziny sówek. — Światło latarki padło na dużą, niebieską, błyszczącą ćmę. Siedziała na gałązce, miała złożone skrzydła. Pilcher dmuchnął na nią i natychmiast szeroko je rozpostarła. Ukazała się na nich groźna twarz sowy, świecące w obwódkach oczy do złudzenia podobne do tych, które pojawiają się nad szczurem w ostatniej chwili jego życia. — Ten gatunek nazywa się

Caligo beltrao, występuje dosyć powszechnie. Okaz znaleziony u Klaususa jest większy. Przejdźmy dalej.

W rogu pokoju była gabłota dopasowana do znajdującej się w ścianie wnęki. Z przodu była barierka. Do gabłoty nie miały dostępu dzieci, przykryta była zasłoną. W środku brzęczał mały nawilżacz.

— Trzymamy ją za szybą, żeby chronić palce odwiedzających. Może ugryźć. Lubi wilgoć, a takie środowisko łatwiej zapewnić w zamkniętym szklanym pomieszczeniu. — Pilcher ujął delikatnie klatkę za uchwyty i przesunął trochę do przodu. Uniósł pokrywę i zapalił u góry małe światelko.

— Nazywa się trupia główka — powiedział. — Siedzi na łodydze wilczej jagody. Miejmy nadzieję, że rozłoży skrzydła.

Ćma była wspaniała i straszna, duże brązowo-czarne skrzydła okrywały ją niczym peleryna. Na szerokim, pokrytym krótkimi włoskami grzbiecie widniał znak, który budził

ludzki strach zawsze, odkąd człowiek natrafił na nią po raz pierwszy. Sklepiona czaszka, czaszka, a zarazem twarz, ciemne oczodoły, kości policzkowe, wspaniale odtworzona pod oczodołami kość jarzmowa.

— *Acherontia styx* — powiedział Pilcher. — Nazwę wzięła od dwóch rzek, które płyną w Hadesie. Ten facet wyrzuca za każdym razem zwłoki do rzeki... Czyba o tym czytałem?

— Tak — odparła. — Czy to rzadki gatunek?

— Tak, w tej części świata nie występuje w ogóle w naturze.

— Skąd pochodzi? — Starling przytknęła twarz do drucianego dachu klatki. Jej oddech poruszył włoski na grzbiecie ćmy. Owad skrzeknął i groźnie zatrzepotał skrzydłami. Cofając się poczuła lekki powiew.

— Z Malezji. Istnieje również odmiana europejska, nazywa się *Acherontia atropos*, ale ta odnaleziona w gardle Klausa pochodzi z Malezji.

— A więc ktoś ją tutaj wyhodował? Pilcher kiwnął głową.

— Tak — powtórzył głośno widząc, że na niego nie patrzy. — Musiała zostać dostarczona z Malezji w formie jaja albo, co bardziej prawdopodobne, poczwarki. Nikomu nigdy nie udało się tych ciem skłonić do złożenia jaj w niewoli. Kopulują ze sobą, ale nie składają jaj. Najtrudniej jest znaleźć w dżungli poczwarkę. Wychodowanie dorosłego osobnika jest już potem całkiem łatwe.

— Powiedział pan, że potrafią ugryźć.

— Mają ostrą i silną ssawkę i jeśli ktoś jest nieostrożny, potrafią ciachnąć nią w palec. To nietypowy narząd i nie rozpuszcza się

w alkoholu. Pomogło nam to zawęzić pole poszukiwań, dzięki temu tak szybko ją rozpoznaliśmy. — Pilcher wydawał się nagle zakłopotany, jakby złapała go na przechwałkach. — Są bardzo wojownicze — mówił dalej. — Napadają na ule i kradną miód. Prowadziliśmy kiedyś poszukiwania w Sabah, na Borneo, i natrafilismy na nie nagle za schroniskiem młodzieżowym. Niesamowity był odgłos, jaki wydawały...

— Skąd wziął się ten konkretny owad?

— Wymiana międzyrządowa z Malezją. Nie wiem, co im za niego daliśmy. To było zabawne, zaczęliśmy się w cieniu z wiadrzem pełnym cyjanku, a one...

— Jakiego rodzaju deklarację celną wypełnia się w takim przypadku? Czy macie gdzieś tutaj jej kopię? Czy na wywóz z Malezji wydaje się specjalne zezwolenie? Kto je otrzymał?

— Bardzo się pani spieszy. Proszę spojrzeć, wypisałem tutaj wszystkie informacje, jakimi dysponujemy, i pisma, w których możecie zamieścić ogłoszenia, jeśli chcecie się bawić w takie rzeczy. Chodźmy, wyprowadzę panią stąd.

Przeszli w milczeniu długi korytarz. W świetle windy spostrzegła, że Pilcher jest tak sarno zmęczony jak ona.

— Stracił pan przy tym sporo czasu — powiedziała. — To była dobra robota. Nie chciałam być przed chwilą niedelikatna, jestem po prostu...

— Mam nadzieję, że go złapiecie. Mam nadzieję, że wkrótce skończy pani tę sprawę. Wypisałem tam także chemikalia, jakie mogą mu być potrzebne, jeśli hoduje je w domu... Chciałbym poznać panią bliżej, pani inspektor.

— Być może powinnam zadzwonić, kiedy będę miała chwilę czasu.

— Zdecydowanie powinna pani, absolutnie. Bardzo mi na tym zależy — zapewnił.

Drzwi windy zamknęły się, Pilcher i dziewczyna zniknęli. Królestwo człowieka zastygło w bezruchu. Nie poruszyła się żadna wytatuowana postać, nie drgnęła ani jedna mumia, nie zaszurały skrępowane stopy.

W owadzim zoo, w tysiącach otwartych oczu starszych braci w ewolucji odbijało się wskazujące wyjście awaryjne światło. Nawilżacz brzęczał i syczał. W czarnej klatce, pod pokrywą, ćma trupia główka schodziła w dół po łydydze wilczej jagody. Skrzydła okrywały ją niczym peleryna. Podeszła do stojącej na podłodze miseczki i odnalazła w niej plaster miodu. Chwyciła go mocno przednimi odnóżami, wysunęła ssawkę i wbiła ją w woskowe ścianki plastra. Usiadła na odwłoku i ssała cicho, a wszędzie wokół niej rozbrzmiewały w ciemności piski i trzepot skrzydeł, rodziło się i kończyło życie.

Rozdział 41

Catherine Baker Martin leżała w głębi, w nienawistnej ciemności. Ciemność weszła jej pod powieki, w niespokojnym, krótkim śnie miała wrażenie, że ciemność wdziera się i do jej wnętrza. Podstępnie wślizguje się przez nos i przez uszy. Lepkie palce ciemności penetrują wszystkie otwory w jej ciele. Jedną ręką zatkała usta i nos, drugą zastłoniła pochwę, zacisnęła z całej siły pośladki i przyłożyła ucho do materaca. Drugie ucho wydała na pastwę ciemności. Razem z ciemnością wdarł się tamtędy do środka dźwięk. Obudziła się dygocząc. Znajomy, monotony terkot: to była maszyna do szycia. Maszyna elektryczna o zmiennej szybkości. Najpierw szył powoli, teraz szybko.

Wyżej, w piwnicy, paliło się światło. W miejscu gdzie w pokrywie studni znajdował się niewielki, otwarty właz, widziała nad sobą słaby, żółty krążek światła. Kilka razy zaszczekał pudel, słyszała, jak przemawia do niego nienaturalny, przytłumiony głos.

Szycie. Tu, w dole, szycie było takim koszmarem. Szyć powinno się w pełnym świetle. Przypomniała sobie słoneczny pokój z dzieciństwa... przy maszynie siedzi gosposia, kochana Bea Love... mały kotek kręci się przy podniesionej przeciagiem zasłonie.

Głos przepłoszył wspomnienia, karciał za coś pudła.

— Zostaw to, Skarbuniu. Przyszpili cię igłą i co wtedy będzie? Już prawie kończę. Tak, kochanie. Dostaniesz coś do żucia-aa, jak skończymy, dostaniesz coś do żucia-aa, dudi dudi da.

Catherine nie zdawała sobie sprawy, jak długo jest uwięziona.

Pamiętała, że myła się dwa razy. Ostatnim razem stanęła w pełnym świetle chcąc, żeby przyjrzał się jej ciału, nie będąc pewna, czy rzeczywiście spogląda na nią zza oślepiającego reflektora. Naga Catherine Baker Martin to nie było byle co. Dobrze o tym wiedziała. Chciała, żeby to zobaczył. Chciała, żeby wyciągnął ją ze studni. Kiedy będzie go miała dość blisko, żeby się pieprzyć, będzie też dość blisko, żeby walczyć. Powtarzała to sobie cicho myjąc się. Dostawała bardzo mało do jedzenia i wiedziała, że lepiej zrobić to teraz, kiedy jest jeszcze silna. Wiedziała, że go pokona. Wiedziała, że potrafi to zrobić. Czy lepiej pozwolić mu się najpierw pieprzyć, pieprzyć tyle razy, ile tylko będzie mógł, żeby się zupełnie wypompał? Wiedziała, że jeśli zdoła mu założyć nogi

na szyję, wysła go na tamten świat w półtorej sekundy. Czy odważę się to zrobić? Do wszystkich diabłów, pewnie, że się odważę. W oczy i w jaja, w oczy i w jaja, w oczy i w jaja. Ale kiedy skończyła się myć i założyła świeży kombinezon, nie usłyszała z góry ani słowa zachęty. Nie było odpowiedzi na jej ofertę: wiadro

z wodą do kąpieli kołysząc się na cienkim sznurku zniknęło w górze, zamiast niego pojawił się jej stary kubek.

Czekała teraz, po upływie wielu godzin później, i przysłuchiwała się maszynie do szycia. Nie wołała go. Po jakimś czasie, może po tysiącu oddechów, usłyszała, jak wchodzi do góry po schodach, mówi coś do psa:

— ...śniadanie, jak wrócę.

Zostawił zapalone światło w piwnicy. Zdarzało mu się to od czasu do czasu.

Stąpienie po kuchni, drapanie pazurkami. Skomlenie psa. Jej porywacz wyszedł chyba z domu. Czasami nie było go bardzo długo.

Mijały oddechy. Mały piesek chodził po kuchni, skomlał, grzechotał czymś, walił o podłogę, może swoją miską. Znowu skrobanie pazurkami. I szczekanie, krótkie, ostre szczeknięcia, tym razem nie tak wyraźne, jak wówczas, kiedy pies znajdował się nad nią, w kuchni. Nie było go tam. Otworzył sobie pyskiem drzwi i zbiegł na dół, do piwnicy, polował na myszy. Robił to i przedtem, kiedy pana nie było w domu.

Głęboko w ciemności Catherine Martin obmacała podłogę pod materacem. Znalazła i obwąchała kostkę kurczaka. Z trudem powstrzymała się, żeby nie obgryźć kawałków mięsa i chrząstek. Włożyła kostkę do ust, żeby ją ogrzać. Wstała na nogi, chwiejąc się lekko w przyprawiającej o zawrót głowy ciemności. Oprócz niej w prostopadłej dziurze był tylko materac, okrywający ją kombinezon, plastikowe wiadro i przywiązany do niego, biegnący ku bladożółtemu krążkowi światła cienki bawełniany sznurek.

Rozważała tę możliwość, kiedy tylko była w stanie jasno myśleć. Wyciągnęła ręce tak wysoko, jak mogła, i złapała sznurek. Lepiej szarpnąć czy pociągnąć? Namyslała się nad tym przez tysiące oddechów. Lepiej równomiernie pociągnąć.

Bawełniany sznurek napiął się bardziej, niż się spodziewała. Złapała go trochę wyżej i ciągnęła kołysząc ramieniem z boku na bok, w nadziei, że sznurek przetrze się o drewniany skraj otworu. Kołysała, aż rozboleła ją ramię. Pociągnęła mocniej, sznurek napiął się maksymalnie, więcej się już nie rozciągał. Proszę, urwij się jak najwyżej. Trzasnęło i sznurek opadł na twarz Catherine.

Przykucnęła na podłodze, czuła leżący na głowie i ramionach sznurek, za ciemno było, żeby mu się przyjrzeć. Nie wiedziała, jaki jest długi. Żeby się tylko nie poplątał. Ostrożnie ułożyła go w zwojach mierząc każdy ramieniem. Naliczyła czternaście zwojów. Sznurek pękł u szczytu studni.

Przywiązała kostkę z kawałkami mięsa przy uchwycie wiadra.

Teraz najtrudniejsze.

Nie popsuj teraz wszystkiego. Zmobilizowała się wewnątrz. Wyobraziła sobie, że jest sama w małej łódce podczas burzy, musi się uratować.

Przywiązała drugi koniec sznurka do nadgarstka, zaciskając węzeł zębami.

Stała tak daleko od sznurka, jak to było możliwe. Trzymając wiadro za uchwyt, zakręciła nim wielkie koło i cisnęła prosto ku niewyraźnemu krążkowi światła w górze.

Plastikowe wiadro nie trafiło w otwarty właz, uderzyło w drewnianą pokrywę i spadło z powrotem, uderzając ją w twarz i w ramię. Szczekanie psa rozległo się gdzieś bliżej.

Ułożyła sznurek z powrotem i rzuciła ponownie, i jeszcze raz. Za trzecim razem spadające wiadro uderzyło ją w złamany palec i musiała pochylić się ku pochyłej ścianie i oddychać głęboko, aż minęły jej nudności. Wiadro spadło na nią i za czwartym razem, ale za piątym nie. Było na zewnątrz. Leżało gdzieś na drewnianej obudowie studni obok otwartego włazu. Jak daleko od dziury? Spokojnie. Delikatnie pociągnęła. Rączka wiadra stuknęła o drewno.

Szczekanie rozległo się gdzieś bliżej.

Nie wolno jej przeciągnąć wiadra przez skraj włazu, ale musi przysunąć je bliżej. Przysunęła je bliżej.

Piesek kręcił się między lustrami i manekinami w przyległym pomieszczeniu. Obwąchał nitki i skrawki materiału leżące pod maszyną do szycia. Trącił nosem wielką czarną szafę. Spojrzał w stronę, z której dochodziły dźwięki. Podbiegł bliżej, zaszczekał i cofnął się z powrotem.

W piwnicy odbił się niewyraźnym echem głos.

— Skarbuuuunia.

Piesek podskoczył w miejscu. Kiedy szczekał, trzęsło się całe jego drobne, tłuste ciało.

Teraz doszło go głośnie cmokanie.

Piesek spojrzał do góry, na drzwi do kuchni, ale odgłosy nie dochodziły stamtąd.

Odgłos mlaskania, jak przy jedzeniu.

— Chodź, Skarbuniu. Chodź tutaj, kochanie. Na wyprężonych łapach, z postawionymi uszami pudel wsunął się do ciemnego pomieszczenia. Znowu cmokanie.

— Chodź, cukiereczku, chodź, Skarbuniu.

Pudel poczuł kość kurczęcia przywiązaną do uchwyty wiadra. Podrapał łapą o ścianę studni i zaskomlał. Mniam-mniam-mniam. Pudel wskoczył na drewnianą obudowę studni. Zapach dochodził

właśnie stamtąd, spomiędzy wiadra i dziury. Pies zaszczekał na wiadro i zaskomlał niezdecydowany. Kość poruszyła się leciutko.

Pudel wyprężył się z pyskiem wsuniętym między przednie łapy i podniósł grzbiet, gotów do ataku. Zaszczekał dwa razy i rzucił się na kość, chwytając ją zębami. Wiadro starało się go od niej odsunąć. Pudel zawarczał na wiadro i usiadł okrakiem na uchwycie, nie wypuszczając z zębów kości. Nagle wiadro przewróciło go na grzbiet i pociągnęło za sobą, pudel próbował stanąć na nogi, przewrócił się znowu, walczył z wiadrem, do dziury wpadła mu tylna łapa i zadek, gorączkowo drapał pazurami o drzewo, wiadro sunęło dalej, aż oparło się o psi grzbiet, nagle pies uwolnił się, a wiadro przechyliło i zniknęło, uciekło do dziury, razem z kością. Pudel pochylił się i zaszczekał gniewnie do środka, szczekanie odbiło się głośnym echem o ściany studni. Potem umilkł i nadstawił uszu na dźwięk, który dotarł tylko do niego. Zlazł z cembrowiny i popiskując pobiegł schodami do góry. Gdzieś w budynku trzasnęły zamykane drzwi.

Gorące łzy płynęły z oczu Catherine, spływały po policzkach i kapały na kombinezon, aż utworzyły mokre plamy na piersiach. Uwierzyła teraz, że musi umrzeć.

Rozdział 42

Crawford stał na środku swego gabinetu, trzymając ręce głęboko w kieszeniach. Stał tak od godziny 0.30 do 0.33 czekając, aż przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł. Potem wysłał teleks do kalifornijskiego Wydziału Komunikacji z prośbą o przysłanie papierów samochodu campingowego, który, według relacji doktora Lectera, Raspail kupił w Kalifornii i w którym podróżował razem z Klausem. Crawford prosił wydział o sprawdzenie wystawionych na ten samochód mandatów, na nazwisko inne niż Benjamin Raspail.

Potem siadł na sofie z notesem w ręku i pracował nad tekstem ogłoszenia, które zamierzał umieścić w czołowych gazetach w całym kraju:

Apetyczna, pełna temperamentu piękność o kształtach Junony, 21 lat, modelka, szuka mężczyzny, który ceni sobie jakość ORAZ ilość. Reklamowałam kosmetyki, widziałeś mnie w kolorowych magazynach, teraz ja chcę zobaczyć ciebie. Przyślij zdjęcia w pierwszym liście.

Crawford zastanawiał się przez chwilę, skreślił „o kształtach Junony” i zamiast tego napisał „dobrze zbudowana”.

Naraz głowa opadła mu na piersi i zasnął. W szklach jego okularów odbijał się wieloma małymi kwadracikami zielony ekran monitora. Coś zaczęło się tam dziać, w górę uciekały rzędkie pisma, litery skakały po szklach Crawforda. Potrząsnął przez sen głową, jakby obraz łaskotał go pod powiekami. Wiadomość brzmiała:

Podczas przeszukania celi Lectera policja z Memphis odkryła dwa przedmioty.

(1) Własnej roboty klucz do kajdanek zrobiony z wkładu do długopisu. Nacięcia powstałe w wyniku tarcia. Prosi się Baltimore o sprawdzenie celi szpitalnej, czy nie pozostały ewentualne ślady, podpisał Copley, biuro terenowe Memphis.

(2) Pozostawiona przez zbiega w toalecie kartka wyrwana z notesu. Oryginał w drodze do sekcji dokumentów. Załączamy odbitkę telefaksową. Odbitkę wysłaliśmy również do Langley, do działu kryptografii, na ręce Bena.

Odbitka powoli wynurzała się z dołu ekranu, niczym głowa kogoś, kto chciałby niepostrzeżenie zajrzeć do środka pokoju. Kiedy pojawiła się w całości, wyglądała następująco:

C₃₃H₃₆ILT₀₆N₄

Buczenie komputera nie obudziło Crawforda, zrobił to dopiero telefon, trzy minuty później. Dzwonił Jerry Burroughs pełniący dyżur w krajowym centrum informacji

kryminalnej.

— Spojrzałeś na ekran, Jack?

— Chwileczkę — powiedział Crawford. — Tak, widzę.

— W laboratorium już to mają, Jack. Napis, który Lecter zostawił w kiblu. Cyfry pomiędzy literami nazwiska Chiltona to wzór biochemiczny — $C_{33}H_{36}O_6N_4$. Taki wzór ma jeden z pigmentów znajdujących się w ludzkiej żółci, nazywa się Billrubina. W laboratorium twierdzą, że to właśnie ona zabarwia kał.

— Bzdury.

— Miałeś rację co do Lectera, Jack. Zrobił sobie z nich jaja. Na nieszczęście senator Martin. W laboratorium mówią, że Billrubina ma dokładnie ten sam kolor co włosy doktora Chiltona. Humor prosto z domu wariatów. Widziałeś Chiltona w wiadomościach o szóstej?

— Nie.

— Oglądała go Marilyn Sutter, piętro nad nami. Chilton puszył się jak paw i opowiadał o „poszukiwaniach Billy'ego Rubina”. Potem poszedł na obiad, zaprosił go reporter z telewizji. Pożerał go właśnie, kiedy Lecter wyszedł na spacer. Skończony dupek.

— Lecter powiedział Starling, żeby pamiętała, że Chilton nie ma wykształcenia medycznego — powiedział Crawford.

— Tak, czytałem to w sprawozdaniu. Myślę, że Chilton chciał przelecieć Clarice Starling, a ona pokazała mu, jaki jest malutki. Może być głupcem, ale nie jest ślepy. Jak się czuje ta mała?

— Myślę, że dobrze. Zmordowana.

— Sądzisz, że Lecter ją także wystawił do wiatru?

— Być może. Ale będziemy się tego trzymać. Nie wiem, co się dzieje w klinikach. Wciąż myślę, że powinniśmy im sądownie zająć dokumentację. Nie mogę znieść myśli, że zależymy od ich dobrego humoru. Jutro rano, jeśli nie dostarczą nam żadnych danych, wystąpię o nakaz sądowy.

— Powiedz mi, Jack... Chyba masz u siebie kilku ludzi, którzy wiedzą, jak wygląda doktor Lecter?

— Oczywiście.

— Nie wiadomo, czy gdzieś się z nas teraz nie śmieje.

— Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni — odparł Crawford.

Rozdział 43

Doktor Hannibal Lecter stał w recepcji eleganckiego hotelu Marcus w St Louis. Miał na głowie kapelusz i zapięty pod samą szyją płaszcz przeciwdeszczowy. Nos i policzki przewiązane eleganckim chirurgicznym bandażem.

W rejestrze gości podpisał się „Lloyd Wyman”, podpisem, który przećwiczył w samochodzie Wymana.

— Jak pan będzie płacił, panie Wyman? — zapytał recepcjonista.

— American Express. — Doktor Lecter podał mu kartę kredytową Lloyda Wymana.

Z hallu dobiegały łagodne dźwięki fortepianu. Przy barze doktor Lecter spostrzegł

dwoje ludzi z opatrunkami na nosach. W stronę wind szła para w średnim wieku nucąc melodię Cole'a Portera. Oko kobiety zasłonięte było opatrunkiem z gazy.

Recepcjonista wyjął kartę kredytową z komputera.

— Ma pan prawo do korzystania ze szpitalnego garażu, panie Wyman.

— Tak, dziękuję — odparł doktor Lecter. Zaparkował już samochód Wymana w garażu, z Wymanem w bagażniku.

Portier, który przyniósł rzeczy Wymana do małego apartamentu, otrzymał w ramach napiwku jeden z należących do Wymana pięcio-dolarowych banknotów.

Doktor Lecter zamówił drinka i sandwicz i długo relaksował się pod prysznicem.

Po latach spędzonych w zamknięciu apartament wydał mu się olbrzymi. Bawiło go chodzenie po nim to tu, to tam, od drzwi do okna, od ściany do ściany.

Po drugiej stronie ulicy mógł dostrzec przez okno wchodzący w skład miejskiego szpitala w St Louis pawilon Myron i Sadie Fleischerów. Mieszcząca się w nim klinika należała do najbardziej znanych w świecie ośrodków chirurgii twarzy i czaszki.

Oblicze doktora Lectera było zbyt znane, żeby odważył się skorzystać z usług któregoś z miejscowych chirurgów plastycznych, ale było to jedyne miejsce na świecie, gdzie mógł śmiało paradować z bandażem na twarzy, nie budząc niczyich podejrzeń.

Był tu już raz kiedyś, przed wieloma laty, kiedy prowadził studia nad pewnym problemem psychiatrycznym we wspaniałej bibliotece Brockman Memorial.

To, że miał okno, a nawet kilka okien, uderzało mu do głowy. Stał przy nich w ciemności, patrząc na sunące przez most MacArthura światła samochodów i popijając swego drinka. W kościach odczuwał przyjemne zmęczenie po pięciogodzinnej jeździe z Memphis.

Tego wieczoru naprawdę śpieszyć się musiał tylko raz, na podziemnym parkingu międzynarodowego lotniska w Memphis. Dokładne umycie się za pomocą małych tamponów waty, alkoholu i wody destylowanej nie należało do przyjemności. Kiedy miał już na sobie biały medyczny fartuch, jedynym problemem było odnalezienie jakiegoś samotnego podróżnego w opuszczonej, przeznaczonej na długie parkowanie części garażu. I taki się zjawił. Z wolna pochylał się nad bagażnikiem, żeby wyjąć stamtąd elegancką walizkę, i nie zauważył nawet zbliżającego się z tyłu doktora Lectera.

Doktor Lecter zastanawiał się, czy policja uwierzyła, że jest na tyle głupi, żeby podróżować samolotem.

Jedynym problemem podczas jazdy do St Louis było odnalezienie w zagranicznej marki samochodzie przełączników długich i krótkich świateł oraz wycieraczek. Doktor Lecter nie był przyzwyczajony do przełączników wbudowanych w kierownicę.

Jutro kupi rzeczy, których potrzebuje: szampon rozjaśniający, przybory fryzjerskie i lampę kwarcową. Były i inne przedmioty, które dostać można tylko na receptę, a których potrzebował, by dokonać kilku natychmiastowych zmian w swoim wyglądzie.

Kiedy będzie gotów, ruszy dalej.

Nie było powodu, żeby się śpieszyć.

Rozdział 44

Ardelia Mapp leżała w łóżku, w swojej zwykłej pozycji, podparta łokciem nad książką. Słuchała programu nadającego non stop serwis informacyjny. Wyłączyła go, kiedy do pokoju powłócząc nogami weszła Clarice Starling,

— Chcesz herbaty? — Widząc wymizerowaną twarz koleżanki, nie pytała na szczęście o nic więcej.

Ucząc się Mapp popijała napój parzony na drobno pokrojonych listkach, przysyłanych jej przez babkę. Nazywała go „herbatką mądrych ludzi”.

Z dwojga najinteligentniejszych osób, z którymi zetknęła się Clarice, jedna była zarazem najbardziej zrównoważona, a druga najbardziej przerażająca. Miała nadzieję, że nadaje to pewną równowagę jej znajomościom.

— Miałaś szczęście, że cię dziś nie było — mówiła Mapp. — Ten przeklęty Kim Won zagonił nas dosłownie na śmierć. Wcale nie bujam. Myślę, że oni muszą mieć silniejszą grawitację tam, w Korei. Przyjeżdża taki potem tutaj i aż go rozpiera, czuje się lekki jak piórko, bierze posadę nauczyciela wuefu, bo to dla niego żadna robota... Wpadł tu John Brigham.

— Kiedy?

— Dziś wieczorem, jakiś czas temu. Chciał wiedzieć, czy już wróciłaś. Przyczesał sobie włosy. Przeszł się z nogi na nogę jak prawiczek. Trochę rozmawialiśmy. Powiedział, że jeśli masz zaległości i musimy teraz razem kuć, może przelożyć nam zaliczenie ze strzelania na weekend. Otworzy strzelnicę specjalnie dla nas. Powiedziałam, że dam mu znać. Miły gość.

— Tak, jest całkiem miły.

— Czy wiesz, że on chce, żebyś reprezentowała Akademię w międzywydziałowych zawodach strzeleckich przeciwko ekipom Agencji do Zwalczenia Narkotyków i Urzędu Celnego?

— Pierwszy raz słyszę.

— W zawodach otwartych, nie kobiecych. Następne pytanie: co wiesz na temat czwartej poprawki do konstytucji na piątkowy egzamin?

— Wiem to i owo.

— No więc świetnie, czego dotyczyła sprawa Chimela przeciwko stanowi Kalifornia?

— Przeszukań w szkołach średnich.

— Czego konkretnie podczas tych przeszukań?

— Nie wiem.

— Chodzi o koncepcję „bezpośredniego dostępu”. Kto to był Schneckloth?

— Nie wiem, do diabła.

— Sprawa Schneckloth przeciwko Bustamonte.

— Czy to chodzi o zasadę nietykalności osobistej?

— Pudło. Nietykalności osobistej dotyczy zasada Katza. U Schneckloth chodzi o zgodę na przeszukanie. Widzę, że będziemy musiały nieźle powkuwać, moja mała. Porobiłam notatki.

— Nie dzisiaj.

— Nie. Ale jutro obudzisz się świeża i spragniona wiedzy, i wtedy zabieramy się do roboty, tak żebyś była gotowa na piątek. Brigham powiedział... właściwie to miał to

zachować w tajemnicy i obiecałam mu... więc powiedział, że z przesłuchania wyjdiesz obronną ręką. Uważa, że ten zatwardziały sukinsyn Krendler za dwa dni nie będzie nawet pamiętał, kim jesteś. Masz dobre oceny, damy sobie z łatwością radę. — Mapp przyjrzała się lepiej jej zmęczonej twarzy, — Zrobiłaś więcej niż ktokolwiek dla tej biedaczki, Clarice. Nadstawiłaś za nią karku, dostałaś po łapach i w ogóle nieźle zamieszałaś. Teraz sama musisz dać sobie szansę. Włóż do betów i śpij. Pozamykam drzwi i pogaszę światła.

— Dzięki, Ardelia.

I potem, kiedy zgasły światła.

— Clarice?

— Tak?

— Kto jest według ciebie przystojniejszy, Brigham czy Ognisty Bobby Lowrance?

— Trudno powiedzieć.

— Brigham ma na ramieniu tatuaż, widziałam to przez koszulę. Co ma tam napisane?

— Nie mam pojęcia.

— Powiesz mi, jak będziesz wiedziała?

— Prawdopodobnie nie.

— Ja ci powiedziałam, że Ognisty Bobby ma slipy ze skóry pytona.

— Zobaczyłaś to przez okno, kiedy ćwiczył podnoszenie ciężarów.

— To Gracie ci wypaplała? Tej dziewczynie powinno się uciąć język... Clarice spała.

Rozdział 45

Krótko przed godziną 3.00 drzemiący obok żony Crawford obudził się. Bella przestała na chwilę oddychać i poruszyła się na łóżku. Usiadł i wziął ją za rękę.

— Bella?

Odetchnęła głęboko i wypuściła powietrze z płuc. Po raz pierwszy od wielu dni miała otwarte oczy. Crawford zbliżył do niej twarz, choć nie wierzył, by mogła go widzieć.

— Bella, dziecino, kocham cię — powiedział na wypadek, gdyby słyszała.

Strach drapał mu piersi, miotał się w środku niczym oszalały nietoperz. W końcu zdołał się go pozbyć.

Pragnął coś dla niej zrobić, cokolwiek, ale nie chciał zarazem, żeby przestała czuć uścisk jego ręki.

Przyłożył ucho do jej piersi. Usłyszał miękkie uderzenie, trzepot, a potem serce przestało bić. Nie było nic, słyszał tylko dziwny, chłodny szum. Nie wiedział, czy to szumi w jej piersiach, czy w jego własnych uszach.

— Niech cię Bóg błogosławi i zatrzyma przy sobie... razem z twoimi bliskimi — powiedział. Chciał, żeby to była prawda.

Siedział oparty o półkę u szczytu łóżka. W chwili gdy umierał jej umysł, przygarnął ją do siebie i przycisnął do piersi. Podbródkiem strącił szal z tego, co pozostało z jej włosów. Nie płakał. Wszystko to miał już dawno za sobą.

Ubrał Bellę w jej ulubioną, najlepszą nocną koszulę i usiadł na chwilę przy łóżku, przykładając jej rękę do swego policzka. To była szeroka, mądra ręka, poznaczona pracą

w ogrodzie, a teraz czterema śladami po igle od kroplówki.

Kiedy wracała do domu z ogrodu, jej ręce pachniały tymiankiem.

("Wyobraź sobie, że masz na palcach kurze biało" — w ten sposób szkolne koleżanki wyjaśniały Belli, na czym polega seks. Ona i Crawford żartowali sobie z tego leżąc w łóżku, przed wieloma laty, po wielu latach, w zeszłym roku. Nie myśl o tym, myśl o czymś dobrym, o czymś czystym. To było coś czystego. Miała na sobie okrągły kapelusz i białe rękawiczki i kiedy wybierali się pierwszy raz do niego, gwizdała w windzie dramatyczny początek „Begin the Beguine”. W pokoju śmiała się, że nosi w kieszeniach wszystkie swoje skarby jak mały chłopiec).

Crawford spróbował przejść do pokoju obok. Wciąż przecież, kiedy tylko chciał, mógł się obrócić i patrzeć na nią przez otwarte drzwi, patrzeć, jak spoczywa ułożona w ciepłym świetle stojącej obok lampy. Czekał, aż jej ciało stanie się czymś, co będzie można poddać obrządkowi, czymś oddzielnym od niego i od osoby, którą przed chwilą do siebie przytulał, oddzielnym od towarzyszki życia, którą zatrzymał w pamięci. Czekał, aż będzie mógł wezwać ludzi, żeby ją zabrali.

Z opuszczonymi rękami stał w oknie *patrz*ąc w puste niebo. Nie czekał na wschód słońca. Wschód to był tylko kierunek, na który wychodziło okno.

Rozdział 46

— Gotowa jesteś, Skarbuniu?

Jame Gumb opierał się wygodnie o półkę nad łóżkiem, mała, ciepła suczka leżała zwinięta na jego brzuchu.

Gumb właśnie umył sobie włosy, głowę miał okręconą ręcznikiem. Pogrzebał w pościeli, odnalazł „pilota” i wcisnął na nim przycisk.

Program swego wideo skomponował z dwóch fragmentów skopiowanych na jedną kasetę. Oglądał go codziennie, kiedy zajęty był ważnymi przygotowaniami i zawsze na krótko przed dokonaniem dzieła.

Pierwsza taśma zawierała fragment czarno-białej kroniki Movietone News z roku 1948. Przedstawione były na niej ćwierćfinały wyborów Miss Sacramento, początek długiej drogi, której ukoronowaniem są organizowane w Atlantic City wybory Miss America.

Dziewczęta prezentowały się właśnie w strojach kąpielowych. Zbliżały się po kolei do schodów i wchodziły na scenę trzymając w ręku kwiaty.

Pudliczka Gumba знаła ten pokaz na pamięć i kiedy zabrzmiała muzyka, przymrużyła oczy, wiedząc, że czeka ją zaraz mocny uścisk. Konkurentki wyglądały, jakby trwała jeszcze druga wojna światowa. Nosily jednocześnie kostiumy, kilka z nich miało naprawdę urocze buzie. I ładne nogi, tyle że zupełnie pozbawione mięśni. Pod kolanami robiły im się niewielkie fałdy.

Gumb przycisnął do siebie suczkę.

— Teraz idzie ona, Skarbuniu, teraz idzie ona, idzie, idzie!

I oto szła, zbliżała się do schodów w białym kostiumie kąpielowym, rzucała promienny uśmiech młodzieńcowi, który pomagał jej wejść na górę, a potem oddalała się kołysząc

na wysokich obcasach, coraz dalej od kamery filmującej z tyłu jej uda: to była ona. To była Mama.

Gumb nie musiał dotykać przycisków pilota, zaprogramował wszystko wcześniej przy kopiowaniu taśmy. Wracając teraz, idąc tyłem schodziła ze schodów, odbierała swój uśmiech młodemu człowiekowi i tyłem znikła z kadru. I znowu wychodziła, i znowu się cofała. Do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu.

Kiedy uśmiechała się do młodego mężczyzny, Gumb uśmiechał się także.

Było jeszcze jedno jej ujęcie w grupie, ale zatrzymane w kadrze zawsze się zamazywało. Lepiej było puścić je normalnie i spojrzeć na nią w przelocie. Mama stała razem z innymi dziewczętami, gratulując zwyciężczyni.

Następny fragment nagrał z telewizji kablowej w motelu w Chicago. Musiał wtedy wyjść na miasto, kupić magnetowid i specjalnie zostać na następną noc. Film puszczały w późnym wieczorem na podejrzanym kanale jako tło dla biegnących cały czas drukowanymi literami przez ekran reklam seksualnych. Sklejony był z odpadów całkiem niewinnych klisz z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, był tam obóz naturystek grających w siatkówkę, były jeszcze starsze kawałki z lat trzydziestych, na których mężczyźni nosili sztuczne nosy i nie zdejmowali z nóg skarpetek. Tło dźwiękowe tworzyła muzyka, jaka była akurat pod ręką. Teraz właśnie grali „The Look of Love”, całkowicie bez związku z toczącą się żywo akcją.

Gumb nie mógł nic poradzić na biegnące przez ekran ogłoszenia. Musiał się z tym po prostu pogodzić.

Oto basen na świeżym powietrzu, sądząc po otoczeniu, gdzieś w Kalifornii. Stylowe meble ogrodowe, wszystko osadzone mocno w latach pięćdziesiątych. Pływające nago dziewczęta, niektóre bardzo ładne. Kilka mogłoby śmiało wystąpić w drugorzędnych hollywoodzkich filmach. Żwawo wyskakują z basenu i biegną, znacznie szybciej niż towarzysząca im muzyka, w stronę zjeżdżalni, wspinają się po szczeblach — i w dół. Szuuuuuu! Z górki na pazurki! Zjeżdżają roześmiane, z wyprostowanymi nogami, ze sterczącymi piersiami. Plusk!

Teraz pojawia się Mama. Wychodzi z basenu, zaraz za dziewczyną o kręconych włosach, jej twarz częściowo zasłania reklama sex-shopu Sinderella, ale już widać jej plecy, Mama oddala się od kamery, wspina po drabince, cała mokra, cała błyszcząca od wody, wspaniale zbudowana, cudownie przegięta, z małą blizną po cięciu cesarskim i teraz w dół, po zjeżdżalni, szuuuu! Jest taka piękna. Nawet nie widząc jej twarzy, Gumb wie w głębi duszy, że to Mama i że została tu sfilmowana już po tym, kiedy spoglądał na nią ostatni raz w życiu. Nie licząc, oczywiście, chwil, kiedy pojawiała się w jego wyobraźni.

Ekran wypełnił teraz film reklamujący środki wspomagające dla par małżeńskich, który po kilku sekundach nagle się urwał.

Suczka przymrużyła oczy dwie sekundy wcześniej, nim przytulił ją do siebie Gumb.

— Och, Skarbuniu. Chodź do mamusi. Mamusia będzie taka piękna.

Dużo roboty, bardzo dużo roboty, żeby zdążyć ze wszystkim na jutro.

W kuchni nigdy, dzięki Bogu, nie słyszał żadnych hałasów, nigdy, nawet kiedy głos stamtąd maksymalnie się natężał. Nie sposób było jednak nie słyszeć ich na schodach,

kiedy schodził do piwnicy. A tak pragnął, żeby materiał spał, miał nadzieję, że będzie zachowywał się cicho. Trzymana pod pachą suczka zawarczała słysząc dochodzący z dziury hałas.

— Ty jesteś lepiej wychowana — powiedział wtulając usta w futerko na jej głowie.

Pomieszczenie, w którym znajdował się loch, było za drzwiami z lewej strony, ale nawet tam nie spojrzął, nie przysłuchiwał się też dochodzącym z dołu słowom — jego zdaniem w najmniejszym stopniu nie przypominały one języka angielskiego.

Gumb skręcił na prawo, do warsztatu. Postawił suczkę na podłodze i zapalił światło. Kilka ciem zatrzepotało skrzydłami i usiadło na okrywających żarówki drucianych siatkach.

Przy pracy, w warsztacie, Gumb był człowiekiem bardzo skrupulatnym. Świeże roztwory przygotowywał zawsze w pojemnikach z nierdzewnej stali, nigdy w aluminium.

Nauczył się robić wszystko z dużym wyprzedzeniem. Przy pracy stale powtarzał: „Musisz być staranny, musisz być precyzyjny, musisz być sprawny, problemy bowiem, z którymi masz do czynienia, są straszliwe”.

Ludzka skóra jest ciężka — liczy szesnaście do osiemnastu procent całej wagi ciała — i śliska. Gdy jest w całości, bardzo niewygodnie się z nią obchodzić. Łatwo ją upuścić, kiedy jest jeszcze wilgotna. Ważny jest również czynnik czasu; skóra kurczy się natychmiast po ściągnięciu, najbardziej u młodych dorosłych osobników, na których jest też najsilniej napięta.

Dodać do tego trzeba fakt, że skóra nie jest wcale tak bardzo elastyczna, nawet u młodych. Jeśli się ją rozciągnie, nigdy nie wraca do pierwotnych rozmiarów. Można zeszyć coś idealnie gładko, a potem za mocno pociągnąć i wokół szwu robią się wszędzie fałdy i wybrzuszenia. Nic nie pomoże wtedy wyplakiwanie sobie oczu przy maszynie. Dochodzą do tego naturalne linie podziału: lepiej zawczasu wiedzieć, gdzie się one znajdują. Dopóki nie rozpuszczą się włókna kolagenu, skóra nie rozciąga się w podobnym stopniu we wszystkich kierunkach; wystarczy pociągnąć nie tam, gdzie trzeba, i po robocie.

Surowy materiał po prostu nie nadaje się do obróbki. Wiele było prób i błędów, wiele gorzkich rozczarowań, zanim Gumb doszedł do właściwych rezultatów.

Ostatecznie przekonał się, że najlepsze są stare, tradycyjne metody. I postępował zgodnie z nimi: najpierw moczył materiał w zbiornikach

wypełnionych ekstraktami roślinnymi, które stosowali pierwotni mieszkańcy Ameryki: same naturalne substancje, żadnych soli mineralnych. Potem stosował metodę, dzięki której otrzymuje się idealnie miękkie skóry w Nowym Świecie — klasyczne garbowanie mózgiem. Amerykańscy autochtoni twierdzą, że każde zwierzę ma dość własnego mózgu, aby można było wygarbować nim jego skórę. Gumb wiedział, że to nieprawda, i dawno temu zarzucił próby sprostania tej regule, nawet w przypadku mających, jak wiadomo, największy mózg naczelnych. Obecnie miał całą zamrażarkę mózdku wołowego, nigdy mu go nie brakowało.

Z problemami obróbki materiału mógł sobie zatem poradzić; praktyka uczyniła go w tej dziedzinie prawie niedoścignionym mistrzem.

Pozostawały trudne problemy strukturalne, ale wiedział, że im sprosta, miał w tym

kierunku odpowiednie kwalifikacje.

Z warsztatu biegł korytarz prowadzący do nie używanej łazienki, gdzie Gumb przechowywał wyposażenie dźwigu i czasomierz, oraz do pracowni, za którą rozciągała się duża, ciemna komórka.

Otworzył drzwi pracowni. Palilo się tutaj jaskrawe światło, do belek sufitu przymocowane były reflektorki i imitujące światło dzienne jarzeniówki. Na podwyższonej podłodze z dębowych lakierowanych desek stały manekiny. Wszystkie były ubrane, niektóre w skórę, niektóre w muślinowe krawieckie formy. Osiem manekinów odbijało się w dwu lustrzanych ścianach — w porządnym, kryształowych taflach, nie żadnych tam szklanych płytkach. Na toaletce stały kosmetyki i kilka stojaków na peruki. To była najjaśniejsza jego pracownia, cała w białozłotym dębie.

Ubrania na manekinach należały do klientów, w większości były to zapierające swym wyglądem dech w piersiach kamizelki z czarnej owczej skóry, całe w zakładkach i plisach, z podniesionymi ramionami i uwypuklonymi piersiami.

Przy trzeciej ścianie znajdował się duży stół roboczy, dwie przemysłowe maszyny do szycia, dwa damskie manekiny krawieckie i trzeci, którego wymiary zdjęto dokładnie co do centymetra z torsu Jame Gumba.

Przy czwartej ścianie, dominując w jasnym pokoju, stała wielka czarna szafa z chińskiej laki. Sięgała prawie sufitu, dwa i pół metra od podłogi. Była stara i zdobięcy ją deseń mocno wyblakł; w miejscu w którym niegdyś znajdował się smok, pozostało kilka złotych łusek i wciąż wyraźne, szeroko otwarte białe oczy, obok widniał czerwony język innego, całkiem wyblakłego smoka. Poniżej laka wcale nie zmieniła koloru, była tylko popękana.

Zawartość przepastnej szafy nie miała nic wspólnego z wyrobami sporządzanymi na zamówienie. W środku, zawieszane na specjalnych formach i wieszakach, znajdowały się Rzeczy Specjalne. Drzwi do szafy były zamknięte na klucz.

Suczka wychłęptała trochę wody ze stojącej w kącie miski i ułożyła się między stopami manekina. Oczy utkwione miała w swoim panu.

Gumb pracował właśnie nad skórzaną kurtką. Powinien ją wykończyć, żeby nic nie zaprzętało mu potem głowy, poczuł jednak, jak ogarnia go twórcza gorączka, bo nie zadowalała go jeszcze w pełni jego własna, muślinowa forma.

Gumb poczynił w krawiectwie wielkie postępy, znacznie przekraczające wszystko, czego nauczył się w młodości na kursach organizowanych przez zarząd zakładów karnych stanu Kalifornia, ale teraz stało przed nim naprawdę wielkie wyzwanie. Nawet praca przy delikatnej owczej skórze nie przygotowuje do tego rodzaju prawdziwie artystycznej roboty.

Miał przed sobą dwie muślinowe formy, podobne do białych kamizelek, jedna była dokładnie jego rozmiaru, drugą sporządził na podstawie miary, którą zdjął z Catherine Baker Martin, kiedy ta była jeszcze nieprzytomna. Po założeniu na krawiecki manekin mniejszej formy problemy widać było jak na dłoni. Catherine była dużą i wspaniale zbudowaną dziewczyną, ale nie tak dużą jak Gumb, nie miała też tak szerokich pleców.

Jego ideałem było ubranie bez szwów. W tym wypadku nie było to możliwe. Zdecydował jednak, że przynajmniej z przodu nie będzie żadnego szwu i żadnej skazy.

To oznaczało, że wszelkich poprawek do figury trzeba będzie dokonać z tyłu. Bardzo trudne. Odrzucił już przedtem jedną formę z muślinu i zaczął od nowa. Cel można było osiągnąć skrajnie naciągając skórę i wszywając pod pachami dwa kliny, nie francuskie, ale pionowe, skierowane wierzchołkami w dół. Dodatkowe kliny trzeba będzie wstawić z tyłu, na wysokości nerek. Wprowadzał na ogół tylko drobne poprawki.

Gumb brał pod uwagę nie tylko efekt wizualny, ale wrażenia dotykowe; niewykluczone przecież, że ktoś zechce do siebie przytulić atrakcyjną osobę.

Posypał lekko talkiem ręce i objął w naturalny, niewymuszony sposób swój krawiecki manekin.

— No, daj całuska — zwrócił się figlarnie do pustej przestrzeni, gdzie powinna być głowa. — Nie ty, głuptasie — powiedział do suczki, która nadstawiła uszu.

Gumb popieścił plecy manekina obejmując go ramionami. Potem obszedł naokoło, żeby obejrzeć ślady talku. Nikt nie będzie chciał czuć pod palcami szwu. W uścisku dłonie przeskakują jednak na ogół środek pleców. Poza tym, mówił sobie, przyzwyczajeni jesteśmy do centralnej linii kręgosłupa. Lepsze to niż jakakolwiek asymetria. Szwy na ramionach są zatem absolutnie wykluczone. Rozwiązaniem był klin umieszczony w środku, na samej górze, z wierzchołkiem na wysokości łopatek. Tym samym szwem mógł objąć przymocowany pod podszewką sztywny karczek, którego zadaniem będzie podtrzymywanie przodu. Pod rozcięciami z obu stron umieści się wkładki Lycra — musi pamiętać, żeby je kupić. Po prawej stronie zamek typu Velcro. Pomyślał o wspaniałych szatach Charlesa Jamesa, szytych zygzakowatym ścięciem, żeby lepiej leżały.

Klin na górze przykryją jego włosy, albo raczej włosy, które będzie miał już niedługo.

Gumb zdjął muślin z manekina i zabrał się do pracy.

Maszyna do szycia była stara i pięknie wykonana. Przed czterdziestu laty przerobiono ją na elektryczną. Na jej korpusie widniał otoczony wieńcem złotych liści napis: „Służę zawsze, nigdy się nie męczę”. Nadal można było szyć posługując się pedałem i Gumb użył go, żeby dokonać kilku drobnych poprawek. Przy tego rodzaju wymagających artyzmu czynnościach wolał pracować boso. Delikatnie poruszał pedał grubą stopą, zaciskając palce o polakierowanych paznokciach na jego krawędzi. Pilnował, żeby nie pojechać ścięciem za daleko. Przez moment słychać było tylko terkot maszyny, chrapanie psa i szum wody w rurach centralnego ogrzewania.

Kiedy umieścił już odpowiednie kliny w muślinowej formie, przymierzył ją przed swymi lustrami. Z kąta pokoju obserwowała go z uniesionym pyskiem suczka.

Musiał poluźnić trochę pod pachami. Pozostało jeszcze kilka problemów dotyczących lamówki. Poza tym całość wyglądała bardzo przyjemnie. Była giętka, pięknie zbudowana, pełna życia. Widział już siebie, jak wspina się po szczeblach zjeżdżalni, szybko, jeszcze szybciej, tak szybko, jak tylko ma ochotę.

Przymierzając peruki Gumb zmieniał kilka razy oświetlenie dla uzyskania bardziej dramatycznego efektu. Na szyi zawiesił sobie przepiękny naszyjnik z muszli. Kiedy założy na swój nowy tors wyciętą głęboko suknię albo tiulową przezroczystą piżamę, efekt będzie piorunujący.

Kusiło go bardzo, żeby zabrać się do wszystkiego już teraz, żeby zająć się czymś naprawdę ważnym. Miał jednak zmęczone oczy. Chciał mieć absolutnie pewne ręce, a

poza tym mierzyła go myśl o nieuniknionym hałasie. Cierpliwie spruł wszystkie szwy i poukładał kawałki muślinu jeden na drugim. Doskonały wzór do wykrojów.

— Jutro, Skarbuniu — powiedział do suczki i wyjął wołowy mózdzek z zamrażarki. — To będzie pierwsza rzecz, do której się jutro zabierzemy. Mamusia będzie przepiękna, zobaczysz.

Rozdział 47

Clarice spała twardo przez pięć godzin. W środku nocy obudziły ją koszmary. Przygryzła skraj prześcieradła i przycisnęła dłonie do skroni, żeby przekonać się, że naprawdę się obudziła, że naprawdę stamtąd uciekła. Było cicho, nie krzyczały żadne owce. Kiedy upewniła się, że nie śni, serce zaczęło bić wolniej, ale stopy wciąż drżały jej pod kołdrą. Wiedziała, że już nie zaśnie.

Kiedy zamiast strachu pojawił się pałący gniew, sprawiło jej to raczej ulgę.

— Bzdury — powiedziała i wystawiła stopę spod kołdry.

W ciągu całego tego długiego dnia, kiedy to została wystrychnięta na dudka przez Chiltona, obrażona przez senatora Martin, wystawiona do wiatru, a potem ochrzaniona przez Krendlera, doprowadzona do ostateczności przez ucieczkę doktora Lectera, a na koniec odsunięta od sprawy przez Crawforda, jedna rzecz dotknęła ją najbardziej: to, że posądzono ją o kradzież.

Senator Martin jako matka przeżywała olbrzymi stres i miała serdecznie dosyć policjantów grzebiących w rzeczach jej córki. Nie myślała tego serio.

A jednak to posądzenie paliło Clarice niczym rozżarzona igła.

Kiedy była małym dzieckiem, nauczono ją, że kradzież jest najgorszą, najpodlejszą rzeczą, jakiej można się dopuścić, nie licząc gwałtu i morderstwa dla pieniędzy. W pewnych okolicznościach nawet zabójstwo nie jest tak nikczemne jak kradzież.

To właśnie w sierocińcu, gdzie o wiele łatwiej było o pusty brzuch niż o jakąkolwiek nagrodę, nauczyła się nienawidzić złodziei.

Leżąc w ciemności, ujrzała jeszcze jedną przyczynę, dla której posądzenie senatora Ruth Martin tak bardzo ją zabolowało.

Wiedziała, jak złośliwie i trafiając w samo sedno ująłby to doktor Lecter: bała się, że pani Martin dostrzegła w niej coś wulgarnego, zarazem taniego, co czyniło z niej złodziejkę już z racji samego wyglądu i na co tamta instynktownie zareagowała. Przeklęta, spasiona na cudzej krwi dziwka.

U źródeł tego kompleksu, dodałby z uśmiechem doktor Lecter, stoją klasowe przesady i stłumione urazy, które wyszała z mlekiem matki. Clarice nie ustępowała żadnym Martinom w wykształceniu, inteligencji, umiejętności znalezienia się i z pewnością w wyglądzie zewnętrznym, mimo to wciąż tkwił w niej kompleks niższości i dobrze o tym wiedziała.

Clarice należała do dumnego rodu, który choć pozbawiony miejsca

w herbarzu, miał swoją listę zasłużonych i swoje czarne owce. Wielu jego synów, wydziedziczonych w Szkocji i wygnanych głodem z Irlandii, imало się w przeszłości różnych niebezpiecznych zajęć. Niejeden bezimienny Starling przyplącił to życiem,

niejeden padł w okopach albo z zawiązanymi oczyma stanął przed plutonem egzekucyjnym. Niejednemu oddano pośmiertną cześć karabinowym salutem o chłodnym poranku, kiedy wszyscy marzą o tym tylko, by jak najszybciej znaleźć się w domu. Kilku pozostało we wdzięcznej pamięci swoich oficerów: opowiadali o nich ze łzami w oczach, tak jak po paru kielichach mówi się o wiernych myśliwskich psach. Nazwiska, które nie przeszły do potomności.

Z tego, co wiedziała, żaden ze Starlingów nie odznaczał się szczególnie wielką inteligencją, z wyjątkiem ciotecznej babki, która pisała przepiękny pamiętnik, a potem zapadła na „gorączkę mózgową”.

Ale cokolwiek by o nich mówić, nie kradli.

W Ameryce dostać się do dobrej szkoły to było coś i Starlingowie uczepili się tej myśli. Jeden z wujów Clarice kazał wyryć na swoim grobie tytuł magistra.

Przez wszystkie te lata, kiedy nie miała dokąd pójść, szkoła była dla Clarice Starling źródłem utrzymania, a główną jej bronią egzaminy konkursowe.

Wiedziała, jak sobie radzić. I potrafiła to robić, kiedy tylko zorientowała się, jak działa system: potrafiła zawsze znaleźć się w czołówce klasy, wśród wyróżnianych, chwalonych, stawianych za wzór. Nigdy nie oblała żadnego egzaminu.

Wszystko polegało na tym, żeby ciężko pracować i nie dać się zaskoczyć. Będzie miała dalej dobre oceny. Koreańczyk nie zagoni jej na śmierć podczas zajęć z wuefu. Jej nazwisko wyryją na wielkiej tablicy zasłużonych w hallu głównym w dowód uznania za wyniki w strzelaniu.

Za cztery tygodnie będzie agentem specjalnym Federalnego Biura Śledczego.

Czy do końca życia ma uważać na tego sukinsyna Krendlera?

W obecności senator Martin chciał umyć ręce od wszelkiej za nią odpowiedzialności. Za każdym razem, kiedy o tym myślała, czuła kłujące ją żądło. Nie był wcale pewien, że w kopercie znajduje się dowód rzeczowy. To było szokujące. Wyobrażając sobie teraz Krendlera, widziała go w grubych marynarskich butach, takich samych, jakie miał burmistrz, zwierzchnik jej ojca, kiedy przyszedł odebrać zegar nocnego strażnika.

Co gorsza, zaczął tracić w jej oczach Jack Crawford. Faceta

przytłaczał teraz zdecydowanie zbyt wielki ciężar. Wysłał ją, żeby sprawdziła samochód Raspaila bez żadnego wsparcia, bez żadnych widocznych oznak władzy. W porządku, zgodziła się tam pójść na tych warunkach — miała pecha i umoczyła sprawę. Ale Crawford powinien wiedzieć, że nie uda się jej uniknąć kłopotów, jeśli senator Martin zobaczy ją w Memphis; nie udałoby się ich uniknąć, nawet gdyby nie znalazła tych cholernych zdjęć.

Catherine Baker Martin leży teraz w takiej samej ciemności co ja. Myśląc o własnych sprawach Clarice na chwilę o tym zapomniała.

Za karę wyłoniły się teraz z mroku jaskrawe w kolorze, ostre obrazy minionych kilku dni. Za dużo było tam kolorów, kolory raziły oczy, wyskakiwały z czerni w blasku błyskawicy.

To Kimberly prześladowała ją teraz. Gruba, martwa Kimberly, która przekłuwała sobie uszy, żeby ładnie wyglądać, i kupowała z zaoszczędzonych pieniędzy zagraniczny krem do nóg. Kimberly, której włosy gdzieś przepadły. Kimberly, jej siostra. Starling nie

wyobrażała sobie, żeby Catherine Baker Martin mogła mieć dużo czasu dla kogoś takiego jak Kimberly. A teraz były duchowymi siostrami z tą Kimberly, leżącą w domu pogrzebowym pełnym młodych byczków z rezerwy stanowej.

Starling nie mogła na to dłużej patrzeć. Próbowwała odwrócić twarz, jak pływak, który chce zaczerpnąć powietrza.

Wszystkie ofiary Buffalo Billa były kobietami, miał obsesję na punkcie kobiet, sensem jego życia było polowanie na kobiety. Żadna kobieta nie wchodziła na stałe w skład tropiącej go ekipy. Żadna policjantka nie oglądała wszystkich jego ofiar.

Zastanawiała się, czy Crawford będzie miał dość zimnej krwi, żeby zabrać ją w charakterze asysty technicznej, kiedy pojedzie obejrzeć Catherine Martin. Bill „załatwi ją jutro”, przepowiedział Crawford. Załatwi ją. Załatwi ją. Załatwi.

— Pieprz to — powiedziała na głos Clarice i postawiła stopę na podłodze.

— Deprawujesz właśnie jakiegoś niedorozwiniętego umysłowo chłopaka, prawda? — odezwała się Ardelia Mapp. — Przemyciłaś go tu, kiedy spałam, a teraz wydajesz mu instrukcje. Nie myśl, że tego nie słyszę.

— Przepraszam, Ardelia, nie myślałam, że...

— Musisz być z nim bardziej konkretna, dziewczyno. To, co powiedziałaś, to za mało. Deprawacja kretynów jest niczym dziennikarstwo, musisz powiedzieć im co, kiedy, gdzie i jak. Myślę, że odpowiedź na pytanie „dlaczego?” wyjaśni się sama, w trakcie dalszych działań.

— Czy masz jakieś pranie?

— Zdawało mi się, że zapytałaś, czy mam coś do uprania.

— Tak. Zrobię chyba małą przepierkę. Co masz?

— Tylko te swetry, co wiszą na drzwiach.

— Okay. Zamknij oczy, zapalę na chwilę światło.

Taszcząc do pralni kosz z ubraniami, nie położyła na samym wierzchu notatek z czwartej poprawki do konstytucji — tematu czekającego ją w piątek egzaminu.

Położyła tam teczkę Buffalo Billa, grube na dwanaście centymetrów akta zbrodni i bólu, w płowóżółtej, podpisanej tuszem koloru krwi okładce. W środku włożony był luzem wydruk jej raportu na temat ćmy trupiej główki.

Nazajutrz miała oddać akta i jeśli chciała, żeby były kompletne, wcześniej czy później musiała wpiąć swój raport do środka. W ciepłej pralni, ukojona monotonnym sapaniem pralki, zdjęła z teczki spinające ją gumowe taśmy i starała się dołączyć raport nie patrząc na żadne zdjęcia, nie myśląc o tym, jakie nowe zdjęcia mogą się tu wkrótce pojawić. Na samym wierzchu była mapa, to dobrze. Nagle zobaczyła, że coś jest na niej napisane.

Przez niebieską toń Wielkich Jezior biegły równe rządki liter skreślonych eleganckim pismem doktora Lectera.

Clarice, czy przypadkowość tego wzoru nie wydaje ci się zbyt przesadna? Czy nie wydaje ci się on desperacko przypadkowy? Do tego stopnia przypadkowy, że aż niewygodny? Czy nie przypomina ci wymysłów nieudolnego kłamcy? Pa,

Hannibal

Lecter

PS. Możesz sobie darować przerzucanie reszty, nie ma tam nic więcej.

Przez dwadzieścia minut przewracała akta, kartka po kartce, żeby upewnić się, że nie ma tam nic więcej.

Potem zadzwoniła z automatu w hallu pod numer dyżurny i przeczytała treść notatki Burroughsowi. Zastanawiała się, czy nie wyrwała go ze snu.

— Muszę ci powiedzieć, Starling, że wartość rynkowa informacji Lectera spada dziś na łeb na szyję — powiedział Burroughs. — Czy Jack zadzwonił do ciebie i powiedział o Billym Rubinie?

— Nie.

Oparła się o ścianę i z zamkniętymi oczyma wysłuchiwała opowieści o żarcie doktora Lectera.

— Powtarzam, nie wiem nic na temat Rubina — oznajmił w końcu Burroughs. — Jack mówi, że będą nadal prowadzili poszukiwania w ośrodkach chirurgii płci, ale jak intensywne? Jeśli przypatrzeć się w komputerze, w jaki sposób formułowane są wyrazy hasłowe zapisów, widać, że wszystkie uzyskane od Lectera informacje, twoje i te z Memphis, charakteryzują się specyficznymi wyróżnikami. Wszystkie jego opowieści — i z Memphis, i z Baltimore — mogą zostać usunięte z pamięci komputera jednym naciśnięciem guzika. Sądzę, że Departament Sprawiedliwości ma to właśnie zamiar zrobić. Dostałem niedawno notatkę sugerującą, że robak w gardle Klausa pochodził, niech no spojrzę, ze „szczątków rozbitego okrętu”.

— Niech pan to jednak przekaże Crawfordowi — poprosiła.

— Oczywiście, puszczam to na jego terminal, ale nie będę teraz dzwonił. Ty też nie powinnaś. Przed chwilą zmarła Bella.

— Och — szepnęła.

— Słuchaj, teraz coś weselszego. Nasi chłopcy w Baltimore przyjrzeni się bliżej celi Lectera w szpitalu psychiatrycznym. Pomógł im ten pielęgniarz, Barney. Znaleźli miedziane opilki na łebku śruby mocującej pryczę. To tam zrobił sobie klucz do kajdanek. Trzymaj się, mała. Wyjdiesz z tego pachnąca jak róża.

— Dziękuję panu, panie Burroughs. Dobranoc.

Pachnąca jak róża. Z wkładkami zapachowymi Vicksa w nozdrzach.

Wstawał brzask ostatniego — jak przypuszczała — dnia w życiu Catherine Martin.

Co mógł mieć na myśli doktor Lecter?

Nie wiadomo było, co naprawdę wiedział. Kiedy dała mu akta, sądziła, że nacieszy się zdjęciami i użyje ich jako rekwizytu, opowiadając jej to, co i tak wiedział już wcześniej o Buffalo Billu.

Może okłamywał ją od samego początku, tak samo jak okłamał senator Ruth Martin. Może nic nie wie i niczego się nie domyśla na temat Buffalo Billa.

Ma cholernie przenikliwe spojrzenie — przejrzał mnie na wylot. Nie jest przyjemnie uprzytomnić sobie, że ktoś przejrzał człowieka na wylot i zarazem nie życzy mu dobrze. Clarice nie zdarzało się to do tej pory zbyt często.

Desperacko przypadkowy, napisał doktor Lecter.

Ona, Crawford i mnóstwo innych osób wielokrotnie oglądali mapę, na której kropkami zaznaczone były miejsca porwań i miejsca, gdzie wyłowione zostały zwłoki. Leżała teraz przed nią niczym mroczna konstelacja, obok każdej gwiazdy umieszczona była data. Słyszała, że w Sekcji Behawioralnej próbowano bez powodzenia nałożyć na nią znaki zodiaku.

Jeżeli doktor Lecter czytał akta tylko po to, żeby się rozerwać dlaczego robi sobie żarty z mapy? Mogła go sobie wyobrazić, jak kartkuje raporty wyśmiewając się z nieudolnych sformułowań niektórych autorów.

Miejsca porwań i miejsca, gdzie porzucone zostały ciała, nie układały się w żaden wzór, nie było żadnego związku w czasie z odbywającymi się w pobliżu konferencjami, włamaniami, kradzieżami strojów ani innymi przestępstwami o fetyszystycznym podłożu.

Stojąc w pralni obok wirującej suszarki, dziewczyna wodziła palcem po mapie. Tutaj porwanie, tam ciało. Tutaj drugie porwanie, tam ciało. Tutaj trzecie... ale zaraz, czy te daty są pomyłone. Nie, drugie ciało zostało odnalezione pierwsze.

Fakt ten został odnotowany bez żadnych dodatkowych uwag zamazanym tuszem obok kropki na mapie. Najpierw odkryto ciało drugiej porwanej. Unosiło się w Wabash River na przedmieściach Lafayette, w stanie Indiana, poniżej drogi międzystanowej numer 65.

Kobieta, której zaginięcie zgłoszono najpierw, porwana została w miejscowości Belvedere, niedaleko Columbus, w stanie Ohio. Odnaleziono ją o wiele później w Blackwater River, w stanie Missouri, obok Long Jack. Ciało było obciążone. Żadne inne nie było.

Ciało pierwszej ofiary zostało zatopione na odludziu. Ciało drugiej wrzucone do wody w górnym biegu rzeki powyżej miasta, gdzie można było oczekiwać szybkiego odnalezienia.

Dlaczego?

Tę, od której zaczął, dobrze ukrył, następnej już nie.

Dlaczego?

Co oznacza „desperacko przypadkowy”?

Pierwsza, pierwsza. Co mówił doktor Lecter o „pierwszej”? Jakie znaczenie ma cokolwiek, co powiedział?

Spojrzała na notatki, które nagryzmoła w samolocie z Memphis.

Doktor Lecter twierdził, że w aktach jest wystarczająca ilość materiału, żeby zlokalizować mordercę. „Cesarz zaleca prostotę”, mówił. Gdzie jest „pierwsza”, kiedy powiedział „pierwsza”? Tutaj: „pierwsze zasady”, ważne są pierwsze zasady. Kiedy to mówił, brzmiało to jak pretensjonalne bzdury.

Co on robi, Clarice? Co jest w tym, co on robi, najważniejsze, pierwsze, jaką potrzebę zaspokaja przez zabijanie? On pożąda. W jaki sposób zaczynamy pożądać? Pożądanie zaczyna się od tego, co widzimy wokół siebie na co dzień.

Łatwiej było myśleć o tym, co mówił doktor Lecter, kiedy nie czuło się jego oczu na sobie. Łatwiej było, kiedy siedziało się tu, w samym sercu Quantico.

Jeżeli pożądanie zaczyna się od tego, co widzimy wokół, czy Buffalo Bill zaskoczył sam siebie zabijając pierwszą ofiarę? Czy uśmiercił kogoś, kogo znał, kto był mu bliski?

Czy dlatego pierwsze zwłoki ukrył bardzo dobrze, a drugie byle jak? Czy porwał drugą daleko od domu i porzucił ją specjalnie w miejscu, w którym została szybko odnaleziona, ponieważ chciał czym prędzej wywołać wrażenie, że miejsca porwań są przypadkowe?

Kiedy myślała o jego ofiarach, zawsze stawiała jej przed oczyma Kimberly. Myślała o Kimberly Emberg, ponieważ oglądała ją martwą i w jakiś sposób się z nią utożsamiała.

Oto pierwsza ofiara. Fredrica Bimmel, dwadzieścia dwa lata, Belvedere, Ohio. W aktach były jej dwa zdjęcia. Na zdjęciu w indeksie wydawała się duża i niezbyt ładna. Miała gęste, zadbane włosy i zdrową cerę. Na drugiej fotografii, zrobionej w kostnicy Kansas City, nie przypominała ludzkiej istoty.

Clarice znowu zadzwoniła do Burroughsa. Nie był już taki miły, ale słuchał cierpliwie.

— Co masz do powiedzenia, Starling?

— Może on mieszka w Belvedere, w stanie Ohio, tam gdzie porwana została pierwsza ofiara. Może oglądał ją codziennie i zabił jakoś spontanicznie. Może zaprosił ją do siebie, żeby poczęstować coca-colą i porozmawiać o chórze kościelnym. Dlatego dobrze się napracował, żeby ukryć jej ciało, a potem porwał następną daleko od swego miejsca zamieszkania. Tej specjalnie nie ukrył, żeby została znaleziona pierwsza i odwróciła od niego uwagę. Wie pan, jak mało gliny się przejmują raportem o zaginięciu, dopóki nie odnajdzie się ciała.

— Starling, do takich miejsc trzeba wracać, kiedy ślad jest jeszcze świeży, kiedy ludzie lepiej pamiętają, a świadkowie...

— Właśnie to mówię. On sobie z tego świetnie zdaje sprawę.

— Nie zakradniesz się na przykład teraz do domu, w którym mieszkała jego ostatnia ofiara, Kimberly Emberg z Detroit, żeby nie zderzyć się w progu z policjantem. Odkąd zniknęła ta mała Martin, nagle wszyscy szalenie się zainteresowali Kimberly Emberg. Nagle robią z tego piekielną aferę. Nie słyszałaś tego, co powiedziałem, pamiętaj, Starling.

— Czy przekaze pan to panu Crawfordowi, to o pierwszym mieście?

— Oczywiście. Do diabła, puszcę to na gorącą linię, żeby wszyscy się dowiedzieli. Nie mówię, że źle to sobie wykombinowałaś, Starling, ale miejscowość została sprawdzona bardzo dobrze, zaraz po zidentyfikowaniu tej kobiety... jak ona się nazywała, Bimmel,

prawda?... więc zaraz po zidentyfikowaniu tej Bimmel. Byli tam ludzie z naszego biura w Columbus i mnóstwo policji lokalnej. Wszystko masz w aktach. Ale dziś rano nie zainteresujesz raczej nikogo miastem Belyedere ani żadną inną teorią doktora Lectera.

— Wszystko, co on...

— Posłuchaj. Robimy składkę na rzecz UNICEF, żeby uczcić pamięć Belli. Jeśli chcesz, umieszczę twoje nazwisko na liście.

— Oczywiście, dziękuję, że pan o tym pomyślał, panie Burroughs.

Clarice wyjęła ubrania z suszarki. Ciepłe pranie było przyjemne w dotyku i przyjemnie pachniało. Przycisnęła je mocno do piersi.

Jej matka z naręczem prześcieradeł.

Dzisiaj jest ostatni dzień życia Catherine.

Czarno-biała wrona kradnie rzeczy. Starling nie może jednocześnie być w pokoju i na

dworze, żeby ją przepłoszyć.

Dzisiaj jest ostatni dzień życia Catherine.

Włączając się do ruchu jej ojciec wystawiał rękę przez okno pick-upa. Nie używał kierunkowskazów. Bawiąc się na podwórku, wyobrażała sobie, że ma jego wielkie ramię i pokazywała pick-upowi, gdzie ma skręcić, zamasyżując wskazywała mu kierunek.

Kiedy postanowiła, co ma robić, z oczu pociekło jej kilka łez. Wtuliła twarz w ciepłe pranie.

Rozdział 48

Crawford wyszedł z domu pogrzebowego i rozglądał się za Jeffem, który miał na niego czekać w samochodzie. Zamiast Jeffa zobaczył pod markizą ciemno ubraną Clarice Starling, wyglądającą całkiem prawdziwie w świetle dnia.

— Niech pan mnie wyśle — powiedziała.

Crawford wybrał właśnie odpowiednią trumnę dla swojej żony i w rękę trzymał papierową torbę z jej butami, które zabrał ze sobą przez pomyłkę. Wziął się w garść.

— Proszę mi wybaczyć — mówiła Starling. — Nie przyszedłbym teraz, gdyby można było przyjść kiedy indziej. Niech pan mnie wyśle.

Crawford zacisnął dłonie w kieszeniach i poruszył głową w kołnierzyku, aż coś chrupnęło mu w karku. Spojrzenie miał bystre, jakby niebezpieczne.

— Gdzie mam cię wysłać?

— Wysłał mnie pan, żebym poznała bliżej Catherine Martin... niech mi pan pozwoli jechać tam, gdzie mieszkały inne. Wszystko, co nam zostało, to odkryć, w jaki sposób on na nie poluje. Jak ich szuka,

jak je znajduje. Jestem tak samo dobra, jak każdy z pańskiego personelu, a w pewnych sprawach lepsza. Ofiarami są wyłącznie kobiety, a do tej sprawy nie jest przydzielona żadna policjantka. Kiedy wejdę do pokoju, w którym mieszka kobieta, potrafię o niej powiedzieć trzy razy tyle, co każdy mężczyzna, i pan wie, że to prawda. Niech pan mnie wyśle.

— Godzisz się na powtórzenie semestru?

— Tak.

— Sześć miesięcy życia, tyle cię to będzie prawdopodobnie kosztować.

Nie odpowiedziała.

Crawford trącił butem trawę. Popatrzył na nią, na preię, którą widać było w jej oczach. Miała kręgosłup, jak Bella.

— Ód kogo zaczniesz?

— Od tej, która była pierwsza, od Fredriki Bimmel, z Belvedere, w stanie Ohio.

— Nie od Kimberly Emberg, tej, którą widziałaś?

— On od niej nie zaczął. — Wspomnieć o Lecterze? Nie. Widział to i tak na monitorze.

— Gdybyś wybrała Emberg, byłby to wybór powodowany emocjami, prawda, Starling? Dostaniesz zwrot kosztów. Masz jakieś pieniądze? — Banki otwierają dopiero za godzinę.

— Mam trochę na karcie kredytowej.

Crawford pogrzebał w kieszeniach. Dał jej trzysta dolarów gotówką i własną kartę kredytową.

— Jedź, Starling. Tylko do tej, która była pierwsza. Nadawaj teleksem. I zadzwoń do mnie.

Podniosła rękę na pożegnanie. Nie dotknęła ani jego twarzy, ani dłoni, nie było na nim miejsca, którego byłaby w stanie dotknąć. Obróciła się i pobiegła do swego pinto.

Kiedy odjeżdżała, Crawford pomacał się po kieszeniach. Oddał jej wszystko, do ostatniego centa.

— Mała potrzebuje nowej pary butów — powiedział. — Moja mała nie potrzebuje już żadnych butów. — Stał i płakał na środku chodnika, po twarzy ciekły mu strugi łez, wielki szef sekcji FBI, teraz bezradny jak małe dziecko.

Jeff zobaczył z daleka jadąc samochodem błyszczące policzki szefa i skręcił w przecznice, by Crawford go nie dostrzegł. Wysiadł z samochodu. Zapalił papierosa i z furią wciągał dym do płuc. To był jego prezent dla szefa. Poczeka tutaj, aż Crawford wypłacze się, wysmarka i uspokoi, aż będzie w stanie zmyć mu głowę za spóźnienie.

Rozdział 49

Rankiem czwartego dnia Gumb gotów był do działania.

Wrócił z zakupów ostatnich rzeczy, jakie były mu potrzebne, i z trudem powstrzymywał się, żeby od razu nie zbiec do piwnicy. Wypakował torby w pracowni. Była tam nowa podkładka do ściegu ukośnego, elastyczne wkładki firmy Lycra do umieszczenia pod rozcięciami i pudełko soli z mikroelementami. Nie zapomniał o niczym.

W warsztacie, obok zlewu, poukładał na czystym ręczniku noże. Miał ich cztery: specjalny garbarski nóż z zakrzywionym ostrzeniem, delikatny cienki nożyk, którego ostrze znakomicie przylegało do palca wskazującego w trudno dostępnych miejscach, chirurgiczny skalpel do precyzyjnej roboty i bagnet z pierwszej wojny światowej. Zaokrąglonym ostrzem tego ostatniego najlepiej oddzielało się skórę od mięśni.

Miał jeszcze specjalną piłę Stryckera do sekcji, ale prawie jej nie używał i żałował poniesionego wydatku.

Natłuścił i natarł grubą solą głowę stojaka do peruk, a potem postawił go w płytkim garnku, żeby ociekł. Uszczypnął głowę w nos i przesłał jej z dłoni figlarny pocałunek.

Trudno mu było zachowywać się rozważnie — miał ochotę fruwać w powietrzu. Zaśmiał się i dmuchnął delikatnie na ćmę, która chciała usiąść mu na twarzy.

Czas uruchomić pompy, które napelniają akwaria świeżym rozpuszczalnikiem. Czy w ziemi, którą wyłożone było dno klatki, nie kryje się przypadkiem piękna poczwarka? Pogrzebał palcem. Tak, była.

Teraz pistolet.

Problem uśmiercenia „materiału” od kilku dni nie dawał Gumbowi spokoju. Powieszenie nie wchodziło w grę, nie chciał, aby wystąpiło zasinienie piersi, poza tym węzeł mógł zedrzeć skórę za uszami.

Gumb wyciągał wnioski z każdego ze swych poprzednich eksperymentów, czasami odbywało się to dość bolesnym kosztem. Tym razem zdecydowany był uniknąć

koszmarnych przeżyć, których doświadczył w przeszłości. Zasada podstawowa brzmiała: niezależnie od tego, jak bardzo ofiary osłabione są głodem i sparaliżowane strachem, zawsze podejmują walkę, kiedy zobaczą sprzęt.

Dawniej wyposażony w gogle oraz latarkę do podczerwieni polował na młode kobiety w swoich zaciemnionych piwnicach i było to coś wspaniałego. Patrzył, jak macają przed sobą drogę, jak próbują chować się po kątach. Lubił polować na nie z pistoletem. Zawsze traciły w końcu orientację, przewracały się, wpadały na różne przedmioty. Stał w kompletnych ciemnościach, na oczach miał swoje gogle i czekał, aż odejmą dłonie od twarzy i będzie mógł strzelić im prosto w głowę. Albo najpierw w nogi, pod kolanami, żeby jeszcze mogły się czołgać.

To była dziecinada i marnotrawstwo. Nie nadawały się potem do niczego i w końcu całkowicie zaprzestał tych praktyk.

W swojej obecnej działalności pierwszym trzem zaproponował, żeby wzięły prysznic na górze, a potem strącił je ze schodów z węzłem zaciągniętym na szyi. Wszystko szło gładko. Ale z czwartą była prawdziwa katastrofa. Musiał użyć pistoletu w łazience. Potem posprzątanie zajęło mu całą godzinę. Pomyślał o tej dziewczynie, całej mokrej, pokrytej gęsią skórką, o tym, jak się trzęsa, kiedy odbezpieczył pistolet. Lubił go odbezpieczać, klik klik, jedno głośnie bang, i po kłopotcie.

Lubił swój pistolet i miał słuszną rację. Była to rzeczywiście bardzo ładna sztuka, niklowany Colt Python z sześciostrzałowym magazynkiem. Cały mechanizm pistoletu został przerobiony w warsztatach Colta i trzymało się go w ręce z prawdziwą przyjemnością. Odbezpieczył go teraz i zabezpieczył z powrotem, przyciskając kurek kciukiem. Załadował pythona i położył na blacie warsztatu.

Gumb miał wielką ochotę zaproponować jej umycie włosów szamponem, żeby popatrzeć, jak je potem rozczesuje. Wiele mógłby się wtedy dowiedzieć o tym, jak układają się na głowie i jak czesać je samemu. Ale ta była wysoka i prawdopodobnie silna, przy tym zbyt wyjątkowa, żeby ryzykować całość materiału ranami postrzałowymi.

Nie, urządzi to wszystko inaczej. Przyniesie z łazienki składaną windę i zaproponuje jej kąpiel. Poczeka, aż bezpiecznie usadowi się w pętli, podciągnie ją do połowy wysokości szybu i strzeli kilka razy w dolną część kręgosłupa. Po utracie przez nią świadomości zakończy sprawę chloroformem.

Tak właśnie robi. A teraz pójdzie na górę i zdejmie ubranie. Obudzi Skarbunię i obejrzą razem program wideo. A potem nagi, w ciepłej piwnicy, nagi jak w chwili, gdy się urodził, zabierze się do dzieła.

Kiedy wspinał się po schodach, kręciło mu się w głowie. Szybko zrzucił z siebie ubranie, założył szlafrok i wsunął kasetę do magnetowidu.

— Skarbuniu, chodź tutaj, Skarbuś. Dużo, dużo roboty mamy dzisiaj. Chodź, kochanie. — Podczas hałaśliwej części operacji zamknie pudełkę w sypialni na piętrze. Nie znosiła hałasu, była potem strasznie przygnębiona. Żeby ją czymś zająć, kupił jej całe pudełko psich czekoladek.

— Skarbunia! — Nie przychodziła, więc zawołał na nią w przedpokoju, potem w kuchni i w piwnicy. Kiedy zawołał przy drzwiach pomieszczenia, w którym znajdowała się studnia, usłyszał odpowiedź.

— Ona jest tutaj, na dole, ty sukinsynu — odezwała się Catherine Martin.

Gumbem targnęła straszliwa obawa o Skarbunię. Zrobiło mu się niedobrze. Potem ogarnął go gniew. Z pięściami przyciśniętymi do skroni oparł czoło o framugę i starał się odzyskać wewnętrzną równowagę. W przerwie między nudnościami wyrwał mu się z gardła jęk. Suczka odpowiedziała skomleniem.

Przeszedł do warsztatu i wziął pistolet.

Sznur od wiadra był urwany. Nadal nie pojmował, jak udało jej się to zrobić. Ostatnim razem, kiedy go urwała, doszedł do wniosku, że zrobiła to podczas absurdalnej próby wspięcia się po nim do góry. Próbowaly się wspinać wcześniej i inne — robiły najgłupsze rzeczy, jakie można sobie wyobrazić.

Odsunął pokrywę.

— Skarbunia, czy wszystko z tobą w porządku? Odpowiedz! — starał się panować nad swoim głosem.

Catherine uszczypnęła psa w tłusty zadek. Zaskomlał i odwzajemnił się gryząc ją w ramię.

— No i co? — zapytała Catherine.

Rozmawiać w ten sposób z Catherine wydawało się Gumbowi rzeczą prawie nie do pomyślenia, opanował jednak ogarniający go wstręt.

— Spuszczę na dół wiadro. Włóżysz ją do środka.

— Spuści pan na dół telefon albo skręcę jej kark. Nie chcę panu zrobić nic złego i nie chcę skrzywdzić psa. Niech pan mi tylko da telefon.

Gumb podniósł pistolet. Catherine ujrzała wydłużający się w świetle cień lufy. Kucnęła trzymając psa nad głową, przesuając go tak, aby znajdował się cały czas między nią a pistoletem. Usłyszała zgrzyt odbezpieczanego zamka.

— Strzelaj, sukinsynu, zabij mnie szybko albo skręcę jej kark. Na Boga, zrobię to, przysięgam.

Wsadziła sobie psa pod pachę, objęła go za szyję i zadarła łeb do tyłu.

— Cofnij się, draniu. — Suczka zaskomlała. Ręka z pistoletem zniknęła z pola widzenia.

Wolną dłońią Catherine zgarnęła włosy z mokrego od potu czoła.

— Nie miałam zamiaru pana obrazić — powiedziała. — Niech pan tylko opuści tutaj telefon. Chcę mieć podłączony do gniazdka telefon. Pan może sobie stąd iść. Nie dbam o pana, nigdy pana nie widziałam. Zaopiekuję się Skarbunia.

— Nie.

— Dopilnuję, żeby jej niczego nie zabrakło. Niech pan pomyśli o niej, nie tylko o sobie. Jeśli pan tutaj strzeli, ona ogłuchnie, niezależnie od tego, co jeszcze się zdarzy. Chcę tylko podłączonego do gniazdka telefonu. Niech pan weźmie przedłużacz, niech pan weźmie pięć albo sześć przedłużaczy i połącz je razem, one mają odpowiednie wtyczki na końcu, i niech pan spuści tu telefon. Prześlę panu psa pocztą lotniczą. W mojej rodzinie są psy. Moja matka kocha psy. Może pan uciekać, nie dbam o to, co pan robi.

— Nie dostaniesz więcej ani kropli wody.

— Więc ona też nie dostanie, a ja nie dam jej nic z mojej butelki. Przykro mi to mówić, ale wydaje mi się, że złamała sobie nogę. — Było to kłamstwo, mały piesek razem z

zawierającym przynętę wiadrem spadł na Catherine i to ona ucierpiała najbardziej, bo zadrapał jej policzek pazurami. Nie mogła postawić suczki na ziemi, żeby nie zobaczył, że wcale nie kuleje. — Bardzo ją boli. Jej łapa jest cała wykrzywiona i ciągle ją liże. Niedobrze mi się od tego robi — kłamała Catherine. — Muszę ją zanieść do weterynarza.

Jęk bóleści i gniewu wydarł się z gardła Gumba. Mała suczka zaskomlała w odpowiedzi.

— Uważasz, że bardzo ją boli — powiedział Gumb. — Ty jeszcze nie wiesz, co to jest ból. Jeśli ją skrzywdzisz, żywcem cię ugotuję.

Słyszając, jak idzie po schodach na górę, Catherine siadła na ziemi. Ramiona i nogi drgały jej w gwałtownych skurczach. Nie mogła utrzymać psa, nie mogła utrzymać butelki z wodą, nie mogła utrzymać w rękach niczego.

Kiedy mała suczka wdrapała się jej na brzuch, przytuliła ją, wdzięczna za ciepło.

Rozdział 50

Na powierzchni tłustej, brunatnej wody unosiły się drobne, kręcone pióra, przywiane z gołębników. Podmuchy wiatru marszczyły skórę rzeki.

Podwórka domów przy Fell Street, ulicy, przy której mieszkała w Belvedere Fredrica Bimmel, kończyły się na rozlewiskach i bagnach Licking River i dlatego pewnie nieruchomości oznaczone były w katalogach jako położone nad wodą. Stodwunastotysięczne Belvedere leży w wyludniającym się tak zwanym Rdzawym Pasie, na wschód od Columbus, w stanie Ohio.

Okolica była zaniedbana, domy stare i duże. Niektóre z nich kupiły za tanie pieniądze młode małżeństwa i pomalowały świeżą farbą. Pozostałe wyglądają przez to jeszcze gorzej. Dom Bimmelów nie był pomalowany.

Clarice Starling przystanęła na chwilę na podwórku Fredriki i patrzyła na unoszące się na wodzie pióra. Ręce wcisnęła głęboko w kieszenie płaszcza. Dzień był niezbyt mroźny, wśród trzciny leżało trochę rozmokłego, odbijającego błękit nieba śniegu.

Za sobą słyszała ojca Fredriki przybijającego coś młotkiem w jednym z gołębników. Ptaki miały tu dla siebie całe miasto, prawdziwe gołębie Orvieta. Klatki rozciągały się od skraju wody prawie po sam dom. Nie widziała się jeszcze z panem Bimmelem. Wiedziała od sąsiadów, że tam jest. Kiedy o tym mówili, trudno było wyczytać coś z ich twarzy.

Clarice miała trochę kłopotów z samą sobą. Wtedy, w nocy, gdy postanowiła, że musi opuścić Akademię, aby ścigać Buffalo Billa, umilkły prawie wszystkie osaczające ją niespokojne głosy. Poczula, jak ogarnia ją nie znana dotąd cisza, cisza i spokój. Teraz, gdy znalazła się w innym miejscu, wydawało jej się chwilami, że wybrała się na beznadziejnie głupie wagar.

Nie reagowała na drobne przykrości tego poranka: zaczepki gimnazjalistów w samolocie do Columbus ani głupstwa, które wygadywał urzędnik w biurze wynajmu samochodów. Potraktowała go ostro, ale w gruncie rzeczy wcale się nie przejęła.

Zapłaciła wysoką cenę za to, że tu była, i zamierzała wykorzystać swój czas, jak mogła najlepiej. Ten czas mógł się skończyć w każdej chwili, wystarczyło, aby ktoś

unieważnił decyzję Crawforda i wycofał jej pełnomocnictwa.

Powinna się śpieszyć. Uświadomienie sobie jednak przyczyny pośpiechu, zastanawianie się nad położeniem, w jakim znajduje się teraz Catherine, oznaczać mogło tylko kompletne zmarnowanie całego dnia. Myśl, że w tej właśnie chwili poddawana jest ona zabiegom podobnym do tych, które spotkały Kimberly Emberg i Fredrikę Bimmel, odsuwała na bok wszelkie inne rozważania.

Bryza ustała, woda była nieruchoma jak śmierć. Na gładką taflę, niedaleko jej stóp, opadło piórko. Wyłączył się, Catherine.

Przygryzła wargę. Jeśli ją zastrzelił, miała nadzieję, że zrobił to w fachowy sposób.

Naucz nas dbać i nie dbać. Naucz nas milczeć.

Odwróciła się ku pochylonym gołębnikom i weszła między nie, idąc po rzuconych w błoto deskach w kierunku, skąd dochodził odgłos młotka. Gołębi były setki, najróżniejszych rozmiarów i kolorów: były tam wysokie kuraki na zgiętych łapach i garłacze z wysuniętymi do przodu pierściami. Miały jasne oczy, chodząc po klatkach bez przerwy kiwały łebkami. Kiedy je mijiała, rozkładały w bladym słońcu skrzydła i wydawały przyjemne głosy.

Ojciec Fredriki, Gustav Bimmel, był wysokim, niemrawym mężczyzną o szerokich biodrach i wodnistych, niebieskich oczach otoczonych czerwonymi obwódkami. Stał przed szopą i montował kolejny, oparty na kozłach gołębnik. Kiedy pochylił się, żeby popatrzeć na jej legitymację, poczuła od niego alkohol.

— Nie wiem nic nowego, co mógłbym pani powiedzieć — oświadczył. — Przedwczoraj była tu znowu policja. Odczytali mi jeszcze raz całe moje zeznanie. „Czy to się zgadza? Czy to się zgadza?” Tak, do diabła, powiedziałem, gdyby się nie zgadzało, tobym tego nie mówił za pierwszym razem.

— Staram się ustalić, gdzie porywacz mógł zobaczyć Fredrikę, panie Bimmel. Gdzie wpadła mu w oko, gdzie postanowił, że ją porwie.

— Pojechała do Columbus autobusem, żeby dowiedzieć się, czy nie ma tam dla niej pracy w sklepie. Policja mówi, że była tam i rozmawiała z kierowniczką. Ale do domu już nie wróciła. Nie wiemy, gdzie jeszcze mogła pójść tamtego dnia. Ludzie z FBI sprawdzili, czy nie używała tego dnia swojej karty kredytowej, ale nie, niczego nie kupowała. Pani to wszystko wie, prawda?

— O karcie kredytowej tak, wiem. Czy zatrzymał pan rzeczy Fredriki, panie Bimmel, czy są tutaj jeszcze?

— Jej pokój jest na samej górze.

— Czy mogłabym tam zajrzeć?

Chwilę trwało, zanim zdecydował, gdzie ma położyć swój młotek.

— Dobrze — powiedział. — Proszę za mną.

Rozdział 51

Gabinet Jacka Crawforda w waszyngtońskiej siedzibie FBI pomalowany był na

deprymujący, szary kolor; miał za to duże okna.

Crawford stał przy jednym z nich i obracał do światła maszynopis, wydrukowany niewyraźnie na przekłętej zdezelowanej drukarce, którą dawno temu kazał już wyrzucić.

Przyszedł tutaj prosto z domu pogrzebowego i cały ranek pracował molestując Norwegów, aby pospieszyli się z wysłaniem

karty stomatologicznej zaginionego marynarza o imieniu Klaus, ponagając gliniarzy z San Diego, żeby sprawdzili znajomych Benjami-na Raspaila z konserwatorium z czasów, kiedy tam uczył, i wierząc dziurę w brzuchu urzędnikom celnym, którzy mieli sprawdzić przypadki naruszenia przepisów importowych dotyczących żywych owadów. Pięć minut po jego przyjściu do gabinetu wsunął głowę zastępca dyrektora FBI, szef nowo utworzonej międzywydziałowej grupy dochodzeniowej, John Golby.

— Jack — powiedział. — Wszyscy myślami jesteśmy z tobą. Doceniamy, że przyszedłeś do biura. Czy ustalono już termin nabożeństwa?

— Czuwanie jest jutro wieczorem. Nabożeństwo w sobotę o jedenastej.

Golby kiwnął głową.

— Tworzymy specjalny fundusz UNICEF, Jack, żeby uczcić pamięć Belli. Chcesz, żeby nosił imię Phyllis czy Belli? Zrobimy tak, jak sobie życzysz.

— Belli. Dajcie mu imię Belli, John.

— Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, Jack? Crawford potrząsnął głową.

— Chcę normalnie pracować. Powinienem zabrać się do roboty.

— Wspaniale — rzekł Golby. Odczekał odpowiednią chwilę. — Frederick Chilton poprosił o ochronę federalną.

— Załatwione. John, czy ktoś z Baltimore rozmawiał z Everettem Yow, adwokatem Raspaila? Wspominałem ci o nim. Może coś wiedzieć o przyjaciółach Raspaila.

— Tak, zajmują się tym właśnie teraz. Przed chwilą wysłałem Burroughsowi notatkę na ten temat. Dyrektor umieścił Lectera na liście najbardziej poszukiwanych. Gdybyś czegoś potrzebował, Jack... — Golby uniósł brwi, potem dłoń i wycofał się z pola widzenia.

Gdybyś czegoś potrzebował...

Crawford odwrócił się do okien. Z jego gabinetu roztaczał się wspaniały widok. Na wprost stał piękny, stary budynek, w którym niegdyś mieścił się urząd pocztowy i w którym odbył część swego szkolenia. Po lewej stronie widać było starą kwaterę główną FBI. Kiedy wręczano im dyplomy, przedefilował razem z innymi przez gabinet J. Edgara Hoovera. Hoover stał na małym podwyższeniu i ścisnął im po kolei ręce. Crawford spotkał się z nim wtedy po raz pierwszy i ostatni. Następnego dnia poślubił Bellę.

Spotkali się w Livorno, we Włoszech. On służył w armii, ona wchodziła w skład personelu NATO i miała jeszcze wtedy na imię Phyllis. Przechadzali się po nabrzeżu i jakiś żeglarz krzyknął przez

połyskującą tafelę wody „Bella”. Od tego czasu była dla niego zawsze Bella. Nazywał ją Phyllis tylko wtedy, kiedy się kłócili.

Bella nie żyje. Razem z jej śmiercią powinien zmienić się widok z tych okien. To nie w porządku, że ciągle jest ten sam. Ten widok powinien dla mnie przestać istnieć. Jezus, dziecińko moja. Wiedziałem, że to przyjdzie, ale to tak boli.

Co mówi się o przymusowym przejściu na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat? Zakochałeś się w Biurze, niestety bez wzajemności. Takie sytuacje widział nieraz.

Dzięki Bogu, uchroniła go przed tym Bella. Miał nadzieję, że istnieje gdzieś teraz i że jest jej nareszcie dobrze. Miał nadzieję, że patrzy w jego serce.

Zabrzączał telefon z sekretariatu.

— Panie Crawford, doktor Danielson z...

— Łączyć. — Wcisnął guzik w aparacie. — Tu Jack Crawford, doktorze.

— Czy na tej linii nie ma podsłuchu, panie Crawford?

— Z mojej strony na pewno nie.

— Nie nagrywa pan naszej rozmowy?

— Nie, doktorze. Proszę powiedzieć, co panu leży na sercu.

— Chcę zdecydowanie podkreślić, że to nie ma nic wspólnego z żadnym pacjentem, który kiedykolwiek leczony był w klinice Johnsa Hopkinsa.

— Rozumiem.

— Jeśli coś z tego wyniknie, chcę, żeby pan oznajmił publicznie, że ten człowiek nie jest transseksualistą i nie ma nic wspólnego z naszą instytucją.

— Oczywiście. Obiecuję to panu. Absolutnie. — Szybciej, wykrztuś to z siebie wreszcie, ty nadęty gnojku. W tym momencie Crawford obiecałby mu wszystko.

— Pobił doktora Purvisa.

— Kto, doktorze Danielson?

— Złożył podanie trzy lata temu jako John Grant z Harrisburga, w stanie Pensylwania.

— Rysopis?

— Typ kaukaski, miał wtedy trzydzieści jeden lat. Sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, osiemdziesiąt sześć kilogramów. Przyszedł na testy i uzyskał bardzo dobre wyniki w skali inteligencji Wechslera. Ale testy psychologiczne i rozmowa wykazały zupełnie co innego. Jego rysunki domu, drzewa i osoby były identyczne z tymi, jakie pan dostarczył. Pozwolił mi pan wierzyć, że autorem tej całej teoryjki jest Alan Bloom, ale w rzeczywistości był nim Hannibal Lecter, prawda?

— Proszę, niech pan mówi dalej o Grancie, doktorze.

— Komisja i tak by go odrzuciła, ale zanim odbyło się posiedzenie, sprawa stała się nieaktualna, ponieważ wyszły na jaw pewne jego sprawy z przeszłości.

— W jaki sposób?

— Zasięgamy rutynowo języka na temat kandydata w jego miejscu zamieszkania. Policja w Harrisburgu poszukiwała go za dwa napady na homoseksualistów. Ten ostatni o mało nie zakończył się tragicznie. Natrafiliśmy na adres pewnego hoteliku, w którym bywał od czasu do czasu. Policja zdjęła tam jego odciski palców i znalazła kredytowy kwit na benzynę z numerami jego prawa jazdy. Nie nazywał się wcale John Grant, nazwisko było zmyślane. Jakiś tydzień później zaczął się koło budynku i pobił doktora Purvisa, tak po prostu, z czystej złośliwości.

— Jak brzmi jego nazwisko, doktorze Danielson?

— Lepiej je panu przeliteruję. Nazywa się J-A-M-E G-U-M-B.

Rozdział 52

Trzypiętrowy dom Fredriki Bimmel był wysoki i wąski. Na krytym papą dachu, w miejscach gdzie przeciekały rynny, widniały rdzawe plamy. Rosnące w rynnach samosiejki klonu całkiem dobrze znosiły zimę. Okna od północnej strony zasłonięte były płachtami folii.

W małym, nagrzanym od piecyka saloniku siedziała na dywanie kobieta w średnim wieku i bawiła się z niemowlęciem.

— Moja żona — oznajmił Bimmel, kiedy przechodzili przez salonik. — Pobraliśmy się na Boże Narodzenie.

— Dzień dobry — powiedziała Clarice. Kobieta posłała w jej kierunku nieokreślony uśmiech.

W hallu było znowu zimno. Wszędzie stały poukładane jedne na drugich kartonowe pudła, wypełniały całe pokoje, porobione były między nimi tylko wąskie przejścia. Kartony z abażurami i blaszanymi pokrywkami, kosze na wiktuały, stare numery *Reader's Digest* i *National Geographic*, stare rakiety tenisowe z grubą rączką, pościel, pudełko do gry w strzałki i zalatujące intensywnym zapachem mysiego moczu samochodowe pokrowce w szkocką kratę.

— Niedługo się wyprowadzamy — powiedział pan Bimmel.

Rzeczy stojące blisko okna wyblakły od słońca, pudła stały tam od lat i wybrzuszyły się z biegiem czasu. W przejściach, to tu, to tam, leżały wytarte do cna dywaniki.

Promienie słońca rzucały cętki na balustradę. Clarice wspinała się po schodach idąc za ojcem Fredriki. W zimnym powietrzu jego ubranie zalatywało stęchlizną. Widziała słońce prześwitujące przez pochyły dach nad klatką schodową. Poustawiane na podestach kartony przykryte były folią.

Niewielki pokój Fredriki znajdował się na trzecim piętrze, na poddaszu.

— Potrzebuje mnie pani jeszcze?

— Później chciałabym z panem porozmawiać. Co stało się z matką Fredriki? — W aktach sprawy było napisane „zmarła”, nie sprecyzowali kiedy.

— Co to znaczy, „co stało się z matką”? Umarła, kiedy Fredrica miała dwanaście lat.

— Rozumiem.

— Pani myślała, że tam, na dole, to była jej matka? Po tym, jak powiedziałem, że pobraliśmy się na Boże Narodzenie? Tak sobie pani pomyślała? Przypuszczam, że policja ma na ogół do czynienia z ludźmi zupełnie innego pokroju, panienko. Ona w ogóle nie знаła Fredriki.

— Czy w pokoju nic się nie zmieniło od czasu, kiedy opuściła go Fredrica, panie Bimmel?

Gniew wyparował gdzieś z niego.

— Tak — odparł miękko. — Zostawiliśmy wszystko, jak było. Na nikogo nie pasują jej rzeczy. Może pani włączyć grzałkę, jeśli pani chce. Niech pani tylko nie zapomni jej wyłączyć przed wyjściem.

Nie chciał oglądać tego pokoju. Zostawił ją na podeście.

Clarice Starling przystanęła przez chwilę z ręką opartą na porcelanowej klamce. Musiała się trochę skoncentrować, zanim jej głowę wypełnią sprawy Fredriki.

W porządku, założenie jest takie, że Buffalo Bill załatwił Fredrikę pierwszą, obciążył jej zwłoki i ukrył, jak mógł najlepiej, w rzece, daleko od domu. Ukrył ją lepiej od innych — była jedyną, której ciało obciążył — ponieważ chciał, żeby najpierw odnalezione zostały jego późniejsze ofiary. Chciał ugruntować opinię, że wybór ofiar i miejsca ich porwań są zupełnie przypadkowe, ugruntować ją, zanim ktoś natrafi na ciało Fredriki Bimmel z Belvedere. Ważne było, żeby odwrócić uwagę od Belvedere. Ponieważ tutaj właśnie mieszka Bill, tutaj albo w Columbus.

Zaczął od Fredriki, ponieważ pożył jej skóry. Pożądanie nie zaczyna się od rzeczy wymyślonych. Pożądanie jest grzechem bardzo konkretnym — zaczynamy pożądać tego, co możemy dotknąć, zaczynamy pożądać tego, co widzimy na co dzień. Oglądał Fredrikę w swoim codziennym życiu. Oglądał ją w jej codziennym życiu.

Jak wyglądało codzienne życie Fredriki? W porządku...

Starling pchnęła do środka drzwi. To było tutaj, w tym cichym pokoju pachnącym pleśnią. Zawieszony na ścianie zesłoroczny kalendarz na zawsze zatrzymał się w kwietniu. Fredrica nie żyła od dziesięciu miesięcy.

Na spodeczku w kącie leżało zeschnięte i szerniałe jedzenie dla kota.

Clarice, weteranka podwórkowych wyprzedazy, stanęła na środku pokoju i obróciła się powoli na pięcie. Biorąc pod uwagę to, czym dysponowała, Fredrica całkiem przyjemnie się tu urządziła. Zastłony były z kretonu w kwiatki. Sądząc po oblamowanych brzegach, uszyła je ze starych pokrowców na meble.

Na ścianie wisiała tablica z przypiętą do niej na górze szarfą. Na szarfie widniał wydrukowany błyszczącymi literami napis: BHS BAND. Obok był plakat Madonny, a także Deborah Harry i Blondie. Na półce nad biurkiem zauważyła rolkę samoprzylepnej tapety o takim samym desenie, jak ta, którą Fredrica wyłożyła ściany pokoju. Nie był wytapetowany idealnie, ale i tak lepiej, niż zrobiła to Clarice za pierwszym razem.

W przeciętnym domu pokój Fredriki mógłby zostać uznany za pogodny. W tym opuszczonym otoczeniu wrażenie było przejmujące, jego wygląd miał w sobie coś z desperacji.

Nigdzie na widocznym miejscu nie było fotografii Fredriki.

Odnalazła dopiero jej zdjęcie w roczniku szkolnym, leżącym na niewielkiej szafce z książkami. Zajęcia pozaszkolne: chór, klub gospodarstwa domowego, szycie, zespół, klub 4-H — może pod nazwą 4-H zakodowane było dogłądanie gołębi.

Wiele podpisów. „Mojej wielkiej przyjaciółce”, „wspaniałej dziewczynie”, „koleżance z chemii”, „pamiętasz, jak sprzedawaliśmy razem bułki?!!”

Czy Fredrica przyprowadzała tutaj swoich przyjaciół? Czy miała kogoś, z kim się przyjaźniła na tyle blisko, żeby poprowadzić go w górę tymi schodami pod przeciekającym dachem? Przy drzwiach stała parasolka.

Popatrz na to zdjęcie Fredriki, stoi tutaj w pierwszym rzędzie swojej klasy. Jest szeroka i gruba, ale mundurek ma dopasowany lepiej niż inne. Jest duża i ma przepiękną skórę. Przyjemna twarz o nieregularnych rysach. Nawet wedle przeciętnych upodobań trudno uznać ją za atrakcyjną.

Kimberly Emberg też trudno było uznać za ponętą, w każdym razie nie w oczach bezmyślnej bandy z college'u. Żadna z nich nie miała chłopaka.

Jednakże Catherine Martin mogła śmiało uchodzić za atrakcyjną dziewczynę. Duża, przystojna, młoda kobieta. Kiedy dobiegnie trzydziestki, będzie musiała zrzucić trochę kilogramów.

Pamiętaj, on nie patrzy na kobiety w normalny sposób, tak jak patrzą na nie inni mężczyźni. Atrakcyjne według powszechnych kanonów dla niego się nie liczą. Mają być po prostu gładkie i duże.

Clarice zastanawiała się, czy myśląc o kobietach nazywa je „skóry”, podobnie jak niektórzy kretyni mówią o nich „dupy”.

Każdym nerwem swej dłoni rejestrowała szczegóły zdjęcia ze szkolnego rocznika. Czuła pod palcami całe jej ciało, kształty jej figury i owal jej twarzy. Zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie wywołuje, a nawet z mocy, jaka tkwi w takim ciele. Podziwiała krągłość jej biustu, jej płaski brzuch i w końcu jej nogi. Czy jej własne doświadczenia mogą być jednak przydatne przy tego rodzaju ocenie?

Clarice przejrzała się w dużym, stojącym przy szczytowej ścianie lustrze. Z zadowoleniem stwierdziła, że różni się od Fredriki. Ale wiedziała zarazem, że ta różnica wynika z pewnego stereotypu myślowego. Jak go wyeliminować?

Jak chciała wyglądać Fredrica? Czego pragnęła, gdzie tego szukała? Co próbowała ze sobą zrobić?

Leżały tu foldery dotyczące różnych diet: diety opartej na sokach owocowych, diety ryżowej i rewelacyjnej metody, polegającej na tym, że nie wolno jednocześnie jeść i pić podczas jednego posiłku.

Zorganizowane grupy dietetyczne — czy Buffalo Bill obserwuje je, żeby znaleźć dla siebie duże dziewczyny? Trudno to sprawdzić. Z akt sprawy wiedziała, że dwie spośród ofiar należały do grup dietetycznych i że sprawdzone zostały listy członkowskie tych grup. Agent z oddziału w Kansas City, tradycyjnego w FBI biura tłuszciochów, i kilku innych policjantów z nadwagą wysłanych zostało do pracy w ośrodkach dietetycznych w miastach, z których pochodziły ofiary. Nie wiedziała, czy do którejś z takich grup należy Catherine Martin. Fredrica z kolei mogła się tam nie zapisać z powodów finansowych.

Fredrica miała w swoim pokoju kilka egzemplarzy *Big Beautiful Girl*, magazynu dla dużych kobiet. Radzono jej tam, „żeby przyjechała do Nowego Jorku, gdzie może spotkać przybyszów z całego świata, którzy uznają jej rozmiary za główny atut”. W porządku. Ewentualnie „mogła pojechać do Włoch albo do Niemiec, gdzie już od pierwszego dnia przestanie być samotna”. Pewnie. W innym miejscu radzono, co należy zrobić, kiedy palce u nóg wystają poza krawędź sandałów. Jezus. A ona musiała akurat spotkać Buffalo Billa, człowieka, który jej rozmiary uważał za „główny atut”.

Jak radziła sobie Fredrica? Miała trochę kosmetyków, dużo środków do pielęgnacji skóry. To dobrze. Użyj tego atutu. Clarice

zorientowała się, że stara się utożsamić z Fredriką, jakby miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Trzymała trochę błyskotek w pudełku po cygarach marki „White Owi”. Była tutaj pozłacana zaokrąglona szpilka do włosów, najprawdopodobniej należała do jej zmarłej matki. Próbowała przyciąć jakieś stare koronkowe rękawiczki, żeby mieć takie same jak Madonna, ale postrzępiły się na palcach.

Miała trochę płyt i zdezelowany gramofon „Decca” z lat pięćdziesiątych z przymocowanym gumkami do ramienia igły obciążającym je scyzorykiem. Podwórkowe wyprzedaje. Ulubione melodie w wykonaniu Zamfira, mistrza gry na fletni Pana.

Kiedy pociągnęła za sznurek, żeby oświetlić wnętrze szafy, zaskoczyła ją garderoba Fredriki. Miała ładne stroje, niezbyt dużo, ale wystarczająco, żeby ubrać się odpowiednio do szkoły, do pracy w biurze albo w sklepie. Przyjrzała im się bliżej i już po chwili знаła przyczynę. Fredrica szyla sama i robiła to bardzo dobrze, szwy obszyte były tasiemką, całość starannie dopasowana. Z tyłu na półce leżały wykroje. Większość pochodziła z *Simplicity*, ale było także kilka z *Vogue*.

Na spotkanie z przyszłym pracodawcą założyła prawdopodobnie swoje najlepsze ubranie. W co się ubrała? Starling przerzuciła akta. Tutaj: ostatnio widziana w zielonej konfekcji. No dalej, pani inspektor, co to jest, u diabła, „zielona konfekcja”?

Piętą achillesową Fredriki był niski budżet. Nie miała zbyt wielu par butów, a przy jej wadze trudno było długo chodzić w tym, co miała. Półbuty rozchodziły się w szwach. W sandałach nosiła wkładki przeciwapachowe. W tenisówkach postrzępiły się dziurki od sznurowadeł.

Może Fredrica trochę się gimnastykowała — miała kilka dresów o potężnych rozmiarach.

Nosiły metki „Juno”.

Catherine Martin również miała parę spodni firmy „Juno”.

Odsunęła się trochę od szafy. Usiadła w nogach łóżka ze skrzyżowanymi ramionami i wpatrywała się w oświetlone wnętrze szafy.

„Juno” to była znana firma, sprzedawali swoje rzeczy w wielu sklepach prowadzących dział dla nietypowych. Problem odzieży nie dawał Starling spokoju. W każdej dziurze istnieje co najmniej jeden sklep specjalizujący się w odzieży dla ludzi otyłych.

Czy Buffalo Bill obserwuje takie sklepy, wybiera sobie jakąś klientkę i potem ją śledzi?

Czy wchodzi do środka przebrany za kobietę i rozgląda się za kimś odpowiednim? Każdy tego typu sklep przyciąga transwestytów i przebierańców.

Koncepcja, że Buffalo Bill stara się pokonać ograniczenia własnej płci, pojawiła się w śledztwie całkiem niedawno, dopiero kiedy doktor Lecter zapoznał policję ze swoją teorią. W co ubiera się Buffalo Bill?

Wszystkie ofiary musiały robić zakupy w sklepach dla nietypowych — Catherine Martin mogła jeszcze nosić normalny rozmiar dwunasty, ale inne dziewczyny nie. Jednak Catherine musiała też odwiedzać te sklepy, skoro miała w swej szafie swetry firmy „Juno”.

Catherine Martin mogła od biedy nosić dwunastkę. Była najmniejsza ze wszystkich ofiar. Fredrica była pierwsza i największa. Dlaczego Buffalo Bill wybrał tym razem kogoś o wymiarach Catherine? Była duża, ale niezbyt szeroka w pasie. Czy on sam stracił trochę na wadze? Może zapisał się ostatnio do którejś z grup dietetycznych? Rozmiary Kimberly Emberg sytuowały ją gdzieś pośrodku, była masywna, ale miała wciętą talię.

Clarice specjalnie starała się nie myśleć o Kimberly Emberg, ale teraz nie mogła powstrzymać cisnących się pod powieki obrazów. Widziała Kimberly na stole w Potter. Buffalo Bill nie dbał o jej nakremowane nogi i starannie umalowane paznokcie. Spojrzał

na jej płaski biust i ten biust go nie zadowolił. Wziął pistolet i na jej piersiach wykwitła rozgwiazda.

Drzwi do pokoju uchyliły się nieznacznie. Clarice poczuła, jak bije jej serce. Do pokoju wsunął się duży żółty kot, jedno oko miał złote, drugie niebieskie. Wskoczył na łóżko i otarł się o nią. Szukał Fredriki.

Samotność. Duże, samotne dziewczyny szukające kogoś, komu byłyby potrzebne.

Policja wyeliminowała kluby samotnych serc już we wczesnym etapie śledztwa. Czy Buffalo Bill wykorzystywał samotność w jakiś inny sposób? Nic nie czyni człowieka bardziej bezbronnym niż samotność, może tylko chciwość.

Samotność mogła ułatwić Buffalo Billowi zawarcie znajomości z Fredriką, ale nie z Catherine. Catherine nie była samotna.

Samotna była Kimberly. Nie zaczynaj znowu. Kimberly, uległa i posłuszna w objęciach śmierci, przewracana na zmianę na plecy i brzuch po to tylko, by inspektor Starling mogła zdjąć odciski palców. Przestań. Nie mogę przestać. Samotna, pragnąca kogoś zadowolić Kimberly, czy obracała się kiedyś posłusznie, choćby po to, by poczuć na swoich plecach bicie cudzego serca? Zastanawiała się, czy Kimberly czuła kiedyś na swych łopatkach muskające je wąsy mężczyzny.

Wpatrując się w oświetlone wnętrze szafy, Clarice przypomniała sobie pulchne plecy Kimberly, trójkątne fragmenty skóry, których brakowało na jej łopatkach.

Wpatrując się w oświetlone wnętrze szafy, zobaczyła teraz wycięte z łopatek Kimberly trójkąty obwiedzione niebieską linią krawieckiego wykroju. Obraz odpłynął gdzieś na chwilę, a potem wrócił, pojawił się na tyle wyraźnie, żeby mogła uchwycić ideę i zrobiła to, czując, jak ogarnia ją gwałtowna radość. TO SĄ KLINY — WYCINA TE TRÓJKĄTY,

ŻEBY ZROBIĆ KLINY. DZIĘKI NIM UDAJE MU SIĘ ZMIĘŚCIĆ W JEJ TALII SUKINSYN POTRAFI SZYĆ. BUFFALO BILL SKOŃCZYŁ JAKIEŚ KURSY KRAWIECKIE. NIE ZADOWALA SIĘ WYROBAMI GOTOWYMI.

Co powiedział doktor Lecter? „On robi sobie dziewczęcy strój, robi go z prawdziwych dziewcząt”. O co mnie pytał? „Czy potrafisz szyć, Clarice?” Niech to diabli, pewnie, że potrafię.

Odchyliła na sekundę głowę do tyłu i przymknęła oczy. Rozwiązanie problemu jest niczym udane polowanie; daje dziką radość, radość, do której jesteśmy zrodzeni.

W saloniku widziała telefon. Zaczęła schodzić w dół, żeby z niego skorzystać, ale i tak wzywał ją już tam piskliwy głos pani Bimmel. Wzywał ją do telefonu.

Rozdział 53

Pani Bimmel podała Clarice słuchawkę i wzięła na ręce płaczące dziecko. Nie wyszła z saloniku.

— Clarice Starling.

— Jerry Burroughs, słuchaj, Starling...

— Świetnie, Jerry. Wiesz, sądzę, że Buffalo Bill potrafi szyć. Wyciął trójkąty z... — poczekaj chwileczkę — ...pani Bimmel, czy mogłabym panią prosić, żeby zabrała pani dziecko do kuchni? Muszę tutaj porozmawiać. Dziękuję... Jerry, on potrafi szyć. Wyciął...

— Starling...

— Wyciął te trójkąty z Kimberly Emberg, żeby zrobić kliny, krawieckie kliny. Jest wykwalifikowanym krawcem, nie jakimś tam jaskiniowcem, który okrywa się surowymi skórami. Sekcja identyfikacyjna może sprawdzić w rejestrze skazanych wszystkich krawców, żaglomistrzów, tapicerów, kuśnierzy, wszystkich, u których w rubryce znaki szczególnie wspomina się o krawieckiej szczerbie w zębach...

— W porządku, w porządku, zaraz łączę się z sekcją identyfikacyjną. Teraz posłuchaj, bo może będę musiał za chwilę odejść od telefonu. Jack chciał, żebym cię zapoznał z sytuacją. Mamy nazwisko i miejsce zamieszkania faceta, który wygląda całkiem zachęcająco. Z bazy w Andrews wystartował już specjalny oddział do ratowania zakładników. Jack daje im instrukcje przez zakodowaną linię.

— Gdzie lecą?

— Calumet City, na przedmieściach Chicago. Podejrzany Jame, jak „name”, pierwsza litera jot, nazwisko Gumb, alias John Grant, biały mężczyzna, trzydzieści cztery lata, osiemdziesiąt sześć kilogramów, włosy brązowe, oczy niebieskie. Jack dostał telefon z ośrodka Johnsa Hopkinsa. Pozwoliły go tam wyluskać twoje informacje o tym, w jaki sposób jego testy mogą się różnić od tych, które wypełniali normalni transseksualiści. Trzy lata temu facet złożył podanie o zmianę płci. Kiedy go odrzucili, pobił lekarza. W ośrodku mieli jego fałszywe nazwisko i tymczasowy adres w Harrisburgu, w Pensylwanii. Gliniarze znaleźli tam kwit na benzynę, był na nim numer jego prawa jazdy. Jako młodociany nieźle narozrabiał w Kalifornii: w wieku dwunastu lat zabił swoich dziadków. Sześć lat odsiedział w szpitalu psychiatrycznym w Tulare. Władze stanowe wypuściły go szesnaście lat temu, kiedy likwidowano szpital. Na jakiś czas zapadł się pod ziemię. Pogromca pedałów. Miał kilka spraw o pobicie w Harrisburgu i znowu zniknął.

— Mówi pan Chicago? Skąd wiecie, że właśnie tam mieszka?

— Z urzędu celnego. Mieli coś na temat Johna Granta. Kilka lat temu celnicy zatrzymali na lotnisku Los Angeles walizkę nadaną z Surinamu, w środku były żywe poczwarki... tak to się chyba nazywa... no, w każdym razie owady, ćmy. Odbiorcą był John Grant, miał pełnomocnictwa mieszczącej się w Calumet firmy o nazwie... uważaj... „Mr Hide”. Specjalność: wyroby skórzane. Więc trop krawiecki chyba tutaj pasuje. Przekazuję to do Chicago i Calumet. Nie mamy wciąż adresu domowego Granta albo Gumba. Firma jest zamknięta, ale siedzimy mu na karku.

— Macie jakieś jego zdjęcia?

— Na razie tylko jako nieletniego, od policji w Sacramento. Nie na wiele się zdadzą, ma na nich dwanaście lat. Ale i tak wysyłamy je faksem na cały kraj.

— Czy mogą tam jechać?

— Nie. Jack przypuszczał, że o to poprosisz. Mają ze sobą dwie policjantki z Chicago i pielęgniarkę, żeby zaopiekowała się Martin, jeśli zajdzie taka potrzeba. I tak byś nie zdążyła na czas.

— A co będzie, jeśli się zabarykaduje?

— Nie będzie żadnego oblężenia. Zlokalizują go i od razu uderzą. Crawford upoważnił ich do użycia materiałów wybuchowych. Z tym facetem mogą być szczególne problemy, Starling. Miał już kiedyś zakładników. To było wtedy, kiedy popełnił te zabójstwa jako

młodociany. Zabarykadował się w Sacramento i trzymał swoją babkę jako zakładniczkę. Dziadka zabił już wcześniej. Wyszła z tego niezła afera, zaraz ci opowiem. Wyszedł na zewnątrz przed kordon

policjantów, przemawiał do niego jakiś pastor. To było przecież jeszcze dziecko, nikt do niego nie strzelał. Stojąc za swoją babką załatwił ją strzałem w nerki. Natychmiastowa pomoc nic nie dała. Zrobił to mając dwanaście lat. Więc tym razem żadnych negocjacji, żadnych ostrzeżeń. Martin prawdopodobnie jest już martwa, ale powiedzmy, że będziemy mieli szczęście. Powiedzmy, że miał dużo spraw na głowie i nie zdążył się do niej zabrać. Jeśli zobaczy, że się zbliżamy, załatwi ją na naszych oczach, z czystej złośliwości. Nic go to nie kosztuje, no nie? Więc teraz, kiedy tylko go odnajdą, bum, wysadzają drzwi w powietrze.

W pokoju było piekielnie gorąco, w powietrzu unosił się zapach mokrych pieluszek.

Burroughs wciąż mówił:

— Sprawdzamy te dwa nazwiska na listach subskrybentów czasopism entomologicznych, w cechu szlifierzy noży, w rejestrze skazanych... nikt nie stoi beczynnie czekając, aż będzie po wszystkim. Rozglądasz się w środowisku Bimmel, prawda?

— Tak.

— Departament Sprawiedliwości twierdzi, że sprawa wcale nie będzie taka prosta, jeśli nie uda się go ująć na gorącym uczynku. Musimy go złapać razem z Martin albo czymś, co uda się zidentyfikować, na czym są odciski jego palców albo zębów, serio. Nie muszę ci mówić, że jeśli zdążył zatopić ciało Martin, potrzebujemy świadka, który widział go przedtem razem z ofiarą. Twoje materiały na temat Bimmel przydadzą się niezależnie od tego, czy... Starling, tak bardzo żałuję, że to wszystko nie zdarzyło się wczoraj i to nie tylko ze względu na tę małą Martin. W Quantico klamka już zapadła?

— Tak myślę. Wzięli na moje miejsce kogoś, kto czekał na ponowne przyjęcie. Tak mi powiedzieli.

— Jeżeli złapiemy go w Chicago, twoja zasługa będzie bezsporna. W Quantico z nikim się nie pieszczą i tak właśnie powinno być, ale nie mogą przecież zamykać oczu na to, co zrobiłaś. Poczekaj chwilę.

Słyszała, jak mówi do kogoś podniesionym tonem. Po chwili był już z powrotem.

— Nic takiego. Będą lądować w Calumet City za czterdzieści do czterdziestu pięciu minut, zależy od siły wiatru. Może ich zastąpić oddział specjalny z Chicago, jeśli go pierwszy namierzy. Elektrownia w Calumet dała im cztery możliwe adresy. Starling, bądź uczulona na wszystko, co może zawęzić pole poszukiwań. Jeśli tylko dowiesz się czegoś na temat Chicago lub Calumet, daj mi znać.

— Natychmiast.

— Teraz słuchaj. Ostatnia sprawa, bo muszę kończyć. Jeśli to się

uda, jeśli złapiemy go w Calumet City, stawiasz się w Quantico jutro, godzina ósma zero zero, mundur jak spod igły, buty na glanc. Jack idzie z tobą na posiedzenie rady. Będzie wam towarzyszył szef sekcji strzeleckiej, Brigham. Nigdy nie zaszkodzi poprosić.

— Jerry, jeszcze jedno. Fredrica Bimmel miała kilka dresów „Juno”, to firma, która specjalizuje się w ubraniach dla ludzi z nadwagą. Miała je też Catherine Martin, nie

wiem, czy to takie ważne. On może obserwować sklepy dla otyłych i wybierać tam sobie duże ofiary. Możemy zapytać o to w Memphis, Akron i innych miejscach.

— Zrozumiałem. Trzymaj się.

Clarice wyszła na zaśmiecone podwórko w Belvedere, w stanie Ohio, 600 kilometrów od miejsca akcji w Chicago. Zimny wiatr przyjemnie chłodził jej twarz. Zaciśnęła kciuki, życząc powodzenia lecącemu do Calumet oddziałowi. Jednocześnie czuła, jak drży jej podbródek i policzki. O co chodzi, do diabła? Co ma robić, do wszystkich diabłów, jeśli na coś natrafi? Może wezwać kawalerię powietrzną, biuro terenowe w Cleveland, oddział specjalny z Columbus i miejscową policję na dodatek.

Ocalenie tej młodej kobiety, ocalenie córki senator Ruth Martin i wszystkich, które mogłyby umrzeć po niej — naprawdę, tylko to się liczyło. Jeśli to się uda, wszyscy będą mieli rację.

Jeśli nie zdążą na czas, jeśli zastaną tam coś okropnego... Boże, spraw, żeby złapali chociaż Buffa... Jame'a Gumba, Mr Hide'a, czy jak jeszcze zechcą nazwać tę przeklętą bestię.

A jednak być tak blisko, mieć go niemal w garści, wpaść na właściwy trop o jeden dzień za późno, a teraz znaleźć się daleko od miejsca aresztowania i dać się wylać ze szkoły, wszystko to miało posmak kłęski.

Przepełniona poczuciem winy, Clarice od dawna podejrzewała, że od kilkuset lat rodzinę Starlingów prześladowuje wyjątkowy pech: że wszyscy Starlingowie dawali się na ogół wystawić do wiatru, wycisnąć jak cytrynki i odstawić na boczny tor. I że jeśli udałoby się natrafić na ślad pierwszego Starlinga, wieczny łańcuch niepowodzeń zamknąłby się. Taki rodzaj myślenia najlepiej charakteryzuje nieudacznika i to, że znajdowała w nim upodobanie, nie wróżyło nic dobrego.

Jeśli złapią go dzięki danym, które uzyskała od doktora Lectera, pomoże jej to w czasie przesłuchania w ministerstwie sprawiedliwości. Clarice musiała zastanowić się nad tym choć przez chwilę; myśl o złamanej karierze śwędziała ją niczym amputowana kończyna.

Cokolwiek się zdarzy, olśnienie, jakie spłynęło na nią w kwestii klinów, to była chyba jedna z najwspanialszych rzeczy w jej życiu. Coś zostało jej przecież z całej tej sprawy. Odkryła, że wspomnienie matki stanowi dla niej tak samo silne oparcie jak wspomnienie ojca. Zdobyła i utrzymała zaufanie Crawforda. Było coś, co mogła przechować w swoim własnym pudełku marki White Owl.

Jej zadaniem, jej obowiązkiem było teraz myśleć o Fredrice, o tym, w jaki sposób mógł ją dostać w swoje ręce Gumb. Dla prokuratury przydatne mogą się okazać wszystkie fakty.

Myśl teraz o Fredrice, związanej z tym miejscem przez całą swoją młodość. W jaki sposób chciała się stąd wyrwać? Czy jej pragnienia były podobne do pragnień Buffalo Billa? Czy to zbliżyło ich do siebie? Straszna myśl, że on mógł ją rozumieć, bo sam przeszedł przez coś podobnego, mógł jej nawet współczuć, a mimo to patrzeć chciwym okiem na jej skórę.

Przystanąła tuż nad wodą.

Prawie każde miejsce ma określoną porę dnia, kiedy wygląda najlepiej, kiedy ką

padania i intensywność światła wydobywają zeń najbardziej korzystne cechy. Ktoś, kto przykuty jest do jednego miejsca, wie, kiedy przypada ta pora i czeka na nią. Dla płynącej na tyłach Fell Street Licking River ta pora nadeszła chyba właśnie teraz, wczesnym popołudniem. Czy był to dla młodej Bimmel czas marzeń? Znad wody uniosła się warstwa mgły. Zniknęły w niej leżące w trzcinach stare lodówki i kuchenki gazowe. Północno-zachodni wiatr unosił baze ku świejącemu blado słońcu.

Z szopy Bimmela biegła ku rzece biała rura odpływowa. Zabułgotało w niej coś i na zleżały śnieg poleciało trochę zmieszanej z krwią wody. Bimmel wyszedł na słońce. Przód spodni zachlapany miał krwią, w plastikowej torbie trzymał jakieś różowe i szare ochłapy.

— Młode gołębie — wyjaśnił, kiedy spostrzegł, że dziewczyna mu się przypatruje. — Jadła pani kiedyś młode gołębie?

— Nie — odparła odwracając się ku rzece. — Jadłam turkawki.

— Nie trzeba się bać, że złamie się ząb o kawałek śrutu.

— Panie Bimmel, czy Fredrica знаła kogoś z Calumet City albo z rejonu Chicago?

Wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

— Czy z tego, co pan wie, była kiedykolwiek w Chicago?

— Co to znaczy „z tego, co pan wie”? Sądzi pani, że moja dziewczyna pojechałaby do Chicago, a ja bym o tym nie wiedział? Nie pojechałaby do Columbus nie informując mnie o tym.

— Czy znała jakichś mężczyzn, którzy zajmowali się szyciem; krawców albo żaglomistrzów?

— Szyła dla wszystkich. Potrafiła szyć jak jej matka. Nie wiem nic o żadnych mężczyznach. Szyła dla firm, damskie rzeczy, nie wiem dokładnie dla kogo.

— Miała może jakąś bliską przyjaciółkę, panie Bimmel? Z kim była najsilniej związana? — Nie powinnam mówić „najsilniej związana”. Ale nie, wcale go to nie obeszło, miał po prostu wszystkiego potąd.

— Nie przesiadywała z nikim godzinami jak inne latawice. Zawsze miała jakąś robotę. Bóg poskapał jej urody, ale zrobił z niej pracowitą dziewczynę.

— Kto, według pana, był jej najlepszą przyjaciółką?

— Myślę, że Stacy Hubka, przyjaźniły się od małego. Matka Fredriki mawiała, że Stacy chodzi wszędzie z Fredriką tylko dlatego, żeby mieć kogoś, kto zawsze na nią poczeka, sam nie wiem.

— Orientuje się pan, w jaki sposób mogłabym się z nią skontaktować?

— Stacy dostała posadę w ubezpieczeniach, sądzę, że nadal tam pracuje. Towarzystwo ubezpieczeniowe Franklina.

Z opuszczoną głową i rękoma wetkniętymi głęboko w kieszenie płaszczka przeszła przez wyżłobione koleinami podwórko do samochodu. Wysoko, z okna, przyglądał jej się kot Fredriki.

Rozdział 54

Im dalej na zachód, tym żywszą reakcję wywołuje legitymacja FBI. Karta

identyfikacyjna Clarice Starling, na widok której waszyngtoński funkcjonariusz uniósłby co najwyżej brew, całkowicie zafascynowała szefa Stacy Hubki z agencji ubezpieczeniowej Franklina w Belvedere. Osobiście zastąpił Stacy za ladą i przy telefonach i zaoferował Starling własny gabinet za szklaną ścianą, żeby mogła spokojnie porozmawiać.

Stacy Hubka miała metr pięćdziesiąt w szpilkach i okrągłą, pokrytą puszkami twarz. Opadały na nią z dwóch stron platynowe loki, które odgarniała co chwila ruchem wzorowanym na Cher Bono. Kiedy tylko Clarice nie patrzyła na nią, natychmiast połykała ją wzrokiem.

— Stacy... czy mogę mówić do ciebie Stacy?

— Jasne.

— Chciałabym, żebyś mi powiedziała, Stacy, w jaki sposób, według ciebie, to mogło się przytrafić Fredrice? Gdzie ten mężczyzna mógł ją przyuważyć?

— Normalnie w pale się nie mieści. Ściągać z kogoś skórę! Czy ten gość robi to naćpany? Czy ją widziałas? Mówią, że wyglądała, jakby była rozgotowana, jakby ktoś spuścił z niej powietrze...

— Stacy, czy ona kiedykolwiek wspominała o kimś z Chicago albo Calumet City?

Calumet City. Zegar nad głową Stacy Hubki nie dawał Clarice spokoju. Za dziesięć minut powinien lądować oddział specjalny. Czy dostali właściwy adres? Zajmij się tym, co masz tutaj do zrobienia.

— Chicago? — powtórzyła Stacy. — Nie, defilowałyśmy tylko raz w Chicago podczas Święta Dziękczynienia.

— Kiedy?

— To było w ósmej klasie, czyli ile... dziewięć lat temu. Pojechaliśmy tam autobusem, w tę i z powrotem, cały zespół.

— Co sobie pomyślałaś zeszłej wiosny, kiedy zaginęła?

— Po prostu nie mieściło mi się to w głowie.

— Pamiętasz, gdzie byłaś, kiedy się o tym dowiedziałaś? Kiedy to dokładnie było? Co sobie wtedy pomyślałaś?

— Tej pierwszej nocy, kiedy nie wróciła, Skip i ja byliśmy na koncercie, potem skoczyliśmy się czegoś napić do „Mr Toada”, razem z całą paczką, i przyszła Pam Malavesi, i mówi: Fredrica zniknęła, i wtedy Skip: nawet Houdini nie zdołałby jej uwolnić z więzów. No i potem musiał oczywiście wszystkim opowiedzieć, kto to jest Harry Houdini, ten słynny magik, Skip musi zawsze pokazać, że wie wszystko, i zaczęliśmy chyba mówić o czym innym. Pomyślałam, że miała po prostu dosyć swojego starego. Widziałaś jej dom? Czy to nie prawdziwe dno? Gdziekolwiek ona jest teraz, wiem, że głupio jej, żeś go widziała. Ty nie dałabyś stamtąd dyla?

— Nie pomyślałaś, że może z kimś uciekła, nie pomyślałaś o nikim, nawet jeśli potem okazało się, że nie miałaś racji?

— Skip powiedział, że może przygruchała sobie jakiegoś amatora grubasek. Ale nie, ona nigdy nikogo takiego nie miała. Miała kiedyś chłopaka, ale to stara historia. Chodził do dziesiątej klasy, był z nami w zespole, mówię „chłopak”, ale oni tylko rozmawiali ze sobą, chichotali jak dwie panienki i odrabiali razem lekcje. On był zresztą zupełnie jak

dziewczyna, nosił takie śmieszne rybackie czapki. Skip uważał, że jest, no wiesz, trochę świrowaty. Śmieli się z niej, że chodzi z czubkiem. Ale potem on i jego siostra zginęli w wypadku samochodowym i nigdy już nikogo sobie nie znalazła.

— Co pomyślałaś, jak nie wróciła?

— Pam sądziła, że może porwali ją jacyś kosmici, nie wiem, strach mnie oblatywał za każdym razem, jak o tym pomyślałam. Za nic nie wyjdę teraz w nocy na dwór sama. Chłopie, powiedziałam Skipowi, po zachodzie słońca nigdzie bez ciebie nie wychodzę.

— Czy słyszałaś, żeby kiedykolwiek wspominała o kimś o nazwisku Jame Gumb? Albo John Grant?

— Hmmmm... nie.

— Czy myślisz, że mogła mieć przyjaciela, o którym byś nie wiedziała? Czy były takie okresy, kiedy się nie widywałyście?

— Nie, gdyby miała faceta, wiedziałabym o tym, wierz mi. Ona nigdy nikogo nie miała.

— Czy nie sądzisz, że miała kogoś i po prostu nic o nim nikomu nie powiedziała? Czy to możliwe?

— Dlaczego miałyby nic nie mówić?

— Może bała się, że będziecie się z niej wyśmiewać?

— My byśmy się z niej wyśmiewali? Co ty mówisz, dlatego, że wtedy, w szkole, z tym świrem? — Stacy oblała się rumieńcem. — Nie. Nigdy byśmy jej nie skrzywdzili. Po prostu tak o tym wspominałam. Ona nie... wszyscy tak jej żalowali, kiedy umarła.

— Czy pracowałaś razem z Fredriką, Stacy?

— W czasie wakacji pracowałyśmy razem w centrum wyprzedaży, ja, ona, Pani Malavesi i Jaronda Askew. Potem ja i Pani poszłyśmy do „Richarda”, żeby zobaczyć, czy nas nie wezmą, sprzedają tam całkiem ładne ciuchy, i przyjęli mnie na etat, a potem Pani, i Pani powiedziała Fredrice, żeby przyszła, bo potrzebują jeszcze jednej dziewczyny, i ona przyszła, ale pani Burdine, kierowniczka działu sprzedaży, mówi: „No cóż, Fredrica, sama rozumiesz, potrzebujemy kogoś, do kogo klienci mogliby się przyrównać, tak żeby przyszli tu, popatrzyli i pomyśleli: chcę wyglądać jak ta dziewczyna, a ty im wtedy powiesz, jak pasuje na nich to czy inne ubranie. Jeśli weźmiesz się w garść i stracisz trochę kilogramów, możesz przyjść tutaj z powrotem i zwrócić się prosto do mnie”, mówi. „A na razie, jeśli chcesz zabrać trochę rzeczy do przerobienia, szepnę słówko pani Lippman”. Pani Burdine zawsze przemawiała tym swoim słodkim głosikiem, ale okazało się, że z niej lepsza dziwka, tylko że wtedy jeszcze tego nie wiedziałam.

— Więc Fredrica robiła przeróbki dla sklepu Richarda, tego samego, w którym ty byłaś ekspedientką?

— Na pewno nie było jej przyjemnie, ale co na to poradzić. Stara pani Lippman dokonywała przeróbek odzieży wszystkim. Miała własną firmę i dużo zamówień, więcej niż mogła sama zrobić i Fredrica zaczęła u niej pracować. Pani Lippman szyla także na miarę. Kiedy przeszła na emeryturę, jej syn, czy kim on tam jest, nie chciał tego dalej robić i przejęła to wszystko Fredrica. Teraz ona szyla dla wszystkich. To było jej jedyne zajęcie. Spotykałyśmy się razem z nią i z Pam, szłyśmy do domu do Pani na lunch, oglądałyśmy „The Young and the Restless”, a ona brała ze sobą robotę i przez cały ten czas szyla.

— Czy Fredrica pracowała czasami w sklepie, brała na przykład miarę? Czy stykała się z klientami albo dostawcami?

— Czasami, niezbyt często. Nie wiem, nie pracowałam tam codziennie.

— Czy pani Burdine pracowała codziennie, może ona będzie lepiej wiedziała?

— Tak, myślę, że tak.

— Czy Fredrica wspominała kiedykolwiek, że szyje dla firmy o nazwie „Mr Hide” w Chicago albo Calumet City? Może robiła dla nich podszewki do skórzanych ubrań?

— Ja nie wiem, może brała coś od nich pani Lippman.

— Czy zetknęłaś się kiedyś z wyrobami firmy „Mr Hide”? Czy były sprzedawane u „Richarda”, w którymś z jego sklepów?

— Nie.

— Wiesz, gdzie mieszka pani Lippman? Chciałabym z nią porozmawiać.

— Ona nie żyje. Fredrica powiedziała, że pani Lippman po przejściu na emeryturę pojechała na Florydę i tam umarła. Nigdy jej nie znałam. Ja i Skip wpadaliśmy tam tylko czasem po Fredrikę, kiedy miała dużo ciuchów do zabrania. Możesz porozmawiać z jej rodziną, czy kim tam oni są. Napiszę ci adres.

Wszystko to było wyjątkowo nużące zważywszy, że jedyną rzeczą, która interesowała Clarice, była naprawdę wiadomość z Calumet City. Czterdzieści minut minęło. Grupa specjalna powinna już wylądować. Przesunęła się, żeby nie widzieć zegara, i naciskała Stacy dalej.

— Gdzie Fredrica kupowała dla siebie ubrania, gdzie kupiła dresy „Juno” i te obszerne swetry?

— Ona prawie wszystko robiła sobie sama. Co do tych swetrów to myślę, że kupiła je u „Richarda”, wiesz, była wtedy taka moda na ogromne swetry. Sięgały prawie do kolan. Sprzedawali je w wielu miejscach. Miała zniżkę u „Richarda”, bo szyła dla firmy.

— Czy robiła kiedyś zakupy w sklepach dla nietypowych?

— Chodziłyśmy wszędzie, żeby rzucić okiem, wiesz, jak to jest. Byłyśmy w sklepie „Personality Plus” i ona podpatrywała pomysły, patrzyła, jakie mają wzory dużych rozmiarów.

— Czy nie zaczepiał was ktoś kiedyś w takim sklepie? Może Fredrica czuła, że ktoś jej się przypatruje?

Stacy popatrzyła przez chwilę w sufit i potrząsnęła głową.

— Stacy, czy kiedykolwiek kręcili się u „Richarda” transwestyci albo mężczyźni kupujący duże sukienki? Czy zetknęłaś się z czymś takim?

— Nie. Kiedyś ja i Skip widzieliśmy ich w barze, w Columbus.

— Czy była wtedy z wami Fredrica?

— Nie, skąd? Wyjechaliśmy na weekend.

— Czy mogłabyś spisać mi wszystkie sklepy dla nietypowych, które odwiedzałyście z Fredriką? Czy pamiętasz je wszystkie?

— Tylko tutaj, czy tutaj i w Columbus?

— Tutaj i w Columbus. I adres sklepu „Richarda”. Chcę porozmawiać z panią Burdine.

— Dobrze. Czy to jest fajne zajęcie być agentem FBI?

— Myślę, że tak.

- Dużo się jeździ i w ogóle? W przyjemniejsze miejsca niż to, oczywiście.
 - Czasami.
 - Trzeba codziennie ładnie wyglądać, no nie?
 - Tak. Trzeba starać się wyglądać poważnie.
 - Jak można zostać agentem FBI?
 - Najpierw musisz iść na wyższe studia, Stacy.
 - Trzeba na to nieźle wybulić.
 - Tak, trzeba. Ale można zawsze dostać stypendium i jakoś sobie dzięki temu radzić.
- Chcesz, żebym przysłała ci trochę więcej informacji?
- Dobrze... Tak tylko się zastanawiam. Fredrica taka była szczęśliwa, kiedy dostałam tę pracę. Dosłownie podskakiwała z radości... nigdy nie pracowała w prawdziwym biurze... Uważała, że to jest droga do wielkiej kariery. To: tekturowe teczki, w głośnikach Barry Manilow i tak przez cały boży dzień. Według niej to było coś ekstra. Co ona mogła wiedzieć, głupia. — W oczach Stacy Hubki pojawiły się łzy. Otworzyła szeroko powieki i odchyliła do tyłu głowę, żeby nie popsuć sobie makijażu.
 - Czy będę mogła dostać tę listę z adresami?
 - Przygotuję ją przy swoim biurku; potrzebny mi będzie komputer i notatnik z telefonami. — Wyszła z odchyloną głową, rozpoznając drogę po suficie.
- Widok telefonu nie dawał Clarice spokoju. Zaraz po wyjściu Stacy zamówiła na koszt rozmówcy rozmowę z Waszyngtonem, żeby usłyszeć najświeższe wiadomości.

Rozdział 55

W tym samym momencie, nad południowym skrajem jeziora Michigan, dwudziestoczeroosobowy odrzutowiec na cywilnych znakach tracąc powoli wysokość schodził szerokim łukiem ku Calumet City.

Dwunastu członków specjalnej grupy antyterrorystycznej czuło,

jak żołądki podchodzą im do gardeł. Niektórym teraz akurat zebrało się na ziewanie.

Siedzący z przodu kabiny pasażerskiej dowódca grupy, Joel Randall, zdjął z głowy słuchawki, rzucił okiem na notatki, a potem wstał, żeby do nich przemówić. Uważał, że jego chłopcy tworzą najlepiej na świecie wyszkoloną grupę i być może wcale się nie mylił. Niektórzy z nich nigdy, co prawda, nie uczestniczyli jeszcze w prawdziwej akcji, ale sądząc po wynikach testów symulacyjnych, byli najlepszymi z najlepszych.

Randall spędził mnóstwo czasu w kabinach samolotów i z łatwością utrzymywał równowagę podczas turbulencji.

— Panowie, środki transportu na dole zapewnia nam Agencja do Zwalczania Narkotyków. Będziemy mieli furgonetkę z kwaciarni i drugą, z przedsiębiorstwa wodociągów. Vernon i Eddie, wbijajcie się w kamizelki i cywilne ciuchy, siadajcie za kierownicą. Jeśli użyjemy granatów obezwładniających, pamiętajcie, że nie macie na twarzach zasłon przeciwodblaskowych.

— Nie zapomnij zasłonić sobie buzi — mruknął Vernon do Eddiego.

— Mamy nikogo nie podglądać? Myślałem, że nie wolno nam tylko biegać na golasa — odparł cicho Eddie.

Vernon i Eddie, do których należało otwarcie drzwi, pod cywilnymi ubraniami mieli nosić lekkie kamizelki balistyczne. Pozostali mogli założyć normalne kamizelki kuloodporne, chroniące przed strzałem ze strzelby.

— Bobby, nie zapomnij dać podręcznych krótkofalówek każdemu z kierowców, żebyśmy nie schrzanili wszystkiego wchodząc na kanał agencji.

W czasie akcji Agencja do Zwalczenia Narkotyków używa zakresu UHF; Federalne Biuro Śledcze woli VHF. W przeszłości zdarzały się z tym problemy.

Wyposażeni byli na prawie każdą ewentualność, na akcję w nocy i w dzień. Mieli sprzęt alpinistyczny do wspinania się po ścianach, urządzenia typu Wolfs Ears i VanSleek Farfoon do podsłuchu i aparaty noktowizyjne do podglądania. Pochowana w brzuchatych futerałach broń z przymocowanymi noktowizorami przypominała wielkie instrumenty muzyczne.

To miała być precyzyjnie przeprowadzona operacja chirurgiczna, co można było poznać po typie broni; nie mogło być mowy o przypadkowym strzale.

Kiedy wysunęły się klapy podwozia, członkowie grupy wBill się w swoje kamizelki.

Randall odbierał przez słuchawki wiadomości z Calumet. Zakrył dłonią mikrofon i zwrócił się ponownie do swego oddziału.

— W grę wchodzi już tylko dwa adresy. My bierzemy ten najbardziej prawdopodobny, grupa specjalna z Chicago drugi.

Łądowali na lotnisku Lansing Municipal, położonym najbliżej Calumet, po południowo-wschodniej stronie Chicago. Wieża natychmiast dała pozwolenie. Pilot zatrzymał się ze zgrzytem hamulców przy dwóch pojazdach z zapalonymi silnikami, daleko od dworca.

Przy furgonetce z kwiaciarni odbyło się szybkie powitanie. Dowódca brygady antynarkotycznej wręczył coś, co wyglądało jak wielki bukiet. Był to sześciokilowy młot do wyważania drzwi, z obuchem owiniętym kolorową folią.

— Może będziecie chcieli mu to dostarczyć — powiedział. — Witamy w Chicago.

Rozdział 56

Późnym popołudniem pan Gumb zabrał się znowu do dzieła.

Z zastygłymi niebezpiecznie w oczach łzami, obejrzał kilkakrotnie swój program wideo. Na małym ekranie telewizora Mama wspinająca się na zjeżdżalnię, a potem sunęła w dół do basenu i znowu w dół do basenu. Jame Gumb oglądał ją przez łyzy, wszystko było zamazane, tak jakby sam siedział w basenie.

Na brzuchu położył sobie termofor z gorącą wodą. Jej bulgot przypominał burczenie w brzuszku małej suczki.

Nie mógł znieść tego ani chwili dłużej — tego, co siedziało w jego piwnicy, trzymając Skarbunię w niewoli i napawając ją lękiem. Suczka cierpiała, wiedział o tym. Nie był pewien, czy zdoła to zabić, nim zraniona zostanie śmiertelnie Skarbunia, ale musiał spróbować. Natychmiast.

Zdjął ubranie i nałożył na siebie szlafrok — zawsze dokonywał dzieła nagi i krwawy, jak nowo narodzony.

Z dużej apteczki wyjął maść, którą smarował suczkę, kiedy podrapał ją kot. Wziął

także kilka bandaży, kilka plastrów opatrunkowych i plastikowy „kołnierz elżbietański”, który dał mu kiedyś weterynarz, by przeszkodzić Skarbuni w lizaniu jątrzącej się ranki. W piwnicy miał łyżki do przytrzymywania języka, mógł ich użyć jako łubków do jej złamanej łapki. Miał także tubkę Sting-Eez, żeby ulżyć jej cierpieniom na wypadek, gdyby ta głupia zdążyła ją zranić przed śmiercią.

Jeśli strzeli precyzyjnie w głowę, będzie musiał poświęcić jedynie włosy. Skarburnia była warta więcej niż włosy. Włosy będą ofiarą, jaką złoży na rzecz jej uwolnienia.

Teraz cicho po schodach do kuchni. A potem bosy, bez pantofli, do piwnicy, trzymając się blisko ściany, żeby nie zaskrzypiały stopnie.

Nie zapalił światła. Na dole skręcił w prawo, do warsztatu. Macał przed sobą drogę w znajomych ciemnościach, stopami wyczuwał zmiany wysokości podłogi.

Zawadził rękawem o klatkę i usłyszał cichy skrzek rozgniewanej ćmy. A oto szafa. Znalazł latarkę i założył gogle. Świat zajaśniał na zielono. Stał przez chwilę i przysłuchiwał się uspokajającemu bulgotaniu zbiorników i sykowi gorącej pary w rurach. Pan ciemności, królowa ciemności.

Latające ćmy zostawiały fluoryzujące smugi w polu jego widzenia, na twarzy czuł powiew przecinających ciemność puszystych skrzydeł.

Sprawdził pistolet. Python załadowany był specjalnymi nabojami kaliber 38 z ołowianym czubkiem. Eksplodują po wejściu w czaszkę, powodując natychmiastową śmierć. Jeżeli w chwili strzału będzie znajdowała się w pozycji stojącej, jeżeli trafi ją prosto w czubek głowy, prawdopodobieństwo wyjścia naboju przez dolną szczękę i zniszczenia piersi będzie mniejsze niż w wypadku pocisków z pistoletu Magnum.

Cicho podkładał się na zgiętych kolanach, zaciskając na starych deskach palce z pomalowanymi paznokciami. Cicho po wysypanej piaskiem podłodze pomieszczenia, gdzie znajdował się loch. Cicho, ale nie za wolno. Nie chciał, żeby jego zapach dotarł do nozdrzy leżącej na dole suczki.

Cembrowina zajaśniała na zielono, inny odcień miały kamienie, inny zaprawa murarska. Widział wyraźnie wszystkie słoje drewnianej pokrywy. Świecąc latarką zajrzał do środka. Byli tam. Materiał leżał na boku, niczym olbrzymia krewetka. Chyba spał. Skarburnia zwinięta przy jego boku, pewnie spała. Och, proszę, aby tylko żyła.

Głowa była odsłonięta. Kusiło go, żeby strzelić w szyję — w ten sposób ocaliliby włosy. Nie, to zbyt wielkie ryzyko.

Gumb przechylił się przez krawędź otworu, jego szypułkowate gogle lustrowały dno studni. Mimo wielkiego kalibru python jest doskonale wyważony, co ułatwia dokładność celowania. Musiał oświetlić leżący w dole materiał snopem podczerwieni. Celował dokładnie w bok głowy, w spotniałe włosy na skroni.

Hałas albo zapach — trudno zgadnąć — i suczka zerwała się nagle skomlać i podskakując w górę. Catherine Baker Martin złapała suczkę i nakryła ją i siebie materacem. Teraz widział tylko dwa garby pod materacem, nie potrafił rozpoznać, gdzie jest pies, a gdzie Catherine. Patrząc w dół w świetle podczerwieni, nie mógł dobrze ocenić wysokości. Nie wiedział, które z wybrzuszeń tworzy Catherine.

Ale widział Skarbunię, jak skakała. Wiedział teraz, że wcale nie ma złamanej nogi, wiedział zarazem coś jeszcze: Catherine Baker Martin nie potrafi

skrzywdzić suczki, w każdym razie w nie większym stopniu niż on sam. Och, co za ulga, sympatia, jaką oboje darzyli psy, ułatwia mu sprawę. Może spokojnie strzelić jej w te przekłete nogi, a kiedy chwyci się za nie, odstrzelić jej tę zasraną głowę. Teraz nie musi już zachowywać ostrożności.

Zapalił światła, wszystkie cholerne światła w piwnicy i przyniósł reflektor z magazynku. Całkowicie się kontrolował, reagował prawidłowo, o niczym nie zapominał: wracając z warsztatu napuścił trochę wody do zlewozmywaków, żeby jakaś mazista ciecz przypadkiem nie zatkała syfonu.

Kiedy z reflektorem w ręku, gotów do dzieła zbiegał po schodach, przy drzwiach odezwał się dzwonek.

Właściwie zazgrzytał i zachrobotał. Musiał zatrzymać się, żeby uprzytomnić sobie, co to za dźwięk. Nie słyszał go od lat, nie miał pojęcia, że nadal jest sprawny. Zamontowany na klatce schodowej tak, aby można go było słyszeć na górze i na dole, rozdzwonił się teraz bez opamiętania, czarny metalowy dzwondzel pokryty warstwą kurzu. Kiedy na niego spojrzął, zadzwonił ponownie, dzwonił i dzwonił, aż sfruwał z niego kurz. Ktoś stał przed frontowymi drzwiami i naciskał stary przycisk oznaczony napisem DOZORCA.

Chyba sobie pójdzie.

Gumb podłączył reflektor do gniazdka.

Tamten nie rezygnował.

Z dna studni dochodziły jakieś słowa, ale Gumb nie zwrócił na nie uwagi. Dzwonek dźwięczał, chrobotał, ktoś oparł się po prostu o przycisk.

Lepiej wejść na górę i zerknąć, co dzieje się przy drzwiach wejściowych. Długa lufa pythona nie mieściła się w kieszeni szlafroka. Położył broń na blacie warsztatu.

Był w połowie schodów, kiedy dzwonek umilkł. Odczekał kilka chwil. Cisza. Postanowił tak czy owak rzucić okiem. Kiedy przechodził przez kuchnię, ktoś zapukał głośno do tylnych drzwi, aż podskoczył z wrażenia. W spiżarni obok tylnych drzwi schowana była wiatrówka. Wiedział, że jest naładowana.

Przez zamknięte drzwi piwnicy nie dotrą do kuchni nawet najgłośniejsze wrzaski z dołu, tego był pewien.

Walenie odezwało się ponownie. Uchylił drzwi nie spuszczać ich z łańcucha.

— Próbowałam od frontu, ale nikt nie otwierał — powiedziała Clarice Starling. — Szukam rodziny pani Lippman, czy mógłby mi pan pomóc?

— Nie mieszka tutaj nikt z jej rodziny — odparł Gumb i zamknął drzwi. Schodził z powrotem po schodach, kiedy walenie rozległo się ponownie, tym razem donośniej.

Uchylił drzwi na łańcuchu.

Młoda kobieta przysunęła do szpary swoją legitymację. Wystawiona była przez Federalne Biuro Śledcze.

— Przykro mi, ale muszę z panem porozmawiać. Chcę odnaleźć kogoś z rodziny pani Lippman. Wiem, że tu mieszkała. Chcę, żeby mi pan pomógł.

— Pani Lippman nie żyje od bardzo dawna. Nie miała żadnych krewnych, o których bym wiedział.

— Nie zna pan jej adwokata albo księgowego? Kogoś, kto przechowywałby księgi firmy? Czy znał pan osobiście panią Lippman?

— Tylko przelotnie. O co chodzi?

— Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Fredriki Bimmel. Kim pan jest, jeśli można wiedzieć?

— Jack Gordon.

— Czy zetknął się pan z Fredriką Bimmel, kiedy pracowała u pani Lippman?

— Nie. Czy to nie była taka duża, gruba osoba? Chyba ją widywałem, ale nie jestem pewien. Nie chciałem być niegrzeczny, po prostu spałem... Pani Lippman miała adwokata, mam chyba gdzieś jego wizytówkę, zobaczę, może uda mi się ją znaleźć. Proszę, niech pani wejdzie do środka. Trochę mi zimno, poza tym zaraz czmychnię przez tę szparę moja kotka. Za nic jej potem nie złapię.

Przeszedł do biurka w odległym kącie kuchni, otworzył żaluzjowe drzwiczki na górze i przeglądał zawartość przegródek. Starling weszła do środka i wyjęła z torebki notatnik.

— To potworna historia — powiedział, przeszukując biurko. — Dreszcz mnie ogarnia za każdym razem, kiedy o tym pomyślę. Sądzi pani, że policja bliska jest ujęcia sprawcy?

— Niezupełnie, ale pracujemy nad sprawą, panie Gordon. Czy ten dom objął pan w posiadanie po śmierci pani Lippman?

— Tak. — Gumb pochylił się nad biurkiem, plecami odwrócony był do dziewczyny. Otworzył szufladę i przewracał w niej papiery.

— Czy zostały tutaj jakieś sprawozdania? Księgi handlowe?

— Nie, zupełnie nic. Czy FBI ma jakąś teorię? Tutejsza policja zachowywała się tak, jakby nie wiedziała, od czego ma zacząć. Mają jakiś rysopis albo odciski palców?

Z fałdów szlafroka na plecach Gumba wysunęła się ćma trupia główka. Zatrzymała się na środku pleców, mniej więcej na wysokości serca, i rozprostowała skrzydła.

Starling wrzuciła notatnik do torebki.

To Gumb. Dzięki Bogu, mam rozpięty płaszcz. Skończ z nim tę rozmowę i do telefonu. Nie. Wie, że jestem z FBI, jeśli spuszczę go z oka, zabije ją. Przestrzeli jej nerki. Odnajdą go, uderzą na niego bez uprzedzenia. Gdzie jest telefon? Tutaj nie widać. Nie ma telefonu w kuchni, zapytaj o telefon. Uzyskaj połączenie i wtedy się nim zajmij. Każ mu położyć się twarzą do podłogi i czekaj na gliniarzy. Tak, tak właśnie zrób. Odwraca się.

— Oto numer — powiedział. Trzymał w ręku wizytówkę. Wziąć ją? Nie.

— Dobrze, dziękuję. Czy mogłabym skorzystać z telefonu, panie Gordon?

Kiedy położył wizytówkę na stole, ćma uniosła się w powietrze. Wyfrunęła zza pleców, minęła głowę i usiadła między nimi na szafce nad zlewem.

Spojrzał na ćmę. Kiedy ona na nią nie spojrzała, kiedy jej oczy ani f na moment nie oderwały się od jego twarzy, domyślił się.

Ich oczy spotkały się i wiedzieli teraz oboje.

Gumb przechylił lekko głowę w bok. Uśmiechnął się.

— Mam bezprzewodowy telefon w spiżarni. Przyniosę go.

Nie! Zrób to! Sięgnęła po pistolet, jeden gładki ruch, który powtarzała tysiące razy. Był tam, gdzie powinien być, trzymała go w prawidłowym dwuręcznym uchwycie, cały jej świat to był teraz środek jego klatki piersiowej.

— Nie ruszaj się. Zacisnął wargi.

— Teraz. Powoli. Podnieś ręce.

Wyprowadź go na zewnątrz, trzymaj go na muszce idąc wokół stołu. Wyprowadź go przez bramę. Każ mu położyć się twarzą do ziemi na środku ulicy i wyjmij odznakę.

— Panie Gub... panie Gumb, jest pan aresztowany. Chcę, żeby wyszedł pan przede mną powoli na zewnątrz.

Zamiast tego wyszedł z kuchni. Gdyby sięgnął do kieszeni, sięgnął za siebie, gdyby zobaczyła broń, potrafiłaby do niego strzelić. A on po prostu wyszedł z kuchni.

Słyszała, jak schodzi szybko do piwnicy, ona wokół stołu i biegiem do drzwi prowadzących na schody. Nie było go, klatka schodowa była jasno oświetlona i pusta. Pułapka. Siedź teraz tutaj i nie ruszaj się z miejsca.

Z podziemi doszedł ją cienki jak kartka papieru krzyk.

Nie podobały jej się te schody, nie podobały się, ostrzegał ją każdy nerw. Nie może dłużej się wahać.

Catherine Martin krzyknęła ponownie, on ją mordował, i Clarice mimo wszystko ruszyła w dół. Jedną ręką dotykała balustrady, w drugiej, wyciągniętej, trzymała pistolet, muszka była nieco poniżej linii jej oka. Omiotła lufą podest na dole, uzbrojona ręka wodziła za ruchami jej głowy, starała się kontrolować jednocześnie dwie pary otwartych naprzeciwko siebie drzwi.

Piwnica zalana światłem, nie sposób było przejść przez jedne drzwi nie obracając się zarazem plecami do drugich, więc zrób to szybko, skręć w lewo, tam skąd dochodzą krzyki. Znalazła się w wysypanym piaskiem pomieszczeniu, wytrzeszczonymi oczami sprawdzała szybko wnętrze. Jedyne miejsce, za którym mógł się schować, była cembrowina studni, przesuwała się więc wokół niej trzymając w obu wyciągniętych dłoniach pistolet, przyciskając lekko cyngiel. Obeszła ją wokół, nikogo nie było.

Cichy krzyk niczym smuga dymu uniósł się w górę studni. Teraz skomlenie psa. Nie odwracając oczu od drzwi podeszła do studni, zbliżyła się do krawędzi i rzuciła szybko okiem w dół. Zobaczyła dziewczynę, rzut oka na drzwi i znowu w dół. Powiedziała to, co — jak uczono ją — należy mówić, żeby uspokoić porwanego.

— FBI, jesteś bezpieczna.

— Gównu bezpieczna, on ma pistolet. Zabierz mnie. Zabierz mnie stąd.

— Catherine, nic ci się nie stanie. Zamknij się. Czy wiesz, gdzie on jest?

— Zabierz mnie. Sram na to, gdzie on jest. Zabierz mnie stąd.

— Zabiorę cię stąd. Siedź cicho. Pomóż mi. Bądź cicho, żebyśmy mogła go słyszeć. Spróbuj uciszyć psa.

Stała za studnią i celowała w drzwi. Serce waliło jej w piersiach, oddechem zdmuchiwała kurz z kamiennej cembrowiny. Nie wiedząc, gdzie jest Gumb, nie może zostawić tutaj Catherine Martin, nie może iść po pomoc. Podeszła do drzwi i wyjrzała zza futryny. Widziała podest schodów i część warsztatu.

Albo odnajdzie Gumba, albo upewni się, że uciekł, albo zabierze Catherine ze sobą, innych możliwości nie było.

Obejrzała się szybko przez ramię.

— Catherine, Catherine. Czy jest gdzieś tutaj drabina?

— Nie wiem. Kiedy się ocknęłam, byłam już na dole. Spuszczał mi wiadro na sznurku.

Do belki przy ścianie przymocowany był mały ręczny kołowrót. Na bębnie nie było liny.

— Catherine, muszę znaleźć coś, żeby cię stąd wyciągnąć. Czy możesz chodzić?

— Tak. Nie zostawiaj mnie.

— Muszę stąd wyjść tylko na minutę.

— Ty pieprzona dziwko, nie zostawiaj mnie tutaj, moja matka rozedrze na strzępy tę twoją zasraną mózgownicę...

— Zamknij się, Catherine. Masz być cicho, żebym mogła dobrze słyszeć. Masz być cicho, jeśli chcesz się uratować, rozumiesz? — I głośniej: — Zaraz będzie tu mnóstwo policji, teraz zamknij się. Nie zostawimy cię tutaj.

Musiała zdobyć linę. Gdzie jest lina? Idź i poszukaj.

Jednym skokiem przebyła dzielącą ją od drzwi warsztatu przestrzeń, drzwi to najgorsze miejsce, teraz szybko do środka, przesunęła się wzdłuż najbliższej ściany, żeby objąć wzrokiem całe pomieszczenie, w szklanych zbiornikach pływały znajome kształty, była zbyt napięta, żeby się przerazić. Szybko przez pokój, minęła zbiorniki, zlewy, klatkę, przefrunęło koło niej kilka ciem. Nie zwracała na nie uwagi.

Dalej oświetlonym rżęsiście korytarzem. Zawarczał za nią nagle agregat lodówki, odwróciła się nisko pochylona, odciągnęła kurek magnum. Zwolniła przycisk. Na korytarz. Nie uczono jej jeszcze, jak zaglądać do środka pomieszczenia. Pistolet i głowa jednocześnie, ale nisko. Korytarz pusty. U jego końca jasno oświetlona pracownia. Teraz szybko korytarzem, po drodze zamknięte drzwi. Pracownia cała w białozółtym dębie. Stojąc w progu diabelnie trudno sprawdzić, czy teren jest czysty. Upewnij się, czy każdy manekin to tylko manekin, czy każde odbicie w lustrze to tylko manekin. A jedyny ruch w lustrze to twój ruch.

Wielka szafa była otwarta i pusta. Drzwi po drugiej stronie pracowni uchylone, za nimi mrok. Nigdzie żadnego sznura, żadnej drabiny. Zamknęła drzwi do ciemnej części piwnicy, podstawiła pod klamkę krzesło i podsunęła maszynę do szycia. Gdyby miała pewność, że tam się ukrył, mogłaby zaryzykować i pójść na górę, żeby odnaleźć telefon.

Z powrotem na korytarz, teraz drzwi, które poprzednio minęła. Skok na drugą stronę, obok klamki. Jednym ruchem otworzyła drzwi na oścież. Stara łazienka. W środku sznur, haki, pętla. Wyciągnąć Catherine czy iść do telefonu? Na dnie studni Catherine nie ucierpi od przypadkowego strzału. Ale jeśli ona zginie, Catherine zginie także. Weź Catherine i idźcie razem do telefonu.

Clarice nie chciała długo siedzieć w łazience. Mógł podejść do drzwi i utopić ją używając hydrantu. Spojrzała w górę i w dół korytarza, a potem wsunęła się do środka po sznur. W łazience stała duża wanna. Wypełniona była prawie po same brzegi zastygłym purpurowoczerwonym gipsem. Wystawała z niego pociemniała

i wyschła ręka z pomalowanymi na różowo paznokciami, na nadgarstku był filigranowy zegarek. Clarice zobaczyła wszystko naraz: sznur, wannę, rękę i zegarek.

Mała jak robaczek, pełzająca wskazówka sekundnika była ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, zanim zgasło światło.

Klatka piersiowa i ramiona zadygotały jej od uderzeń serca. W głowie wirowała jej ciemność, musiała czegoś dotknąć, wymacała skraj wanny. Łazienka. Musi wydostać się z łazienki. Jeśli on dotrze do drzwi łazienki, może próbować zalać ją wodą. Nie było

gdzie się wycofać. Słodki Jezu, pozwól wyjść. Nisko pochylona wydostała się na korytarz. Wszystkie światła zgaszone? Wszystkie. Musiał wyłączyć prąd centralnie, przy skrzynce z bezpiecznikami, musiał przekręcić dźwignię, gdzie to może być? Gdzie umieszcza się skrzynkę z bezpiecznikami? Blisko schodów. Najczęściej blisko schodów. Jeśli tak jest i tutaj, można się spodziewać, że nadejdzie z tej strony. Jest gdzieś pomiędzy mną a Catherine.

Znowu doszło ją zawodzenie Catherine Martin.

Czekać tutaj? Czekać w nieskończoność? Może uciekł. Nie może wiedzieć, czy nie nadejdą jakieś posiłki. Tak, może. Ale wkrótce stwierdzą, że zaginęłam. Dziś w nocy. Schody są tam, skąd dochodzą krzyki. Skończ z tym teraz.

Cicho ruszyła do przodu, otarła ramieniem ścianę, otarła zbyt lekko, żeby to słyszeć, jedną rękę wysunęła do przodu, w ograniczonej przestrzeni korytarza pistolet trzymała tuż przy sobie, na wysokości pasa. Teraz warsztat. Poczula otwierającą się przed nią szeroką przestrzeń. W otwartym pomieszczeniu przykucnęła. Wyciągnęła do przodu ramiona, w obu dłoniach ścisnęła pistolet. Wie się wtedy dokładnie, gdzie znajduje się muszka, jest tuż poniżej linii oka. Zatrzymaj się, nasłuchuj. Głowa, ramiona, całe ciało obracają się niczym wieżyczka strzelnicza. Zatrzymaj się, nasłuchuj.

Syczenie pary w rurach, kapanie wody, wszystko w absolutnej czerni.

W nozdrzach ostra woń kozła.

Zawodzenie Catherine.

Przy ścianie stał Gumb z założonymi na oczy goglami. Nie było obawy, że ona na niego wpadnie, dzielił ich stół. Gumb omiatał ją od stóp do głów snopem podczerwieni. Była zbyt szczupła, by mogła mu się do czegoś przydać. Z kuchni pamiętał jednak jej włosy, były wspaniałe. Zajęłoby mu to nie więcej jak minutę. Mógł zdjąć je na poczekaniu. Założyć na siebie. Nachylić się nad studnią mając je na głowie i zawołać do tej rzeczy: „Niespodzianka!”

Zabawne było obserwować ją, jak próbuje się przekraść dalej.

Opierając się biodrem o zlew posuwała się teraz z wystawionym do przodu rewolwerem w stronę, z której dochodziły krzyki. Dłuższe polowanie stanowiłoby świetną zabawę: nigdy nie polował jeszcze na kogoś uzbrojonego. Sprawiłoby mu to dogłębną radość. Nie było na to jednak czasu. Szkoda.

Strzał w twarz z odległości dwu i pół metra będzie łatwy i prosty. Teraz.

Odbezpieczył pythona, odciągając do siebie kurek, klik klik i w tym momencie obraz postaci zamazał się i zakwitł. Zakwitł w jego goglach na zielono, pistolet podskoczył mu w dłoń, podłoga uderzyła go w plecy i zobaczył w świetle latarki sufit. Oślepiąca błyskiem Clarice padła na podłogę, dzwoniło jej w uszach, ogłuszył ją huk wystrzałów. Nic nie słysząc zajęła się w ciemności bronią, wyrzuciła puste łuski, sprawdziła koniuszkami palców, czy na pewno ich nie ma, wyjęła magazynek, obmacała go, wcisnęła w dół, przekręciła, cofnęła palce, zamknęła cylinder. Wystrzeliła cztery razy. Dwa razy po dwa. On strzelił raz. Znalazła dwa dobre naboje, które wyrzuciła przed chwilą. Gdzie je włożyć? Do ładownicy. Leżała nieruchomo. Może ruszyć się, zanim tamten odzyska słuch?

Odgłosu odbezpieczanej broni nie sposób pomylić z niczym innym. Strzeliła w

kierunku tego odgłosu nie widząc nic poza błyskiem z luf obu pistoletów. Miała nadzieję, że następnym razem on spudłuje i że błysk z lufy wskaże jego położenie. Wracał jej słuch, wciąż dzwoniło w uszach, ale coś już słyszała.

Co to za dźwięk? Gwizd? Coś jak gwizd czajnika, ale przerywany. Co to jest? Podobne do oddechu. Czy to ja? Nie. Z twarzą tuż przy podłodze czuła ciepło własnego oddechu. Ostrożnie, nie wciągnij do nosa kurzu, bo będzie ci się chciało kichać. To oddech. To zasysająca powietrze rana w płucach. Trafiła go w klatkę piersiową. Uczono ją, jak w takich wypadkach postępować, trzeba położyć coś na wierzch, płaszcz nieprzemakalny, plastikową torbę, coś, co nie przepuszcza powietrza, obwiązać to szczelnie. Pozwolić wypełnić się płucy powietrzem. Więc trafiła go w piersi. Co robić? Czekać. Niech się wykrwawi, niech zeszywnieje. Czekać!

Zapiekl ją policzek. Nie dotknęła go, nie chciała mieć śliskich rąk, jeśli to krew.

Znowu doszły ją jęki ze studni, Catherine mówiła coś, płakała. Clarice musiała poczekać. Nie mogła odpowiedzieć teraz Catherine. Nie mogła ani się odezwać, ani poruszyć.

Niewidzialne światło latarki Gumba tańczyło po suficie. Chciał poruszyć nią i nie mógł, tak samo jak nie był w stanie poruszyć głową. Wielka malezyjska ćma księżycowa przeleciała tuż pod sufitem,

weszła w snop podczerwieni i zataczając kręgi sfrunęła w dół. Usiadła na latarce. Olbrzymie pulsujące na suficie cienie skrzydeł widział tylko Gumb.

Przez odgłos zasysania Clarice usłyszała w ciemności dławiący się, upiorny głos Gumba.

— Co... czuje się... kiedy się jest... tak... piękną...?

A potem inny odgłos. Charkot, rżenie. Gwizdanie ustało.

Clarice знаła i ten odgłos. Słyszała go już raz w życiu, w szpitalu, kiedy umarł jej ojciec.

Wymacała skraj stołu i podniosła się. Macając przed sobą poszła w kierunku krzyków Catherine. Znalazła schody i wspięła się po nich po ciemku.

Wydawało się, że trwa to bardzo długo. W szufladzie w kuchni była świeczka. Świecąc nią znalazła obok schodów skrzynkę z bezpiecznikami. Kiedy zapaliło się światło, podskoczyła z wrażenia. Żeby dostać się do korków i wyłączyć prąd, Gumb musiał wyjść z piwnicy inną drogą, a wrócić z powrotem po schodach.

Musiała upewnić się, że nie żyje. Odczekała, aż jej oczy przywykły do światła, a potem ostrożnie zeszła do warsztatu. Zobaczyła wystające spod stołu bosa stopy. Nie odrywając wzroku od leżącego przy jego dłoni pistoletu, kopnęła broń w bok. Miał otwarte oczy. Był martwy, miał przestrelone prawe płuco, pod sobą gęstą kałużę krwi. Nałożył na siebie trochę swoich rzeczy z szafy i nie mogła na niego długo patrzeć.

Podeszła do zlewu, położyła magnum na suszarce, puściła sobie w dłonie zimną wodę i zmoczyła twarz. Nie było krwi. Ćmy trzepotały skrzydłami o siatkę wokół żarówek. Musiała obejść ciało, żeby zabrać z podłogi pythona.

Stała przy studni.

— Catherine, on nie żyje. Nie może ci już zrobić nic złego. Idę na górę zatelefonować...

— Nie! Weź mnie stąd. Weź mnie stąd. Weź mnie stąd.

— Spójrz tutaj. On nie żyje. To jest jego pistolet. Przypominasz go sobie? Idę wezwać policję i straż pożarną. Boję się wyciągać cię sama, możesz spać. Jak tylko do nich zadzwonię, wrócę tutaj i poczekam razem z tobą. Dobrze? Dobrze. Spróbuj uciszyć tego psa. Zgoda? Zgoda.

Lokalne ekipy telewizyjne przybyły zaraz po straży pożarnej, jeszcze przed przyjazdem policji. Dowódca straży, którego zirytowała iluminacja, przegonił ekipy z piwnicy i nie mając zaufania do haka wbitego przez Gumba w belkę sufitu, zamontował własny stelaż, żeby wyciągnąć Catherine Martin. Do studni opuścił się strażak, który umieścił dziewczynę na specjalnym krzeselku. Wynurzyła się, trzymając na kolanach psa. Nie rozstawała się z nim w drodze do szpitala.

W szpitalu obowiązywał zakaz wpuszczania psów i nie udało się go przemycić. Strażak, któremu kazano oddać go do schroniska, wolał zabrać pudełka do domu.

Rozdział 57

Około pięćdziesięciu osób czekało na lotnisku krajowym w Waszyngtonie na przylot porannego samolotu z Columbus. Ludzie witali przeważnie swoich krewnych, wyglądali na zaspanych i w niezbyt dobrym humorze, spod marynarek wystawały im rąbki koszul.

Stojąca w tłumie Ardelia Mapp dostrzegła Clarice, kiedy ta wychodziła z samolotu. Dziewczyna miała ziemistą cerę i podkrążone oczy. Kilka ziaren prochu strzelniczego utkwilo jej pod skórą policzka. Uściskały się.

— Cześć, koleżanko — powitała ją Mapp. — Masz jakiś bagaż? Clarice potrząsnęła głową.

— Przed dworcem czeka Jeff w mikrobusie. Jedziemy do domu.

Na zewnątrz dworca był także Jack Crawford. Swój samochód zaparkował tuż za mikrobusem, na miejscu przeznaczonym dla samochodów osobowych. Całą noc spędził razem z krewnymi Belli.

— Sama... — zaczął — sama najlepiej wiesz, czegoś dokonała. Zostawiłaś ich wszystkich daleko w tyle, mała. — Dotknął jej policzka. — Co to jest?

— Proch strzelniczy. Lekarz powiedział, że to zniknie samo w ciągu kilku dni... nie trzeba tego usuwać.

Crawford objął ją i przez chwilę mocno przyciskał do piersi, tylko przez chwilę, a potem odsunął się i pocałował dziewczynę w czoło.

— Sama wiesz, czegoś dokonała — powtórzył. — Jedź do domu. Wyśpij się. Odeśpij wszystko. Porozmawiam z tobą jutro.

Nowy mikrobus obserwacyjny był bardzo wygodny, przystosowany do długiej inwigilacji. Clarice i Mapp usadowiły się w obszernych fotelach z tyłu.

Bez Jacka Crawforda Jeff prowadził trochę ostrzej. Dojechali do Quantico w całkiem niezłym czasie.

Clarice jechała z zamkniętymi oczami. Po kilku kilometrach Mapp trąciła ją w kolano. Otworzyła dwie butelki coli i wręczyła jedną. Wyciągnęła też z torebki ćwierćlitrową flaszkę Jacka Daniela.

Obie pociągnęły trochę coli z butelek i dolały do pełna whisky. Potem zatkały kciukami szyjki, potrząsnęły butelkami i strzeliły sobie po piance.

— Echhhhh — westchnęła Clarice.

— Tylko nie porozlewajcie mi tutaj tego — upomniał je.

— Nie martw się, Jeff— uspokoiła go Mapp. I ciszej do Clarice: — Powinnaś widzieć naszego Jeffa, jak czekał na mnie przed monopolowym. Wyglądał, jakby połknął pestkę od brzoskwini. — A potem, kiedy zobaczyła, że whisky zaczęła działać i dziewczyna rozsiadła się wygodniej w fotelu, zapytała: — Jak twoje sprawy, Clarice?

— Ardelia, niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem.

— Nie musisz tam wracać, prawda?

— Może na jeden dzień w przyszłym tygodniu, ale mam nadzieję, że nie. Prokurator federalny z Columbus pojechał do Belvedere, żeby porozmawiać z tamtejszymi glinami. Zeznania pamiętam jak przez mgłę.

— Kilka dobrych wiadomości — oznajmiła Mapp. — Przez cały wieczór dzwoniła do ciebie z Bethesda senator Martin. Wiesz, że zabrali tam Catherine? Wszystko z nią w porządku. W sensie fizycznym nic złego jej nie zrobił. Co do zaburzeń emocjonalnych, jeszcze nie wiedzą, będą ją musieli trochę poobserwować. Nie musisz się martwić o szkołę. Dzwonili Crawford i Brigham. Przesłuchanie odwołane. Krendler poprosił o wycofanie swojej noty. Ci faceci mają teraz serca z wosku: nie będziesz miała odnotowanej żadnej nieobecności, nie musisz zdawać egzaminu z przeszukania i aresztowania jutro o ósmej zero zero. Przenieśli ci termin na poniedziałek, zaraz potem będziesz miała test z wuefu. Będziemy kuć w czasie weekendu.

Skończyły butelkę na północnych przedmieściach Quantico; dowód rzeczowy wyładował gdzieś w przydrożnych krzakach.

— Ten Pilcher, doktor Pilcher ze Smithsonian, dzwonił trzy razy. Kazał mi obiecać, że ci przekażę.

— On nie jest doktorem.

— Sądzisz, że mogłabyś z nim kręcić?

— Może. Jeszcze nie wiem.

— Z tego, co mówił, wydawał się całkiem zabawny. Dochodzę do przekonania, że najważniejsze w mężczyźnie jest to, żeby był zabawny, nie mówiąc oczywiście o pieniądzach i sprawności podstawowej.

— I dobrych manierach, nie wolno ci zapominać o dobrych manierach.

— Dokładnie. Skurczybyk musi zawsze odznaczać się dobrymi manierami.

Clarice niczym duch wślizgnęła się spod prysznicą prosto do łóżka.

Mapp paliła przez jakiś czas swoją lampkę przy łóżku aż oddech Clarice stał się regularny. Raz zadygotała przez sen, zadrżał jej mięsień na policzku i na chwilę otworzyła szeroko oczy.

Mapp obudziła się przed świtem, czując w pokoju pustkę. Zapaliła światło. Clarice w łóżku nie było. Brakowało także obu toreb do prania i Mapp wiedziała, gdzie jej szukać.

Znalazła ją w ciepłej pralni, drzemającą naprzeciw kręcącej się powoli pralki, w zapachu wybielaczy, mydła i środków do zmiękczenia. Mapp studiowała prawo, a Clarice psychologię, a jednak to właśnie Mapp spostrzegła, że rytm automatycznej pralki jest jak

bicie wielkiego serca, a szum przelewającej się w niej wody jak odgłos, który słyszy nie narodzone jeszcze dziecko: przypomina miejsce, w którym po raz ostatni doznaliśmy spokoju.

Rozdział 58

Jack Crawford obudził się wcześnie na sofie w swoim gabinecie. Usłyszał rozlegające się w domu chrapanie swoich teściów. W krótkiej chwili między snem a jawą nie uświadomił sobie, że Bella nie żyje, pamiętał tylko ostatnie wypowiedziane przez nią słowa. „Co się dzieje na podwórku?” — zapytała, oczy miała jasne i spokojne.

Wziął szufelkę z ziarnem i otulony w płaszcz kąpielowy wyszedł nakarmić ptaki, tak jak to obiecał robić. Zostawił wiadomość dla śpiących krewnych żony i wyslizgnął się z domu przed świtem. Crawford utrzymywał na ogół dobre stosunki z rodziną Belli i lepiej się czuł, kiedy ktoś kręcił się po domu, ale teraz zadowolony był, że jedzie do Quantico.

Przeglądał właśnie nocne teleksy popatrując na poranne wiadomości, kiedy do szklanych drzwi gabinetu przycisnęła nos Clarice. Zrzucił z krzesła raporty, żeby zrobić jej miejsce, i bez słowa oglądali razem dziennik. Właśnie zaczynali o tym mówić.

Pokazywali z zewnątrz stary dom Jame'a Gumba w Belvedere, pusty sklep od frontu i zamalowane okna za ciężkimi okiennicami. Dziewczyna ledwo je rozpoznawała.

— Piwniczny horror — mówił komentator.

Niewyraźne, robione w pośpiechu zdjęcia studni i podziemi, fotoreporterzy rozpychają się przed telewizyjną kamerą, zirytowani strażacy przeganiają ich na górę. Oszalałe w telewizyjnych reflektorach, lecące do światła ćmy, zbliżenie ćmy leżącej na grzbiecie na podłodze, bijącej skrzydłami w agonii. . .

Catherine Martin rezygnuje z noszy i idzie do ambulansu owinięta policyjnym płaszczem, spod klap płaszcza wystaje psi pysk.

Z boku widać idącą szybko do samochodu Clarice, ma opuszczoną głowę, ręce głęboko w kieszeniach płaszcza.

Z filmu wycięto najbardziej makabryczne fragmenty. W odległych zakątkach podziemi kamera pokazała tylko spryskane wapnem progi komórek, w których Gumb trzymał swoje „eksponaty”. Liczba odnalezionych w tej części piwnicy zwłok doszła jak na razie do sześciu.

Crawford słyszał, jak Clarice dwukrotnie wypuściła przez nos powietrze. Zaczęły się reklamy.

— Dzień dobry, Starling.

— Cześć — powiedziała zmienionym głosem, jakby minęła już co najmniej połowa dnia.

— Prokurator federalny z Columbus przesłał mi telefaksem twoje zeznania. Będziesz musiała podpisać dla niego kilka kopii... Więc z domu Fredriki Bimmel najpierw poszłaś do Stacy Hubki, potem do tej Burdine, do sklepu, dla którego szyla Bimmel, i pani Burdine dała ci stary adres pani Lippman, tego właśnie budynku.

Clarice kiwnęła głową.

— Stacy Hubka wstąpiła tam parę razy po Fredrikę, ale prowadził zawsze jej chłopak i nie potrafiła wytłumaczyć, jak się tam jedzie. Pani Burdine miała zapisany adres.

— Pani Burdine nic nie wspomniała o mężczyźnie mieszkającym w domu pani Lippman?

— Nie.

W telewizji puszczała teraz film ze szpitala marynarki wojennej w Bethesda. W oknie limuzyny pojawiła się twarz senator Ruth Martin.

— Minionej nocy Catherine zachowywała się normalnie. Spała, teraz jest pod działaniem środków uspokajających. Składamy dzięki Bogu. Nie, tak jak już powiedziałam, doznała szoku, ale zachowuje się normalnie. Tylko skaleczenia, ma także złamany palec. I jest odwodniona. Dziękuję. — Trafiła kierowcę w plecy. — Dziękuję. Nie, wspomniała mi o psie wczoraj wieczorem. Nie wiem, co w tej sprawie zrobimy, mamy już dwa psy.

Na koniec przytoczono nie zawierającą nic konkretnego wypowiedź specjalisty od stresów. W ciągu dnia miał on rozmawiać z Catherine Martin i ocenić, jakich doznała zaburzeń emocjonalnych.

Crawford wyłączył telewizor.

— Jak się czujesz, Starling?

— Jestem jeszcze trochę odrętwiała... a pan? Crawford pochylił głowę i szybko zmienił temat.

— W nocy telefonowała senator Martin. Chce przyjechać tutaj, żeby zobaczyć się z tobą. Catherine także, jak tylko będzie mogła podróżować.

— Można mnie zawsze zastać w domu.

— Chce także tutaj przyjechać Krendler. Poprosił o wycofanie swojej noty.

— Będę musiała się nad tym zastanowić. Nie zawsze można mnie zastać.

— Rób, jak chcesz, ale coś ci poradzę. Posłuchaj senatora Martin. Pozwól jej powiedzieć, jak bardzo jest ci wdzięczna, jak wielki ma wobec ciebie dług. Zrób to jak najszybciej. Wdzięczność ma krótką pamięć. Postępując tak, jak postępujesz, będziesz jej potrzebować któregoś dnia w przyszłości.

— To samo mówi Ardelia.

— Twoja koleżanka z pokoju, Mapp? Dyrektor powiedział mi, że Mapp podjęła się przygotować cię na poniedziałkowe egzaminy. Właśnie wyprzedziła o półtora punktu swego głównego rywala, Stringfellowa.

— Więc to ona będzie wygłaszać mowę pożegnalną?

— Stringfellow jeszcze się nie poddał. Mówi, że nie da się wyrolować.

— Złudzenia są rzeczą piękną.

W stosie rzeczy na biurku Crawforda był papierowy kurczak zrobiony przez doktora Lectera. Crawford pociągnął go za ogon, w górę i w dół. Kurczak zaczął dziobać.

— Lecterowi pali się ziemia pod stopami. Jest na pierwszym miejscu na liście najbardziej poszukiwanych — powiedział. — Mimo to może przez jakiś czas bawić na wolności. Poza bazą musisz przestrzegać kilku ważnych zasad.

Kiwnęła głową.

— Teraz jest zajęty — mówił Crawford — ale kiedy będzie miał chwilę czasu, może

chcieć się rozerwać. Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Zdajesz sobie chyba sprawę, że on załatwi cię tak samo, jak załatwiłby każdego innego.

— Nie sądzę, żeby wypadł na mnie gdzieś z krzaków — to ordynarny sposób, a poza tym nie mógłby wtedy zadać mi żadnych pytań. Oczywiście, załatwi mnie, kiedy tylko go znudzę.

— Przestrzegaj kilku ważnych zasad, to tylko chcę ci powiedzieć. Uważaj, kiedy opuszczasz teren bazy, wyraźnie zawiadom o tym, kogo trzeba. Nie mów nikomu przez telefon, gdzie będziesz przebywać, jeśli nie masz pewności, z kim rozmawiasz. Jeśli się zgodzisz, podłączymy twój telefon do specjalnej centrali lokalizującej rozmówcę. Dopóki nie naciśniesz guzika, telefon nie będzie na podsłuchu.

— Nie mam zamiaru czekać, aż on po mnie przyjdzie, panie Crawford.

— Ale słyszałaś, co powiedziałem?

— Tak. Słyszałam.

— Weź swoje zeznania i przejrzyj je. Jeśli będziesz chciała, uzupełnij. Kiedy skończysz, poświadczymy tutaj twój podpis. Jestem z ciebie dumny, Starling. Tak samo Brigham, tak samo dyrektor. — Typowa sztywna mowa, zabrzmiało to zupełnie nie tak, jakby chciał.

Podszedł do drzwi gabinetu. Odchodziła od niego w głąb pustego korytarza. Udało mu się ją pozdrowić z lodowej góry ogarniającego go smutku:

— Twój ojciec patrzy na ciebie, Starling.

Rozdział 59

Jame Gumb ekscytował środki przekazu przez kilka tygodni, a potem ostatecznie złożono go do grobu.

Reporterzy odtworzyli całą jego historię, poczynając od zapisków w księgach stanu cywilnego okręgu Sacramento.

Matka była z nim od miesiąca w ciąży, kiedy nie udało jej się zakwalifikować do finału Miss Sacramento w roku 1948. Imię „Jame” na świadectwie urodzenia wynikało oczywiście z pomyłki kancelisty. Nikt nie zatroszczył się, żeby je poprawić.

Kiedy jej marzenia o karierze aktorskiej legły w gruzach, popadła w alkoholizm. Okręg Los Angeles umieścił dwuletniego Gumba w sierocińcu.

Przynajmniej dwa czasopisma naukowe wyjaśniały, że przyczyną, dla której zabijał i zdierał z kobiet skórę, było nieszczęśliwe dzieciństwo. W żadnym artykule nie pojawiło się słowo „szalony” ani „zły”.

Film z konkursu piękności, który Gumb oglądał jako człowiek dorosły, przedstawiał rzeczywiście jego matkę, badania porównawcze wykazały jednak, że nie była nią kobieta w basenie.

Niezadowoleni z sierocińca dziadkowie Gumba odebrali go stamtąd, kiedy miał dziesięć lat. Zabił ich dwa lata później.

Podczas pobytu w szpitalu psychiatrycznym Gumb nauczył się krawiectwa w ośrodku przystosowania zawodowego. Przejawiał w tym kierunku spore zdolności.

W zatrudnieniu Gumba były liczne przerwy i nie udało się odtworzyć jego przebiegu.

Reportrzy odnaleźli co najmniej dwie restauracje, w których był nielegalnie zatrudniony, pracował poza tym sporadycznie w branży odzieżowej. Nie udowodniono, by w tym okresie kogoś zabił, Benjamin Raspail twierdził jednak, że tak.

Pracował jakiś czas w sklepie z osobliwościami, gdzie wyrabiano ozdoby z motyli. Tam właśnie spotkał go Raspail. Muzyk utrzymywał go przez jakiś czas. To wtedy ogarnęła Gumba obsesja na punkcie ciem i motyli oraz zmian, jakim one podlegają.

Kiedy Raspail go rzucił, Gumb zabił jego następnego kochanka, Klause, uciął mu głowę i częściowo obdarł ze skóry.

Później znowu spotkał Raspaila na Wybrzeżu Wschodnim. Raspail, którego zawsze ekscytowali niegrzeczni chłopcy, przedstawił go doktorowi Lecterowi.

Te sprawy wyszły na jaw w tydzień po śmierci Gumba, kiedy FBI odebrała krewnym Raspaila taśmy, na których nagrany był przebieg jego sesji terapeutycznych z doktorem Lecterem.

Przed laty, kiedy uznano doktora Lectera za chorego psychicznie, taśmy dokumentujące prowadzoną przezeń praktykę oddane zostały rodzinom ofiar. Rodziny miały je zniszczyć. Procesujący się krewni Raspaila nie zrobili jednak tego w nadziei, że taśmy pomogą im podważyć testament. Słuchając pierwszych nagrań szybko się zniechęcili, zawierały one bowiem wyłącznie nużące wspomnienia Raspaila z jego lat szkolnych. Po rewelacjach na temat Jame'a Gumba rodzina Raspaila wysłuchała taśm do końca. Kiedy krewni skontaktowali się z notariuszem Everettem Yow i zagrozili, że posłużą się taśmami, żeby starać się o rewizję testamentu, Yow zadzwonił do Clarice Starling.

Na taśmach nagrana była również ostatnia sesja, w trakcie której Lecter uśmiercił Raspaila. Co więcej, wyszło na jaw, jak wiele rzeczy na temat Gumba dowiedział się Lecter od Raspaila.

Raspail opowiedział Lecterowi o obsesji Gumba na punkcie ciem, o tym, że obdzierał już w przeszłości ludzi ze skóry, że zabił Klause i że pracuje w przedsiębiorstwie wyrobów skórzanych „Mr Hide” w Calumet City, ale jednocześnie bierze pieniądze od starej damy w Belyedere, która wykonuje podszewki dla „Mr Hide'a”. Któregoś dnia Gumb obejmie wszystko, co posiada stara dama, przepowiadał Raspail.

— Kiedy Lecter przeczytał, że pierwsza ofiara była z Belvedere i że obdarta została ze skóry, wiedział już, kto to robi — powiedział Crawford, kiedy przesłuchiwali taśmę wspólnie z Clarice. — Dałby ci Gumba na półmisku, robiąc z siebie wielkiego geniusza, gdyby tylko nie wtrącił się w to Chilton.

— Dał mi wskazówkę, pisząc w aktach, że miejsca zatopienia zwłok są zbyt przypadkowe — powiedziała Clarice. — A w Memphis zapytał mnie, czy potrafię szyć. Po co to robił?

— Chciał się rozerwać — odparł Crawford. — Od bardzo, bardzo dawna robił wszystko, żeby się rozerwać.

Nie odnaleziono żadnej taśmy z sesjami Jame'a Gumba. Jego działalność z okresu po śmierci Raspaila odtworzona została kawałek po kawałku z korespondencji firmy, rachunków za benzynę i wywiadów z właścicielami butików.

Kiedy pani Lippman zmarła w czasie odbywanej razem z Gumbem wycieczki na Florydę, odziedziczył po niej wszystko: stary dom z jego częścią mieszkalną, pustym sklepem i rozległymi piwnicami oraz pieniądze w ilości zapewniającej wygodne życie. Przestał pracować dla firmy „Mr Hide”, ale zatrzymał na jakiś czas apartament w Calumet City, używał również adresu firmy, żeby przyjmować paczki na nazwisko Johna Granta. Dalej szył dla wybranych klientów i odwiedzał, tak jak to robił dla „Mr Hide'a”, butiki w całym kraju, biorąc miary na ubrania, które sporządzał u siebie, w Belvedere. Podróże wykorzystywał, aby porywać swoje ofiary, a potem pozbywać się ich... brązowa furgonetka godzinami sunąca po międzystanowych autostradach z kołyszącymi się z tyłu na wieszakach skórzanymi ubraniami i plastikowym pokrowcem na zwłoki na podłodze.

Cieszył się wspaniałą wolnością w swoich podziemiach. Miał tam miejsce do pracy i do zabawy. Na początku tylko się bawił, polując na kryjące się po komórkach młode kobiety, tworząc zabawne tableaux w odległych pomieszczeniach, zamykając do nich szczelnie drzwi, żeby potem, po otwarciu, wrzucić do środka tylko trochę wapna.

Fredrica Bimmel zaczęła pomagać pani Lippman w ostatnim roku życia starej damy. Spotykała Jame'a Gumba odbierając rzeczy do szycia. Fredrica Bimmel nie była pierwszą młodą kobietą, którą uśmiercił, była jednak pierwszą, którą zabił dla jej skóry.

Wśród rzeczy Gumba odnaleziono adresowane do niego listy Fredriki.

Clarice ciężko było je czytać z powodu zawartej w nich przeraźliwej nadziei, przeraźliwej potrzeby doznania od Gumba czułości. Tego pragnienia można się było domyślić z każdego jej słowa: „Najdroższa Tajemna Miłości mojego Serca, kocham cię. Nie myślałam, że kiedyś wypowiem te słowa. Najpiękniejszą rzeczą w mym życiu będzie usłyszeć je także od Ciebie”.

Kiedy obnażył się przed nią? Czy odkryła, co kryje się w podziemiach? Jak wyglądała jej twarz, kiedy się odmienił, jak długo trzymał ją żywą?

Najgorsze było to, że Fredrica i Gumb pozostali przyjaciółmi do samego końca; napisała do niego liścik ze swego lochu.

Prasa brukowa zmieniła przezwisko Gumba na Mr Hide i z żalu, że nie wymyśliła go sama, zaczęła całą historię od początku.

Bezpieczna w sercu Quantico, Clarice nie musiała zajmować się kontaktami z prasą, zajęły się jednak nią szmatławce.

National Tattler kupił od doktora Chiltona nagranie rozmowy, którą przeprowadziła z doktorem Hannibalem Lecterem. *Tattler* rozwinął tę rozmowę w cały cykl pod wspólnym tytułem „Narzeczona Draculi”. Dawał w nim do zrozumienia, że w zamian za uzyskane informacje Clarice zwierzyła się doktorowi Lecterowi ze swych śmiałych przeżyć erotycznych, którymi wzgardziło przedtem wydawnictwo *Velvet Talks: The Journal of Telephone Sex*.

Magazyn *People* poświęcił Clarice Starling krótki, miły artykuł ozdobiony zdjęciami z Uniwersytetu Wirginia i domu luterńskiego w Bozeman. Najlepsze zdjęcie przedstawiało klacz, Hannah, ciągnącą w podeszłym wieku wózek z dziećmi.

Clarice wycięła zdjęcie Hannah i włożyła do portfela. Była to jedyna rzecz, jaką zachowała z tej sprawy.

Powoli przychodziła do siebie.

Rozdział 60

Ardelia Mapp była wspaniałą korepetytorką; potrafiła dostrzec ukryte w treści wykładu pytanie testowe szybciej niż leopard wyczuwa chorą sztukę w stadzie. Jednak biegaczka z niej była raczej żadna. Tłumaczyła Clarice, że to dlatego, iż jest za bardzo obciążona wiedzą.

Pozostała w tyle za Clarice na torze przełajowym i dogoniła ją dopiero przy starym DC-6, używanym przez FBI do symulacji porwań samolotu. Była niedziela rano. Od dwóch dni żywiły się tylko książkami i przyjemnie było poczuć nareszcie trochę bladego słońca.

— No więc, co powiedział ci Pilcher przez telefon? — pytała Mapp, opierając się o podwozie samolotu.

— On i jego siostra mają dom nad Chesapeake.

— I co z tego?

— Jest tam teraz jego siostra z dziećmiakami, psami i być może z mężem.

— Tak?

— Mieszkają w jednym skrzydle domu. To wielki stary pensjonat, tuż nad wodą, odziedziczyli go po swojej babce.

— Idealny, żeby pobawić się w nim w berka.

— Pilch ma do dyspozycji drugie skrzydło domu. Chce, żebyśmy tam pojechali na przyszły weekend. Mnóstwo pokoiów, mówi. „Dosyć pokoiów, żeby starczyło dla każdego”, tak to chyba ujął. Powiedział, że zadzwoni do mnie jego siostra z oficjalnym zaproszeniem.

— Nie wygłupiaj się. Nie spodziewałam się, że ludzie jeszcze się bawią w takie rzeczy.

— Opracował cały scenariusz: żadnych kłótni, będziemy spacerować opatuleni po samą szyję po plaży, potem powrót, w kominku pali się ogień, na kolana włożą nam psy, mają wielkie zapiaszczone łapy.

— Czysta idylla, hmm, wielkie zapiaszczone łapy, mów dalej.

— To raczej ambitny plan, zważywszy, że nie byliśmy ani razu na randce. Twierdzi, że kiedy jest naprawdę zimno, najlepiej spać razem z dwoma albo trzema psami. Mówi, że ma tyle psów, iż starczy ich dla każdego.

— Pilcher bierze cię na miłość do psów. To stary trik, a ty dałaś się złapać.

— Mówi, że dobrze gotuje. Potwierdza to jego siostra.

— To znaczy, że już dzwoniła?

— No tak.

— Jakie odniosłaś wrażenie?

— Prawidłowe. Jakby była w drugim skrzydle domu.

— Co jej powiedziałaś?

— Powiedziałam, „Oczywiście, dziękuję pani bardzo”, tak właśnie się wyraziłam.

— To dobrze — odparła Mapp. — To bardzo dobrze. Najedz się krabów. Chwyć go w objęcia i wgrzyź się w jego usta, bądź szalona.

Rozdział 61

Kelner z obsługi hotelowej pchał wózek po głębokim dywanie wyścielającym korytarz hotelu Marcus.

Zatrzymał się przy drzwiach apartamentu numer 91 i zapukał miękko dłonią w rękawicze. Nadstawił uszu. Z pokoju dobiegała muzyka, dwu- i trójgłosowe inwencje Bacha w fortepianowym wykonaniu Glenna Goulda. Zapukał ponownie, trochę głośniej.

— Proszę.

Dżentelmen z bandażem na nosie siedział i pisał coś przy biurku, ubrany był w szlafrok.

— Niech pan postawi to przy oknie. Czy mogę spojrzeć na wino? Kelner przyniósł mu butelkę. Dżentelmen przyjrzał się jej w świetle lampy przy biurku, a potem przytknął szyjkę do policzka.

— Proszę otworzyć i zostawić w wiaderku z lodem — powiedział dopisując hojny napiwek do rachunku. — Nie będę go teraz próbował.

Nie chciał, żeby kelner podawał mu wino do skosztowania. Nie spodobał mu się zapach jego paska od zegarka.

Doktor Lecter był w wyśmienitym humorze. Tydzień minął mu doskonale. Wyglądał coraz lepiej. Kiedy tylko zejdzie z twarzy kilka

małych plam, będzie mógł zdjąć bandaż i zrobić sobie zdjęcia do paszportu.

Był właśnie w trakcie wstrzykiwania sobie w nos małych porcji silikonu. Silikon można dostać bez recepty, niestety nie sposób kupić bez niej strzykawek i novokainy. Pokonał tę trudność kradnąc receptę z lady zatłoczonej apteki, niedaleko szpitala. Zamalował kurze bazgroły dyplomowanego farmaceuty płynem do korekt maszynowych i odbił czysty formularz na ksero. Pierwsza przepisana recepta była dokładną kopią skradzionej. Podrzucił ją niezwłocznie do apteki, żeby niczego nie brakowało.

Szpecące twarz obrzęki nie były przyjemne i zdawał sobie sprawę, że jeśli nie będzie uważał, silikon może rozlać się po tkankach. Efekt zabiegu powinien się jednak utrzymać przez kilka dni, a tyle właśnie dzieliło go od wyjazdu do Rio.

Kiedy zaczął ulegać swym pasjom, na długo przed pierwszym aresztowaniem, doktor Lecter poczynił pewne przygotowania na wypadek, gdyby miał się kiedyś znaleźć na liście poszukiwanych. W ścianie domku letniskowego nad Susquehanna River ukrył pieniądze i dokumenty zapewniające mu nową tożsamość, łącznie z paszportem i dodatkami kosmetycznymi, które miały ozdobić jego konterfekt na zdjęciach paszportowych. Ważność paszportu tymczasem wygasła, ale można ją było bardzo szybko odnowić.

Wolał przejść przez odprawę celną w tłumie podróżnych, z wielką plakietką biura podróży na piersiach, i wykupił już w tym celu miejsce w zbiorowej wycieczce o niesamowicie brzmiącej nazwie „Uroki Ameryki Południowej”, by zabrać się z nią do Rio.

Pamiętał, żeby nie opłacać przypadkiem hotelu przelewem komputerowym, ale wypisać normalny czek w imieniu nieboszczyka Lloyda Wymana. Zyskiwał w ten sposób pięć dni, podczas których czek spokojnie wędrować będzie po banku.

Tego wieczoru zajął się korespondencją, którą miał zamiar przesłać do adresatów za pośrednictwem biura wysyłkowego w Londynie.

W pierwszej kolejności przekazał suty napiwek Barneyowi wraz z podziękowaniem za liczne uprzejmości, których doznał od niego w szpitalu.

Następnie napisał krótki list do pozostającego pod ochroną federalną doktora Fredericka Chiltona sugerując, iż w bliskiej przyszłości zamierza mu złożyć nie zapowiedzianą wizytę. W jej następstwie, pisał, personel szpitala, aby oszczędzić sobie papierkowej roboty, wytatuuje instrukcję karmienia Chiltona na jego własnym czole.

W końcu nalał sobie kieliszek wybornego Batard Montrachet i zaczął pisać do Clarice Starling:

Cóż, Clarice, czy owce umilkły? Jesteś mi winna pewną informację, wiesz o tym, i w tej właśnie sprawie piszę.

Wystarczy, jeśli pierwszego dnia dowolnego miesiąca zamieścisz ogłoszenie w krajowym wydaniu „Timesa” oraz „International Herald Tribune”. Nie zaszkodzi wysłać je także do „China Mail”.

Nie zdziwię się, jeśli odpowiedź będzie brzmiała: i tak, i nie. Owce na razie umilkną. Przekonasz się jednak sama, Clarice, jak krótkotrwałe jest miłosierdzie, odmierzane na tajemnych szalach Dobra i Zła; na błogosławione milczenie będziesz musiała sobie znowu zasłużyć. A potem jeszcze raz i jeszcze, i tak bez końca. To właśnie bowiem poczucie zagrożenia, fakt, że je dostrzegasz, jest siłą, która cię prowadzi. Zagrożenie zaś nigdy nie ustanie. Nie zamierzam składać ci wizyty, Clarice, uznając świat z tobą za bardziej interesujący niż bez ciebie. Pewien jestem, że wyświadczysz mi tę samą grzeczność.

Doktor Lecter przytknął pióro do ust. Spojrzał na nocne niebo i uśmiechnął się:

Mam widok z okna.

Nad horyzontem stoi Orion, obok niego Jowisz, jaśniejszy niż kiedykolwiek przed rokiem dwutysięcznym. (Nie mam zamiaru pisać ci, jak wysoko stoi na niebie ani która jest dokładnie godzina). Ale sądzę, że ty też go widzisz.

Niektóre z naszych gwiazd są takie same.

Clarice.

Hannibal Lecter

Daleko na wschód, nad brzegiem Chesapeake, nad wielkim, starym domem i pokojem, w którym żarzą się pozostawione na noc główne, wysoko na bezchmurnym niebie stoi Orion. Światło w kominku pulsuje delikatnie w rytm wiejącego na dworze wiatru. Szerokie łożo przykryte jest kilkoma kołdrami, pod nimi i na nich leży kilka dużych psów. Ten większy kształt pod przykryciem to może być, choć równie dobrze może nie być, Noble Pilcher, nie sposób tego ustalić przy tak słabym świetle. Ale twarz na poduszce, zaróżowiona od ognia, z całą pewnością należy do Clarice Starling. Śpi

głęboko i słodko, spowita w milczenie owiec.